

MOC CZYTANIA NA ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 19–26 grudnia 2021

nr 51–52 (3780–3781)

cena 15 zł (w tym 8% VAT)

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl



Czy się spełni cud?

**Spraw, żeby dla wszystkich dzieci
Święta brzmiały tak samo**

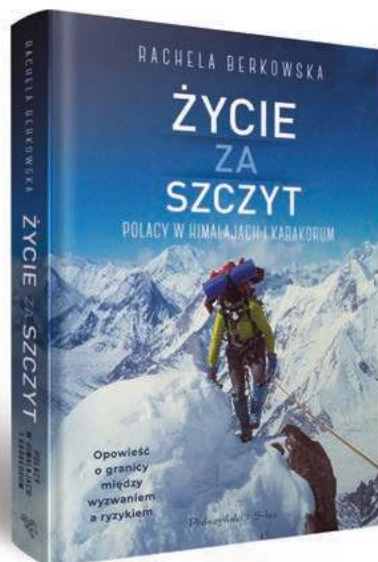
07 1240 6247 1111 0000 4975 0683



**SOS WIOSKI
DZIECIĘCE**

www.dziecisos.org

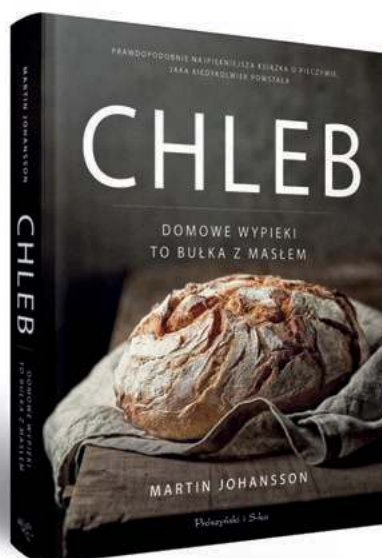
Wydawnictwo Prószyński poleca na Święta



ŻYCIE ZA SZCZYT. Polacy w Himalajach i Karakorum

Los splótł ich ze sobą – człowieka i górę – na zawsze. Jaka była ta ostatnia wspinaczka?

Co sprawiło, że zdobywając szczyt, przekroczyli kruchą granicę między wyzwaniem a ryzykiem? Rachel Berkowska wśród rodzin, najbliższych i członków tragicznych wypraw szuka odpowiedzi na pytania, które pozostają tajemnicą gór.



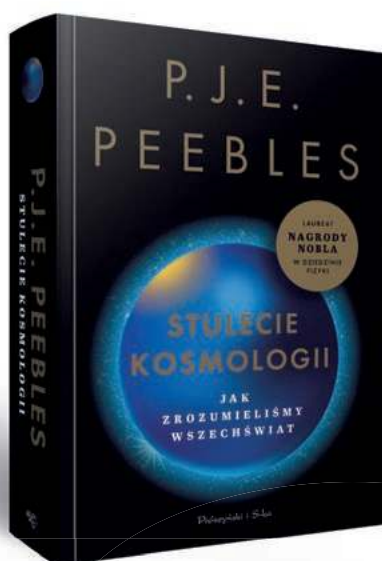
CHLEB. Domowe wypieki to bułka z masłem

Przepisy, techniki i... drogi na skróty.

Obejmująca prawie sto przepisów na różnego rodzaju wypieki księga to dzieło piekarza-amatora Martina Johanssona opatrzone pięknymi zdjęciami.

STULECIE KOSMOLOGII. Jak zrozumieliśmy Wszechświat

Historia kosmologii od czasów Einsteina do współczesności napisana przez laureata Nagrody Nobla z fizyki P.J.E. Peeblesa.



TAK SAMO INNI. Dlaczego rasizm jest bez sensu

Ta książka to oręż. Wyposaży cię w naukowe narzędzia, niezbędne do radzenia sobie z pytaniami dotyczącymi rasy, genów i pochodzenia. Stanowi ona podręcznik pomocny przy oddzielaniu faktów od rasistowskiej mitologii.



KS. ADAM

Boniecki: Pójdźmy wszyscy

NO I WYRUSZYLIŚMY DO TEGO BETLEJEM. Może nawet nie za bardzo wiedzieliśmy, dokąd ruszamy, bo żaden anioł w tej sprawie się z nami nie komunikował. Ci, co się komunikowali, nie robili wrażenia aniołów, choć komunikowali się z nami przy pomocy listu wysłanego w Wigilię. List nie wyglądał na przesyłkę z nieba, był bardzo ziemski, chociaż niektórzy twierdzili, że jest to list nie z tej ziemi. Jeśli z nieba, to z jakiejś innej planety. List nie zostawiał wątpliwości: mamy wyruszać w drogę.

To poderwało nas jak anielskie pieśń betlejemskich pasterzy. Cóż, od czasów Abrahama lud Boży, lud wybrany i święty zawsze był ludem wędrującym. Zaczęliśmy więc zbierać się do drogi. Jak każdy, kto idzie szukać Betlejem, musieliśmy jedno nasze rzeczy ze sobą zabrać, inne rozdać, jeszcze inne posegregować i zanieść na makulaturę. Jakikolwiek ślady naszej tam bytności miały zniknąć i zniknęły. O powrocie na stare pielesze nie było mowy.

Jak zwykle w takich sytuacjach odezwali się sąsiedzi. Zakrzyknęli, że „jak można przesadzać stare drzewo?”, że „od zawsze byliśmy tu mile widziani”, że „tradycja”, że „kraj-obraz” i tak dalej. Ci dobrzy ludzie, co tylko mogli, to nam na drogę dawali. No i rozpoczęliśmy wędrówkę przez Krainę Pandemii.

Droge wytyczali królowie. Jeden co chwila zmuszał karawanę do biegu na szczyty entuzjazmu, by za chwilę sprowadzać nas na kamieniste dna żłobów realizmu. Drugi prowadził, heroicznie i ze spokojem znosząc te wzloty i upadki w podróży. Gdyby nie on, pewnie nigdzie byśmy nie do-

*Szukali
ze ścian
przypatrywały im się plakaty
pełne kobiet
napisów bądź ze mną a nie będziesz sam
wpięte w ściany muzeum reklamy
świata który kochali
(...)*

*Szukali a świat im się wydał
po tylu wędrownych wiekach
tym samym co w dniach ich młodości
nieuzdrowionym kaleką
nieosądzonym celnikiem
łotrem wpłatanym w nadzieję
pytali w kolejach podziemnych
gdzie leży miasto Betlejem
MAREK SKWARNICKI „TRZEJ KRÓLOWIE”*

szli. Trzecia – królowa – wypatrywała gwiazd.

Rzecz jasna, nieśliśmy do Betlejem dary dla Jezusa. A więc złoto: ogromny kufer naszej historii oraz będące jej zapisem artefakty – portrety antenatów i Franciszka Józefa, smutny pejzaż zimowy z krzyżami pędzla Stanisława Rodzińskiego, odnowione i niespodziewanie lekkie biurko Jerzego Turowicza, poźółkle roczniki z dziurami powygryzanych przez cenzurę i komplet przygotowanych do sprzedaży zupełnie nowych wydań specjalnych (nie-cenzurowanych) z naszymi najlepszymi tekstami, istne złoto. Do tego jeszcze statuetki, medale i dyplomy za zasługi i tym podobne. Te, owszem, może najczystszy złotem nie były, lecz szlachetny kruszec, czy raczej kruszec szlachetności, lśnił tam jasnym światłem.

Z kadzidłem – kolejnym darem dla Dziecięcia – zawsze mieliśmy w redakcji problemy. Było używane rzadko, tylko w niewielkich dawkach i wyłącznie dla zmarłych. Mogliśmy oczywiście kadzidło pożyczyć lub kupić w dobrze zaopatrzonym „Katolickim Głosie w Twoim Domu”, ale ich kadzidło akurat nie nadawało się na dar betlejemski, bo chodziły słuchy, że bywa duszące, łatwo podtruwa, albo że jest wyrobione z domieszką bielunia dziedzierzawy, a więc może być halucynogenne. Logicznie rzecz biorąc, zaopatrzeniem w kadzidło powinien się zająć dział Wiara. Ale gdzież tam, wzdrygnął się na samą dyskretną sugestię.

Kadzidła nie było, ale szliśmy jak w dym, bo prowadzili nas nasi przewodnicy pod niezwyklej postaciami: z jednej strony kroczył ryś (gatunek celowo tępiony po stronie biał-

Zrób sobie prezent!

Wydanie specjalne to prawie 150 stron najlepszych świątecznych opowieści. Szukaj w miejscach z dobrą prasą i na powszech.net/dzisiajwbetlejem

TYGODNIK
POWSZECHNY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ruskiej, w Polsce od 1995 r. objęty ochroną; jednak mimo tej ochrony w ciągu ostatniego dziesięciolecia zasięg rysia znacznie się u nas pomniejszył). Z drugiej leciał ptak: sikorka duża, czyli sikora, jeden z najlepiej rozpoznawalnych ptaków śpiewających. (Sikorki – i sikory – są barwne, niełatwo je spłoszyć i stanowią wdzięczny obiekt obserwacji. Cechą charakterystyczną samców jest szeroki krawat przechodzący na środku brzucha w czarną plamę – ale naszego towarzysza nigdy nie widywaliśmy pod krawatem). Zresztą przed samym wyjazdem okazało się, że sikora z rysiem lubią iść razem, co wyprawie wyszło tylko na dobre.

No i mirra – to dopiero był problem. Czym ma być nasz dar mirry? Bo mirra to wonna żywica z drzew i krzewów należących do rodzaju balsamowców, najlepsza jest wyrabiana z balsamowca mirry (*Commiphora abyssinica*). Nazwa „mirra” pochodzi z języków semickich i oznacza „gorzka”. Jest używana jako lekarstwo, środek antyseptyczny, przeciwbólowy, bywa stosowana w stanach przemęczenia, stresu i depresji. Mieszano ją z podawanym skazańcom winem, żeby zmniejszyć ich ból. No i była używana do balsamowania zwłok.

Więc gorycz... Na szczęście mamy jej trochę – z powodu naszych niefortunnych wyskoków, niewczesnych entuzjizmów, przegapienia, opóźnień, wyrządzonych przykrości, zarozumiałstwa, wymądrzania się, nieodpisanych listów, niedysiejszych sporów itp. Zapakowaliśmy więc na drogę



GRAZYNA MAKARA

trzeci dar z niezbyt wyraźnie nabazgranym „*Mirra – nostra culpa*”. Pamiętając, że gorycz trzeźwi i bywa ożywcza, a mirra leczy. Tylko z tym balsamowaniem to już nie przesadzajmy.

Z takimi to darami, w pięknym orszaku złożonym z licznych kobiet, mężczyzn i dzieci, ruszyliśmy w kierunku Betlejem.

No i wędrujemy. Bywa, że pytamy o drogę, jak tamci Mędrcy o drogę pytali. Jeżeli oni, niby tacy mądrzy, a wybrali najgorszego z możliwych informatorów, to nie ma się co dziwić, że każdemu, kto jest w drodze, może się to zdarzyć. Po prostu uważamy – na informatorów, na źródła, z których się czerpie, na heroldów, w których enuncjacje się wierzy. Pytamy o drogę i idziemy. Czasem się zatrzymujemy, by razem z Franciszkiem (papieżem) ponaprawiać drogę do Betlejem. Bo żeby dojść, trzeba się zatroszczyć o stan drogi, inaczej łatwo skreślić kark albo złamać nogę. A te

drogi to prostota, ubóstwo i dostępność Jezusa.

I tak wędrujemy do Betlejem, gdzie Słowo stało się Ciałem, do początku nieprawdopodobnej historii Boga-Człowieka, żeby w labiryncie spraw pilnych, które pożerają nasze siły, nie stracić z oczu spraw naprawdę ważnych. ©

Naszym Przyjaciołom i Nieprzyjaciołom, Czytelnikom, Autorom i sobie samym życzymy radosnych i wciąż nowych powrotów do Betlejem.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

W noworocznym numerze „Tygodnika” – same czytelnicze fajerwerki!

Dunbar, Flis, Frye, Jagielski, Ochędowska, Radzik, Robiński, Rosiak, Sorrentino

Czemu przyjaźń uratuje świat | Jak Boris Johnson pogrzebał Brytanię | Po co ludziom mury
Dziennikarz kontra górale | Proroctwo polityczne na 2022 | Sant'Egidio rządzi Kościołem
Boso przez miasto | Opowieści z Barbadosu | Pszczoła, nasze zwierzę roku

Obszerne, pięknie ilustrowane wydanie noworoczne „Tygodnika Powszechnego”
w sprzedaży od środy 29 grudnia.

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BOŻE NARODZENIE 2021

16 Wołanie wilka

DARIUSZ KOZIŃSKI ■ Najbardziej niematerialna i zarazem najtrwalsza, najściślej narodowa i nieznaną granic – polska Wigilia.

25 Zimowa piosenka dla tego, który cierpi

WIERZ BRENDY HILLMAN

26 I stało się ciałem

PIOTR SIKORA ■ Boże Narodzenie to święto Boskości, której z uniwersalnej, kosmicznej perspektywy prawie nie widać. Boskości, która jest właśnie tu.

43 Madonna z okładki

MAGDALENA ŁANUSZKA ■ Nie na tronie, lecz na ziemi.

44 Z Jego światłem

RYSZARD KOZIOŁEK ■ Wyruszymy w noc wigilijną szukać pocieszenia. Objawienie zamknie się jednak w granicach kościelnego spektaklu. Po nim znowu wyjdziemy w noc rozświetlaną zwykłym ludzkim światłem ulicznych lamp i latarek.



32 Złota nitka

ROZMOWA Z SIOSTRĄ ANNA BODZIŃSKĄ, TEOLOŻKĄ:

Jezus przychodzi na świat w Bet-Lechem, co oznacza Dom Chleba. Chleb to coś, bez czego trudno żyć.

36 Rzeczy

MARCIN ŻYŁA

U mnie w pracy stoją worki na ubrania. Kiedyś myślelibyśmy o nich, czy są ładne. Teraz zastanawiamy się tylko: czy są ciepłe? Dokąd poszły z nimi w świat?

40 Granice naszych granic

ROZMOWA Z O. NIKODEMUSEM SCHNABLEM OSB:

Troje uchodźców do Egiptu staje się błogosławieństwem dla ludzi.

28 Lepienie świata

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Kto by pomyślał, że pierogi na wigilijnym stole zawdzięczamy mędrcom ze Wschodu.

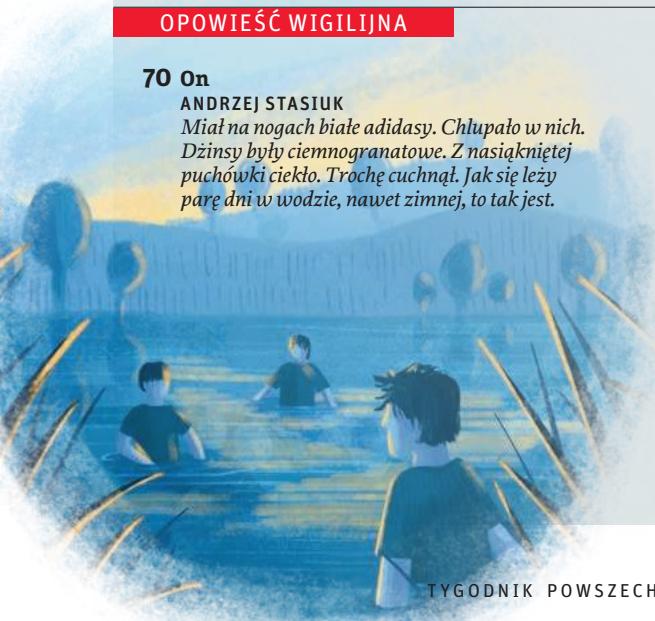


OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

70 On

ANDRZEJ STASIUK

Miał na nogach białe adidasy. Chłupało w nich. Dżinsy były ciemnogrnatowe. Z nasiąkniętej puchówki ciepło. Trochę cuchnęła. Jak się leży parę dni w wodzie, nawet zimnej, to tak jest.



20 Baśń o kamiennej duszy

ROZMOWA Z RADKIEM RAKIEM, PISARZEM:

Czuję, że wszyscy potrzebujemy mitu. I że mogę się nim dzielić w obfitości.



8 Ultimatum wobec Zachodu
WOJCIECH KONOŃCZUK

9-14 Obraz tygodnia

50-51 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

54 Dwunasty zawodnik

ROZMOWA Z JOANNĄ SADZIK,
SZEFOWĄ STOWARZYSZENIA WIOSNA:
*Nigdy nie powiem, że każdy musi
sobie radzić sam*

58 Niebo w kolorze bugatti

MAREK RABIJ:
*Dlaczego na polskim rynku
samochodowym brakuje aut*

62 Jesteś gruba

ANNA GOC: *Gdy widać tylko ciało*

■ ■ **ŚWIAT**

74 Spór o przyszłość Europy

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA:
*Nowy rząd w Berlinie chce głębokiej
integracji Unii*

79 Zrozumieć Szkocję

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI:
*Pandemia, niepodległość
i plany na przyszłość*

82 Ostatni Żyd z Kabulu

WOJCIECH JAGIELSKI: *Zebulon
Simentow przez pół wieku przetrwał
wiele burz, ale jednak opuścił Afganistan*

85 Zły wujek Joe

MARTA ZDZIEBORSKA:
*Jak Amerykanie postrzegają swojego
prezydenta rok po objęciu urzędu?*

■ ■ **HISTORIA**

90 Narodziny reprezentatwyki

ZBIGNIEW ROKITA o pierwszym meczu
polskiej reprezentacji w piłce nożnej

REPORTAŻ

RENATA DĄBROWSKA DLA „TP”



66 I niech mówią, co chcą

EWELINA BURDA

Przez lata myślałem, że przez moją
chorobę nie można ze mną być. Jak
zobaczyłem, że nasze uczucie z Agatą
jest obustronne, poczułem wielką
ulgę. I szczęście, że jednak mogę być
dla kogoś najważniejszy. Że mogę być
tym jedynym.

■ **DODATEK SPECJALNY** ■

**103 Metamorfoza Zamku
Królewskiego na Wawelu**

■ **FELIETONY** ■

49 ZUZANNA RADZIK **65** DOROTA
MASŁOWSKA **89** TOMASZ STAWISZYŃSKI
130 JAN KLATA **131** PAWEŁ BRAVO
138 STANISŁAW MANCEWICZ
138 BARTOSZ MINKIEWICZ

Na okładce: Madonna z kościoła św. Dominika
w Neapolu, autor fresku nieznanym
ELECTA / MONDADORI PORTFOLIO / GETTY IMAGES
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

93 Rozważni i romantyczni

ROZMOWA Z OLIVIEREM
MAZEROLLE'EM:
*Swoją walką Polacy budzili kiedyś
podziw Europy*

■ ■ **Z ODDECHEM**

96 Prawdziwa żydowska arystokracja

JOANNA SZCZĘSNA:
*Co mają wspólnego Władysław
Kopaliński i Marek Edelman*

■ ■ **NAUKA**

108 Ciemna strona świata

SEBASTIAN J. SZYBKA:
*Materia, jaką znamy
i jakiej nie znamy*

112 Kosztowna adaptacja

SZYMON DROBIAK Z SYDNEY:
*Australia silnie doświadcza
pierwszych objawów katastrofy
klimatycznej*

■ ■ **KULTURA**

116 Normalny stan rzeczy

ROZMOWA Z KAROLEM PALCZAKIEM,
MALARZEM: *Kocham ciemność*

121 W cieniu Frankenstein

MONIKA OCHĘDOWSKA: *Zaczęła się
nowa, znów romantyczna epoka*

124 Sorry, Polsko

ANITA PIOTROWSKA o filmie
dokumentalnym „Sędziowie pod presją”

126 Znikający „Punkt”

JAN BŁASZCZAK:
*Muzyka grupy Faust
i przemębowanie głowy*

130 Zatrute źródła

LEKTOR o książce „Europa przeciwko
Żydom 1880-1945” Götza Aly

■ ■ **ZMYŚŁY**

132 Niedźwiedź słabo śpi

BARTEK DOBROCH:
Tatry i spotkania z człowiekiem

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Przychodzi Biden do Putina [Rosyjska Ruletka]**

Przez bezpieczne kanały łączności prezydenci porozmawiali
7 grudnia o czerwonych liniach, błękitnym paliwie
i ciemnych barwach w stosunkach dwustronnych – pisze
ANNA ŁABUSZEWSKA tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

➔ **Listopad w nauce [Podkast Powszechny]**

Niezwykłe zjawiska fizyczne występujące podczas... pstrykania
palcami. Tajemnicze zdarzenia 42 tysiące lat temu. I związki
pomiędzy zwierzętami przeżuwanymi a pożarami na świecie
– na podkast zaprasza **ŁUKASZ ŁAMŻA** tygodnikpowszechny.pl/podkast

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



OBRAZ
TYGODNIA

ULTIMATUM WOBEC ZACHODU

Rosja chce doprowadzić do rewizji porządku międzynarodowego w Europie Wschodniej i Środkowej. Instrumentem prowadzącym do tego celu jest straszenie nową agresją wobec Ukrainy.

WOJCIECH KONOŃCZUK

WIDEOKONFERENCJA PREZYDENTÓW Joeo Bidena i Władimira Putina, przeprowadzona 7 grudnia, miała charakter kryzysowy i w istocie została wymuszona przez działania Moskwy. Od października wokół granicy z Ukrainą trwa koncentracja rosyjskich wojsk o bezprecedensowym charakterze (obecnie ok. 100 tys. żołnierzy). Wzbudziło to na Zachodzie obawę, że Rosja przygotowuje kolejną inwazję na Ukrainę. Na tym etapie wywołanie strachu było naczelnym celem Kremla, który w ten bandycki sposób wysłał sygnał, że ma dość obecnego *status quo* w regionie i jest zdecydowany, by doprowadzić do jego obalenia.

Komunikaty płynące z Moskwy w ostatnich tygodniach są wyjątkowo czytelne. Otóż

okazuje się, że Federacja Rosyjska, która dokonała agresji na Gruzję, zaanektowała Krym i wywołała wojnę na wschodzie Ukrainy, czuje się zagrożona „konfrontacyjnymi działaniami” Zachodu, który – jak to sformułowało rosyjskie MSZ – „popycha Ukrainę do agresywnych kroków”. Można przecierać oczy ze zdumienia: mamy tu do czynienia z odwróceniem rzeczywistości, typowym dla neoimperialnej narracji Moskwy.

Co zatem proponuje Kreml dla załagodzenia sytuacji? Po pierwsze, Zachód powinien zmusić Ukrainę do realizacji porozumień mińskich z 2015 r., które oznaczałyby reintegrację Donbasu, w pełni kontrolowanego przez Rosję, z państwem ukraińskim. Za pomocą tego konia trojańskiego

*Joe Biden podczas spotkania online z Władimirem Putinem.
Waszyngton,
7 grudnia 2021 r.*

Moskwa planuje w przyszłości kontrolować politykę Kijowa. Po drugie, państwa NATO powinny dać Rosji gwarancje prawne, które nie tylko wykluczą dalsze rozszerzenie Sojuszu na wschód, ale zakazą też rozmieszczania na jego wschodniej flance – a więc także w Polsce – jakiegokolwiek infrastruktury wojskowej NATO i jego państw członkowskich. Moskwa oczekuje zatem, że w Europie Środkowej dojdzie do samoograniczenia się NATO. Mamy więc do czynienia z faktycznym ultimatum, w którym Rosja domaga się jednostronnych ustępstw, strasząc, że ich odrzucenie – jak komunikuje rosyjskie MSZ – „sprowokuje poważne ryzyko, włącznie z konfliktem na dużą skalę”.

Co na to Zachód? Widać podziały co do taktyki, ale dominuje przekonanie, że należy z Rosją rozmawiać. Po wideokonferencji prezydent Biden zapowiedział spotkanie poświęcone „obawom Rosji”, z udziałem Putina i „co najmniej czterech sojuszników”. Ale krytyka, która go po tej deklaracji spotkała, sprawia, że nie wiadomo, czy do niego dojdzie. Równocześnie Biden zagroził, że jeśli Rosja znów uderzy na Ukrainę, spotka się ze „strasznymi konsekwencjami”.

Zachód próbuje więc odstraszać i grozi poważnymi sankcjami, ale zarazem słysząc głosy, by Moskwy „nie prowokować”. Efektem tego jest wetowanie przez Niemcy sprzedaży Ukrainie broni defensywnej przez struktury NATO. Jednak polityka „nieprowokowania” nie tylko nie zadziałała, lecz będzie wręcz zachętą do dalszych agresywnych działań Rosji. Nie ma też szans, aby zmusić Kijów do realizacji porozumień mińskich (postulat ten popiera tylko 12 proc. Ukraińców), gdyż byłby to prosty sposób na głęboką destabilizację Ukrainy.

O ile nowa inwazja Rosji na Ukrainę, już na pełną skalę, to scenariusz mało prawdopodobny, o tyle kwestią czasu może być eskalacja „pełzającej wojny” w Donbasie z jej możliwym rozlaniem się poza obecny obszar. Kreml będzie chciał bowiem uwiarygodnić swoje ultimatum. Zachód stoi więc przed być może najpoważniejszą po 1991 r. próbą w swoich stosunkach z Rosją. Ustępstwa wobec rosyjskiego rewizjonizmu byłyby najgorszym rozwiązaniem. ©

NBP swoje, a inflacja swoje

MAREK RABIJ



DECYZJA O KOLEJNEJ PODWYŻCE STÓP procentowych nie jest zaskoczeniem. Tym razem analitykom udało się nawet przewidzieć jej wysokość (wzrost do 1,75 proc.). Sądząc po kursie złotego, który tuż po ogłoszeniu decyzji Rady Polityki Pieniężnej zaczął znowu gwałtownie tanieć, wielu inwestorów liczyło na jeszcze większe podwyżki. Ekonomści zgadzają się również, że główna stopa procentowa w Polsce w najbliższych miesiącach będzie nadal iść w górę, a pod koniec przyszłego roku zbliży się nawet do 3 proc.

Za jakiś czas banki podniosą mizerne dziś oprocentowanie lokat, choć niemal na pewno będą z tym zwlekać do ostatniej chwili określonej w przepisach. Tymczasem oprocentowanie pożyczek już idzie mocno w górę. Dla przeciętnego kredytu hipotecznego, zaciągniętego na 20 lat i na 330 tys. zł, ostatnia decyzja o podniesieniu stóp procentowych skutkuje skokiem miesięcznej raty o około 80-100 zł w porównaniu z jej aktualną wysokością. Biorąc pod uwagę także dwie poprzednie podwyżki stóp, mielibyśmy już do czynienia ze skokiem rzędu 300 zł miesięcznie, ale gdy za punkt odniesienia przyjmiemy progno-

zy mówiące o głównej stopie procentowej na poziomie 3 proc. na koniec przyszłego roku – oznacza to nawet 750-800 zł miesięcznie. To już może zboleć, zwłaszcza że cenowe szaleństwo na rynku nieruchomości zmusiło wiele polskich rodzin do zadłużenia się niemal do granicy utraty płynności finansowej.

Najgorsze, że o szybkim wyhamowaniu inflacji dzięki podwyżkom stóp możemy jedynie pomarzyć. Podczas konferencji prasowej, na której podano do wiadomości szczegóły decyzji RPP, przyznał to sam prezes NBP Adam Glapiński. Szef polskiego banku centralnego dał przy okazji do zrozumienia, że jeśli dotychczasowe podwyżki stóp nie przyniosą zamierzonego efektu, wówczas Rada ogłosi kolejne. Powrót inflacji „w okolice celu NBP” (czyli do poziomu 2,5 proc. rocznie) wydaje się realny karykaturą polskiej polityki monetarnej w perspektywie dwóch lat, a pierwsze odczuwalne efekty wyhamowania wzrostu cen powinny dać znać o sobie w drugiej połowie przyszłego roku.

Dostaliśmy więc kosztowne lekarstwo, które powinno zadziałać – o ile pacjent prze-trwa długą i bolesną kurację. ©P

Edukacja: ustawa w cieniu ustawy

W TLE ZAWIROWAŃ wokół nauczania podczas czwartej fali pandemii krystalizuje się flagowa reforma ministra edukacji i nauki Przemysława Czarneka. Jednak w odróżnieniu od szkolnego lockdownu, którego sens trudno odgadnąć (jedyna racjonalna hipoteza to polityczna ustawka: udajemy, że coś robimy, ale ograniczamy się do sześciu dni zdalnej nauki, by nikogo zbytnio nie rozdrażnić), tu przynajmniej jasne jest, o co chodzi – o władzę i kontrolę.

Z mającego trafić pod obrady Sejmu w tym tygodniu projektu nowelizacji ustawy Prawo oświatowe, zwanego od nazwiska jego promotora „lex Czarnek”, zniknął jeden z najbardziej kontrowersyjnych punktów – resort wycofał się z pomysłu, by zwiększyć kontrolę kuratoriów nad procesem wyboru dyrektorów szkół, co niektórych polityków opozycji skłoniło nawet do odrąbienia suk-

cesu. Tyle że w projekcie pozostały dwa inne przepisy dające kuratorom większą niż dotąd władzę.

Po pierwsze, chodzi o możliwość odwołania dyrektora nawet w roku szkolnym i bez wypowiedzenia, jeśli ten nie zrealizuje kuratorskich zaleceń pokontrolnych. Po drugie, nowelizacja wprowadzi bezpośrednią kontrolę kuratoriów nad zajęciami prowadzonymi w szkołach przez organizacje pozarządowe (minister Czarnek mówi w wywiadach, że chodzi o treści „niestosowne, niewłaściwe i demoralizujące”). Do tej pory do ich prowadzenia wystarczyła zgoda dyrektora, po otrzymaniu pozytywnej opinii rady szkoły oraz rady rodziców. Teraz wymagana będzie jeszcze pieczęć kuratorium, o którą dyrektor będzie musiał wystąpić... dwa miesiące przed organizacją zajęć.

O ile rzecz jasna po wejściu w życie nowego prawa ktokolwiek będzie miał jeszcze ochotę cokolwiek w polskich szkołach organizować.

©P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Omikron i szczepionki

MACIEJ MÜLLER: Omikron wymyka się odporności po szczepieniu – wynika z opublikowanych ostatnio doniesień.

PIOTR BATAJSKI / ARCHIWUM PRYWATNE



DR HAB. WOJCIECH FELESZKO: Można było się tego spodziewać. Omikron ma ok. 30 mutacji w obrębie białka S, służącego wirusowi do przyczepiania się do komórek ludzkich. Struktura białkowa głównego antygeny, który jest antygenem

szczepionkowym, zmienia się w poważnym stopniu. Dlatego przeciwciała, które wytworzyliśmy w zetknięciu z poprzednimi wariantami, nie będą tak skuteczne w stosunku do Omikronu. Jednak wspomniane badania nic nie mówią o odporności komórkowej.

Czyli nie jest tak źle?

Jest jakaś nadzieja. Układ odpornościowy, neutralizując wirusa, posługuje się niejako dwoma ramionami. To tak, jakby pochwycić włamywacza jedną ręką za szyję, a drugą zadać cios w brzuch. Aktywność przeciwciał to tylko złapanie za szyję, cios obywatelski zadaje odporność komórkowa. Poziom przeciwciał nie ma takiego znaczenia, jakie mu się powszechnie przypisuje. Sygnał jest jednak niepokojący i wiele osób może uważać, iż nadzieje pokładane w szczepionkach legły w gruzach.

Jak w grze planszowej: „Wróć na pole Start”.

Raczej: „Cofasz się o cztery pola”. Nie startujemy od zera, bo znamy biologię SARS-CoV-2, mamy platformę szczepionkową mRNA, w której jesteśmy w stanie błyskawicznie „podmienić” RNA na takie, które będzie przekierowywać odporność przeciw kolejnym wariantom. W gronie immunologów nie mieliśmy złudzeń, że konieczne będzie doszczepianie populacji co pewien czas.

Lepiej czekać na „update” szczepionki czy przyjmować teraz trzecią dawkę?

Przyjmować! Podanie boostera zwiększa skuteczność przeciwciał. Poza tym obecną falę powoduje Delta, Omikronu z pewnością w Polsce jest jeszcze mało, choć to się zmieni w ciągu paru miesięcy. Z tym że nie wiadomo jeszcze, na ile on jest groźny. Może będzie powodował objawy przeziębienia i przestanie zabijać. Ale całe obszary Afryki są słabo wyszczepione, więc jeszcze niejednego wariantu się tam narodzi.

Czy ten ping-pong z wirusem kiedyś się skończy?

Moim zdaniem raczej nie za naszego życia. Wirus będzie wracał, a rozsądne osoby będą się co jakiś czas szczepiły. ©

DR HAB. WOJCIECH FELESZKO jest pediatrą, specjalistą immunologii klinicznej i chorób płuc, wykładowcą WUM.

Cała rozmowa na powszech.net/omikron

KRAJ W SKRÓCIE

OBRONA

„Największym atakiem politycznym po 1989 r.” nazwał wiceminister sportu i poseł Łukasz Mejsa doniesienia Wirtualnej Polski na temat nieprawidłowości w prowadzonych przez siebie przedsięwzięciach biznesowych, po czym zapowiedział wzięcie urlopu bezpłatnego, złożenie licznych pozwów i dalsze wspieranie obozu Zjednoczonej Prawicy.

ATAK

Inny członek rządu, Zbigniew Ziobro, powiedział „Financial Times”, że Polska powinna odpowiedzieć na „szantaż UE” wetem we wszystkich sprawach, które wymagają jednomyślności, a także zawiesić płatności do unijnego budżetu i zrewidować swą politykę klimatyczną.

POMOC

Donald Tusk dorobił się już dziesięciorga zastępców: pięciu mężczyzn i pięciu kobiet. Podczas posiedzenia Rady Krajowej PO przewodniczący Tusk mówił m.in. o potrzebie zorganizowania nadzoru procesu wyborczego, by wykluczyć ewentualne fałszerstwa ze strony rządzących.

SAMOBÓJ

Jeden z tabloidów ujawnił, że Piotr Kraśko – pozbawiony prawa jazdy w 2015 r. – prowadził samochód bez wymaganych uprawnień. Kilka dni temu prezenter TVN zajął trzecie miejsce w plebiscycie Grand Press na Dziennikarza Roku.



BARTEK DOBROCH
15 grudnia zdradzi Grzegorzowi Chłascie, dokąd wędrują niedźwiedzie (tekst na s. 132), a 22 grudnia **MARCIN ŻYŁA** opowie o rzeczach, które przekazujemy potrzebującym (s. 36).
Stuchaj w środy o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC oraz w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
| Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
| Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie

Zabójcza choroba i lajtowa ustawa

11 GRUDNIA Polska zajęła drugie miejsce w świecie (po Rosji) pod względem liczby nowych zgonów z powodu COVID-19 w rankingu Worldometers.info. Minister zdrowia Adam Niedzielski twittował: „Średnia siedmiodniowa utrzymująca się od 2 tygodni na poziomie powyżej 23 tysięcy nareszcie zaczyna maleć. Apogeum IV fali wyraźnie różne od poprzednich”.

Trudno uwierzyć, jak bardzo minister zdrowia potrafi abstrahować w swoich wypowiedziach od kontekstu sytuacyjnego. Gdy dokonywał swoich ważkich obserwacji (cóż, że przewidzianych wiele tygodni temu przez licznych ekspertów, którzy wieszczili długi i płaski szczyt czwartej fali), Polska pod względem liczby zgonów covidowych, liczonych od początku pandemii, właśnie przeganiała Hiszpanię. Różnica jest jednak fundamentalna: w Hiszpanii ludzie umierali wiosną i jesienią 2020 r., gdy nie było szczepionek. Wysoka śmiertelność była też wiosną 2021 r., gdy szczepionki były dobrem reglamentowanym. W tej chwili wskaźnik dziennej liczby zgonów w przeliczeniu na milion mieszkańców wynosi tam 0,3. W Polsce zbliża się do 11.

A przecież oficjalne zgony covidowe to nie wszystko. Wielu ekspertów, analizując na bieżąco dane demograficzne GUS, przewiduje, że 2021 rok – po raz pierwszy od 1945 r. – Polska zakończy z ponad pół milionem zgonów.

Obostrzenia, które zaczną obowiązywać 15 grudnia, nie zmieniają obrazu mizerii, która cechuje polską walkę z pandemią. Jej symbolem będzie „lajtowa ustawa” – tak poseł Czesław Hoc zachwala projekt posłów PiS, który ma dać pracodawcom możliwość wysyłania niezaszczepionych pracowników na regularne testy. Zgodnie z projektem, który ma trafić do Sejmu przed świętami, osobie, która nie będzie się chciała poddać testowi (obowiązek nie będzie dotyczył zaszczepionych i posiadających status ozdrowieńca), nie grozi utrata pracy. Pracodawca albo znajdzie jej inne zajęcie, albo wyśle na płatny urlop. „Może jeszcze talon na wczasy powinien zagwarantować?” – ironizowali internauci. Oby tylko autorzy projektu wyczuli sarkazm... Oby nie potraktowali tego jako podpowiedzi.

© MAŁGORZATA SOLECKA



THEO ROUBY / AFP / EAST NEWS

NOWA KALIEDONIA pozostaje częścią Francji. W trzecim w ciągu ostatnich lat referendum głosowało tak ponad 96 proc. mieszkańców, którzy wzięli w nim udział. Frekwencja była niska (44 proc.), bo zwolennicy niepodległości ogłosili bojkot, twierdząc, że w czasie pandemii nie była możliwa uczciwa kampania. W referendach w 2018 i 2020 r. za pozostaniem przy Francji było 56 i 53 proc. głosujących. Uniezależnienia chcą głównie Kanakowie (rdzenna ludność), ale są mniejszością (39 proc.). Są obawy, że teraz mogą się radykalizować jak w latach 80. – wtedy zginęło ok. 70 osób, a konflikt zbrojny zakończyła ugoda przewidująca autonomię i trzy referenda. Wyspa ma 40 proc. światowych złóż niklu i strategiczne znaczenie w konflikcie z Chinami. Obserwatorzy obawiają się, że niepodległa Kaledonia stałaby się satelitą Pekinu, który dyskretnie wspiera ruch Kanaków. Na zdjęciu: protest zwolenników niepodległości, 13 grudnia 2021 r. © WP / ARD, FAZ

Chiny chcą ukarać Litwę. Co robi Europa?

WOJCIECH PIĘCIAK



NA POZÓR TO SYTUACJA ABSURDALNA: GLOBALNY gigant używa najcięższych dział (ekonomicznych) wobec kraju, który rządzący w Pekinie, z ich wizją siebie i świata, mogliby uznać za ledwo zauważalny. Jak ujęła to, w formie usłużnej rady dla władz, chińska gazeta partyjna: za „muchę”, którą należy „roznieść, nie brudząc sobie palców i nie zostawiając nawet plamy na ścianie”.

Ta „muchą” to Litwa. Naraziła się Pekinowi latem, gdy zgodziła się, by w Wilnie powstało „przedstawicielstwo tajwańskie”. Podobne biura – handlowo-kulturalne, niemające statusu ambasad – są w wielu krajach Europy, ale w ich nazwie nie ma słowa „tajwańskie”, lecz „tajpejskie” – od stolicy wyspy, którą Pekin uważa za zbuntowaną prowincję. Chiny tolerują fakt, że liczne kraje utrzymują relacje z Tajwanem, potęgą technologiczną, ale bczą, by ich charakter nie sugerował państwowości Tajwanu nawet w warstwie symboli.

Już wtedy, w sierpniu, Pekin odwołał ambasadora z Wilna i wyrzucił litewskiego ambasadora, a chińskie media zaczęły antylitewską kampanię. Rząd Litwy nie ugiął się, a we

wrześniu oficjalnie ostrzegł przed smartfonami firm Huawei i Xiaomi, dowodząc, że nie są bezpieczne, a ich oprogramowanie służy cenzurze internetu. Eskalacja nastąpiła w listopadzie i grudniu, gdy biuro Tajwanu zaczęło działalność. Chiny zablokowały cały handel z Litwą (eksport i import; wstrzymano pociągi i załadunek w portach, także towarów już zapłaconych) oraz usunęły czasowo Litwę ze swego elektronicznego systemu celnego – jakby nie istniała. Zaczęły też naciskać światowe koncerny, by zerwały współpracę z litewskimi firmami (sugerując, że w razie odmowy mogą stracić chiński rynek). To już groźne dla gospodarki Litwy, bo wiele tamtejszych firm to podwykonawcy koncernów.

Karząc „muchę”, Pekin zapewne chce dać odstraszący przykład. Unia Europejska długo trzymała się z boku tego konfliktu. Dopiero kilka dni temu wyraziła wsparcie dla Litwy. Jakie czyny pójdą za słowami, zobaczymy. Nie jest oczywiste, że cała Unia (w takich kwestiach trzeba jednomyślności) zechce tu ryzykować. Ciąg dalszy bez wątpienia nastąpi.

© FP

Smogowe mistrzostwa

NOWY TARG ZWYCIĘZĄ smogowych mistrzostw Polski za rok 2020. Według nowego raportu Polskiego Alarmu Smogowego zwycięstwo tego miasta było bezdyskusyjne. Lider zdystansował rywali we wszystkich trzech kategoriach: największe średnioroczne stężenie pyłów PM₁₀ (ponad 300 proc. normy WHO), największe średnioroczne stężenie benzo(a)pirenu (1800 proc. normy krajowej, 15 000 proc. normy WHO) oraz największa liczba dni z przekroczoną normą dobową PM₁₀ (okrągłe 90 dni). „Nie było jeszcze sytuacji, w której jedno miasto wygrałoby we wszystkich kategoriach” – przyznał Piotr Siergiej, rzecznik PAS.

W dalszej części stawki walka była zacięta. Większość czołowych miejsc zajmują małe miasta, głównie z Górnego Śląska i Małopolski, choć wysoko plasuje się też dolnośląska Nowa Ruda (drugie miejsce w kategorii: najwięcej dni smogowych). W pierwszych dziesiątkach nie brakuje uzdrowisk: są Goczałkowice-Zdrój i Rabka-Zdrój, gdzie choroby układu oddechowego leczy się przy stężeniu rakotwórczego benzo(a)pirenu, które przekracza normę WHO o 7500 proc. (piąte miejsce w kraju).

W niechlubnej czołówce dominują więc małe miasta, a nawet wsie. Próżno już od kilku lat szukać tam np. Krakowa czy innych metropolii, które zazwyczaj uważamy za najbardziej zanieczyszczone. Warto też dodać, że raport powstaje jedynie na podstawie pomiarów ze stacji Państwowego Monitoringu Środowiska, a tych w wielu miastach po prostu nie ma.

Specjalne wyróżnienie tej edycji smogowych mistrzostw wędruje do ich zwycięzcy. Władze Nowego Targu zdecydowały się (w porozumieniu z Głównym Inspektorem Ochrony Środowiska) przesunąć stację pomiarową z bardzo zanieczyszczonego centrum na obrzeża. Pomimo protestów stara stacja przestała działać na początku grudnia, nie wykonano też badań porównawczych. Andrzej Guła, lider PAS, przyrównał to do przekładania termometru spod pachy do kieszeni, by „pozbyć się” gorączki.

© KRZYSZTOF STORY

Odmienne odcienie stabilności

BULGARIA I RUMUNIA wychodzą z długich kryzysów politycznych. W Sofii wizja politycznej stabilności budzi nadzieje na reformy i walkę z korupcją. W Bukareszcie ma ona posmak zgniłego kompromisu w imię obrony interesów elit.

Bułgarzy w tym roku trzy razy wybierali parlament. W pierwszych dwóch wypadkach wynik nie pozwolił stworzyć większości, która odsunęłaby od władzy Bojko Borisowa, rządzącego od 2009 r. (z krótką przerwą). Dla większości obywateli jego partia stała się symbolem zawłaszczenia państwa. Teraz premierem został Kirył Petkow, współprzewodniczący partii Kontynuujemy Zmiany, powstałej ledwie trzy miesiące temu. Wcześniej był ministrem gospodarki w dobrze ocenianym rządzie technicznym. Jego entuzjazm musi pomóc w kierowaniu eklektyczną koalicją, którą tworzą jeszcze trzy partie: socjaliści (z korzeniami w poprzedniej epoce), Demokratyczna Bułgaria (powstała na fali protestów) i nadal zagadkowe ugrupowanie Jest Taki Naród muzyka Sławia Trifonowa. Pytanie, czy partnerem w reformach będzie prezydent Rumen Radev – eks generał związany z socjalistami, właśnie wybrany na drugą kadencję.

Na drugim brzegu Dunaju po władzę też sięgnął były generał, kończąc tym nadzieje na poważne zmiany. Nicolae Ciucă został premierem rządu „wielkiej koalicji” zbudowanej przez Partię Socjaldemokratyczną i Partię Narodowo-Liberalną, przy wsparciu mniejszości węgierskiej. Jeszcze niedawno liberałowie przedstawiali się jako przeciwnieństwo socjaldemokratów (partii postkomunistycznej i klientelistycznej, która flirtuje z populistycznym pseudo-konserwatyzmem), ale centroprawicowy rząd, który PNL tworzyła z reformistyczną partią USR, przetrwał ledwie parę miesięcy. Sondaze już sugerują, jakie mogą być skutki „wielkiej koalicji”: poparcie dla liberałów spada, ogromnie traci też prezydent Klaus Iohannis, za to w siłę rosną nacjonaliści z AUR, którzy dla wielu Rumunów zdają się być jedyną alternatywą wobec skorumpowanej elity. © PIOTR OLEKSY



ED JONES / AFP / EAST NEWS

Rohingowie vs Facebook

CYTATY SĄ DRASTYCZNE. „Oblej benzyną i podpal. Dzięki temu szybciej spotka swojego Alaha”; „Jechać z nimi jak Hitler z Żydami, pieprzone brudasy” – to tylko kilka z licznych komentarzy zamieszczonych na Facebooku, a przywołanych w pozwie przeciw właścicielowi tego serwisu przez prawników reprezentujących diasporę Rohingów w Wielkiej Brytanii i USA.

Dla uczczenia pamięci co najmniej 25 tys. muzułmanów z Birmy, którzy jesienią 2017 r. zostali zamordowani przez tamtejsze

wojsko, oraz jako odszkodowanie dla niemal miliona kolejnych, których władze Birmy zmusiły do ucieczki z kraju, kancelaria McCue Jury & Partners złożyła w imieniu swoich klientów pozew o 150 mld dolarów. Właściciel Facebooka został w nim oskarżony o wieloletnie tolerowanie mowy nienawiści i podżegania do czystek etnicznych.

O fatalnej roli Facebooka w trwającej od niemal dekady kampanii przeciw Rohingom wspomina szereg analiz opublikowanych po 2012 r. – czyli po tym, jak doszło do pierwszej w XXI stuleciu eskalacji konfliktu między władzami Birmy, które konsekwentnie odmawiają Rohingom prawa do birmańskiego obywatelstwa, a przedstawicielami tej muzułmańskiej mniejszości. Za pomocą fałszywych kont oskarżano Rohingów m.in. o przemoc wobec dzieci, roznoszenie chorób zakaźnych, kradzieże i gwałty na buddyjskich kobietach, apelowano też o rozprawienie się z „brudasami” (tak można przetłumaczyć mocno pejoratywny termin „kalar”, którym etniczni Birmańczycy określają głównie ciemnoskórych mieszkańców zachodniego pogranicza).

W reakcji na pozew Facebook zablokował część kont powiązanych z birmańską armią lub zidentyfikowanych przez zagranicznych aktywistów jako fałszywe profile prywatne nawołujące do czystek etnicznych. Wcześniej wielokrotnie odmawiał podjęcia takich działań mimo apelów organizacji pozarządowych (na zdjęciu: uchodźcy rohińscy w obozie w Bangladeszu). © MAREK RABII

Nowa Zelandia zakaże palenia

CENTROLEWICOWY RZĄD premier Jacindy Ardern chce w 2027 r. rozpocząć proces stopniowej, ale całkowitej delegalizacji papierosów. Wtedy właśnie, o ile stosowna ustawa przejdzie przez parlament, wejdzie w życie dożywotni zakaz sprzedaży wyrobów tytoniowych 14-latkom i młodszym dzieciom. W efekcie w 2050 r. już tylko ludzie 42-letni i starsi będą mogli je kupować. Stopniowo będzie też zmniejszana liczba punktów sprzedaży papierosów – z 8 tys. do 500 – a one same mają zawierać coraz mniej nikotyny.

Nowozelandzka minister zdrowia Ayesha Verrall uważa, że nie ma innej drogi, jak uczynić sprzedaż papierosów młodym ludziom przestępstwem. Rządowi zależy, by dzięki surowemu prawu w ciągu kilku lat odsetek palących spadł z 13 proc.

do 5 proc., a z czasem do zera. W ten sposób ma się odbywać walka z nałogiem, który w 5-milionowym kraju co roku zabija ok. 4,5 tys. ludzi.

Krytycy uważają, że ten szlachetny pomysł może przynieść też wiele negatywnych skutków. W przypadku ludzi już palących (wśród których przeważają ubodzy) zmniejszanie zawartości tytoniu nie sprawi, że rzucą oni nikotynę. Raczej wzrosną ich wydatki: będą kupować więcej, by odczuć ten sam efekt. Bardziej niepokojąca ma być wizja powstania czarnego rynku handlu papierosami o zawartości niekontrolowanej przez państwo i jeszcze droższymi niż obecnie. Działalność taka może przynosić ogromne dochody, więc na pewno zajmą się nią gangi.

Tak stało się w Królestwie Bhutanu. To pierwszy kraj na świecie, w którym obowiązuje prohibicja nikotynowa (od 2010 r.). Jednak w 2020 r. trzeba ją było czasowo zawiesić – król i rząd bali się, że indyjscy szmuglerzy sprowadzą do kraju covid i odblokowali produkcję. © MAREK KĘSKRAWIEC

KS. MIECZYŚLAW PUZEWICZ:

Klasztory na pomoc



EDWARD AUGUSTYN:
W dwa dni zorganizował Ksiądz mieszkanie dla 40 imigrantów. Jak to się robi?
KS. MIECZYŚLAW PUZEWICZ: Nie w dwa

dni, ale w 24 godziny, i nie ja, ale Wszechmogący. Ja robiłbym to na pewno dłużej. Pojechałem do sióstr białych w Lublinie, które zgodziły się udostępnić dwa pokoje, potem do sióstr nazaretanek, które mają wolny klasztor, bo przeniosły przedszkole w inne miejsce. Resztę udało się załatwić telefonicznie – w klasztorze ojców białych i sióstr franciszkanek misjonek Maryi.

Kto zamieszka w tych domach?

Szukaliśmy miejsc dla trzech dziewczyn z Etiopii oraz dla rodzin: afgańskiej, kubańskiej, białoruskiej, ukraińskiej i turecko-ukraińskiej.

Czy to prawda, że koszt pobytu pokrywają biskupi?

Częściowo. Chęć finansowania zgłosiło pięciu biskupów, wśród nich kard. Kazimierz Nycz i bp Adam Bab z Lublina. Pozostali chcą pozostać anonimowi.

Od dawna zajmuje się Ksiądz imigrantami?

Zaczął się w 1993 r., kiedy pojawili się w Lublinie pierwsi uchodźcy z Bośni. Potem byli Czeczeni, Ukraińcy, Białorusini, teraz Kurdowie, Afgańczycy. Mamy jako Centrum Wolontariatu spore doświadczenie. Obejmujemy działaniem całą wschodnią Polskę, od Białegostoku po Przemyśl. Dziewięć ośrodków dla cudzoziemców, prowadzonych przez Straż Graniczną i przez Urząd ds. Cudzoziemców.

Pomagacie imigrantom także w obecnym kryzysie na granicy?

Na ile to tylko możliwe. Granice naszej działalności zakreślają granice stanu wyjątkowego. Jeśli ktoś stamtąd się wydostanie – w taki czy inny sposób – jesteśmy gotowi na pomoc. © P

KS. MIECZYŚLAW PUZEWICZ jest założycielem Centrum Wolontariatu, delegatem metropolity lubelskiego ds. osób wykluczonych.

Cała rozmowa na powszech.net/puzewicz

KOŚCIOŁ W SKRÓCIE

KONFUZJA

Właściwą ścieżką kierowania prób do Watykanu jest droga dyplomatyczna. Taką odpowiedź od Sekretariatu Stanu otrzymała Państwowa Komisja ds. Pedofilii, która w czerwcu poprosiła o dane na temat liczby spraw prowadzonych w latach 2002-2020, dotyczących wykorzystania seksualnego małoletnich przez polskich duchownych.

KATEDRA

W Bahrajnie kard. Luis Antonio Tagle konsekrował nową katedrę Matki Bożej Arabskiej. Przypominająca namiot świątynia może pomieścić 2,3 tys. osób. Będzie siedzibą Wikariatu Apostolskiego Arabii Północnej obejmującego katolików Bahrajnu, Kuwejtu, Kataru i Arabii Saudyjskiej.

KADR

Katolicka zakonnica Ann Rose Nu Tawng z Birmy znalazła się wśród „100 najbardziej wpływowych kobiet w 2021 roku” wybranych przez brytyjską stację BBC. W lutym światowe media obiegł kadr z siostrą klęczącą na ulicy przed żołnierzami pacyfikującymi demonstrację.

KATECHEZA

Odsetek uczniów uczęszczających na lekcje religii w liceach ogólnokształcących spadł o 11 proc. między rokiem szkolnym 2018/2019 a 2020/2021 – wynika z nowego kościelnego Rocznika Statystycznego opublikowanego przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego.



Pierwsze Radio Informacyjne

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

opowie Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM o pierogach (tekst na s. 28). Słuchaj rozmowy w środę 22 grudnia o godz. 16.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Ignorancja krzywdzi



ARTUR SPORNIAK

PONIEWAŻ NIE MA JASNYCH wytycznych WATYKAŃSKICH, jak podchodzić do osób transpłciowych, biskup diecezji Marquette w amerykańskim stanie Michigan wyciągnął wnioski z wciąż obowiązującej w Kościele anachronicznej metafizyki arystotelesowsko-tomistycznej: „Ze względu na fundamentalną jedność ciała i duszy osoby ludzkiej, płeć osoby i płeć ciała są takie same. Każdy z nas jest stworzony jako mężczyzna lub kobieta. Tak więc, aby żyć zgodnie z prawdą o naszej ludzkiej naturze, musimy przyjąć płeć cielesną”.

W związku z tym bp John Doerfler poinstruował księży, aby odmawiali chrztu, bierzmowania i innych sakramentów osobom transpłciowym i niebinarnym, chyba że „wykażą skruchę”. „Doświadczenie niezgodności w czyjejs tożsamości seksualnej nie jest grzeszne ani nie stoi na przeszkodzie inicjacji chrześcijańskiej, jeśli nie wynika z wolnej woli osoby” – czytamy w dokumencie. „Jednak świadome, dobrowolnie wybrane i manifestowane zachowania mające na celu przedfiniowanie własnej płci stanowią taką przeszkodę”.

Doświadczając życia „w nie swojej płci”, osoby transseksualne cierpią często tak bardzo, że wskaźnik prób samobójczych wśród nich sięga nawet 90 proc. Współczesna medycyna proponuje wsparcie psychologiczne, terapię hormonalną i w ostateczności – chirurgiczną korektę płci. Stawianie alternatywy: terapia albo sakramenty jest tragicznym nieporozumieniem. Zawinionym. © P

Wszystkie grzechy Franciszka

GRZECZY CIELESNE nie są najcięższe – powiedział papież podczas konferencji prasowej w samolocie, brniąc arcybiskupa Paryża Michela Aupetita, oskarżanego o romans sprzed lat. „Zresztą chodziło o drobne pieszczoty i masaż sekretarki” – dodał Franciszek.

O szczegółach biskupiej czułości mało kto dotąd wiedział (sam Aupetit przyznał się tylko do „niezręcznych gestów”, które zostały źle rozumiane, choć „nie miały miłosnego podtekstu”). I nie sekretarka była ich obiektem – ona jedynie przez pomyłkę dostała maila adresowanego do innej kobiety, tak więc słowa papieża boleśnie ją dotknęły.

A co z grzechami ciężkimi? W oparciu o tę i wcześniejsze wypowiedzi Franciszka można by już ułożyć ich nową listę. Byłyby na niej: klerykalizm, arogancja, surowość, „anielska pycha ludzi przekonanych o swej doskonałości” oraz plotkowanie. Ale chyba nie w samolocie. © P EDWARD AUGUSTYN

KULTURA W SKRÓCIE

NA POETĘ

Ośmiu na dziesięciu Włochów nie wyobraża sobie życia bez poezji. Większość czyta wiersze ufając, że pomoże im to w podboju miłosnym. Inni dzięki poezji próbują zjednać sobie przyjaciół. Wyniki badania zaprezentowano przy okazji wydania książki „Parlare in Versi” („Mówienie wierszem”) socjologa Sara Trovata.

UDERZ W STOLIK

Tymczasem Polska nie poezją żyje, ale dramatem. Dyrektor stołecznego Teatru Dramatycznego, reżyser Tadeusz Słobodzianek, obrazit się o przesunięcie ulubionego stolika w Kulturalnej. W mediach społecznościowych wyraził niezadowolone nie tylko wobec pracowni kawiarni, ale też scenarzystek i reżyserów, w szczególności tych, które zamierzają rywalizować z nim w konkursie na stanowisko dyrektora.



NATALIA KABANOW / MATERIAŁY PRASOWE

BEZ WĄSA

To głównie reżyserki i autorki nagrodzono podczas Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Boska Komedia. Grand Prix zdobył spektakl „Wujaszek Wania” w reż. Małgorzaty Bogajewskiej (Teatr Ludowy w Krakowie). Małgorzata Wdowik i Weronika Murek odebrały wyróżnienie za „Wstyd” (Nowy Teatr w Warszawie), a za najlepszy plastycznie uznano spektakl „Tiki i inne zabawy” (na zdjęciu) w reż. Dominika Knapik z Wrocławskiego Teatru Pantomimy.

Własny język, czyli śpiulkołot twoich starych



MONIKA OCHĘDOWSKA

PAMIĘTAJĄ PAŃSTWO ZE SZKOŁY „FERDYDURKE” Witolda Gombrowicza? Podsluchiwana tam przez szalenie niemodnego, starego za młodu Józia Kowalskiego Młodziakówna wypowiadała do telefonu tylko ultranowoczesne słowa: kino, heca, idiota, fotka, psiakość. „Własny język” – ekscytował się biedny Józio, notując przypadkowe, nie zdradzające żadnej narracji sformułowania Młodziakówny – oto jej „własny nowoczesny język!”.

Wyłapywane przez Józia w głuchym telefonie hasła przypominają ogólnopolski plebiscyt na tzw. Młodzieżowe Słowo Roku. Organizowany przez Wydawnictwo Naukowe PWN we współpracy z Uniwersytetem Warszawskim ma on na celu „wyłonienie najbardziej popularnych wśród młodych ludzi słów, określeń lub wyrażań”. W tym roku zwyciężyło, szerzej jeszcze młodzieży nieznanie, ale jakże sympatyczne słówko „śpiulkołot”, oznaczające miejsce do spania. W konkursie – jak przyznała kapituła – zagłosowało niecałe 35 tys. osób. O zwycięstwie „śpiulkołotu” zdecydowało niewiele ponad

9 tys., większość – jak wynika z ankiet – dawno już dorosła.

Jakkolwiek zainteresowanie językoznawców wzbudają kojarzone z młodomową neologizmy, takie jak „proczadzikowość” (brak wad) czy „współkłaśnik” (kolega z klasy), codzienność – czy nam się to podoba, czy nie – odślania bardziej pragmatyczne strategie komunikacji. Najpopularniejsze są dziś proste zapożyczenia z angielskiego. Słowa krótkie, pozwalające wyrazić opinię szybko, nawet za pomocą dwóch, trzech liter. To m.in. ez (od ang. *easy*, czyli łatwo, łatwe), rel (od *relatable*, w znaczeniu: mam, czuję tak samo), sus (*suspicious*, podejrzany) albo sheesh (występujące także w prostszym, bezsamogłoskowym zapisie „shshsh” – wyraz zdziwienia, zaskoczenia).

Tymczasem kapituła doczekała się już u komentujących plebiscyt nastoletnich youtuberów kreatywnego rozwinięcia – PWN: People With Knowledge. Wśród najbardziej obciachowych słów wyłowionych z komentarzy ekspertów zwyciężyli natomiast „internauci”. ©P

Małpia kooperacja przypomina ludzką

DWULETNI DZIECKO I DOROSŁY wykonują razem jakieś zadanie wymagające współpracy lub bawią się jedną zabawką. Nagle dorosły bez powodu zaczyna robić coś innego. Jak zareaguje dziecko? Zacznie protestować i próbować wznowić interakcję. Gdy w eksperymentach w podobnej sytuacji stawiano szympansy, małpy na ogół nie przejmowały się niełojalnym partnerem – traktowały jego zachowanie jako akceptowalne.

Część badaczy twierdzi, że formułowanie wzajemnych zobowiązań i oczekiwań podczas współpracy jest zjawiskiem unikalnym dla człowieka – i dlatego tylko my zbudowaliśmy kooperujące na wielu poziomach społeczeństwo. Jednak nowe badanie podważa taką interpretację. Raphaella Heesen i współpracownicy przeanalizowali reakcje szympanów żyjących w zoo, gdy ich zabawa lub sesje iskania się zostały przerwane z naturalnych przyczyn. Okazało się, że większość par po chwili wznowiała daną czynność.

Dlaczego wcześniejsze badania dawały inne rezultaty? Być może dlatego, że niełojalnym partnerem był w nich człowiek. Byłby to nie pierwszy raz, gdy badając umysły małp zapomnieliśmy, że sami jesteśmy ludźmi – co przynajmniej małpom może robić ogromną różnicę. ©P ŁK

Piętnaście sekund snu

OD DAWNA WIADOMO, że sen pomaga w rozwiązaniu problemów, nad którymi trudzimy się na jawie. Ile snu jednak wystarczy? Thomas Edison polecał „mikrodrzemki”. Gdy miał do rozwiązania trudny problem, relaksował się w fotelu, trzymając w dłoniach metalową kulkę. Kiedy zasypiał, kulka wypadała ze zwirotczanych rąk, uderzała o ziemię i wybudzała go. W niedawno opisanym badaniu setka uczestników otrzymała do rozwiązania podstawny problem matematyczny. Pozwolono im się zrelaksować w ciemnym pomieszczeniu, jednak „metodą Edisona”, czyli z butelką w dłoni. Niektórym udało się zdrzemnąć, a badanie aktywności mózgu wykazało, że uderzenie butelki o podłogę następowało po krótkiej fazie snu (pierwszej fazie NREM), trwającej średnio minutę, a czasem zaledwie 15 sekund. Nawet i to wystarczyło jednak dla pobudzenia kreatywności. Uczestnicy, którzy nie zasnęli, tylko w 30 proc. odnajdywali rozwiązanie zagadki, a udało się to aż 83 proc. osób, które przeszły przez próg snu.

© ŁUKASZ ŁAMŻA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

„Tygodnik Powszechny”

– artykuły pierwszej potrzeby
z dostawą do domu

Cennik i zasady zakupu „Tygodnika Powszechnego”

CENNIK WAŻNY OD 1 GRUDNIA 2021

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny**		
+ 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

**Prenumeratę (krajową i zagraniczną)
można zamówić przez:**

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. **668 475 263** lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

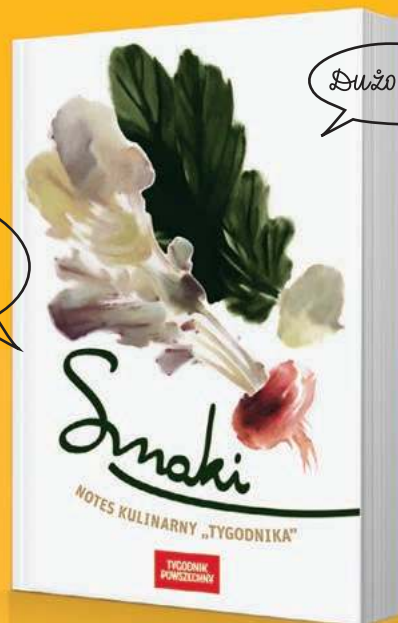
**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES | **manago**
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



Dużo stron!

Ochędowska,
Kuźmiński,
Bravo, Ukłaja

Do **KAŻDEGO** zamówienia
autorski, wyjątkowy
notes kulinarny
W PREZENCIE!

Przepisy,
rozmowy, eseje

12 sezonów

Autorskie ilustracje

**Notes kulinarny
„Smaki”
otrzymasz już
w styczniu
na nasz koszt!**





WOŁANIE WILKA

Najbardziej niematerialna
i zarazem najtrwalsza,
najściślej narodowa i nieuznająca granic,
najskuteczniejsza i najdelikatniejsza
– polska Wigilia. Daje nam co roku szansę, by
odpocząć, wreszcie u siebie, ze wszystkimi.

DARIUSZ KOSIŃSKI

WIGILIA JEST RDZENIEM POLSKOŚCI. Wciąż – mimo głębokich zmian zachodzących w nas i wokół nas – wskazywanym i odczuwanym jako rdzeń właśnie. Polskość stanowiąca określony model życia – wciąż modyfikowany, ale odczuwany i praktykowany jako trwały – jest ustanawiana przecież nie przez dekrety, a na pewno nie przez deklaracje i decyzje polityczne.

Nie trzeba dodawać „Bożego Narodzenia”, bo choć zwykle „wigilia” odnosi się do każdego dnia poprzedzającego święto, to w Polsce oznacza święto samo w sobie, obchodzone także przez tych, dla których żaden Bóg wśród nocnej ciszy się nie rodzi. Wystarczy wypowiedzieć to wciąż żywe słowo i wszyscy wiedzą: szczególniejsze skupiające tych, których uważamy za najbliższych, i szczególnie czas wyjęty z czasu, więc będący i końcem, i początkiem. Próg, na którym raz do roku wszyscy się zatrzymujemy, by zobaczyć, cośmy przeszli i cośmy za jedni. Punkt wyjścia, do którego wracamy, by samym sobie opowiedzieć, gdzie nas wywiało, i sprawdzić, czyśmy się aby nie zagubili.

Cicha noc przymusowa

Do znudzenia słuchamy o „tym wyjątkowym czasie” i do bólu o „wspólnocie pomimo dzielących nas różnic”. Im częściej się to powtarza, tym fałszywiej brzmi. Wigilia coraz częściej i powszechniej odczuwana jest jako fałsz i coraz więcej osób ucieka przed nią na egzotyczne wczasy, albo choćby do koszmaru „tych góralskich lasów”. Poczucie, że ten dzień „taki ciepły, choć grudniowy” jest czasem wymuszonej obłudy, fałszywych ceremonii i podtrzymywania fasadowej wspólnoty od dawna już realnie nieistniejącej, stanowi od wielu lat niemal stały trop wielorakich kulturowych reprezentacji Wigilii. ➔

Gdynia, grudzień 2021 r.

→ Wprawdzie w większości mają one schemat romantycznej komedii, w której satyrycznie pokazywany kryzys i wyśmiewana hipokryzja zostają w końcu przełamane szczęśliwym odkryciem „prawdziwej” wspólnoty opartej na „autentycznych” uczuciach. Ale nawet najbardziej zaangażowani widzowie kolejnej części „Listów do M.” wiedzą, że pocieszający finał to życzeniowa konwencja, realiom znanego im życia bliższe są zaś żłośliwe skecze i spory z pierwszej części.

To poczucie narzuconej ceremonialności, która nie jest w stanie doprowadzić do doświadczanego realnie przekroczenia podziałów, stało się dojmujące, odkąd wielorakie różnice i odmienności będące normalnym i zdrowym elementem życia społecznego zostały przez macherów sceny politycznej skupione w jeden generalny podział, który zapewnia im władzę, poszerzając się i pogłębiając z każdym kolejnym sporem.

Wigilia stała się więc zjawiskiem z innego świata, jawnym celebrowaniem fikcji. Prześmiewcze i pisane całkiem serio poradniki, jak przetrwać rodzinne spotkanie, na które obok radiomaryjnego wujka i oenerowskiej kuzynki przyjść też wypada koderskiej babci i szwagrowi feminiście z synem weganinem, choć zabawne, dotyczą czegoś, co rzeczywiście jest przedmiotem troski. „Ani słowa o polityce!” – brzmi podstawowy nakaz. Ale jak tu nie mówić o polityce, skoro właśnie zasiadamy do stołu wiedząc, że gdzieś w polskim lesie marzną ludzie, których jedni z nas ugościliby i nakarmili, a inni odepchnęli jak najszybciej i najdalej? Jak ją omijać, skoro z rozmysłem włązi wszędzie i tak naprawdę to właśnie ona nakazuje, by o niej nie mówić przy tym stole, gdzie odgrywamy pojednanie, podtrzymując fantazję o „polskiej jedności”, w imię której jutro „prawdziwi Polacy” znów komuś wybiją szyby w samochodzie.

Oczywiście to nie tylko polityka wytwarza poczucie nieuleczalnego fałszu wigilijnej jedności. Propagandę „szczęśliwego czasu miłości i pokoju”, „wyjątkowych chwil spędzanych z bliskimi” i innych tego rodzaju lukrowanych obrazków najintensywniej uprawia komercyjny marketing, o którym wszyscy wiedzą, że oparty jest na fałszu. Miłość, rodzina, ciepło, dom, światło, a nawet samo Dzieciątko Jezus od dawna całkiem jawnie są wykorzystywane jako na-

rzędzia mające umożliwić maksymalne zwiększenie zysków. Świetnie wiemy, że pokazuje nam się wyidealizowany obraz Wigilii i Świąt, byśmy podążając za nim wydali jak najwięcej pieniędzy, a choć mimo to ulegamy i kupujemy, to poczucie fałszu narasta. Zyski producentów są coraz większe, nasze straty – też.

Bo tak się robi

Czas najwyższy zapytać o te straty właśnie, czyli o to: po co nam Wigilia? Bo jeśli jest to jedynie element „dziedzictwa”, celebrowany, ponieważ „tak było zawsze”, a niemający już żadnego znaczenia, to może nie warto żałować tej róży, gdy tyle lasów obok płonie? Może czas zaakceptować, że właśnie rozstajemy się z tym najstarszym i najtrwalszym reliktem rodzimej kultury, bo okazało się, że jest właśnie tym – reliktem dawnych, nieaktualnych, martwych form zbiorowego życia?

Mimo że w pełni ochrzczona, Wigilia jest starsza niż chrześcijaństwo. Wynurza się z czasu tak dawnego, że choć jest na ten temat wiele hipotez, to nie sposób powiedzieć, czy i jakie wyobrażenia mityczne, a może (kto wie?) doświadczenia stały u jej początku. Wiemy, że oczekiwanie na narodzenie dzieciątka imieniem Jezus, kolędy, opłatek, nie mówiąc już o choince i prezentach, to późniejsze modyfikacje i dodatki. Ale nie wiemy, co i czy w ogóle coś czcili nasi przodkowie, którzy stworzyli podstawowy scenariusz Wigilii. Nie wiemy i raczej nigdy się nie dowiemy, na co czekali ci, którzy w godny czas porzucali wszelkie codzienne zajęcia, by skupić się przy stole i jedząc specjalne potrawy wszystko zakończyć i wszystko zacząć od nowa.

Zostały nam działania – przekazywane przez pokolenia, więc niepodległe ani pożarom, ani powodziom, ani wojennemu barbarzyństwu. Ich sedno stanowi oczekiwanie, ale nie bierne, tylko aktywne – czuwanie, bez którego może nie stać się to, co funduje ciągłość świata. Skoro odpowiadając Wigilię przede wszystkim czuwają, to główny akt, sedno tego prawdziwego Świąta nie jest spełniany przez nich, ale przez kogoś lub coś innego. Przez kogo lub co – to kwestia wiary. Ale paradoks i sens Wigilii polega na tym, że oczekujący na ów akt nie są widzami albo statystami, lecz właśnie głównymi aktorami, spełnikami, jak pięknie powiedziałby Juliusz Osterwa. Wigilia

nie jest dniem wolnym. Jest dniem pełnym aktywności, bardzo pracowitym. Pełnym starań, by zrobić wszystko, co należy, żeby dokonało się przejście, żeby przekroczony został próg śmierci, żeby życie się odnowiło.

Przedmiot tych wszystkich zabiegów w wielkim skrócie, ale chyba trafnie określić można jako bezwarunkowe zniesienie granic i ustanowienie w mikrokosmosie domu nie tylko symbolicznej, ale i doświadczanej reprezentacji całego żyjącego świata. Dlatego wszyscy tworzący dom – jego mieszkańcy, ale też ci, dla których jest on miejscem własnym – gromadzą się w nim. Dlatego na to zgromadzenie przybywają i są zapraszani umarli. To przecież dla nich, a nie – jak nam się często bałamutnie opowiada – dla „przypadkowych gości” lub „zagubionych wędrowców”, przygotowuje się wolne nakrycie. Oczywiście: gdy ktoś zapuka do drzwi, zostanie zaproszony i posadzony na tym miejscu. Ale nawet gdy nikt nie zapuka, to obok nas siedzą ci, którzy byli tu z nami i nigdzie stąd nie odejdą, póki my żyjemy. Każdy, kto odprawiał pierwszą Wigilię po śmierci bliskiej osoby, wie, o czym mowa.

Ale i to nie wszystko. Polska Wigilia nie gromadzi jedynie żywych i umarłych ludzi. Obejmuje też to, co radykalnie wydawałoby się inne i obce – zwierzęta. I nie tylko te oswojone, którym dobry gospodarz wyniesie w trakcie wieczerzy karmę z wmięszanymi w nią potrawami z wigilijnego stołu, w tym z kawałkami opłatka. Ale też te najgroźniejsze, najbardziej nie-ludzkie.

Na Podhalu i Podkarpaciu zachowany był długo zwyczaj wołania wilka. Różne miewał warianty. W wielu wsiach już w czasie wieczerzy stawiano na oknie miskę grochu i wołano przez okna: „Wilku, przyjdź do grochu, jak nie przyjdiesz, nie przychodź w całym roku”, co było uznawane za rodzaj magii zapobiegawczej. Ale były też miejsca, gdzie ten zwyczaj miał sens inny – głębszy i bardziej zgodny z logiką Wigilii: jeszcze przed początkiem uczyty gospodyni wychodziła przed dom i wołała: „Przyjdź, wilku, na wieczerzę!”. Wydaje mi się znamienne i ważne, że zapraszającą była kobieta i że nie stawiała żadnych warunków, niczego w zamian nie oczekiwała. Oczywiście, że się bała i że wcale nie martwiło jej, jeśli wilk nie przychodził. Nie wiadomo też, jak by

się zachowała, gdyby jednak jakiś basior z zaproszenia skorzystał. Można więc powiedzieć, że była obłudna. Ale wołała, bo bez tego wołania nie dokonałoby się najważniejszego.

Opowiada nam się, że warunkiem pojednania i odnowienia wspólnoty jest przebaczenie, a warunkiem przebaczenia – wyznanie winy i sąd. Opowiada nam się tak nawet na kazaniach i mówi, że to właśnie jest chrześcijańskie miłosierdzie. Nie mnie sądzić, bo i sam nie chcę być sądzony. Ważne, że wołanie wilka to zupełnie coś innego. Nikt nie wymaga, by wilk przestał być sobą, przeprosił za porwanie owiec i obiecał, że nigdy więcej tego nie zrobi. Zaprasza się go mimo to, akceptując taką formę życia, jaką wytworzył (lub dla jakiej go stworzono). Zaprasza się go ze względu na owo życie, które wspólnie z nim mamy, choć formy, w jakim je wiemy, są całkowicie różne, a nawet wrogie.

Wigilijne wołanie jest bezwarunkowe, a zarazem skuteczne. Wołając wilka, gospodyni sprawia, że jest on obecny przy wieczerzy i staje się częścią wspólnoty żyjących. Jej działanie nie wynika z jakiejś „naiwności” czy „prymitywnych” wierzeń animistycznych, ale z praktycznego przekonania o mocy działania jako takiego. Prawdopodobnie gdyby ją spytać o motywację, odpowiedziałaby: „Bo tak się robi”. Wbrew pozorom nie jest to odpowiedź pusta i nieznająca.

Taniec Dawida

Po co odprawiać Wigilię? Najprościej mówiąc: by poczuć, że to nie ludzie rządzą światem. Jeśli Wigilia przetrwała przez tyle stuleci, to dlatego, że ona sama ma moc przekraczającą naszą wolę i władzę, że jako jej spełnicy wytwarzamy wspólnie coś, co działa niezależnie od naszych chęci i niechęci, naszych oporów i pragnień. Wierzący mówią o łasce, niewierzący o „wieżach” i „atmosferze”, reklamy o „magii Świąt”. Te słowa i nazwy nie mają znaczenia. Albo jeszcze gorzej: zdobywają znaczenie wytwarzając różnice. Przed rzeczami mówionymi są jednak rzeczy czynione, które działają niezależnie od tego, jak sobie ich działanie opowiemy i gdzie ulokujemy ich źródło. To śmieszne, ale nawet głupawe komedie romantyczne to wiedzą: gdy w końcu gadający bez przerwy i przekrzykujący się bohaterowie zamilkną, zaczyna się działanie. A działanie jest dosłowne.



Po co odprawiać Wigilię?
Najprościej mówiąc:
by poczuć, że to nie ludzie
rządzą światem. Jeśli Wigilia
przetrwała przez tyle stuleci,
to dlatego, że ona sama ma
moc przekraczającą naszą
wolę i władzę.

Przy okazji Wigilii zazwyczaj cytuje się Mickiewicza („Wierzyś, że Bóg się narodził w betlejemskim żłobie...”) – nie ma więc nic dziwnego w cytowaniu jednego z jego największych kontynuatorów. Jerzy Grotowski powtarzał, że poznanie jest sprawą czynienia, i choć szanował słowo, zwracał się ku działaniu, które odzierał ze słów, zwłaszcza z tych, które mogą działanie blokować. W przypadku Wigilii takim słowem – często w jej kontekście przywoływanym – jest „rytuał”. Mówi się „rytuał” i tym samym nadaje działaniu szczególny status, zarazem wynosząc je niejako poza powszechną dostępność. Tymczasem nie o to chodzi, czy i jakie rozumienie tego wysokiego terminu Wigilia spełnia, lecz o właściwą temu, co zwykliśmy rytuałami nazywać, siłę zmieniającą rzeczywistość niezależnie od naszego nastawienia, poprzez samo wykonanie określonych czynności.

Rytuał (od łacińskiego *ritus* – obrządek) to nazwa rdzennie opisująca pewien sposób działania, zachowany właśnie dlatego, że został rozpoznany jako skuteczny. Rytuał znaczy: robić coś

w określony sposób, bo wtedy zdarza się to, co inaczej nie może nastąpić. Zatem: spełniając rytuał czynimy miejsce i umożliwiamy działanie jakiejś siły, której nie jesteśmy w stanie uruchomić i doświadczyć inaczej. Śmierć rytuału nie wiąże się i nie wynika z wygaszania wiary w ową siłę, ale z utraty przez nas chęci i umiejętności spełniania działania umożliwiającego jej doświadczenie.

Wigilia jest tak rozumianym rytuałem. Podstawowym rytuałem kultury, którą uznajemy za rodzimą, bo zostaliśmy w nią wpisani, zanim jeszcze mogliśmy coś w tej kwestii zdecydować. Ale odprawiamy ją nie dlatego, że „nasza”, i nie dlatego, że „nasza”, stanowi wyjątkowy skarb. Siłą, której doświadczamy w Wigilii, nie jest „polskość”, ale bezwarunkowo odnowione w swej niepodzielności życie. Jej sedno stanowi doświadczenie życia niezniszczalnego, którego i my jesteśmy częścią (a nie panami). Dotrzeć do niego możemy tylko rezygnując z własnej woli i stając się współsprawcami.

Wielkość Wigilii polega też i na tym, że jest bardzo prosta. Składa się z podstawowych, codziennych czynności. Nie wymaga żadnych specjalnych umiejętności, żadnego treningu, żadnych przygotowań. Co nie znaczy, że nie stawia własnych wymagań. Wymaga bowiem czegoś wcale niełatwego – rezygnacji z pragnienia sprawczości, z pokusy władzy. Przejścia w stan czuwania – gotowości do postępowania za tym, co się pojawia pomiędzy nami niezależnie od nas. To proste, ale wcale niełatwe.

Na szczęście nie trzeba wchodzić w całą tę skomplikowaną sferę i nie warto rozpoczynać paradoksalnych gier słownych mających opisać tę podstawową dyspozycję. Może lepiej zamiast tego przyjąć bardzo proste nastawienie: „robić to, co się robi”. Dać szansę działaniu.

Prześladuje mnie jeszcze jeden obraz przywołany przez Grotowskiego „około świąt Bożego Narodzenia”, dokładnie 19 grudnia 1973 r., w trakcie odbywającej się na Wawelu (szczególny czas, szczególnie miejsce) publicznej debaty z Konstantym Puzyną. Przypomniał Dawida tańczącego przed Arką Przymierza. I dodał: „Dzisiaj nie wierzymy, wielu z nas przynajmniej nie wierzy w to, co jest tu przedmiotem kultu, w samą Arkę Przymierza, ale ciągle jeszcze możliwy jest taniec Dawida”. Przy wigilijnym stole też.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Baśń o kamiennej duszy

RADEK RAK, PISARZ:

Czuję, że wszyscy potrzebujemy mitu. I że mogę się nim dzielić w obfitości. Tylko co będzie, jak kiedyś moja córka powie: „tato, ja tego nie potrzebuję”?

ZDJĘCIA JACEK TARAN

MICHAŁ OKOŃSKI: Trochę żałuję, że nie w tej kawiarni, o której mi opowiadałeś, ale rozumiem: takie życie, że się nauczyliśmy spotykać online.

RADEK RAK: Miałem zapalenie okostnej, dzisiaj jest pierwszy dzień, kiedy nie jestem spuchnięty i mogę mówić.

Chodzi mi nie tylko o to, że tajemnicze kawiarnie są ważnymi miejscami w Twoich książkach. Wyobraziłem sobie po prostu, że usiądziemy naprzeciwko siebie i Ty, jak na rasowego mistrza gry przystało, przeprowadzisz mnie przez RPG, którą nazwiemy potem opowieścią wigiliijną.

O rety, a ja ostatnio raczej mało kreatywny jestem. Wiesz, przeprowadziłem się na Wolę Duchacką i ta kawiarnia jest chyba jedynym miejscem w okolicy nadającym się do spokojnej rozmowy. A że kilka tygodni temu urodziła mi się córka, nie chciałem oddalać się zbyt daleko od domu. Wcześniej mieszkalem koło Hali Targowej, gdzie kawiarni jest więcej, ale jakoś uznałem, że z dzieckiem tam będzie trudniej. Sam się wychowałem w miejscu, gdzie tylko kamień i asfalt, i nie chciałem, żeby Irenka też tak musiała.

Często się w życiu przeprowadzałeś?

W trakcie studiów weterynaryjnych w Lublinie mieszkanie zmieniałem co roku. Pakowanie całego dobytku w kilka toreb i przenoszenie go na plecach mam świetnie opanowane, ale to chyba nic wyjątkowego. Życie wielu z nas polega na zwijaniu namiotu i ruszaniu w dalszą drogę.

Czyli nie zapiądziesz korzeni na Woli Duchackiej.

Na osiedlu nie da się zapiąć korzeni, w każdym razie ja nie potrafię. W ogóle

wydało mi się, że korzenie można zapuszczać tylko w głąb siebie i że moje korzenie są już bardzo głębokie. W okresie dorastania oswoiłem najbardziej pewien las na południe od Dębicy – tam, gdzie zaczyna się już Puszcza Karpacka.

Nie wiem, jak dużo wiesz o Dębicy...

W „Małych zwierzątkach” napisałeś, że śmierdzi, ale wiem, że to było ironiczne. W młodości pojechałem za Cracovią na mecz z Iglopołem: pamiętam zarówno mocarstwowe ambicje tego kombinatu w późnym PRL-u, jak jego upadek w początkach III RP.

Tamtej Dębicy nie ma, ale kocham to miasteczko i w ogóle cały się czuję małomiasteczkowy, a najważniejsze jest dla mnie jego położenie na pograniczu dwóch krain geograficznych. Na południe są wzgórza porośnięte starym bukowym lasem, którego na szczęście nikomu nie chce się wycinać, bo do jego jarów i wąwozów trudno dojechać ciężkim sprzętem, więc drzewa, które przetrwały się w czasach mojego dzieciństwa, leżą w nich do tej pory. Na północ z kolei jest płasko, podobno mamy tam do czynienia z półką szelfową z pradawnego Oceanu Tetydy, dziś piaszczystą i porośniętą sosnami. Teraz musi tam być przepięknie, bo zimą las sosnowy jest nadal zielony.

W Puszczy Karpackiej nie jest przepięknie?

Latem jest w niej duszno i ciemno, a poza tym pełno much, komarów i bąków, które chcą cię obezreć do kości. Ale to zdecydowanie ciekawszy las. Zacząłem się w niego zapuszczać jako jedenastolatek i nawet dziwiłem się potem rodzicom, którzy kiedy w odpowiedzi na pytanie, „gdzie idziesz?”, słyszeli: „do lasu”, mówili: „dobrze, to wróć kiedyś”.

Nie pozwalabyś dziecku na takie przygody?

Wiesz, ja się bawiłem w taki bieda-bushcraft. Rozpalałem ogniska w miejscach niedozwolonych. I przeżywałem ten las w sposób mistyczny. Stawałem się jego częścią. Widziałem w nim Boga. Długo myślałem, że chciałbym mieszkać na granicy tego lasu.

Dziś już nie chcesz?

Dziś patrzę na jego obrzeża, pełne nowobogackich domków... Nie, nie chciałbym. Ale moment, w którym musiałem się z nim świadomie pożegnać, był przełomowy: tym mocniej uświadomiłem sobie, że korzenie mam w sobie.

Z Dębicą i jej okolicami moja rodzina jest związana od pokoleń. Z rodziną żony jest inaczej: ma korzenie w wielu miejscach Polski. Córka też już tak będzie miała i myślę, że w jej przypadku poczucie zakorzenienia będzie wyglądało inaczej. Pewne rzeczy ją ominą.

Im dłużej żyję, tym silniejsze mam poczucie, że kolejnych pokoleń nie omijają wcale doświadczenia pokoleń poprzednich. A w jednym z Twoich wywiadów znalazłem zdanie o reprodukowaniu czegoś więcej niż doświadczenia – o reprodukowaniu mitów.

Bo mity się reprodukują same, albo raczej my je reprodukujemy, w sposób nie do końca świadomy. Dla mnie mity są czymś, co tłumaczy mi mój świat. Co mówi, dlaczego coś mnie spotkało i czy jest w tym jakiś sens.

Dasz jakiś przykład, może spoza oczywistego kręgu biblijnego?

Jako dziecko wychowywałem się na angielskiej literaturze dla dzieci. Ideałem było dla mnie życie bohaterów „O czym szumią wierzy”, poza Ropuchem oczywiście. Przyjaźń, drobne przyjemności, umiejętność poprzestawania na małym, dobrze rozumiana sytość, poczucie bezpieczeństwa związane z faktem, że jutro też będę syty i że znam zasady, według których zmienia się świat wokół mnie. Jako trzydziestoparolatek ze zdumieniem odkrywam, że ostatecznie wyłączałem w miejscu, w którym chciałem wyłączyć, kiedy ją czytałem.

Opowiadasz trochę jak o życiu hobbitów, wśród których ci, których gnało gdzieś pragnienie przygód, byli uważani za dziwaków. Ale Bilbo, Frodo, a z tym ostatnim nawet Sam Gamgee odbywają swoją wyprawę. I Ty też niejedno przeszedłeś, zanim wrócisz na brzeg Rzeki z książki Kennetha Grahame'a.

Parę razy rzeczywiście świat spadł mi na głowę i musiałem opuścić norkę. Ale moje zamiłowanie do przygód jest faktycznie hobbickie: kiedy mogę ich nie mieć, jestem szczęśliwy.

Żeby nie było zbyt idyllicznie: w Twojej pierwszej pracy oszukał Cię przełożony.

Tak, mój pracodawca stracił za jakieś machlojki prawo do wykonywania zawodu i nikomu o tym nie mówiąc, zaczął się posługiwać moją pieczęcią. Zorientowałem się po wielu miesiącach, kiedy jedna z hurtowni zaczęła mnie ścigać w związku z jakimiś fakturami. ➔

RADEK RAK (ur. 1987 w Dębicy) jest pisarzem i weterynarzem, laureatem Nagrody Literackiej Nike 2020 i Nagrody im. Janusza Zajdla za „Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli”. Wcześniej opublikował „Kocham cię, Lilith” i „Puste niebo”. Niedawno w bibliotece Wolne Lektury ukazało się jego opowiadanie „Małe zwierzątko”.

→ Co zrobicieś?

Przeprowadziłem z nim rozmowę, którą mogę chyba nazwać rabacyjną. Było dla mnie zresztą wielkim odkryciem, że stać mnie na coś takiego, bo wcześniej uważałem się za dobrodusznego niezdare – w świecie Harry’ego Pottera byłbym z pewnością mieszkańcem Hufflepuffu. A potem znalazłem sobie nową pracę.

Dobrze usłyszałem w tej historii echa Twojej książki o Jakubie Szeli?

„Baśń o węzowym sercu” faktycznie zacząłem pisać zaraz po tym. Bo wiesz, ja wtedy doświadczyłem, że człowiek może być rzeczą. Że można go traktować jak przedmiot.

Nie jest to tylko moja historia. Pańszczyzniane stosunki w wielu małych przedsiębiorstwach są tajemnicą poliszynela. Niejeden mój znajomy z roku pracuje w patologicznym układzie, ma np. umowę na jedną szesnastą etatu, bez prawa do urlopu czy wynagrodzenia za nadgodziny, a większość pieniędzy dostaje pod stołem.

Widzę już, że nie jesteś Ropuchem.

Pochodzę z rodziny, która w świecie Grahame’a należałaby raczej do lasic z Puszczy, czyli do proletariatu. Moje korzenie są chłopskie albo rzemieślnicze – bo w linii męskiej mam przodków kowali, dziedziczących ten fach z ojca na syna. Zachwyca mnie to, bo wśród rzemieślników nie ma zawodu bardziej z pogranicza magii i cudowności.

Zapytałeś kiedyś rodziców, dlaczego jedenastolatka puszczali do lasu?

A co złego może stać się nastolatkowi w lesie? Prędzej na osiedlu mu się stanie coś niedobrego.

Z Twoich książek wiem, że w lesie można spotkać nie tylko muchy, bąki i komary, ale także inne stworzenia. Mówiące węże, czarty, nawet rusałki, przed którymi przestrzegał Stary Mysza.

Dla mnie sam las był takim stworzeniem. Czymś fundamentalnym i podstawowym. Czymś, czego częścią się czułem. Osobliwe doświadczenie, idące głębiej i dalej niż opis tych wszystkich znajdujących tam śladów zwierząt i magicznych miejsc. Duchowe doświadczenie.

Wiesz, ja z czasem przestałem trzymać się ścieżek i kiedyś natrafiłem na wądoł,

który z początku wydawał się ponury, ale potem okazało się, że pośrodku jest wodospad. Godzinami wpatrywałem się w wodę.

Napiteś się?

A bo to raz?

Bohaterowi „Baśni o węzowym sercu” dziwne rzeczy się zdarzają po takim tyku.

No, mnie też się zdarzały, jak słyszysz.

Albo przez wiele lat szukałem gniazda puchaczy. Widywałem ich wypływki, widywałem, jak latają. Miałem wygodną kryjówkę w tym wądole, z której można było patrzeć, jak las się dzieje. Na początku myślałem, że to puszczyki, ale potem, jak wyleciało ptaszysko o rozpiętości skrzydeł metr dwadzieścia, zorientowałem się, że to puchacz. Ale samego gniazda nie znalazłem. Może dlatego w żadnej książce, którą napisałem, nie ma sowych opowieści?

No i świat zwierząt bardzo małych. Zawsze mnie fascynowało przeobrażenie zupełne owadów. Jak to jest, że z gąsienicy powstaje odrębna forma życia, inaczej się odżywiająca i poruszająca, inaczej zbudowana? Szkoda, że skąpi się pieniędzy na badania tego biochemicznego zjawiska: wyobraź sobie, jak mogłoby się zmienić twoje widzenie rzeczywistości, gdybyś zrozumiał przeobrażenie wszechświata, który ci się mieści w dłoni. Może ludzie też się w jakiś sposób przeobrażają?

Czasami chyba faktycznie się przeobrażają.

Moja żona zbierała na marchewce w ogródku gąsienice paziów królowej i je przeobrażała w motyle. Ścinała natkę, którą najbardziej lubią, trzymała w słóczku, potem obserwowaliśmy, jak te gąsienice robią się coraz mniej ruchliwe. Wydawało się, że chorują, ale to był naturalny proces, w którym przygotowywały się do przepoczwarczenia. Któregoś dnia się budzisz i znajdujesz poczwarkę – patrzysz na nie i wiesz, że tamto życie rozplywa się właśnie do poziomu białkowego i że z czasem z tego białkowego poziomu powstanie motyl. To jest coś, na co nie ma słowa.

Znów opowiadasz o tym jak o doświadczeniu duchowym.

Widzisz, to jest pytanie, z którym się zmagam całe życie. Czy rzeczywistość

duchowa jest rzeczywistością prawdziwą, czy nie? Jako przyrodnik, nie humanista, powinienem odpowiedzieć negatywnie – że w klasycznym arystotelesowskim rozumieniu nie jest prawdziwa. Ale przecież mam to wyniesione z lasu doświadczenie, że jest prawdziwa. Dotykalna i namacalna, choć w zupełnie inny sposób.

Rozumienie tego, czego się doświadcza, zmienia się z czasem. Mam 34 lata, to jest trochę dużo i trochę niedużo. Jak sobie porównuję swoje postrzeganie duchowości sprzed 10 lat i obecnie, zastanawiam się, co będzie za 10 lat i jeszcze później.

Dziesięcioletni Radek idzie do lasu i doświadcza z nim fundamentalnej jedności. Dwudziestoparoletni Radek studiuje weterynarię...

Uczy się obcowania z cierpieniem i pogodzenia z niezgodą na cierpienie...

A ten trzydziestoparoletni?

Robiąc research do nowej książki oswoiłem się z tematyką gnozy. Wiem już, że nie chodzi w niej o egzotyczne nazwy zespołów grających muzykę metalową. Chodzi o niekosmiczność. Jeżeli jest jakaś duchowość, to jest ona przez nas niedotykalna, bo jesteśmy stworzeniami ze świata. W gnozie świat jest ułomny od samego początku, a to właśnie przez cierpienie. Kto zatem go stworzył i czy zrobił to, żeby zrobić nam na złość, czy przez przypadek i po nic? Może my też jesteśmy tu po nic?

Przecież chodziłeś do tego lasu.

Tak, chodziłem. I nie mogę powiedzieć, że to, czego tam doświadczałem, to była bzdura albo iluzja. Co więcej: mam za sobą doświadczenie śmierci klinicznej. Nic z niego nie pamiętam, żadnych tuneli ani światła. Po prostu w czasie rutynowego zabiegu zacząłem nagle odczuwać, że coś jest nie tak. Myśli mi się rozlażyły, a potem film mi się urwał i obudziłem się w szpitalnej sali na tak przepotwornym kacu farmakologicznym, że jak otworzyłem oczy, to głęboko pożałowałem. Ból powrotu do świata to był najgorszy ból, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem. Miałem wtedy 20 lat.

Czyli to, co przydarzyło się narratorowi między pierwszą a drugimi częściami „Kocham cię, Lilith”, przydarzyło się także autorowi.

I to naprawdę było otwarcie furtki do innego świata.

Wiesz, kiedy traciłem przytomność, nie czułem strachu, tylko przeświadczenie, że naprawdę miałem fajne życie – i że przeżyłem je najlepiej, jak mogłem. Że nie mam do nikogo żalu. Że to, co było złe, i tak się obróciło na dobre.

Dwukrotnie jeszcze potem miałem takie przekonanie, że za chwilę może mnie nie być, ale to nic nie szkodzi. Nawet odczuwałem ulgę. Na co dzień bardzo się śmierci boję, ale jak przyjdzie co do czego, to myślę, że ten spokój wróci. Że będę ciekaw tego, co będzie dalej – i czy będzie. Mnie się wydaje, że tak się właśnie przejawia ta niekosmiczność. Zajmujemy się światem, bo jest istotny, póki tu jesteśmy, ale kiedy przychodzi czas, powinniśmy go porzucać bez żalu. I powinniśmy tak robić ze wszystkimi rzeczami w życiu.

Mówię trochę jak Coelho, przepraszam. Ale jak się tego doświadcza, to naprawdę tak wygląda.

A doświadczenie wspólnoty? To też jest coś, co może stanowić źródło sensowności bycia tutaj.

U mnie to doświadczenie ograniczone do bardzo wąskiego kręgu. Jestem introwertkiem, drugi człowiek wręcz mnie blokuje. Jedyną osobą, przy której się czuję tak, jakby nikogo przy mnie nie było albo jakbym to był drugi ja, jest moja żona. Nawet pisać przy niej potrafię... O rany, nie chcę, żeby to zabrzmiało tak, jakbym nie potrzebował ludzi. Chodzi raczej o to, że poza rozmową o zwierzętach i książkach boję się odsłaniać, bo wydaje mi się, że zostanę uznany za strasznego dziwaka.

Myślę, że nie musisz się obawiać.

Narrator Twoich książek jest człowiekiem pełnym empatii do wszelkiego stworzenia.

Bez empatii nie mógłbym być weterynarzem. A gdybym ją udawał, musiałbym się w tej pracy straszliwie męczyć. Choć na początku nie wiedziałem, że to jest praca z ludźmi, nie ze zwierzętami. Przyznam, że najlepiej mi się pracowało w czasie pierwszego miesiąca pandemii, kiedy mieliśmy takie zasady, że opiekun zostawał na zewnątrz. Musiałbyś zobaczyć te wszystkie rzekomo rozhisteryzowane yorki, chihuahuy z zębami naokoło głowy, amstaffy z żądzą mordy w oczach... Do dziś pamiętam pewną



Wyrazisty kompas moralny to cecha każdej baśni.

A wyrazisty podział na dobro i zło jest nam potrzebny jak rzadko kiedy.

suczkę yorczkę, która sama podawała łapę do pobierania krwi.

Próbujesz czasem spojrzeć na zwierzę oczami jego opiekuna?

Wręcz muszę, bo powinienem zrozumieć, z czym przychodzi i jakie ma oczekiwania. Ale tu dotykamy ważnego dylematu: czy działać tak, żeby to przynosiło korzyść pacjentowi, czy zgodnie z wyobrażeniami opiekuna, bo często są to rzeczy rozbieżne.

Jeszcze w Dębicy przysłała do mnie pani z młodym czarnym kotkiem, miał na imię Kola. Złamana łapka, prześwieceni nie wykazało, że na chrząstce wzrostowej – tam, gdzie kość rośnie na długość. W zasadzie takie rzeczy się nie zdarzają, no ale najważniejsze, że łapka została złożona, Kola wrócił do domu. Tylko że wkrótce pojawił się znowu: złamał drugą łapkę, również na chrząstce wzrostowej. Zatrzymaliśmy go na obserwację, pani codziennie go odwiedzała – uważałem, że zach-

wuje się tak, jak trzeba, aż do momentu, kiedy zapytała, co Kola je. Odpowiedziałem z dumą, że głównie surową wołowinę z suplementami, a do tego karmę wysokomięsną. Pobladła i powiedziała, że Kola jest przecież weganinem. Na co ja zgłupiałem, bo do tego mnie na studiach nie przygotowywali. Zapytałem, co w takim razie je. „Tofu, jabłuszka, hummus”...

Nieźła historia.

Może i nieźła, tylko bez happy endu. Którejś nocy pani przywiozła Kolę w stanie agonalnym, z objawami leukopenii. To częsta u młodych kotów choroba wirusowa, ale taka, na którą jest szczepionka. Niestety, pani uważała, że szczepionki to wymysł koncernów farmaceutycznych, trujących zwierzęta i ludzi.

Chyba się umówię z Tobą na osobny wywiad o „Wszystkich stworzeniach dużych i małych”.

Wiesz, spotykam w pracy koty, które na skutek przewlekłego zamknięcia w czterech ścianach mają zaburzenia behawioralne. Jedynym ratunkiem okazuje się dla nich przeprowadzka na wieś, gdzie zaczynają jeść, odzyskują okrywą włosową itd. Świat przyrody się zmienia, widzimy to choćby po ptakach niegdyś dzikich, a dziś zaludniających miasta, ale pewne rzeczy się jednak nie zmieniają. Nie każdemu kotu w czterdziestometrowym mieszkaniu wystarczy drapak. ➔

→ **Rozmowa jest na święta, więc u nas koty mówią ludzkim głosem.**

Wiem, że nie wszyscy opiekunowie się z tym zgodzą. No i ja przecież rozumiem, że gdyby wszystkie koty wypuszczać w mieście, skończyłoby się to szybko przejechaniem przez samochód.

Rozmowa jest na święta, więc zapytam też, co zmieniły narodziny Twojej córki.

To nie jest tak, że świat zmienił się o 180 stopni. Przygotowywaliśmy się na przyjście Irenki, a teraz nie bardzo mamy czas na rozmyślanie. Dzielimy z żoną dobę na dyżury, wziąłem urlop ojcowski... Obawiam się oczywiście, jak to będzie wychowywać dziewczynkę. Z chłopcem byłoby łatwiej, bo mój ojciec dał mi świetny przykład.

Jak Cię wychowywał?

Był opiekunem i wojownikiem równocześnie. Wiesz, nie poukładałem sobie tego jeszcze, a poza tym boję się, że powiem coś, co życie boleśnie zweryfikuje. Co będzie, jak np. moja córka powie, że ona to w zasadzie nie lubi książek?

A co ma być? Dalej będziesz ją kochał.

Będę. A poza tym w dzisiejszych czasach są już gry komputerowe, które oprócz funkcji rozrywkowej pozwalają obcować z fabułą i z mitem.

Tego się boisz? Że nie będzie miała potrzeby mitu?

To jest lęk o to, co jej mogę dać. Czuję, że wszyscy mitu potrzebujemy. I że mogę się nim dzielić w obfitości. Tylko co będzie, jak powie: „tato, ja tego nie potrzebuję”?

Jako starszy stażem ojciec ośmielę się powiedzieć, że dzieci jednak coś biorą ze świata rodziców, nawet jeśli w jakimś momencie to kwestionują. Inna sprawa, że mit jest dziś pod znakiem zapytania. Z jednej strony wielu przedstawicieli światopoglądu naukowego powie: „Jesteśmy w stanie wyjaśnić wszystko”, z drugiej instytucje broniące mitu niejako z definicji – mam na myśli Kościoły – są w kryzysie.

A ja się nie zgadzę. Współczesna fizyka pokazuje wyraźnie, że wciąż są rzeczy kompletnie poza naszym obecnym rozu-

Bez empatii nie mógłbym być weterynarzem.
Choć na początku nie wiedziałem, że weterynarz pracuje z ludźmi, nie ze zwierzętami.

mieniem. To, że naukowy opis świata jest niepełny, jest związane z naukowym opisem świata – może to nawet najpiękniejszą cechą naukowego opisu świata.

Natomiast religijne opisy, owszem, uzurpują sobie znajomość pełnych odpowiedzi. Co mówię jako człowiek wyrastający na gruncie takiego opisu, chrześcijanin. W tym, co słyszałem w kościele, brakowało mi wprawdzie przyrody i kosmiczności; podejrzewam, że już wtedy byłem strasznym heretykiem.

Dzisiaj jesteś jeszcze większym?

W tym sensie, że próba reinterpretacji mitów stanowi część mojej istoty.

Jako czytelnik powiem, że nawet reinterpreterując mity, w gruncie rzeczy je wzmacniasz. Biblii i apokryfów u Ciebie pełno.

Wiesz, ja od małego poznawałem naukową opowieść o świecie. Kiedy babcia stwierdziła, że wiem wszystko o Wielkim Wybuchu, a nie słyszałem o siedmiu dniach stworzenia, była przerażona i to ona zaczęła mi opowiadać różne historie biblijne. W sumie rodzice wychowywali mnie bardziej w duchu laickim: rzeczy związane z religią były kwestią obyczaju i tego, że wszyscy tak robią. Nie ma w tym zresztą nic złego: dziecko na pewnym etapie rozwoju nie chce się odróżniać od grupy.

A afery i skandale, z którymi Kościół się zмага, przyspieszają laicyzację, ale nie są jej przyczyną. Myślę, że bardziej chodzi o to, że ten mit, który opowiadają księża na niedzielnych kazaniach, przestaje być wystarczający i sami księża powinni go zreinterpretować – tak aby nie wypaczać jego sensu sprawić, by przemawiał do dzisiejszego człowieka. Jestem pewien, że

to się da zrobić. Sam do Kościoła trafiłem przez Tolkiena i C.S. Lewisa, a jedną z najważniejszych książek w moim życiu był „Dziennik azjatycki” Mertona.

Jak czytam zakończenie „Baśni...”, o tym, że miłość jest w stanie przemienić kamień, to co to jest, jak nie Ewangelia?

Z tym kamieniem to chodzi o kolejne ważne doświadczenie duchowe. Kiedy rozsypała się rzeczywistość dębickiej pracy i było naprawdę trudno, zetknąłem się z duchowością hezychastyczną. Modlitwa serca, ciągłe powtarzanie krótkiej modlitewnej frazy, zsynchronizowanie jej z oddechem, to coś, do czego nawet dziś łatwo mi wrócić. Tak naprawdę ona modli się we mnie cały czas. Efekty są fenomenalne, także somatycznie, bo wada serca mi się uspokoiła. Ale wycofałem się trochę w poczuciu, że otwierają się przede mną poziomy, na które przy wszystkich swoich ułomnościach nie jestem w stanie wejść. Może jeszcze za wcześnie...

„Baśń o węzowym sercu” jest z ducha Mistrza Eckharta, ale kiedyś siedząc i nie myśląc w Ogrodzie Botanicznym w Krakowie – bo ja bardzo lubię siedzieć i nie myśleć, uważam, że myślenie jest prereklamowane i traci się przez nie czas – doszedłem do jakiejś przestrzeni ciszy w sobie. A pod tą przestrzenią wyczułem coś bardzo twardego. To było nieduże i ciemne. Może iluzja, ale powstała po wyłączeniu wszystkich bodźców i wejściu na wielki poziom wyciszenia. Nawet tę modlitwę hezychastyczną wyciszyłem, żeby się nie modliła we mnie cały czas. Do czego wtedy doszedłem? Do czegoś, co jest najbardziej we mnie fundamentalne, chyba właśnie do duszy. Trwało to kilkanaście minut, potem wszystko zaczęło wracać, ale był to jeden z najszcześniejszych momentów mojego życia. I widzisz, to było jak dotknięcie kamienia. Kamień nie musi, nie powinien być rozumiany jako coś negatywnego czy obojętnego. I jeżeli się chce, to można kogoś do swojego kamienia dopuścić, jak Jakób Chanę.

Czy Ty nie powiedziałeś kiedyś przypadkiem, że ogromną przyjemność sprawia Ci kłamanie? A może mi się pomyliło z Xenese Rakiem z „Baśni...”, który lubi po kielichu opowiadać dyrdymały, a czasem zwyczajnie łąć?

Może ci się pomyliło. Bo ja, owszem, lubię zmyślać, ale nie lubię kłamać. Zmyślanie jest wtedy, kiedy bierzesz jakiś fragment rzeczywistości, wzbogacasz go i ubarwiasz, prześlizgując się z prawdy w nieprawdę tak, że to nadal jest prawdopodobne. W „Baśni o węzowym sercu” zmyśleniem np. jest to, kto wywołuje rabację. To zresztą zabawne, że czegoś, co wydawało mi się oczywiste, wielu czytelników i krytyków różnych opcji ideowych nie zauważyło; że dokonujące się tam przemiany bohaterów pokazują, że to my wszyscy jesteśmy panami i chłami.

A kłamanie jest wtedy, kiedy opowiadam jakąś historię, żeby ukryć wstydliwą prawdę o sobie. Otóż ja wstydliwych prawd o sobie nie mam wiele. Raczej mam dużo nudnych prawd, których nie wypowiadam, bo nikogo nie interesują.

To też prawdziwie hobbski etos.

Hobbici, nawiasem mówiąc, zmyślają na potęgę, ale nie kłamią. A „Baśń o węzowym sercu” ma wyrazisty kompas moralny. Cały czas wiemy, gdzie jest północ i w którą stronę należy się kierować – to zresztą cecha każdej baśni. Według mnie warto w ten sposób pisać nie dlatego, że chciałbym kogokolwiek pouczać, ale dlatego, że sądzę, iż wyrazisty podział na dobro i zło jest nam potrzebny jak rzadko kiedy.

Przygotowując się do roli ojca, czytałem żonie do brzucha wiele rzeczy, które lubiłem jako dziecko i które będę chciał jeszcze raz przeczytać córce, jak już trochę podrośnie. Była wśród nich „Królowa śniegu” Andersena. Pamiętasz, czaroksiężnik tworzy tam zakłętą lustro, w którym wszystko, co dobre, zaczyna się ludziom wydawać małe i nieciekawe, a wszystko, co złe, zdaje się interesujące i pociągające.

W pewnym momencie lustro zostaje rozbite, a odłamki dostają się ludziom do oczu i serc. Czasami się zastanawiam, czy moje patrzenie przez lata nie było patrzeniem przez taki odłamek.

Na szczęście w pewnym momencie mi się wysunął i pisać „Baśń...” odzyskałem jasność widzenia. Chciałbym, żeby ten stan się utrzymał w następnej książce i w życiu, bo naprawdę najwyższa pora pozbyć się odłamków lustra ze swoich serc i oczu.

© Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

Zimowa piosenka dla tego, który cierpi

BRENDA HILLMAN

Gwiazdy czekają
za progiem dnia. Znajoma gołąbica
próbuję
uchwycić się gzymsu.
Rozpoczyna się kosmiczna
katastrofa ciemności

& ułamki piękna
darowane zostaną zmarłym,
a oni się nimi posilą. Na wzgórzu

mędrzec służy swojemu ludowi,
twoja myśl rozszczepia się
kiedy naucza o zamierzonych
rebeliach, powrocie
apokalipsy, intencjach & potędze.

Dusza potrafi długo
trwać skulona kiedy serce
rozrasta się po brzegi.
Czego nie staje kiedy żniwa
przestają lśnić swoim blaskiem?
Przyjacielu, postanowiłeś żyć.
Jak? Taką podjąłeś decyzję. Tyle
wyborów, więcej niż dwie drogi, ich szyfr
głębiej niż tajemnica słońca,

a potem uchylono ból,
niejasny zamęt,
zawieszany przez miłość ©

Przełożyła z angielskiego NATALIA DE BARBARO

CYBELE KNOWLES /
UNIVERSITY OF ARIZONA
POETRY CENTER



Autorka (ur. 1951) jest amerykańską poetką i tłumaczką. Laureatka wielu nagród. Prowadzi katedrę poezji Olivia Filippi w St Mary's College of California. W 2016 r. została wybrana kanclerzem Akademii Poetów Amerykańskich.

I stało się ciałem

PIOTR SIKORA

Boże Narodzenie to święto Boskości, której z uniwersalnej, kosmicznej perspektywy prawie nie widać. Boskości, która jest właśnie tu.

ŚWIATŁO ŚWIECI W CIEMNOŚCI, A CIEMNOŚĆ GO NIE OGARNĘŁA” (J 1, 5) – to jedno z najdziwniejszych zdań ewangelii. Zdaje się przeczyć naturze rzeczy. Przecież światło, gdy zaświeci, rozprasza ciemności. Światło świeci – ciemność ustępuje. Gdzie światło, jest jasno, nie ciemno.

Chyba że jest to światło takie, jak z lampki-czołówki nocą w górach. Błyszczący punkt, skoncentrowany snop fotonów, skrawek jasności ogarnięty zewsząd przez mrok. Lecz takiego doświadczenia autor ewangelii nie miał. Mógł raczej pomyśleć o pochodni, z którą da się wędrować nocą. Albo o ognisku widocznym w oddali.

A te doświadczenia są podobne tylko na pozór. W gruncie rzeczy są tak odległe, jak dwa bieguny jednej sfery. Które z nich miał przed oczami twórca prologu Czwartej Ewangelii?

Z daleka i z bliska

Zalóżmy najpierw, że ognisko. Migozczący w dali, ciepły ognek. Ledwo dostrzegalna kulka pomarańczowego blasku, może widać przy niej malutkie ludzkie postacie siedzące w kręgu. W miejscu, gdzie znajduje się patrzący na ognisko człowiek – jest zimno i ciemno, stopy co chwilę potykają się o kamienie czy korzenie. Dalekie światło budzi zazdrość, ale także nadzieję. Pobudza do wysiłku, wyznacza kierunek nieporadnego marszu po omacku.

Jeżeli jednak źródłem światła jest pochodnia w ręku, sens ewangelicznego tekstu się zmienia. Światło i ciepło z łuczywa jest blisko, otacza wędrowca. Ciemność i zimno odsuwają się daleko od niego. Drapieżnik będzie bał się podejść, a gdyby nawet podszedł, można przegonić go płomieniem. Oczy trzymającego pochodnię widzą ścieżkę, zagradzającą ją pień, kamienie, wykroty. A nawet je-

śli nie ma ścieżki, dostrzegają choćby w miarę równe miejsca, gdzie można bezpiecznie oprzeć stopę.

Gdy masz łuczywo w ręku, to nawet czająca się wokół ciemność nocy zmienia charakter. Nie jest już tak groźna, staje się raczej tajemnicza i fascynuje. Można z mniejszą trwogą a większą ciekawością słuchać jej cichych bulgotów, świstów i trzasków. Można głębiej wdychać zimny, bijący od mroku prąd powietrza. Można się rozglądać i dostarczać umysłowi materiału do pracowitego układania planu dalszej drogi.

Odwrócona symbolika

Pamiętając, jak różne mogą być te metafory, wróćmy do Janowego poematu. Przyjrzyjmy się znaczeniom oryginału, zobaczmy, skąd i jak pojawia się w nim zdanie o świetle w ciemności:

En arche – u źródła, od początku, w podstawie, fundamentem, zasadą. *En ho logos* – był i jest sens, rozum, miara, słowo. *Kai ho logos en pros ton theon* – a *logos* był i jest (zwrócony) ku Bogu. *Kai theos en ho logos* – a *logos* był i jest boski. *Houtos en en arche pros ton theon* – u źródła, od początku był i jest on (zwrócony) ku Bogu. *Panta di'autou egeneto* – wszystko przez niego powstało. *Kai choris autou egeneto oude hen* – i ani jedno nie powstało bez niego. *Ho gegonen en auto dzoe en* – to, co powstało, w nim było i jest życiem. *Kai he dzoe en to phos ton anthropon* – a życie było i jest światłem ludzi. *Kai to phos en te skotia phainei* – a światło świeci w ciemności. *Kai he skotia auto ou katelaben* – a ciemność go nie chwyciła i nie pojęła.

Tekst mówi wyraźnie: światłem człowieka jest życie. Przewrotnie tajemniczy, natchniony poeta odwraca związki pomiędzy symbolami. Czy bowiem nie powinien był napisać: życiem jest światło? Albo jeszcze bardziej adekwatnie do

rzeczywistości: że światło daje życie, bo światło słońca umożliwia wzrost roślin, a ogień pozwala upiec jedzenie, a jedno i drugie pozwala zamrażać?

Ale nie – ewangelista pisze inaczej: życie jest światłem, a życiem jest wszystko, jeśli tylko istnieje zanurzone w logosie. Życie, o które tu chodzi (gr. *dzoe*) to więcej niż tylko biologiczny proces (gr. *bios*). Logos stał się ciałem, ciało – każde ciało – jest więc żywe, każde świeci logosem. Strumień życia – rzeka znaczenia. Tworząca harmonię. Karmiąca umysł, kształtująca ducha. Przynosząca sens.

Światelko w dali i wewnątrz

Jeśli wzorem jest światło dalekiego ogniska, to poemat jest o ludziach, których doświadczeniem są pytania i westchnienia: „Tu, gdzie jesteśmy – tylko ciemność, sensu nie widać, chaos zamiast harmonii. Dlaczego mnie to spotkało? Dlaczego ta choroba? Dlaczego on nie odpowiada na wiadomości? Dlaczego uciekł mi autobus? Dlaczego droga z pracy do domu tak mi się już opatrzyła, ciągle ta sama, do znużenia, obudowana banalnymi ścianami bloków, biurowców, galerii handlowej?”... Pytania dźwięczą w świadomości, odpowiedzi brak. Trzeba w życiu coś zmienić, lecz co – nie wiadomo. Tkwiąc tu, gdzie jesteśmy, tracimy zdolność oddechu – najpierw tego głębszego, niosącego satysfakcję i spokój, a potem nawet i płytkiej, rozpaczliwej próby złapania choć odrobiny powietrza. Duszo, krzyczy: Rusz się! Ale nie widać, gdzie postawić krok.

Ale jednak, gdzieś w dali... Z ciemnego punktu widzenia widać niewielki jasny okrucz światła, przeblask, niewyraźną intuicję. To może być człowiek, choćby znany tylko z daleka, który pokazuje: można, da się... Inspiracja, wzór, albo choćby zarys wzoru... Gdy zobaczysz ten ognek, nie przeoczysz go, przymknąwszy oczy w zmęczeniu. Niby będzie tak samo, a wszystko się zmieni. Pojawi się punkt odniesienia, kierunek: ku światłu – w tę stronę, nie w tamtą. Proces życia będzie się już miał dokąd sączyć.

Jeśli jednak za wzór weźmiemy pochodnię, tekst ewangelii opowiada inną historię. Mówi teraz: sens jest w twoich rękach. Sens, który ty tworzysz, chronisz, niesiesz. Życie, które pozwala ci iść i które idzie razem z tobą. Ten płomień podtrzymuje uwaga. Uważny wzrok delikatnie zatrzymany na oczach drugiej osoby, gdy



Seul, Korea Południowa, grudzień 2020 r.

słowa z trudem przechodzą przez gardło, albo gdy oczy tego kogoś jaśnieją, a jego radość układa twoje usta w uśmiech. Może być tak, że do uwagi dołącza się działanie: krojenie warzyw na zupę dla bezdomnych, przytrzymanie drzwi, dotknięcie ramienia.

Nie zapomnij też – mówi teraz tekst – że pochodnię trzymasz w swojej dłoni. Zatem oświeca ona i ciebie. Ujawnia, że twój ból, twój wysiłek, twoja radość tak samo się liczą, mają sens: żyjesz, jesteś ciepły, świecisz.

Boska perspektywa

Z kosmicznej perspektywy zasięg tego światła może zdać się mały: dotyka twóich najbliższych, sąsiada z parteru, kole-

żankę z pracy, panią z piekarni sprzedającą bułki, które zwykle jesz z rodziną na śniadanie. Czymże to jest wobec ciemnych przestrzeni choroby, przemijania i śmierci na Ziemi, czym jest wobec małości samej Ziemi we Wszechświecie? Ale z miejsca, w którym stoisz, widać jasno: to, na co tu i teraz pada światło, to, co rozgrzewa się od ognia, to właśnie – tu i teraz – jest ważne. Żaden mrok nie jest powodem, żeby zdmuchnąć choćby ledwo tłący się płomień.

Kosmiczna perspektywa jest bowiem perspektywą ciemności, martwej przestrzeni. Perspektywa światła jest perspektywą życia („a życie było światłem” – pamiętajmy – mówi ewangeliczny Prolog). Życie zaś to oczy, które patrzą na

płomień, uszy, które słyszą trzask ognia, skóra, która czuje ciepło. To zawsze jest bosko małe, bosko tutaj, nie gdzie indziej, doświadczające świata w jedyny, niepowtarzalny – z własnego miejsca – boski sposób.

Więc to nic, że z kosmicznej perspektywy światła ognia prawie nie widać. Ciemność – głosi Pismo – światła nie pojmie. Trzeba w sobie mieć życie – a więc światło... albo raczej: trzeba żyć, a więc świecić, żeby światło zobaczyć.

Niebieska niespodzianka

Ciemność nie schwyta więc światła, nawet go nie dostrzeże. Światło zawsze się wymknie. Jednak – trzeba pamiętać – paliwem ognia jest uwaga. Bez niej ciemność może wślizgnąć się w nas, przyćmić i sama stać się – dla przyćmionych – niezauważalna, łudząc, że nie ma już ani jej, ani światła.

Zobaczyłem to wyraźnie pewnego dnia, gdy plamy słonecznego światła na ścianie zaskoczyły moje oczy. Odwykłem od ich widoku. Od wielu dni ni to mgła, ni to niskie chmury czepiały się drzew i przylepiały do bloków, nie dając się rozwiać grudniowemu wiatrowi. Aż w końcu wiatr zrezygnował z walki, duł nisko nad ziemią, unosząc się tylko tyle, by ludziom marzły nosy, uszy i krtanie.

Z niedowierzaniem popatrzyłem przez szybę – przez drobne, bezlistne gałęzie jarzębiny przedzierała się do mnie niebieska niespodzianka. Bezchmurne niebo! Od jak dawna – pomyślałem ku niemu – usiłujesz dotrzeć do mojej świadomości zamglonej nawykiem przekonania, że to najbardziej szara pora roku? Nie-możliwe, by ta ilość chmur, którą moja pamięć z przyzwyczajenia rozsnuwała przed oczami, tak szybko się rozwiała. Od dawna musiały zacząć przepuszczać coraz więcej światła, choć na tyle rozproszonego, że gubiło się gdzieś między siatkówką a świadomością uśpioną przez bardzo powolne zanikanie cienia.

Zaskakująca obecność plam światła na ścianie przypomniła mi zabawę w puszczanie zajaczek. Plamy światła odbitego lusterkiem tańczyły na ścianie, na asfalcie, na podkoszulkach innych dzieci. Jako kilkulatki próbowaliśmy je łapać, zdumieni, że światło, nakryte błyskawicznym ruchem ręki, nic sobie z tego nie robi, nie daje się przycisnąć do ściany, wymyka się.

Wymyka się zawsze.

©P

Lepienie świata

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Kto by pomyślał, że pierogi na wigilijnym stole zawdzięczamy mędrcom ze Wschodu.

ZEBY GOŚCIOWI Z ZAGRANICY POKAZAĆ smak kuchni polskiej, aż 40 proc. z nas zabrałoby go na pierogi (Kantar TNS dla Makro Polska, luty 2018 r.). Mamy w Polsce, lekko licząc, kilkanaście festiwali pierogów, a na ministerialnej liście produktów tradycyjnych jest ich przeszło 50 rodzajów: od klasyków z serem i owocami po te z karpem czy jagnięcymi podrobami, od bieszczadzskich po wigierskie. Do wydanego w 2019 r. Kanonu Kuchni Polskiej weszły pierogi ruskie, z serem, z owocami i z kaszą gryczaną.

– Jest w tym niezwykle paradoks: z jednej strony pierogi uchodzą za danie pracochłonne i misterne, a z drugiej, za totalnie garmazeryjne – zauważa Monika Kucia, kuratorka kulinarna. – Robimy je na święta, i jest to rodzinny rytuał, albo kupujemy przemysłowe na tacce.

I jeszcze jeden paradoks: choć nikogo już nie dziwi istnienie pierożków chińskich, gruzińskich czy hinduskich, to uważamy pierogi za rdzennie nasze.

– Pieróg – mówi antropolożka kulturowa Aleksandra Krupa-Ławrynowicz, badaczka kulturowych kontekstów kulinarnych – jest opowieścią o tym, jak smaki i potrawy podróżują, kolonizując kolejne konteksty.

Zbożowy trop

Mit założycielski głosi, że pierogi do Polski przywiózł z podróży misyjnych na Ruś św. Jacek Odrowąż, uczeń św. Dominika. Wielu autorów domyśla się tu proveniencji pierogów ruskich, choć w XIII-wiecznej Europie nie było jeszcze ziemniaków. W „Żywocie św. Jacka” z XIV w. mowy o pierogach nie ma. Jest za to trop: 13 lipca 1238 r. św. Jacek miał gościć w podkrakowskim Kościelcu, gdy burza zniszczyła tam zboże na polach. Święty polecił się zrozpaczonemu chłopom modlić i nazajutrz zboże się podniosło. Ogniwem łączącym św. Jacka

z pierogami wydaje się tu właśnie zboże. Wspomnienie świętego przypada na sierpień, czas żniw. A skoro ówcześni wyrazili to przysłowiem, że „święty Jacek przechodzi z pierogami” (a nie z chlebem) – to znaczy, że pierogi były już nie tylko znane, ale i ważne.

– Lubimy symbole i legendy, bo porządkują nam w głowach – mówi Maciej Nowicki, szef kuchni w Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie i badacz tradycyjnej kuchni polskiej. – Tak jak nieprawdziwa jest legenda, że warzywa sprowadziła do nas królowa Bona, która co najwyżej nauczyła nas się z nimi obchodzić, tak i św. Jacek jest tu symbolem: pojawienie się ciasta z mąki pszennej, jak wszystko w średniowieczu, połączone zostało z postacią świętego, ale dzięki porównaniom z czasem pojawiania się analogicznych produktów i nowinek wiemy, że dania podobne do pierogów znane były w Polsce już wcześniej.

Nie da się rozmawiać o pierogach bez makaronu, a o nich – bez pszenicy, bo podstawą obu jest ciasto zawdzięczające swoją elastyczność glutenowi, i pomysł, by go nie piec, lecz gotować. A tu zbożowy trop wiedzie daleko w przeszłość i daleko bardziej na wschód niż podróżował św. Jacek.

Na wschód, nie na południe – wbrew intuicyjnej reakcji na słowo „makaron”. Owszem, popularna legenda o tym, jakoby to Marco Polo przywiózł go z Chin do Włoch, wracając z podróży Jedwabnym Szlakiem, okazała się tylko legendą: jak dowodzą Silvano Serventi i Françoise Sabban w książce „Pasta. Historia pokarmu uniwersalnego”, mit ten ukuty został z początkiem XX w., tymczasem już 200 lat przed wyprawą Marco Polo arabski kartograf Al-Idrisi wspomina o wstążkach z semolinowego ciasta wyrabianych na Sycylii. Wygląda na to, że obie kultury wpadły na to niezależnie.

A jednak to Chińczycy byli pierwsi.

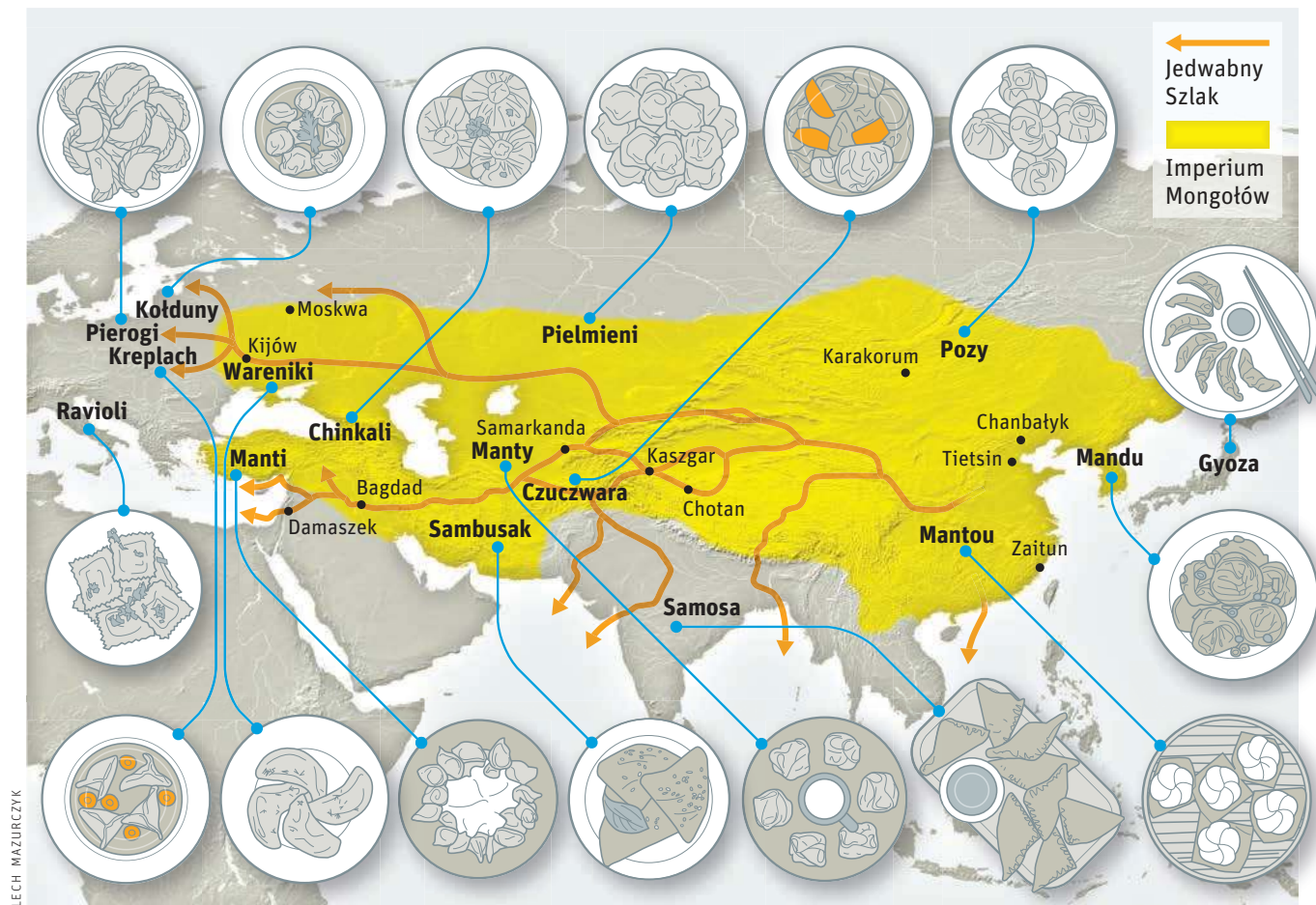
Z jedwabiu

Lajia nad Huang He bywa nazywana chińskimi Pompejami. Około 1800 r. p.n.e. trzęsienie ziemi wywołało katastrofalną powódź, która pogrzebała tutejszą osadę pod mułem. Wśród zatrzymanych w pół ruchu ludzkich szczątków archeolodzy w 2005 r. znaleźli przewróconą do góry dnem miseczkę. Gdy ją unieśli, zobaczyli makaron sprzed 4 tysięcy lat. Półmetrowe nitki ocalały w próżni pod naczyń. I choć wkrótce rozsypały się w pył, badacze ustalili, że ciasto zrobiono z prosa.

Zboża były nasionami cywilizacji. Tylko tam, gdzie je uprawiano, zauważa historyczka żywności Rachel Laudan, powstawały miasta, cywilizacje i imperia. A te z kolei, rozciągając swoje wpływy na podbite ludy i rejony, upowszechniały swe kuchenne wynalazki. Zaś zbożem władców była właśnie pszenica. Pszena mąka po dodaniu wody przechodzi królewską iście przemianę. Spośród wszystkich zbóż ma ona najwięcej białek – gluteniny i gliadyny – które w obecności wody, pod wpływem wyrabiania, łączą się w rozciągliwą siatkę zwaną glutenem, nadającą ciastu elastyczność i plastyczność. To już nie jest smutna mączna papka do zapychania brzucha. To ciasto pozwala się wałkować, lepić, formować, można z niego tworzyć coś, co – zaiste, boska transformacja, cud godny cesarza – w niczym nie przypomina już wyjściowego składnika. Na przykład dzięki fermentacji można je napompować dwutlenkiem węgla i upiec chleb, darując go potem ludowi jak Rzymianie. Lub uformować, ugotować w wodzie czy na parze i podać na uczenie, jak Chińczycy. Do ok. 400 r. n.e. pszenica wyparła proso i jęczmień na stołach euroazjatyckich elit. I tę pozycję utrzymuje do dziś.

Do Chin dotarła dzięki Jedwabnemu Szlakowi i już ok. 200 r. p.n.e. wyrabiano tam z niej makaron – być może inspirując się tradycją sprzed szesnastu wieków. I to właśnie Chińczycy, oprócz cięcia, rozciągania lub tłoczenia ciasta na nitki bądź toczenia zeń bułeczek, otulali nim też małe porcje nadzienia, wynajdując tym samym pierożki. Przed 700 r. n.e. znano już delikatne małe wonton i większe jiaozi z grubszego ciasta, które się podsmaża, a archeolodzy znaleźli dobrze zachowane pierożki datowane na IX w.

Ale wyjątkowo spektakularne świadectwo ich wysokiego statusu pochodzi



ŹRÓDŁO: RACHEL LAUDAN, „CUISINE & EMPIRE. COOKING IN WORLD HISTORY”, UNIVERSITY OF CALIFORNIA PRESS 2013, S. 145

Geografię pierogów z farszem kształtował Jedwabny Szlak i Imperium Mongolskie. Do Japonii pierogi trafiły później z Chin, a we Włoszech prawdopodobnie powstały niezależnie. Historycy kulinariów nie są zgodni co do pochodzenia pieczonych pierożków samosa i sambusak.

aż z III w. To poemat chińskiego uczonego i erudyty Shu Hsi, sławiący pszenne wyroby odpowiednie na każdą porę roku – przy czym pierożki, nadziewane baraniną lub wieprzowiną siekaną na kawałki „drobne jak główka muchy”, z dodatkiem imbiru, cebuli przypraw i czarnej fasoli, gotowane na parze, dobre są na każdą porę roku, a jeść je należy, maczając w gęstym mięsnym sosie. Posłuchajcie zresztą:

„W buchającym ogniu buzuje bulion;
/ Woń silna unosi się jak para. /
Poprawiając kaftan, poprawiając suknię,
/ Kucharz chwytą i ściska, uderza
i wyrabia. / Z mąką utkaną w opuszki
palców, / Ręce jego wirują, krążą tam
i z powrotem. / Śmigając i fruując,
szybko i zaciekle, / Kulki sypią się jak
gwiazdy, padają jak grad. / Ani trochę
nadzienia nie przywiera do koszyka, /
Ani trochę zbędnej mąki na pierożkach.
/ Pyszne i przyjemne, apetyczne, / Ich

ciasto jest cieniutkie, lecz się nie rwie,
/ Wewnątrz mieszają się bogate smaki;
/ Na zewnątrz widać, jak są napuchłe. /
Miękkie są niczym jedwabna nić wiosną,
/ Białe niczym jedwab na jesieni”.

Poemat opiewa ucztę u władcy, pszenne pierożki mają tu status elitarny. Ale pełnią też inne role. Według legendy pierożki jiaozi wynalazł żyjący na przełomie II i III w. lekarz i farmaceuta Zhang Zhongjing, który, powróciwszy raz do swej wioski w górach, stwierdził że wielu jego ziomków cierpi na odmrożenia – uwaga – uszu. Sporządził więc lekarstwo i zawijając je w półksiężycy ciasta, serwował chorem w bulionie. Czy ten kształt nie jest znamieny?

– Oczywiście! To by się zgadzało z regułą magii naśladowczej, według której podobne leczy się podobnym – uśmiecha się dr Krupa-Ławrynowicz. – To uniwersalny kulturowo mechanizm.

Serwuje Czyngis-chan

Wąłkowanie ciasta usuwa osłabiające je pęcherzyki powietrza, a także pomaga się zorganizować siatce glutenowej, rozpraszając ją równomiernie. Tak, łańcuchy glutenu są na tyle długie, że jest to jedna z rzadkich okazji, gdzie na strukturę cząsteczkową można wpłynąć wałkiem.

Udoskonalenia ciasta znane każdemu, kto choć raz robił pierogi lub podpatrywał przy stolnicy babcię, także pojawiają się w Chinach. Pierwsze to dodatek jajek. Jak tłumaczy popularyzator kuchennej nauki Harold McGee, wpływa to nie tylko na kolor ciasta. Tłuszcz z żółtka nieco komplikuje formowanie się glutenu, co sprawia, że ciasto staje się mniej gumowate. W zamian białka jaj spajają je i ograniczają też ilość skrobi wymywanej przy gotowaniu z powierzchni pierogów, dzięki czemu mniej się rozgotowują. Drugie ulepszenie, stosowane w cieście na jiaozi, to użycie

→ do zarobienia ciasta gorącej wody. Część skrobi w mące wtedy żeluje, przydając ciastu spójności. Ale żeby pierogowe tajemniki rozniosły się po świecie, nie wystarczyli nawet tak entuzjastyczni apologeti, jak Shu Hsi. Trzeba było do tego Czyngis-chana.

Rachel Laudan naniosła na mapę Imperium Mongolskiego z XIII i XIV w. rejon, w których dziś występują gotowane pierożki. Okazały się układać zgodnie z Jedwabnym Szlakiem. Jej zdaniem to właśnie Mongołom zawdzięczamy dzisiejszą pierogową geografę. Ci nomadzi nie tylko sami byli bardzo mobilni – a pierożek to przecież poręczna w podróży racja żywności dla wojownika – ale też uzbili szlaki handlowe siecią posterunków odległych o dzień drogi. Kupcy mogli bezpiecznie wozić towary, ale też nowinki i mody, w tym i kulinarne. I tak, dzięki nomadom ze stepu powstał XIII-wieczny internet.

Co więcej, Mongołowie, wbrew stereotypom, nie żyli się tylko krwią upuszczaną z końskich szyi i kumysem. Podbiwszy tak odmiennie krainy jak Persja i Turcja, Chiny czy Rosja, zdawali sobie sprawę z potrzeby utrzymywania między nimi równowagi. A narzędziem tej polityki uczynili m.in. kuchnię, czerpiąc z tradycji podbitych ludów i dostosowując do nich własne. Uruchomili wielką wymianę tradycji kulinarnych – w Chinach Babilończycy rafinowali cukier, w chanacie perskim gotowali Chińczycy. Stolica, Chanbałyk, importowała zewsząd luksusowe dobra. Legendarne obżarstwo i pijaństwo chanów tylko temu sprzyjało.

Tę strategię pięknie wyraża przepis z 1330 r., autorstwa Hu Szu-hui, nadwornego lekarza. Podaje on bazową recepturę na mongolską zupę: ekstrahujący siły witalne zwierzęcia wywar z baraniny bądź z łabędzia, kulika, wilka czy irbisa śnieżnego (niestety). Następnie podaje zaś sposoby na dostosowanie zupy do różnych gustów. Perski twist zapewni ryż i przyprawy, jak cynamon, fenkuł, szafran czy kurkuma. Chiński zaś – do datek warzyw, sosu sojowego i pierożków właśnie.

Po imperiach, pisze Laudan, zostają ruiny zamków i świątyń, ale też ślady kulinarne. Korea do dziś ma pierożki mandu, Uzbęcy chuchvara i manty, a Rosja pielmeni. Pierogi zawędrowały później do Japonii i Indii. A także, północnymi szla-

ADOBE STOCK X2



Pierogi zawędrowały do Korei, Japonii, Gruzji, Rosji i środkowej Europy. Wszędzie stając się absolutnie miejscowym, tradycyjnym daniem.

kami przez Rosję, do środkowej Europy. Wszędzie stając się absolutnie miejscowym, tradycyjnym daniem.

Podstępna tradycja

„Jeśli powiesz Gruzinowi, że chinkali nie są tradycyjnie gruzińskie, to cię zabije” – mówiła BBC Travel szefowa kuchni z Tbilisi, Tekuna Gachechiladze. Legenda mówi, że te rozkosznie pękate pierogi, saczki wypełnione mięsem puszczającym bulion, wymyślili górscy pasterze z regionów Tuszeti i Pszawetii. Według Gachechiladze jest jednak jasne, że przywędrowały z Chin. Zresztą wiele tamtejszych potraw stanowi pamiątki rosyjskich, perskich, tureckich i mongolskich najazdów na tę strategicznie położoną krainę. Ale to nie znaczy, że chinkali nie są równocześnie gruzińskie: szefowa kuchni przypuszcza, że to dopiero na Kaukazie nadano tym pierogom charakterystyczny kształt, w którym można się dopatrzyć słonecznego symbolu borjgali w kształcie siedmiu łukowatych ramion. Analogicznie, chiński patent adaptowały po swojemu muzułmańskie ludy środkowej Azji, zastępując wieprzowinę jagnięciną.

Tradycja to podstępne słowo. Maciej Nowicki sięga po „Compendium ferculorum albo Zebranie potraw”, pierwszą polską książkę kucharską z 1682 r., autorstwa Stanisława Czernieckiego: – Jest tu „Potrawa z pierożkami”, ciekawa i oryginalna, pokazująca jak mylące są nasze

wyobrażenia o tradycyjnych pierogach. To coś jak gęsta potrawka na mocno rozgotowanym mięsie kapłona lub cielęcym, z pietruszką, kwiatem muszkatołowym, szczawiem lub szpinakiem, w której podaje się pierogi. Czerniecki instruuje: „Pierożki zrób tak: weźmij jajec, mąki, zarobiwszy ciasto, roztocz. Nerkę cielęcą z łojem usiekaj drobno, przydawaj zieloności, soli, pieprzu, gałki, nakładaj pierożki, zawijaj a uwarz w wodzie”. Co ważne, autor z końca XVII w. uważa tę potrawę za staropolską, co uzmysławia, od jak dawna pierogi z nerką cielęcą i łojem były już w obiegu.

Co również znamienne, Czerniecki serwuje pierogi w zupie. Jak w Chinach czasów Zhanga Zhongjinga, czternaście wieków wcześniej. I jak dziś na polskim wigilijnym stole.

Zarówno na ucztę opiewanej przez mistrza Shu Hsi, jak i u Czernieckiego pierogi są pokarmem elit. Tymczasem znali je też chłopci, autorzy porzekadła o św. Jacku. Bo pieróg, przy całym wy rafinowaniu, które zaprowadziło go na stoły cesarzy i chanów, to równocześnie pokarm bardzo praktyczny. I to nie tylko dlatego, że można w nim umieścić trudne w transporcie nadzienie, że stanowi wygodną porcję i dobry jest tak na ciepło, jak i na zimno.

– Poprzez zawijanie nadzienia w ciasto otrzymuje się więcej jedzenia, w biednej kuchni oznacza się pożywienie – podkreśla Monika Kucia. – Poza tym w pierogach nie ma niczego lepszego i gorszego. Gdy dzieli się prosiaka, jedne kawałki są dla króla, inne dla biedoty. Pierogi są demokratyczne – z jednej miski.

Ciasto obrzędowe

Przy całej swojej praktyczności, pieróg otrzymał też szczególne znaczenie i status. Aleksander Brückner w słowniku etymologicznym wywodzi to słowo od prasłowiańskiego *pir* – biesiada, nazywając go ciastem obrzędowym. I rzeczywiście, zwraca uwagę Aleksandra Krupa-Ławrynowicz, pierogi pojawiają się w momentach znaczących, związanych z obrzędowością: – Były pierogi weselne, zwane kurnikami od nadzienia z mięsa kurzego. Były też pierogi żałobne, czyli knysze, podawane na stypie. W styczniu częstowano kołodników pierogami zwanymi „koladki”. W wersji słodkiej pojawiały się też na stołach wielkanocnych. A te grudniowe, wigilijne pierogi wpisują

się w świąteczną symbolikę, wedle której składniki powinny być reprezentacją wszystkich źródeł obfitości: lasów, pól, ogrodów i wód.

Gest zamknięcia, zawinięcia, jest i praktyczny, i magiczny.

– Z jednej strony ciasto otula część znaczącą, staje się symbolem i wróżbą dobra, obfitości, bogactwa – zastanawia się Krupa-Ławrynowicz. – Z drugiej, samo ciasto też ma głębokie znaczenie obrzędowe: wyrobami z ciasta się dzieli.

Monika Kucia wspomina jedno z wydarzeń zeszłorocznego warszawskiego festiwalu Nowe Epifanie. Dwanaście kobiet snuło swoje herstory: – Jedna z nich była o pierogach, a tak naprawdę o zamykaniu w nich sekretu, który ma każda rodzina. I który przekazuje dalej.

W przygotowanym wraz z warszawskim Goethe Institut półgodzinnym filmie „Food: Generations” Kucia przygląda się zza kamery czterem kuchniom, w których babcie i wnuki wspólnie lepia pierogi. Jedna z bohaterek zauważa, że pierogi przechodzą właśnie z dziadków



W pierogach nie ma niczego lepszego i gorszego. Gdy dzieli się prosiaka, jedne kawałki są dla króla, inne dla biedoty. Pierogi są demokratyczne – z jednej miski.

na wnuki. Lubi je lepić co drugie pokolenie. Dokładnie w tym samym rytmie od wieków toczy się przekaz pokoleniowy.

Może tu tkwi właśnie odpowiedź na pytanie, jak to możliwe, że pieróg jest i uniwersalny, i nasz, i elitarny, i praśny, i rytualny jak wigilia, i praktyczny jak bar szybkiej obsługi: bo symbolizuje dzielenie się porcją czegoś dobrego, co ma w sobie?

– Pierogi to dobra propozycja na czas, gdy nie wiadomo, ilu ludzi spotka się ze sobą w święta – mówi Monika Kucia. – Bo możemy je robić razem, a robienie skromnych i prostych rzeczy razem pozwala się skupić na sobie nawzajem. I docenić to, co się ma. ©© MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Korzystałem m.in. z: Rachel Laudan „Cuisine&Empire. Cooking in World History”, University of California Press 2013; Harold McGee „On Food and Cooking”, Scribner 2004; Jen Lin-Liu „On The Noodle Road”, Riverhead Books 2013; Karol Palion, zwidelcemwsrodksiatek.pl.

Przekład fragmentu poematu Shu Hsi z angielskiego za: David R. Knechtges „A Literary Feast: Food in Early Chinese Literature”, „Journal of the American Oriental Society” Vol. 106, No. 1/1986, s. 62.

REKLAMA

10 LAT KONWENCJI STAMBULSKIEJ

16 DNI PRZECIW PRZEMOCY WOBEC KOBIET



**Pobierz
bezpłatnego
E-BOOKA**



Złota nitka

S. ANNA BODZIŃSKA, TEOLOŻKA:

Jezus przychodzi na świat w Bet-Lechem, co oznacza Dom Chleba. Chleb to coś, bez czego trudno żyć. Bóg rodzi się więc tam, gdzie są nasze największe, fundamentalne potrzeby.

MACIEJ MÜLLER: Widziałem napis na murze: „Wśród nocnej ciszy ktoś umiera w lesie”. Taki mamy kontekst tegorocznego Bożego Narodzenia.

S. ANNA BODZIŃSKA: Kiedyś podczas świąt zaintonowałam kolędę „Stille Nacht”, ale jedna z siostr poprosiła, żebym natychmiast przestała. Okazało się, że pamięta z czasów wojny esesmanów, którzy śpiewali tę kolędę, i nie mogła jej słuchać, mimo że minęły dziesiątki lat. Czytając ten napis na murze, można pomyśleć, że człowiek się niczego nie uczy, a już na pewno nie na błędach. To jest beznadzieja, czarna nitka, która przeplata naszą historię. Nadzieja jest z kolei nicią złotą.

Judaizm zna ideę naprawy świata: tikkun olam. Polega ona przede wszystkim na przewyciężaniu bałwochwalstwa, wiary w bożków zamiast w Boga jedynego. Ale chodzi też w niej o działania konstruktywne, korzystne dla drugiego człowieka. Nad tikkun olam zastanawiała się Hannah Arendt, kiedy myślała o przywróceniu światu etycznego celu, jakim miała być światowa miłość. Pytała jednak: dlaczego tak trudno jest kochać świat? Według Arendt naprawa świata jest możliwa dzięki ludzkiemu działaniu, które patrzy w przyszłość i usuwa jej ciężkie brzemiona poprzez przebaczenie. Tikkun olam to niekoniecznie spektakularne czyny – jest w zasięgu każdego człowieka. Do tej idei blisko też chrześcijańskiej miłości świata – *amor mundi*.

Na czym miałyby polegać ta miłość?

Na pewno nie na emocjach – chodzi o troskę o świat mimo okropności, w które on obfituje. Wokół dzieje się tyle

zła, że często chcemy opuścić ręce, powiedzieć, że nie mamy już sił, i że i tak niczego nie da się zmienić. To popadanie w beznadzieję. Nadzieja z kolei polega na pójściu za obietnicą. Przynosi ją Bóg, który nie zostawi człowieka nawet w najgorszym upodleniu, który tak ukochał świat, że dał mu swego Syna. Przełożony trapistów z Tibhirine o. Christian de Chergé napisał kiedyś w życzeniach bożonarodzeniowych, że Bóg zszedł tak nisko na ziemię, że aby Go zobaczyć, trzeba uklęknąć na słomie zółbka – a nie wpatrywać się w niebo. Mam nadzieję, że w Kościele w Polsce pozostanie z okresu pandemii jedna zmiana: przyjmowanie komunii na rękę. Bo w tym geście doświadczamy tego, że Bóg kładzie się na nasze dłonie. Pozwala na to, bo chce, byśmy Go poznali.

Anioł obiecał Maryi, że Jezus będzie „kimś wielkim i będzie nazwany Synem Najwyższego; da Mu też Pan Bóg tron Jego ojca Dawida. Będzie On królował nad domem Jakuba na

wieki, a Jego Królestwu nie będzie końca”. To obraz bizantyjskiego Pantokratora. Rzeczywistość była inna: poród w stajni, a 33 lata później śmierć w hańbie.

Bo taki jest Bóg... Nie sądzę, żeby Maryja czuła się oszukana, bo dobrze знаła Biblię i wiedziała, na co się decyduje, mówiąc Mu „tak”. Kantyk „Magnificat”, który wyśpiewała, cały był utkany z cytatów biblijnych. Wspomniała w nim o obietnicy danej Abrahamowi, który jako pierwszy odpowiedział na propozycję Boga, zaufał nadziei wbrew nadziei.

W parasy, fragmencie Tory przewidzianym do komentowania w szabat, Bóg kieruje do Abrahama słowa „Lech-Lecha” – „wyjdź dla siebie”. Obietnica polega na tym, że on nie ma opuścić domu swego ojca dla Boga, tylko dla siebie samego. Obietnica otwiera na nadzieję – która jest czymś dynamicznym – zostaje wypowiedziana tu i teraz, ale otwiera się w stronę przyszłości. Abraham słyszy, że Bóg da mu ziemię,

ANADOLU AGENCY





La Joya w stanie Teksas, USA maj 2021 r.

zniszczył posąжки. Kij, którym się posłużył, wsadził w ręce największego z nich. Kiedy wrócił ojciec, Abraham powiedział: „Zobacz, kto trzyma kij”.

Nie bardzo rozumiem, co wynika z tej historii...

Na przykład to, że świat bożków to nieustanne kłótnie, zazdrość i niszczenie innych. Ona mówi też o pokładaniu nadziei w niewłaściwym miejscu. Taki błąd wielokrotnie popełniał Izrael – obietnice, które otrzymał od Boga, przełożył na pomniejsze przymierza, na własne siły, zapominając o Bogu i Jego obietnicach. W końcu zawsze wchodził w przestrzeń beznadziei i odkrywał, że Boga w niej nie ma. Musiał zawrócić, by odnaleźć nadzieję, obietnicę i miłość. Nie bez powodu współczesny hymn Izraela brzmi „*Ha tikwa*”, czyli „Ta nadzieja”.

W Ewangelii nadzieja łączy się z wiarą i miłością. Nadzieja jest wychylona w przyszłość – patrzy, dokąd można pójść, by szukać Boga. Ale równocześnie musi być zakorzeniona w Bogu.

Wiara, nadzieja i miłość to nie są rzeczy, na które można sobie zasłużyć. One są darem – czymś, co się nie należy, czymś niezasłużonym, czego nie wypracowaliśmy. Nie przez przypadek Bóg przychodzi do nas jako dziecko – bo tylko dziecko potrafi bezinteresownie przyjąć coś tak wspólnego. My też mamy się stać jak dzieci, skoro Chrystus nazywa nas dziećmi i dzieżdicami. Czyli nie tylko nosimy w sobie genotyp Boga, ale mamy jeszcze otrzymać wszystko, co do Niego należy.

Teraz ja opowiem o przestrzeni beznadziei. Wielu poczuło ją po tym, jak papież Franciszek w marcu 2020 r. modlił się na pustym placu św. Piotra o ustanie pandemii – i nie zdarzyło się nic.

To pytanie o nasz obraz Boga. Czy to ktoś, kto ma zrobić wszystko, czego oczekujemy, jeśli tylko znamy odpowiednie słowa, by o to poprosić? Bóg przekracza nasze myślenie o świecie i o wszelkich zjawiskach. Często nie wysłuchuje naszych modlitw i można powiedzieć: całe szczęście. Chcielibyśmy zmienić świat na własną modłę, ale nie widzimy wszystkich skutków naszych pragnień, nie jesteśmy bogami. Świat jest wprowadzie już zbawiony, ale ten proces jeszcze się →

uczyni go wielkim narodem i że wszystkie rodziny ziemi będą przez niego błogosławione. Wychodzi więc dla siebie, otwiera przestrzeń nadziei, a ona skutkuje błogosławieństwem dla wszystkich. Tak się też dzieje w naszych życiach. Kiedy słyszymy w sercu głos Boga i odpowiadamy pozytywnie, to owocem tego zaufania prędzej czy później będzie dobro dla innych.

Powiedziała Siostra: „bo taki jest Bóg”. Czyli jaki?

Mam wrażenie, że myśląc o Bogu, mamy odwróconą perspektywę. Wyobrażamy sobie, że kiedy On zadziała w naszym życiu, wszystko zmieni się na lepsze. W takim ujęciu Maryja rzeczywiście mogłaby czuć się rozczarowana warunkami, w których rodzi. Ale popatrzmy inaczej. To Bóg przychodzi do nas w tych skrajnie trudnych warunkach. Rodzi się w Bet-Lechem, co oznacza Dom Chleba. Chleb to coś, czym się dzielimy, coś podstawowego, bez czego trudno żyć.

Bóg rodzi się więc tam, gdzie są nasze największe, fundamentalne potrzeby.

Niestrudzenie szuka człowieka, chce być poznany, chce być z nami bez względu na okoliczności. Tak jest w każdym życiu: nawet jeśli w człowieku nie ma warunków do przyjęcia Boga, jeśli według własnego – i innych – pojęcia nie zasługuje na spotkanie, to Bóg i tak będzie się o niego dopominał. Będzie stał u drzwi i kołatał. Na obrazie Williama Holmana Hunta „Światłość świata”, przedstawiającym tę scenę z Apokalipsy, widać, że te drzwi nie mają od zewnątrz klamki. Bóg może tylko pukać i czekać, aż ten, kto mieszka w środku, usłyszysz i otworzy.

Z nadzieją jest podobnie – żeby wejść w jej przestrzeń, najpierw trzeba nasłuchiwać. Maryja była w stanie odpowiedzieć aniołowi, bo najpierw słuchała. Podobnie było z Abrahamem. Jeden z mi-draszy opowiada o tym, że jego ojciec handlował figurkami bożków. Pewnego dnia zostawił w sklepie Abrahama, a ten

→ dokonuje – stąd tyle zła i krzywdy wokół. Nadzieja pozwala myśleć, że ta sytuacja nie jest ostateczna – i pokazuje nam przestrzeń do zagospodarowania.

Pragniemy świata idealnego – bez wojen, w którym dzieci nie umierają na śmiertelne choroby. Biblia mówi o czasach ostatecznych, w których tak faktycznie będzie. Chrystus przyjdzie w chwale, starzec dożyje swoich dni, młody nie umrze przed czasem, Bóg otrze z naszych twarzy każdą łzę. To jest nadzieja, którą karmi się każdy chrześcijanin i Żyd.

Brzmi naiwnie...

Po ludzku – tak. Ale nie zapominajmy, na jakim Bogu opiera się ta nadzieja. Bóg to „Amen”, czyli ktoś wierny, na kogo można liczyć, kto nie zmienia zdania i nigdy się nie zaprze. Żyjemy w rzeczywistości, którą każdy może zmieniać na swój mały sposób poprzez tikkun olam. Nie każdy człowiek chce tej zmiany. Wiele nieszczęść nie przychodzi spoza nas, ale sami jesteśmy ich twórcami – żeby tylko wspomnieć o kryzysie klimatycznym.

W sytuacji beznadziei nie zatrzymwałabym się nad pytaniem, dlaczego doszło do takiego czy innego nieszczęścia, tylko: w jakiego Boga wierzę. Abraham zniszczył obrazy bożków, nie chciał na nie patrzeć, ponieważ zaburzały mu obraz Boga jedyne. Począwszy od Abrahama, a skończywszy na Chrystusie, jest wypowiedziana obietnica o Kimś, kto chciał się zanurzyć w naszej beznadziei. Pośród niepewności naszego życia warto mówić: „tak”. Zrobimy pierwszy krok, by odnowić świat, a owoce nadejdą. Bóg zrobi resztę w swoim czasie.

Obrazy Bożego Narodzenia skupiają się często na świetle rozpraszającym mrok. Przychodzi Chrystus, jako światłość świata, i rozświetla najdłuższą noc w roku. Żyjąc nadzieją, sami stajemy się źródłem światła dla innych.

Wróćmy jeszcze do tego, jak Bóg podchodzi do naszych prośb.

W Liście do Hebrajczyków czytamy o Chrystusie, że „z głośnym wołaniem i płaczem za dni cięła swego zanosił On gorące prośby i błagania do Tego, który mógł Go wybawić od śmierci, i został wysłuchany dzięki swej uległości”. Jak to: został wysłuchany, skoro zginął straszną śmiercią?



JACEK TARAN

SIOSTRA ANNA BODZIŃSKA NDS (ur. 1968) jest zakonnicą w zgromadzeniu Notre Dame de Sion. Ukończyła studia teologiczne w Warszawie i w Lyonie oraz psychologiczne w Krakowie. Od 2004 r. mieszka w Polsce, gdzie współzałożyła polski dom NDS. Jest formatorką zakonną oraz pełni funkcje zarządcze w liceum francuskim NDS w Stambule. Organizuje spotkania i rekolekcje inspirowane tradycją chrześcijańską i żydowską, prowadzi wykłady dla chrześcijan z podstaw judaizmu i korzeni chrześcijaństwa. Należy do kilku gremiów zajmujących się dialogiem ekumenicznym i międzywyznaniowym, m.in. Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów.

Kluczowe jest to, o co dokładnie Chrystus prosi – tekst tego nie podaje. Może o wytrwanie w postanowieniu oddania swojego życia za wszystkich? W Ogrójcu prosi o oddalenie kielicha, ale zaraz dodaje: „nie moja, ale Twoja wola”. Jezus jest człowiekiem, ale również Bogiem, więc wie, o co prosi, i widzi wszystkie tego konsekwencje. Zostaje wysłuchany, bo zmartwychwstaje. Myślę, że warto przerzucić karty Ewangelii i poszukać innych prośb Chrystusa. One wszystkie zostają wysłuchane. Prosi o Piotra, by jego wiara wystarczyła – i Piotr ostatecznie nie ulega pokusie. Prosi, „aby byli jedno” – i ruch ekumeniczny wytrwale szuka drogi do jedności Kościoła. Prosi, „aby świat Go poznał”...

W relacji Mateusza o Bożym Narodzeniu Bóg ręcznie steruje przebiegiem wydarzeń, kilkakrotnie instruuje Józefa, co ma zrobić. Czy Biblia nie opowiada tu pociesza-

jącej bajki? Bo gdzie jest taki anioł w doświadczeniu ludzi, którzy zamierzają w lesie?

Aniołowie chcą do nich przyjść, ale mają utrudnioną drogę. Anioł to nie tylko niematerialna postać z naszych wyobrażeń, możemy być nimi my sami – dla każdego człowieka. Niekoniecznie jadąc na Podlasie, także tu, na miejscu, według własnych zdolności, możliwości i odwagi. Choćby zbierając baterie czy żywność dla migrantów.

Bóg, owszem, steruje ludzkimi dziejami, ale bierze pod uwagę naszą wolność. Z każdym porozumiewa się zgodnie z jego zdolnościami słuchania. Do Maryi przyszedł anioł – by ją zapytać, a nie poinformować! – a Józef otrzymał widzenie we śnie. Przeżywał strach związany z zaskakującą dla niego ciążą Maryi i zastanawiał się, jak postąpić. Nie na zasadzie „co ludzie powiedzą”, tylko – co zrobić z Maryją, z sobą, z własnym życiem? Moim zdaniem Bóg jest bardzo czuły na takie wewnętrzne dialogi. W końcu Józef podjął decyzję o oddaleniu Maryi. Myślę, że nie miał żadnej pewności, wciąż się wahał. My też nieraz musimy się na coś zdecydować, chociaż pozostaje w nas niedosyt; wiemy, że nie wiemy. Józef wykazał się nadzieją, składając wszystko w ręce Boga – i otrzymał pomoc. Zauważmy, że ona nie polegała na żadnym cudownym działaniu: Józef sam miał wszystkiego dokonać. Bóg odpowiada, co zrobić, żeby było najlepiej, ale to człowiek musi wyruszyć w drogę: „Lech-Lecha”.

Nadzieja Bożego Narodzenia polega na tym, że Bóg jest z nami i będzie aż do skończenia świata. Lubię latać samolotami – bo nawet kiedy na ziemi jest fatalna pogoda, to doświadczam momentu przebicia się przez chmury. Słońce zawsze tam jest. Myśl o tym bardzo mi duchowo pomaga. Problem w tym, żebyśmy w pewnym momencie nie pomyśleli, że damy radę samodzielnie. Bo to by było powtórzenie błędów Izraela – położenie złudnych nadziei w bożkach.

Dlaczego Bóg ostrzegł przed Herodem rodziców jednego dziecka, a wystawił na jego zemstę setki innych?

Ta opowieść prawdopodobnie nie jest historyczna, więc podchodzimy do niej raczej jak do apokryfu chrześcijańskiego.

Niemniej Mateusz widzi w niej sens, skoro opatruje ją cytatem z Jeremiasza: „Rachel optakuje swoje dzieci, nie daje się pocieszyć, ponieważ ich już nie ma”. Rozmawiamy o nadziei, więc spytam: czy istnieje sposób, żeby pocieszyć Rachel?

Po ludzku nie ma żadnego. Nie da się niczego powiedzieć matce, której niemowlę zabito na jej oczach. Wobec takiego zła jesteśmy bezbronni.

Jedyny obraz, który może przynieść nadzieję, to Chrystus na krzyżu. Oddał za nas swoje życie – taka jest odpowiedź Boga na ludzkie cierpienie. Nie są nią na pewno dywagacje przyjaciół Hioba o tym, że cierpienie jest odpowiedzią na grzech.

Sam Hiob też chce zrozumieć, dlaczego spotkało go niebywałe cierpienie. Jednak w końcu wycofuje się i mówi: „Odwołuję, co powiedziałem, kajam się w prochu i w popiele”. Co takiego ujrział Hiob?

Ja odczytuję tę księgę w kluczu eschatologicznym. My, podobnie jak Hiob, ostatecznie stracimy wszystko: dom, majątek,

Wyobrażamy sobie, że kiedy Bóg zadziała w naszym życiu, wszystko zmieni się na lepsze. W takim ujęciu Maryja mogłaby czuć się rozczarowana warunkami, w których rodzi.

rodzinę, przyjaciół. Ale Bóg obiecuje, że zyskamy wszystko nowe. Śmierć nie ma ostatniego słowa. Kluczem tej opowieści jest więc także nadzieja. Może to ją Hiob zobaczył, zrozumiał i przyjął jako swoją? Zmieniła mu perspektywę patrzenia.

W judaizmie nazywa się to teszuwą – zawróceniem z niewłaściwej drogi. Bóg nie opuszcza nas nawet na tej złej ścieżce. Widzimy, jak dołącza do uczniów idących do Emaus. Oni już stracili nadzieję i uciekają z Jerozolimy. Spotykają podróżnego, który zaczyna wyjaśniać im

Pisma. Z pewnością rozmawiają o Abrahamie, bo od niego zaczynają się wszystkie rozmowy Żydów. Słuchają, ale jeszcze nie słyszą. Nadchodzi jednak czas odpoczynku, siadają do wspólnego posiłku. I właśnie w tym czasie rozpoznają Jezusa. Wstępuje w nich taka nadzieja, że czują się na siłach, by z miejsca wrócić do Jerozolimy.

Żołęźciel mojego zakonu, o. Alphonse-Marie Ratisbonne, pochodził z żydowskiej rodziny, ale nie wierzył. Podczas wizyty w Rzymie w 1842 r., kiedy zwiedzał rzymską bazylikę św. Andrzeja delle Fratte, doznał objawienia Maryi. W pewnej chwili przyjaciół, z którym tam był, spostrzegł go klęczącego przed jednym z ołtarzy. O. Alphonse-Marie opowiadał potem, że widział światło, a w tym świetle jasność. I że Maryja niczego mu nie powiedziała, ale wszystko zrozumiał.

Czasem potrzebujemy ciszy, żeby usłyszeć. Cisza żłóbka pomaga usłyszeć, kim jest Pan Bóg, dlaczego stał się człowiekiem i dlaczego urodził się właśnie tam.

© P Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

REKLAMA



Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

Wystawa narracyjna

• czynna godzinę przed spektaklem na Dużej Scenie Teatru

ARCHIWUM OPOWIEŚCI — TEATRALNYCH — PARADYZ

Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, III piętro · pl. Św. Ducha 1
więcej informacji na: www.teatrwnakrakowie.pl

Zakup sprzętu w ramach projektu: Modernizacja infrastruktury technicznej Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie wraz z zakupem wyposażenia do prowadzenia działalności kulturalnej.

Program Operacyjny Infrastruktura i Środowisko 2014–2020

Oś priorytetowa VIII Ochrona Dziedzictwa Kulturowego i Rozwój Zasobów Kultury

Działanie 8.1 Ochrona Dziedzictwa Kulturowego i Rozwój Zasobów Kultury

Rzeczy

MARCIN ŻYŁA

U mnie w pracy stoją worki na ubrania. Pod biurkiem znajduję buty w nie moim rozmiarze. Kiedyś myślelibyśmy o ubraniach, czy są ładne. Teraz zastanawiamy się tylko: czy są ciepłe? Dokąd poszły z nimi w świat?

PAULINA: – ZMIENIAJĄ SIĘ JAK POGODA. GDY ZACZYNAŁAM, w magazynie były śpiwory do minus pięciu stopni. Trzy tygodnie później już do minus dwudziestu pięciu.

Helena: – Spływa pomoc zmasowana. Tysiące ludzi w kraju, wypełniając codzienne domowe obowiązki, myślami są blisko nas. To trudne – być blisko takimi myślami.

Kamila: – Stąd, przez okno, też inaczej patrzę na Puszczę. Zawsze piękna jest tu jesień, potem czeka się pierwszego dnia ze śniegiem, żeby wyjść na sanki. W tym roku patrzę i widzę głównie termometr. Minus sześć. Czy mają suche skarpety?

Monika: – Tu jest dużo bagien, pod śniegiem niewidocznych. Czasem sami w nie wpadamy.

Kamila: – Minus sześć. Czy mają zapalki, żeby rozpalic małe ognisko?

Woda, dar

Małgorzata: – Najpierw trzeba nakarmić. Podać zupę, ciepłą, słodką herbatę. Ciepłe jedzenie. Energetyczne batony, które zabiorą ze sobą. Ciepłe rękawiczki, skarpety, spodnie, bieliznę termiczną, kurtkę i buty. Śpiwory i wodoodporne nakładki na nie. Folie rozgrzewające, które zakłada się pod kurtki...

Katarzyna: – Podgrzewacze do rękawiczek...

Paulina: – Patrzysz na te wszystkie rzeczy i myślisz, co może się wydarzyć. W jakim są stanie.

Małgorzata: – Plastry do opatrzenia obolałych stóp, pudry, maści, termometr. Mężczyzn częstujemy papierosem, kobietom dajemy podpaski i inne środki higieny osobistej.

Anna: – Przez 30 lat nasza fundacja kupowała sprzęt medyczny, rentgeny i tomografy warte miliony złotych. Teraz kupujemy ogrzewacze do rąk, koce, skarpety. Okazuje się, że kubek ciepłej herbaty ma taki sam wymiar jak tomograf.

Małgorzata: – Czy to dar? Darem byłoby dać im schronienie. To forma podtrzymania przy życiu. Rzeczy, które im się należą.

Helena: – Nikt z nas nie był w sytuacji, że przez cztery dni spijał tylko rosę z liści albo wodę z bagien. A tu podchodzisz do grupy i słyszysz najpierw po arabsku *ma'*. Wody. Jakoś mi do tej wody nie pasuje słowo „dar”. Oni to powinni mieć.

Magdalena: – Spotkaliśmy się, zorganizowaliśmy się niezależnie, w wielu miejscach kraju. Może dlatego, że uzna-

jemy się za część wspólnoty, obywateli państwa, które nie wywiązuje się ze swoich zobowiązań?

Paulina: – Skala jest gigantyczna. Przyjeżdżają całe palety plecaków. Gdy zgłasza się zapotrzebowanie na konkretną rzecz, w ciągu góra trzech dni jest już w magazynie. Dwieście powerbanków. Setki telefonów.

Małgorzata: – Mam wrażenie, jakby wszyscy, którzy pomagają wolontariuszom idącym do lasu, byli dla nich 24 godziny na dobę.

Rozumienie świata

Kamila: – W Borku i Hajnówce ludzie zorganizowali się szybko. Zaczęli wynosić swoje rzeczy z domu, nie oczekując nic w zamian. Ani nie pytając, do kogo trafią.

Paulina: – W pierwszej połowie listopada na ulicach Białowieży złapano siedmiu chłopaków. Wiadomo było, że zostaną wywiezieni z powrotem do lasu. W ciągu kilku minut z domów naokoło wybiegli ludzie z rzeczami. Nie tylko z jedzeniem.

Paulina: – Spotykam ludzi, którzy chcą dawać pieniądze, tak prywatnie. Gdy komuś psuł się samochód, zdarzało się, że laweciarze i mechanicy rezygnowali z pieniędzy.

Magdalena: – U nas w Cieszynie granica jest oczywistym elementem rozumienia świata. Od początku wiedzieliśmy, że trzeba zareagować. Pierwszy impuls: stanąć na naszym polsko-czeskim moście. Zaznaczyć się w przestrzeni miasta. Pokazać, że jesteśmy.

Helena: – Dziś była pani z Poznania, tylko na chwilę, przywieźć rzeczy, potem wróciła do domu, do swoich dzieci. Krótka rozmowa z kimś, kto nie godzi się na bezsilność, nawet nie patrząc na to, jak to jest odbierane. Byliśmy po nocy poszukiwać 4-letniej Eileen. Ta pani powiedziała, że gdyjechała przez pół Polski, przyszła jej też do głowy myśl, żeby zostawić rzeczy i szukać jej w lesie.

Misie

Kamila: – Taka scena. Na podłodze w domu dziele ubranka dziecięce na rozmiary. Przychodzi mój 3,5-letni syn. Pyta, dla kogo to robię. „Dla dzieci, które nie mają domu” – odpowiadam. „Jak nie mają domu, to nie mają gdzie odpocząć?” – pyta. „Nie mają gdzie. Nie mają też ubranek”. „A czy mają zabawki?”. Za chwilę syn przynosi swojego ulubionego dinozaura. Mówi, że odda go jakiemuś chłopcu bez zabawek. „Ja go lubię, to może ten chłopiec też go polubi” – mówi.

Monika: – Było to dziwne i straszne, kiedy pomyślałam, że komuś może się przydać moja kołderka dziecięca. Z czasu, gdy sama byłam dzieckiem. Moja osobista, którą, no wiesz...

Elżbieta: – Wzrusza mnie, gdy do naszego punktu przyjeżdżają rodziny z dziećmi. Pokazują, jak należy się dzielić. Każde dziecko witam w dwójnasób. Staram się, żeby mu było u nas miło.

Monika: – Dajemy misie. Dzieciom, zwłaszcza tym najmłodszym. Jako namiastkę bezpieczeństwa, domu, aby poprawić nastrój. To używane misiaki, które razem z ubraniami przysyłają ludzie z całej Polski.

Helena: – Znajoma przywoziła małego misia, swoją przytulankę z dzieciństwa. Bardzo dla niej ważną. Wtedy



Borys Fiodorowicz „Cicha Noc”, 2021 r.

nie było jeszcze wielu interwencji i dzieci nie spotykało się w lesie zbyt często. Ale trzy dni później Klara pojechała na interwencję do rodziny z dwójką małych chłopców. Jeden z nich miał dziecięce porażenie mózgowe. Jakoś w ostatnim momencie spakowała ze sobą tę przytulankę.

Darowany czas

Paulina: – Sąsiaduję okno w okno ze Strażą Graniczną. Gdy zaczynałam pomagać, najpierw poszłam do nich. Powiedziałam, że będę pomagać w lesie, i że możemy się tam spotkać, po przeciwnej stronie. Odpowiedzieli: pewnie, pomagaj, tylko nie rób nic głupiego.

Kamila: – Dzieli nas tutaj ta sytuacja. Czy powinno się pomagać, czy powinno się „stanać murem za polskim mundurem?”. Władza przedstawia to tak, jakby współczu-

cie migrantom oznaczało występowanie przeciw funkcjonariuszom. Ale policjantom i strażnikom granicznym też mogą coś dać. Nic mnie przecież nie kosztuje, żeby temu, kto setny raz mnie kontroluje, wciąż mówić na koniec „milego dnia”.

Paulina: – Straż czasem podaruje czas. Moja koleżanka zadzwoniła kiedyś na komendę, mówiąc, że ma grupę, która chce złożyć azył, ale potrzebuje jeszcze dwóch godzin. „Dobrze, przyjedziemy za dwie” – usłyszała.

Dokąd poszły?

Natalia: – Pamiętam blender. Kiedyś w Warszawie zgłosiła się do nas pani uchodźczyni z pytaniem, czy pomożemy jej znaleźć blender. Zaczęła się wśród nas dyskusja: blender to nie jest towar pierwszej potrzeby. Udało się go jednak

→

→ zorganizować. Gdy go przekazywałam, okazało się, że potrzebuje go, bo jej syn ma schorzenie układu pokarmowego i powinien jeść rozdrobnione jedzenie. Dla niej to był arykuł pierwszej potrzeby.

Monika: – Pamiętam dobrą, górską kurtkę, którą dała żona pana zmarłego na covid.

Katarzyna: – Pamiętam zupy. Często konsultowane z dietetykami, żeby były kompletne i jednocześnie zdrowe dla osób, które mogły nie jeść przez kilka dni. Zawekowane, dokładnie rozlane, opisane, dostajemy je czasem z drugiego końca Polski. Przyszły też ręcznie robione batoniki z daktylami i orzechami, zawinięte w folię śniadaniową i z doczepionymi karteczkami, na których ktoś napisał: „Jesteś wielka”, „kocham cię”. Dary z Francji opisano: „Karawana bez granic”.

Kamila: – Są też nieoficjalne magazyny. Czasem za drzwiami stoją worki na ubrania. Pod biurkiem buty w nie moim rozmiarze. Kiedyś myślelibyśmy o ubraniach, czy są ładne, czy są modne. Teraz zastanawiamy się tylko: czy są ciepłe? Dokąd poszły z nimi w świat?

Nie przestać

Anna: – To fantastyczne, że jest tak wielu ludzi, którzy chcą pomagać. Choć mają często różne podejście do polityki, w tym do ochrony granic.

Magdalena: – Może podświadomie czujemy zagrożenie, że można przestać być człowiekiem? Chrześcijaństwo mówi o zatwardzaniu serc. Że można iść w jakimś dobrym kierunku, ale potem nagle przestać. W psychoterapii jest ter-

min „wyparcie” – wypieramy jakąś rzeczywistość, ponieważ jest trudna. Ale mówią nam mędrcy psychoterapeuci i mędrcy teologowie, że to jest pozbawianie się człowieczeństwa.

Że wtedy jest w nas mniej z człowieka.

Katarzyna: – To było niedawno. Nocna interwencja, trójka Syryjczyków, dajemy im żywność i ciepłe ciuchy. Miejsce nie jest komfortowe, blisko drogi, więc trzeba się spieszyć. Ale chwilę żartujemy. Na pożegnanie jeden z nich mówi, że chce mi coś zostawić. W ciemności nocy wkłada mi coś do dłoni, żegnamy się. Dopiero później widzę, że to metalowo-płócienna bransoletka z krzyżem i Chrystusem w koronie ciemniowej.

©P MARCIN ŻYŁA



JACEK TARAN

Zbiórka rzeczy dla migrantów na granicy polsko-białoruskiej. Kraków, 5 grudnia 2021 r.

Dziękuję za rozmowy:

Katarzynie Nowak, wolontariuszce Grupy Granica; Paulinie Szymurze, mieszkance Białowieży; Helenie Żółtowskiej, wolontariuszce Klubu Inteligencji Katolickiej

w Warszawie; Kamili Plis, sołtysce wsi Borek k. Hajnówki; Monice Toporek, wolontariuszce Grupy Granica; Małgorzacie Grygierczyk ze stowarzyszenia Salam Lab; Annie Orzech, rzeczniczce prasowej Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy; Magdalenie Szczeponek-Kłodzie z inicjatywy Granica dla Granicy i Ewangelicy dla Granicy (Cieszyn); Elżbiecie Paszkowskiej, dyrektorze Podlaskiego Oddziału Okręgowego Polskiego Czerwonego Krzyża w Białymstoku; Natalii Gebert z inicjatywy Dom Otwarty (Warszawa).

Kup komplet odświeżny i zadбай o dobry nastrój*

Napisz na zamowienia@TygodnikPowszechny.pl a my zajmiemy się resztą!

Tylko **35 zł za komplet** + przesyłka w prezencie

*oferta ważna do wyczerpania zestawów



blisko z daleka



Maria Karpowicz

Tymoteusz Karpowicz

Andrzej Falkiewicz

Krystyna Miłobędzka

listy 1970–2003

Nasłona radiańskiego audu
rostała tak, jak Pau.
napisał w różnych kptkach
zgodnie i zarządca Kij
Kau, że tam są Troch
schowadani na postacie
w skrytce. To było w par-
dzieńku. Dni pierwszy
mieszki (-5) mied, ale ma
to być dużo więcej.
Na święta przybrał dzieci-
ci z Maciejem (skoukry i la-
ta), Kupstau chorak z zie-
mą, który dzieńka wadnie po-
tenc do ogrodu. Jest bardzo
drzewne z wrenku pasowu-
lou i gty pod spodem srebrne.
to serbski i rerek, który rośnie
w gorach.
Jedliwie radus przylatywać po
rochowie (stouwa) i klonu gr-
tu mało, że to dużo wrota, rok-
tyuogarnie, sojek, drzezi obw-
Quartet zielonych! i jedne piat-
ki awiaue z margaryt.
Cienę są, że miedruo ludnej
Paulowa zabawy i uatuje
K.

Pięć Narodowe
1997

Dochana Paul Maryllo,
Dochany Paul Tyuotenu,
mied Paulstra iefuwa,
klask, cępro, radość tyd
Smyt (i mała uscisłki),
a Nowy Rok drzeje się
najpokręśliwiej (od ma-
stad w ogrodzie pnek
serca i simeuia domu
rkaty aż po całe Pres-
tnei)

Krystyna
i Andrzej

PREMIERA KSIĄŻKI: GRUDZIEŃ 2021

WYDAWNICTWO.OSSOLINEUM.PL

FACEBOOK.COM/WYDAWNICTWOOSSOLINEUM

REKLAMA



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Granice naszych granic

O. NIKODEMUS SCHNABEL OSB, WIKARIUSZ PATRIARCHALNY
DLA MIGRANTÓW I AZYLANTÓW W IZRAELU:

Troje uchodźców do Egiptu staje się błogosławieństwem dla ludzi. To odwrócenie perspektywy, z której rozmawiamy dziś o uchodźcach.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET:

Tu, w Izraelu, na termometrze prawie 30 stopni, ale w Polsce właśnie spadł śnieg. I o tym nie mogę przestać myśleć. O ludziach w śniegu na polsko-białoruskiej granicy. O wolontariuszach, którzy wchodzą do lasów i nie mogą zrobić nic poza udzieleniem doraźnej pomocy. Jak żyć z dramatem, do którego opisania brakuje słów?

O. NIKODEMUS SCHNABEL OSB: Bezsilność to w tej sytuacji bardzo trudne uczucie. Jest wiele rzeczy, na które ja, chrześcijanin, mam wpływ. Mogę się modlić, mogę wesprzeć organizacje niosące pomoc albo samemu zostać wolontariuszem. W demokracji mogę też głośno powiedzieć władzy, co o tym wszystkim myślę. I tutaj właściwie moje możliwości się kończą.

Świadomość tej tragedii nas wyczerpuje, bo po raz kolejny okazuje się, że nie wszystkie etyczne problemy, z którymi musimy się dzisiaj mierzyć, można rozwiązać na poziomie osoby. To nie jest kwestia dotycząca wyłącznie teologii moralnej, odpowiadającej na pytanie o to, co ja mogę zrobić w tej sytuacji jako człowiek. To szersze pytanie: o etykę społeczną, o to, co możemy zrobić razem. O wspólną odpowiedzialność. Tak samo w przypadku grzechu: Kościół mówi, że nie tylko osoba może popełniać błąd, ale także struktury mogą być grzeszne.

W dyskusjach środowisk katolickich powraca jeszcze jedna zasada: Tomaszowe „ordo caritatis” – porządek miłości. Mówiąc krótko – mamy najpierw kochać „swoich”. Politycy wykorzystują to hasło, uzasadniając nim konieczność obrony granic za wszelką cenę, a w konsekwencji też brak reakcji na śmierć migrantów na granicy. W naszym „porząd-

ku miłości” zajmują oni odległe miejsce.

Na początek uporządkujmy wiedzę, przyglądając się społecznej nauce Kościoła, encyklikom – od „Rerum Novarum” (Leon XIII, 1891 r.) do „Fratelli Tutti” (Franciszek, 2020 r.) – bo to one są oficjalnymi dokumentami Kościoła podsuwającymi konkretne rozwiązania.

Zasada solidarności podkreśla odpowiedzialność za bliźnich niezależnie od tego, gdzie żyją. Zasada pomocniczości mówi o tym, że jeśli mała grupa lub jednostka potrafi sobie poradzić z jakimś problemem, to władza nie powinna w to ingerować. Istnieje też zasada dobra wspólnego. Ale pośród tych wszystkich zasad mamy jedną nadrzędną – personalizmu, mówiącą o służbie osobom. Wychodzi ona z założenia, że każda istota ludzka ma szczególną godność, bo została stworzona na obraz i podobieństwo Boga.

W tej perspektywie każda granica ma swoją granicę, i jej przebieg opiera się właśnie na tej zasadzie: na wizerunku Boga w człowieku. Dlatego nie mam wątpliwości, że katolicka odpowiedź na tę kwestię jest tylko jedna: nie możesz zamknąć granicy przed ludźmi, którzy na niej umierają. To nie jest żaden lewicowy wymysł – to jest pomysł katolicki. Kościół naucza tego od dekad. Taka jest nauka płynąca od „Rerum Novarum” po „Fratelli tutti” i niczego więcej tutaj nie wymyślimy.

W kwestii „ordo caritatis” i reakcji polityków: oczywiście boli takie upolitycznianie religii czy ureligijnianie polityki. W Europie to bardzo silny trend. Szczególnie widzimy to na przykładzie prawicowego populizmu, który mocno przytula chrześcijaństwo i zapewnia o broniieniu go na przykład przed świeckością i islamizacją, o obronie jego „tożsamości”.

To jest toksyczna współpraca – papież Franciszek nazywa jej przejawy „koalicją

nienawiści”. Chrześcijaństwo nie jest tożsamością czy kulturą, której należy bronić – jest religią. Wspólnotą ludzi połączonych chrztem, wierzących w stworzenie człowieka na obraz i podobieństwo Boże. Jeśli populistą mówi: chronię nas przed drugim człowiekiem, nie jest to myślenie chrześcijanina. Podobnie jeśli dzieli ludzi na kategorie i mówi: ty zasługujesz na moją miłość, ale tamten już nie. Nie możesz być równocześnie katolikiem, chrześcijaninem i rasistą, nacjonalistą. To jest przeciwne naszej wierze.

Chuligani wiary szukają tożsamości. Chrześcijanin szuka wiary, relacji z Bogiem. I kropka.

W perspektywie ostatnich wydarzeń szczególnie wybrzmiewa nowotestamentalna opowieść o narodzinach Jezusa i o uchodźstwie Świętej Rodziny. Co ciekawe, pojawia się tylko u św. Mateusza, w pozostałych księgach nie ma po niej śladu. Wierzyć ewangelieście czy nie? Jezus był uchodźcą?

Z historycznego, krytycznego punktu widzenia – nie wiemy tego. Ale Biblia nie jest książką historyczną, tylko opowieścią o relacji, którą Bóg buduje z człowiekiem. A więc z punktu widzenia Biblii oraz tradycji Kościoła – tak, Jezus był uchodźcą. Dobrze widoczne jest to w tradycji egipskiej, koptyjskiej: na trasie uchodźczej wędrowki Świętej Rodziny można dziś odnaleźć wiele kościołów i klasztorów, które są pamiątkami po kolejnych postojach Jezusa, Maryi i Józefa. Ujmuję mnie koncept, który stoi za powstaniem tych kościołów: trójka uchodźców staje się błogosławieństwem dla ludzi, których spotykają na swojej drodze.

Wątek uchodźcy, który staje się błogosławieństwem, pojawia się również w innych tradycjach. Na przykład w tradycji starotestamentalnej, żydowskiej: oto Elias, który ucieka w okolice Sydonu i tam zatrzymuje się u biednej wdowy. Jego obecność staje się dla niej błogosławieństwem: przybysz wskrzesza jej zmarłego syna. Oczekiwanie na Eliasza i brak lęku przed przybyciem wyraża się w przebiegu paschalnego Sederu, gdy drzwi zostawia się otwarte, a przy stole ustawia puste krzesło.

Co z kolei przychodzi na myśl polską tradycję wigilijną: talerz dla zbłąkanego wędrowcy.



Gaza, Palestyna, lipiec 2014 r.

Także w tradycji mojego zakonu ten przybysz, nieznany, gość, uchodźca nie jest ciężarem. Wręcz przeciwnie: należy go przyjąć, bo istnieje szansa, że pod łachmanami kryje się Chrystus.

To perspektywa, której tak bardzo brakuje mi w dzisiejszych dyskusjach wokół uchodźców. Koncentrujemy się na analizowaniu, jak sobie poradzić „z tym problemem”, a zupełnie nie widzimy, jakim błogosławieństwem mogłoby się dla nas stać spotkanie z nimi.

Jest wreszcie 25. rozdział Ewangelii św. Mateusza, a w nim wizja Sądu Ostatecznego i pasterz oddzielający owce od kozłów. I mocne słowa Jezusa: „Idźcie precz ode Mnie, przeklęci, w ogień wieczny (...). Bo byłem głodny, a nie daliście Mi jeść; (...) byłem przybyszem, a nie przyjęliście Mnie”.

O to chodzi w katolickiej etyce społecznej, że optyka jest skierowana na biednego, cierpiącego, marginalizowanego,

dyskryminowanego. To jest istota teologii, której uczymy od wieków: spotkanie z każdym z nich może okazać się spotkaniem z samym Jezusem.

Spotyka Go Ojciec w swojej pracy jako wikariusz patriarchalny duszpasterstwa migrantów i azylantów w Izraelu?

Większość naszych działań skupia się w Tel Awiwie. Południe miasta jest uchodźczą stolicą kraju; takiego skupiska migrantów nie da się w Izraelu znaleźć nigdzie indziej. Pytałem ich na początku, zaciekawiony, dlaczego akurat to miejsce – odpowiadali za każdym razem, że to miasto, w którym mogą liczyć na życzliwość, w którym działa wiele fundacji, organizacji pomocowych. Tel Awiw to miasto, w którym mieszkają w dużej mierze liberałowie, a także ludzie wierzący, dla których działalność na rzecz uchodźców jest ważna. To od nich dowiedziałem się, że Tora nakazuje traktować obcokrajowców jak swoich wła-

snych ludzi. To religijni aktywiści wywołali potężny sprzeciw, gdy politycy decydowali o deportacji afrykańskich uchodźców do ich krajów pochodzenia. W judaizmie istnieje zasada pikuah hanefesh, która mówi o tym, że zachowanie ludzkiego życia jest ważniejsze niż cokolwiek innego. Odsyłanie kogoś na niepewny los, być może na śmierć, spotkało się z radykalnym sprzeciwem ze strony religijnych Żydów. Nigdy też nie słyszałem o przemocy ze strony żydowskich nacjonalistów przeciwko uchodźcom. Ani o innych przejawach nienawiści.

Wspominał Ojciec kiedyś, że izraelski problem pojawia się za to gdzie indziej.

Istnieje duży problem marginalizowania migrantów zarobkowych – na przykład przyjeżdżających z Filipin opiekunów i opiekunek osób starszych. Ci ludzie nie przyjeżdżają tu, bo przed czymś uciekają – szukają lepszego życia i bardzo ciężko na to pracują. Tak długo, jak

→ robią to legalnie, mają społeczny szacunek. Karta odwraca się, gdy wiza i legalny pobyt się kończą, a migrant z różnych powodów nie może wrócić do swojego kraju. Wtedy następuje radykalna zmiana opinii publicznej: bo czemu nie wracają do siebie, skoro przyjechali tu do pracy? Tu solidarność się kończy. Nielegalni migranci zarobkowi są tu zupełnie sami. Czasem ich sytuacja jest wykorzystywana przez nieuczciwych pracodawców. Nie mają żadnego lobby, mają nas, Kościół, a my staramy się ich wspierać duchowo i materialnie [o formach tej pomocy pisaliśmy w „TP” 47/2021]. Organizacje pozarządowe, z którymi rozmawiam, przyznają, że o tym problemie słyszą po raz pierwszy. Mam nadzieję, że otwiera się przed nami nowy rozdział współpracy.

Pochodzi Ojciec z Niemiec, kraju, który ma duże doświadczenie w polityce integracyjnej. W Polsce Niemcy są często przywoływane jako przykład negatywny: kraju, który zaprosił uchodźców, a wraz z nimi liczne problemy.

A mówi się o historiach sukcesu? Bo tych jest dużo więcej niż problemów. Popatrz na naszą mocną ekonomię, którą wspomagają migranci. Przyrost naturalny wśród Niemców jest na tak niskim poziomie, że mieszkańcy cieszą się, że ktoś chce zappełnić tę lukę. Regiony, w których najgłośniejszy krzyczy się przeciwko uchodźcom to te, w których ich prawie nie ma. Podobnie jak w Izraelu, w Niemczech uchodźcy osiedlają się w wielkich miastach, gdzie brakuje ludzi do pracy, głównie rzemieślników. No i wreszcie nie ma problemu z ludźmi wykonującymi pracę, której Niemcy nie chcieli: na budowach, w warsztatach samochodowych. Ludzie to doceniają. Owszem, problemy się zdarzają. Mamy 83 miliony mieszkańców i może raz w miesiącu pojawia się informacja, że coś złego zdarzyło się z powodu migranta.

Byłem niedawno w Erfurcie i uczestniczyłem w zajęciach integracyjnych, podczas których uczy się migrantów o symbolice chrześcijańskich świąt, a teraz mówiono o symbolice Adwentu. Na koniec dnia ci ludzie wiedzieli więcej o Adwencie niż niejeden Niemiec ateista. Rozmawiam z migrantami i słyszę od nich: chcemy, by nasze dzieci uczyły się z nami niemieckiego, by znały tradycję, kulturę,



STEFANIE JSRKEŁ / DPA / PAP

O. NIKODEMUS SCHNABEL OSB (ur. 1978) – wikariusz patriarchalny dla migrantów i azylantów łacińskiego Patriarchatu w Jerozolimie, obejmujący opieką na terenie Izraela w sumie ok. 100 tys. osób. Konsultant niemieckiego MSZ do spraw religii i polityki zagranicznej. Na antenie telewizji ZDF prowadzi program o tematyce religijnej.

smak lokalnych potraw. I w kółko: język, edukacja. To trudne: wyjechać z rodzinnego kraju, pożegnać się z nim na zawsze i podjąć próbę zapuszczenia korzeni w nowym. Dawać z siebie dwieście procent, bo przecież w nowym kraju nie masz taryfy ulgowej, chcesz pokazać, że zasługujesz, by tu być. Przecież to jest ogromny wysiłek z ich strony. Większość dobrze sobie z tą integracją radzi. My, Niemcy, też.

Napływ obcokrajowców do Niemiec zaczął się już w latach 50. To szmat czasu. Polska jest dopiero na początku tej drogi. To, co dzieje się teraz na polskiej granicy, nas zaskakuje, jesteśmy zupełnie nieprzygotowani. Mało tego – jako społeczeństwo nie jesteśmy gotowi na przyjęcie migrantów o odmiennej kulturze.

Polska jest w szczególnej sytuacji: przez wieki była uciskana przez mocarstwa. Czuję się zresztą niekomfortowo, dzieląc się swoimi przemyśleniami w tej kwestii jako Niemiec. Uzasadniony jest lęk, który pewnie właśnie z tego wynika, przed utratą tożsamości, oraz potrzeba nieustannej walki o jej zachowanie.

Moja mama wychowywała mnie samotnie, była artystką. W którymś momencie związała się z Polakiem i dzięki niemu rozwinąłem wielki sentyment do polskości. Śmiem nawet stwierdzić, że z artystycznego punktu widzenia – bo mój ojczym też był artystą – pochodzić z kraju o takiej historii to jest błogosławieństwo. Dlatego wydaje mi się, że rozumiem, dlaczego dyskusja wokół integracji jest w Polsce większym wyzwaniem niż gdziekolwiek indziej. Ale chciałbym powiedzieć: nie bójcie się, proście o pomoc w Europie.

A jak Kościół wpływa w Niemczech na kształtowanie polityki migracyjnej?

Ogólnie rzecz ujmując, relacje Kościół-państwo mogą kształtować się dwutorowo: możemy mieć do czynienia z ich ścisłym połączeniem, jak w przypadku Iranu czy Arabii Saudyjskiej, albo – jak we Francji – z zupełnym rozdzieleniem. W Niemczech wybraliśmy drogę pośrednią, co bardzo sobie chwale. Fakt, mamy obecnie nowy rząd i pewne sprawy mogą stanowić wyzwanie – nowa koalicja optuje za większą separacją. O tym, co mamy obecnie, mówimy „pozytywna neutralność” albo „model kooperacyjny”. Państwo współpracuje z Kościołem – na przykład w zakresie projektów kierowanych w stronę uchodźców i migrantów – i odnosi się do religii pozytywnie, ale ona nie jest częścią polityki.

Mamy przed sobą wielkie tematy: migrację, zmiany klimatyczne. Nie ma ani jednego państwa na świecie, które mogłoby poradzić sobie z tym wszystkim samo. Dlatego potrzebujemy silnej współpracy międzynarodowej, także między wyznawcami różnych religii. Wierzę, że to jest możliwe – musimy się wspierać, nie możemy zostać z tym sami.

Jak powinny brzmieć tegoroczne życzenia świąteczne?

To był bardzo trudny rok. Pandemia, wojna w naszym regionie, w Europie kryzys uchodźczy. Czuję się wobec tego wszystkiego bezsilny. Tym bardziej potrzebuję przyjścia Mesjasza. I On się właśnie rodzi – nasz Zbawca. Niech to nas krzepi.

© Rozmawiała

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET



ELECTA / MONDADORI PORTFOLIO / GETTY IMAGES

Madonna z okładki

MAGDALENA ŁANUSZKA

Wizerunki Matki Boskiej karmiącej podkreślały ludzką naturę Chrystusa, a sama Maria nie jest tu już królową, lecz kobietą z ludu. Na malunku z naszej okładki siedzi nie na tronie, lecz na ziemi.

MADONNA DELL'UMILTÀ, DATOWANA na połowę XIV w., pochodzi z kościoła św. Dominika w Neapolu, dziś zaś przechowywana jest tamże, w Museo di Capodimonte. Przypisywana jest anonimowemu malarzowi, zwanemu Mistrzem Temper Franciszkańskich (Maestro delle tempere francescane) – od czterech płócien jego autorstwa, ukazujących Madonnę z Dzieciątkiem, św. Marię Magdalenę i św. Klare, Stygmatyzację św. Franciszka, Biczowanie Chrystusa oraz Ukrzyżowanie z królem Robertem I Mądrym Andegawęńskim i królową Sanchę z Majorki.

W całości kompozycja ukazuje nie tylko karmiącą Madonnę, ale także fundatora – dominikanina polecanego

przez św. Dominika. W górnej części tablicy, w narożach ponad ornamentalnym zwieńczeniem, widnieją archanioł i Matka Boska, tworzący scenę Zwiastowania. To moment Wcielenia, czyli poczęcia Zbawiciela: z chmur wyłania się ręka Boga w geście błogosławieństwa, wysyłająca w kierunku Marii gołębicę – Ducha Świętego. To właśnie efekt Wcielenia jest tematem głównej części obrazu: oto Madonna trzyma już w swych ramionach Syna, karmiąc go piersią.

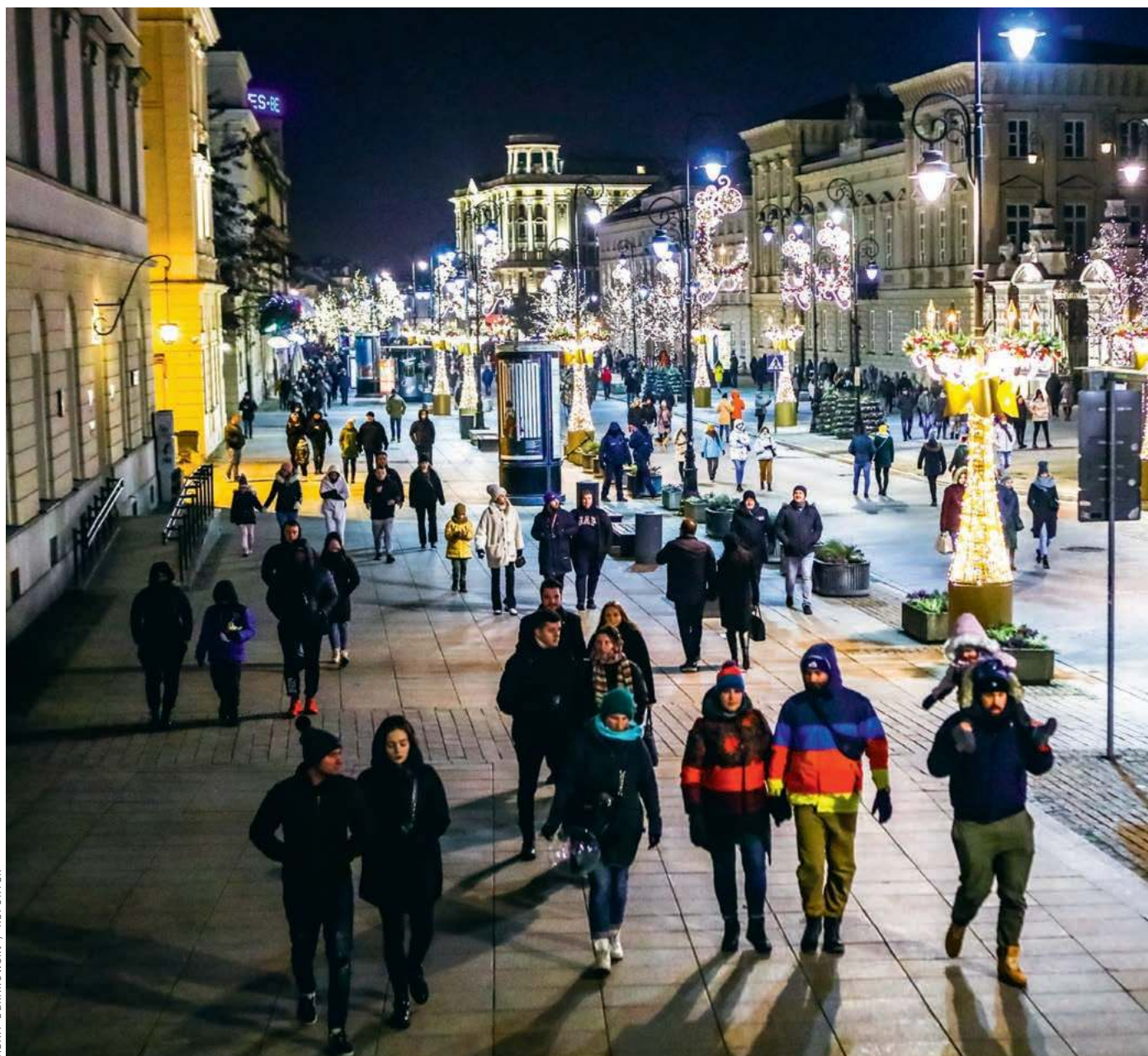
Przedstawienia Madonny karmiącej (*Maria Lactans*) były szczególnie popularne w późnym średniowieczu. Podkreślały one przede wszystkim ludzką naturę Chrystusa. Popularne we wcześniejszych wiekach wizerunki Dzieciątka jako

małego dorosłego, władcy wszechświata, koncentrowały się na boskości Zbawiciela; u schyłku średniowiecza nastąpiła jednak zmiana, a Dzieciątko w sztuce coraz częściej ukazywano jako zwykłe dziecko – wymagające opieki, karmione, wierzące się w ramionach matki.

Matka Boska karmiąca Dzieciątko nie jest już także Marią-Królową; przeciwnie, przedstawienie takie sugeruje pochodzenie Madonny z ludu. Ówczesne wysoko urodzone damy nie karmiły bowiem swoich dzieci, lecz wynajmowały mamki. Podkreślanie ubóstwa i pokory Matki Boskiej było popularne zwłaszcza w fundacjach z kręgów zakonów żebraczych, takich jak franciszkanie i dominikanie. *Madonna dell'Umiltà* to szczególnie typ ikonograficzny: Matka Boska Pokorna, siedząca nie na tronie, lecz bezpośrednio na ziemi.

Dlaczego jednak pierś Madonny ukazana została w sposób nienaturalny? To bardzo częsty problem średniowiecznych przedstawień Matki Boskiej karmiącej: jej odsłonięta pierś wygląda jak buklak lub nawet butelka oraz bywa umieszczana w zupełnie nieanatomicznych miejscach (pod pachą, ale też na obojczyku lub na mostku). Czasem można się spotkać z hipotezą, że zakonnicy malarze po prostu nie wiedzieli, jak wygląda ciało kobiety.

Takie wyjaśnienie należy raczej odrzucić; po pierwsze, wiele tego typu Madonn malowali świeccy malarze, żonaci i posiadający własne potomstwo; po drugie, zakonnicy nie zawsze żyli tak cnotliwie, jak byśmy od nich oczekiwali, a po trzecie, każdy artysta miał dostęp jeśli nie do modelek, to przynajmniej do innych dzieł sztuki oraz artystycznych wzorników, gdzie z łatwością można było znaleźć ilustrację prawidłowego anatomicznego przedstawienia kobiecej klatki piersiowej. Wyjątkowa nienaturalność piersi Matki Boskiej w sztuce średniowiecznej ma zatem inne przyczyny. Przede wszystkim, w przedstawieniach tych chodziło o czytelne i raczej reprezentacyjne ukazanie Dzieciątka – nie mógł zatem Jezus być odwrócony tyłem do widza. To do położenia Chrystusa na kolanach Marii dostosowywano położenie jej piersi, a nie na odwrót. Z drugiej strony zapewne istotne było też maksymalne ograniczenie erotyzmu takich przedstawień: miały one nieść symbolikę teologiczną, nie zaś wywoływać grzesznych myśli – co szczególnie ważne było w przypadku dzieł sztuki przeznaczonych do klasztorów. ©



ADAM BURAKOWSKI / REPORTER

Z Jego światłem

RYSZARD KOZIOŁEK

Jak co roku wielu z nas wyruszy w noc wigilijną szukać pocieszenia. Objawienie zamknie się jednak w granicach kościelnego spektaklu. Po nim znowu wyjdziemy w noc rozświetlaną zwykłym ludzkim światłem ulicznych lamp i latarek.

OPOWIADAŁ MI STANISŁAW BAJ – MALARZ ŚWIATEŁ i wody – o tym, jak pracuje Roman Śledź – rzeźbiarz scen biblijnych. Opowiadał więc Śledź Bajowi, że wstaje wcześniej, najlepiej kiedy wszyscy jeszcze śpią, i idzie do garażu, który jest jego pracownią. Nie włącza lampy, na stole stawia drewno, z którego powstanie rzeźba. Następnie przymyka drzwi tak, aby światło dnia wpadało tylko przez wąską szczelinę i rysowało jasną, załamana linię na drewnianej bryle. Dalej należy patrzeć i czekać, aż się dostrzeże, co światło znalazło w drewnie, a potem już tylko pozwolić, żeby długo podążało za promieniem światła.

Bezsilna prawda

28 października 2021 r. w programie Moniki Olejnik „Kropka nad i” Wojciech Smarzowski przyznał się do swo-



Warszawa, grudzień 2021 r.

łała wiele nawet prawda ekranu filmowego, która do wiedzy dołączyła emocje widzów. Dowiedzieliśmy się prawdy, ale zachowujemy się nadal, jakbyśmy jej nie znali. Okazało się kolejny raz, że prawda nie działa przez samo powiedzenie ani nawet dowiedzenie prawdy. Ze przemożną siłą otwierająca nam oczy na przykrą treść nie ma dość mocy, aby nas wyzwolić z kłamstwa lub złudzenia. Z jakichś powodów nie wystarczy przejrzieć na oczy. Nawet kiedy spostrzegamy, jak było naprawdę, wciąż – pisał Herbert – „wielka jest przepaść między nami / a światłem”.

Jak to wytrzymać?

Mickiewicz zdecydował, że pan Tadeusz zaśpi na polowanie, ale tylko trochę, aby dopełniły się wyroki fabuły poematu. Budzi go Zosia, której Tadeusz nie rozpoznaje, za to widzi – a my z nim – jej oczy i dłoń. W zapierającym dech, niepotrzebnym epizodzie, Mickiewicz, jakby od niechcenia, mimochodem upuszcza nam przed oczy szkic z optyki i filozofii postrzegania. Obie postacie, zalane światłem poranka, nie widzą zbyt dobrze, ponieważ gwałtowne przejście z mroku w światło i ze światła w mrok tylko pogarsza percepcję.

*Spojrzał w okno, o dziwy! W promieni przezrocza,
W owem sercu, błyszczało dwoje jasných oczu,
Szeroko otworzonych, jak zwykle wejrzenie,
Kiedy z jasności dziennej przedziera się w cienie;
Ujrzał i małą rączkę, niby wachlarz z boku
Nadstawioną ku słońcu dla ochrony wzroku;
Palce drobne, zwrócone na światło różowe,
Czerwieniły się na wskrós jakby rubinowe;*

Ostre światło poranka nie pomaga bohaterom widzieć się nawzajem. Rzeczy i ludzie wystawione na widok i dobrze oświetlone zostają nagle obnażone, ale równocześnie cofają głębiej swoje sekrety, podobnie jak ciemność ustępuje miejsca światłu lampy, zapadając się w siebie tuż za granicą jasności. Widzieć jasno nie oznacza poznawać prawdziwie. W księdze Robaku Tadeusz nie rozpozna ojca, a reszta bohaterów też nie zobaczy Jacka Soplicy pod kapturem mnicha. A nie są to przecież jakieś nieuważne gapy, ale ludzie przenikliwi i podejrzliwi, jak to żyjący w niewoli, w społeczności pełnej szpiegów i donosicieli. Jasny świat soplicowskiej idylli spowijają mroczne sekrety.

W najważniejszej w historii filozofii przypowieści o prawdzie Platon mówi to samo, co Mickiewicz. Siódma księga „Państwa” zaczyna się od rozmowy Sokratesa i Glaukona o tym, dlaczego tkwimy w iluzji niewiedzy, uprzedzeń, propagandy i fakenewsów. Otóż dlatego, twierdzi Sokrates, że spędzamy życie w zamknięciu, gapiąc się w ekrany. Tracimy kontakt z rzeczywistością i bierzemy to, co widzimy, za nią samą. Pomylił się jednak srode ten, kto myśli, że wystarczy ludzi od ekranów oderwać, dzieci i młodzież wyprowadzić w słoneczny dzień na podwórza, do parków i lasów, aby wreszcie wszyscy przekonali się, że rzeczywistość jest inna. To się nie uda, ostrzega Platon. Z tych samych powodów, dla których Zosia i Tadeusz nie mogli się zobaczyć prawdziwie w świetle słonecznym, a widzowie „Kleru” też siebie w tym filmie nie ujrzą.



jej naiwności pedagogicznej (którą z nim dzieli). Wydawało mu się – wyznawał innymi słowami – że wystarczy widzom pokazać artystycznie opracowaną prawdę historyczną o Wołyniu, aby nastąpiła przemiana świadomości zbiorowej znaczącej części społeczeństwa. Za tym poszłyby nowe prace historyków oraz stosowne rozdziały w podręcznikach szkolnej historii, aby bolesną, lecz pouczającą wiedzę o Wołyniu czy Jedwabnem utrwalić w świadomości kolejnych pokoleń, z pożytkiem dla zgodnego życia narodu z samym sobą i z jego sąsiadami. Tymczasem – mówił reżyser – nic takiego się nie stało.

Z jakiegoś powodu prawda lub, ostrożniej, wiedza prawdziwa nie działa na ludzi. Dla wielu, którzy się jej dowiedzieli, okazała się bez znaczenia. Nie pomogły argumenty źródeł historycznych ani świadectwa świadków naocznych. Nie zdzia-

→

Tłumaczy to Sokrates Glaukonowi dość łopatologicznie: „Gdyby ktoś miał rozum, toby pamiętał, że dwojaki bywają zaburzenia w oczach. Jedne u tych, którzy się ze światła do ciemności przenoszą, drugie u tych, co z ciemności w światło. Więc gdyby wiedział, że to samo dzieje się i z duszą, to kiedykolwiek by widział, że się któraś miesza i nie może niczego dojrzeć, nie śmiałyby się głupio, tylko by się zastanowił, czy ona wraca z życia w większej jasności i teraz ulega zaćmieniu, czy też z większej ciemnoty weszła w większą jasność i zbyt blask ją olśnieniem napęlnia” (przeł. Władysław Witwicki).

Nie śmiejmy się głupio – przestrzega Platon – z tych, którzy nie przywiązują do wiadomości wiedzy o katastrofie w Smoleńsku, o stodołę w Jedwabnem, przestępstwach seksualnych w Kościele, o kłamstwach polityków, którym zaufali, o pożytkach ze szczepień. Bezradność rozumu i jego instytucji (szkoły, uniwersytety, zespoły ekspertów przy premierze, prezydencie, senacie) sprawia, że „oświeceni” także zaczynają mieć problem z widzeniem. Ciemność zdaje im się jeszcze ciemniejsza; zabobony, niewiedza, propagandowe zmanipulowanie uznają za niewzruszony beton, który wypełnił im mózgi. Wzrok jednych i drugich źle reaguje na przeskok z ciemności do światła i z powrotem.

Co w takim razie robić? Udać, że nie wiemy, jak jest naprawdę, skoro wiedzę faktyczną, naukową, posiadliśmy? Nie prowadzić badań historycznych, biologicznych, żadnych? Nie pisać reportaży, nie kręcić filmów? „Czego jeszcze potrzeba, skoro gwałcenie dzieci nie wystarczy, żeby spowodować protest wiernych przeciw postawie Kościoła wobec swoich?!” – pyta mój rozgoryczony przyjaciel.

Nie wiem, ale żeby nie popaść we wściekłą bezradność, trzymam się rad Platona, jak przysłowiowy pijany płotu. A ten mi tłumaczy, żeby nie myślał, że ludzie nie widzą, jak jest. „Nie chodzi o to, żeby człowiekowi wszczepiać wzrok, on go ma” – mówi Sokrates. Ludzie potrafią rozpoznać prawdę, ale nie potrafią z nią żyć. Do tego trzeba czegoś jeszcze, niż tylko przekazu prawdziwych informacji czy obrazu ściągającego wzrok w sam środek grozy rzeczywistości. „Przez długi czas wielu ludzi sądziło, że gdyby dało się potworności wojny ukazać dostatecznie wyraziście, większość ludzi w końcu pojęłaby, jak oburzająca i szaleńcza jest wojna” – pisze Susan Sontag („Widok cudzego cierpienia”, przeł. Sławomir Magala). I dodaje: „Wzrok nie wymaga wysiłku, wymaga oddalenia w przestrzeni, można go wyłączyć”. A Platon potakuje pobłażliwie: „Tak samo, jak oko nie mogło się z ciemności obrócić ku światłu inaczej, jak tylko wraz z całym ciałem, tak samo całą duszą trzeba się odwrócić od świata zjawisk, które powstają i giną, aż dusza potrafi patrzeć na byt rzeczywisty i jego pierwiastek najjaśniejszy i potrafi to widzenie wytrzymać”.

To samo, co spotyka oczy porażone światłem, „dzieje się i z duszą”, która odwraca się od bolesnej wiedzy. Nie wystarczy zatem przyzwyczaić wzrok do ostrego światła. To już potrafimy – patrzeć na zło i jego skutki w reportażach i doku-

Należy nieustannie badać siebie oraz instytucje prawdy, by nie przeoczyć chwili, gdy dobroczynne światło rozumu obiecujące każdemu wiedzę, tolerancję, prawo, wolność, a zwłaszcza sprawiedliwość, zmienia się w światło lampy skierowane w oczy przesłuchiwanego więźnia.

mentach, w fabułach i inscenizacjach. Prawda łatwo staje się perwersyjnym fetyszem, który przeziiera przez fikcję, jak nagość w stroju – i szepce: „To się wydarzyło naprawdę”. Nie wystarczy to usłyszeć i zobaczyć, ale trzeba jeszcze obrócić się ku temu „całą duszą”, czyli zmienić pozycję, zmienić życie po tym, jak dowiedzieliśmy się, że mieliśmy o naszym życiu kompletnie fałszywe wyobrażenie.

Łatwo powiedzieć, ale jak to wytrzymać? Jak żyć z wiedzą, która zniszczyła mi wiarę, zaufanie do bliskich, poczucie bezpieczeństwa, autorytety, porządek codzienności? Czy ktoś nam pomaga w życiu z prawdą? A może po prostu z udokumentowaną wiedzą – prawdę zostawiając doskonalszym isto-

tom. No więc, kto na przykład pomaga rodzinom i mieszkańcom Świątchłowic żyć z wiedzą o powojennym obozie Zgoda, który działał niespełna jeden rok 1945 i był katownią głównie dla okolicznych Górnolazaków?

„Tutaj o Zgodzie się wie – mówi Monika Kassner w rozmowie ze Zbigniewem Rokitą. – Wielu miało w rodzinie kogoś, kto zginął na Zgodzie, albo kogoś, kto tam był. Ale ten obóz to wciąż tabu. Nie mówi się o nim. W rodzinach to zostaje. Wie pan, czemu? Mama koleżanki powiedziała mi na przykład, że nigdy nie powie tego nikomu, bo nie chce, żeby córki były tym obciążone. Bo musiałyby obciążyć mnóstwo ludzi, którzy do niedawna żyli i którzy coś znaczyli w Świątchłowicach. Też znam krewnych strażników ze Zgody. Zupełnie nieprzepracowana pamięć” („Kajś”).

Światło bezradne

Strach lub obawy niesie wiedza znana, lecz publicznie niewypowiadana. A źródłem tego lęku jest przecucie destrukcyjnej siły i nieodwracalnej zmiany, jaką rozbłysk prawdy wniesie w nasze życie. „Światło” – ta ulubiona przez wszystkie języki metafora prawdy i rozumu – oznacza działanie prawdy w sposób natychmiastowy i powszechny. Wszyscy tęsknią do prawdy jako narzucającego się w sposób nieodparty objawienia – bezpośredniego lub wypływającego wprost z dowodów naukowych. Bodaj najdosadniej obrazuje to historia Saula/Pawła, któremu „stało się, gdy się przybliżał do Damaszku, że z prędką oświeciła go światłość z nieba. (...) I wstał Saul z ziemi, a otworzywszy oczy swoje, nikogo nie widział” (Dz 9, 3-8). Prawda boska nie jest wynikiem wysiłku poznawczego, pracy, dociekań, falsyfikacji. Objawia się z obezwładniającą siłą; oślepia niedowiarków.

Co uczynić z tymi, którzy wiedzą, ale wolą żyć, jakby nie wiedzieli? Średniowiecze uważnie czytało dostępne fragmenty Platona i asekurowało się wobec paradoksu, że światło objawienia nie oddziałuje w ten sam sposób na wszystkich. Sugestywnie skorygował to Dante w „Boskiej Komedii”: „Bo skroś wszechświata wnika Światło Boże / I wedle zasług różnie się rozdziela” (przeł. Edward Porębowicz). Jeśli więc światło prawdy nie działa na wszystkich tak samo, tym gorzej dla niedowiarków, którzy objawienia nie doznali. Sami są sobie

winni, że woła trwać w przesadach, fałszu lub własnej iluzji. W ten sposób zdyskwalifikowani zostali ci, którzy prawdy nie przyjęli. Nie dlatego nie przyjęli, że nie chcieli lub nie mogli – prawda objawienia jest nieodparta – ale dlatego, że nie została im ona udzielona. Platońskie średniowiecze czyni ich niezdolnymi do dobra, czyli grzesznikami.

W tę samą pułapkę frustracji z powodu niedziałania prawdy wpadło Oświecenie, które przemocową mistykę prawdy objawienia powierzyło świeckim instytucjom – uniwersytetom, szkołom, mediom – aby produkowały i dostarczały do domów, mieszkań i umysłów „światło rozumu”.

Jeśli ktoś tej wiedzy przeczy lub ją odrzuca, uznaje się go za grzesznika świeckiego, czyli ignoranta lub zmanipulowanego, a odpowiedzialnością za te grzechy obarczy nauczycieli, politykę i media. Kłopoty z prawdą, jakie mamy dyskutując o szczepieniach, o polityce, o klimacie, o duchowieństwie, o Jedwabnym, wynikają z tego samego źródła. Z zeświecczonej koncepcji prawdy, która ma działać na nieoświecony umysł z podobnie bezwzględnej i nieodpartą siłą. Oczekujemy, że po przedstawieniu niepodważalnych dowodów prawda wypełni umysł naszego adwersarza na podobieństwo światła, które wypełnia ciemny pokój po włączeniu kontaktu. Ale i tego nam za mało. Chcemy, aby kontakt z nią przemieniał, czyniąc ludzi lepszymi, a przynajmniej mądrzejszymi, tj. takimi, którzy potrafią odróżnić dobro od zła, prawdę od fałszu, wybrać właściwy sposób życia i prowadzić go w zgodzie z innymi.

Frustracja, rozczarowanie próżną pracą, gniew, rezygnacja – nie ma nauczyciela, który nie doznałby choć jednego z tych uczuć. Porażka jest wpisana w ten zawód. A jednak zaczynamy od nowa. Nie tylko dlatego, że taki jest nasz zawód, ale ponieważ wiemy, że trwanie w gniewie i rozczarowaniu prowadzi do oświeconej tyranii, kiedy znużona, rozczarowana, sfrustrowana pedagogika prawdy zaczyna fantazjować o przymuszeniu grzesznego ignoranta, aby prawdę wyznał lub się do niej przyznał.

Nie zapominajmy, że dziełem oświecenia był też projekt idealnego więzienia o nazwie „Panoptikon albo Dom Nadzoru”. Jego twórca Jeremy Bentham wymyślił więzienie, w którym cele byłyby cały czas oświetlone, zaś strażnicy skryci w ciemnościach, tak, aby więzień nigdy nie mógł być pewny, czy jest czy nie jest obserwowany. Król Jerzy III nie zdecydował się na sfinansowanie budowy, ale panoptykony powstały. Jedno nawet niedaleko, w Mińsku. To dawne więzienie KGB, w którym obecnie przebywają działacze opozycji wtrąceni tam przez reżim Łukaszenki.

Należy nieustannie i podejrzliwie badać siebie oraz instytucje prawdy, aby nie przeoczyć tej chwili, gdy dobroczynne światło rozumu obiecujące każdemu wiedzę, tolerancję, prawo, konstytucję, wolność, równość, a zwłaszcza sprawiedliwość, zmienia się w światło lampy skierowane w oczy przesłuchiwanego więźnia.

Nawet Nietzsche, rzecznik bezwzględnej demaskacji zakłamania – „filozofowania młotem”, jak to nazywał – uznawał, że pewien rodzaj iluzji jest człowiekowi niezbędny, „aby nie umarł od prawdy”. Jedynym zmyśleniem, jakie uznawał za pożyteczne dla człowieka, była sztuka. Nie jako ucieczka od prawdy, ale taka forma jej przedstawienia, która czyniła prawdę możliwą do zniesienia. Tragedia grecka była dla niego dowodem, że sztuka może sprawić, aby człowiek zniósł

straszłą wiedzę o tym, do czego jest zdolny. A nawet więcej – chciał dłużej obcować z tą wiedzą, przejmował się nią, odczuwał trwogę, ale też współczucie dla losu bohaterów, a w konsekwencji i dla siebie, i dla swoich bliźnich.

To światło, którym świeci sztuka, nie od nas pochodzi, nie myśmy zdobyli dowody ani prawdę poznali, przeczytali, zobaczyli. Raczej przez to, żeśmy się w wiersz, powieść, film czy spektakl prawdziwie zaangażowali, prawda nam się udzieliła, uchyliła zasłony. Nie jest to prawda adekwatnego zdania, zgodnego z rzeczywistością. Jest to obcowanie z prawdą życia bohaterów, do której sami nie jesteśmy zdolni i właśnie dlatego, że nie jest nasza, możemy zbliżyć się do prawdy doświadczenia. A jako że są to dzieła piękne, zatrzymują tę bolesną prawdę, a my nie chcemy o tym zapomnieć ani ze swojej świadomości tego wyprzeć. W ten sposób ćwiczymy się w traceniu prawdziwym.

Trzy psalmy

Przemierzam setki obrazów ukazujących scenę adoracji nowonarodzonego Chrystusa przez pasterzy, w poszukiwaniu „nie-skrytości prawdy”; jej dyskretnego promienia, który z ciemności nocy i stajni wydobywałby dziecko i jego tajemnicę. Bez skutku. Wszędzie to samo, czyli jarzące się oślepiającym światłem niemowlę, co się zgadza ze słowami z Ewangelii św. Jana: „Jam jest światłość świata; kto mię naśladuje, nie będzie chodził w ciemności, ale będzie miał światłość żywota” (J 8, 12).

Dziś kościelne wizerunki Prawdy nikogo nie oślepiają ani nie parzą. Rosnącą obojętność wobec prawdy Ewangelii dobrze oddaje zdanie Różewicza: „To gipsowe dzieciątko dziś się narodziło i dziś umarło. Za mało jest tu oddechów, żeby je ogrzać i powołać do życia”. Co roku sam siebie napominam, żeby mi pod scenografią świątecznej sztukaterii nie zniknęła realistyczna opowieść o rodzinie uchodźców, o porodzie w szopie, o solidarności miejscowych pasterzy wobec obcych uciekinierów, o losie tego dziecka w żłobie, kiedy wiadomo, że „żebro żłobu na opak grób” (Joanna Mueller, „god in gotham betlejem w bedlam”). Lektura trzech psalmów Tadeusza Nowaka – koładowego, wigilijnego i stajennego – stawia Boże Narodzenie twardo na ziemi tej.

*Zwierzęta wierne zarąbane
koń ochwacony krowa pies
dzwonią kopytem łapą rogiem
w drzwi moje zbite z desek
upiłowanych z pleców tego
który nam wspólnie w polu w lesie
zieleniał w deszczu kostniał w śniegu
zdjętym na ręce na kolana
na macierzyński płacz otwarty włócznią
człowiekiem zwierzęciem i bogiem.*

Zanim pójde oglądać szopki bożonarodzeniowe, popatrzę na fotografię trzech rzeźb Romana Śledzia, które stoją na parapecie okiennym w domu Stanisława Baja. Przedstawiają: Ofiarowanie Izaaka, Syna Marnotrawnego i Ukrzyżowanie. Zdaniem rzeźbiarza są to najtragiczniejsze sceny w całej Biblii, ponieważ najwyższą miarą ludzkiego dramatu jest doświadczanie cierpienia własnego dziecka. Trudno na nie

→ patrzeć w pełnym świetle, w dodatku kiedy stoją obok siebie. Chciałoby się w ten radosny czas nie myśleć o prawdzie, którą w sobie zatrzymały, ale jesteśmy dorośli, z raju beztroskiej radości na zawsze wygnani. I dobrze. Nie znaczy to jednak, że wiedza bolesna odgrada nas od radości na dobre.

Teologia chrześcijańska skupiła się wokół Wcielenia, według scenariusza Ewangelii św. Jana. Bóg rodzi się w najkrótszym dniu w roku, kiedy Słońce na półkuli północnej zaczyna zwiększać czas dnia. W kalendarzu juliańskim był to 25 grudnia. Podobna mi się ta ekonomia *no waste* w wykorzystywaniu pogańskiej symboliki słońca, podobnie jak budowanie kościołów z materiału lub na fundamentach starożytnych świątyń. Jak praprzodkowie w jaskiniach, w świątyniach, w kościołach – chcemy więcej światła, tolerancji, praworządności, wolności, równości.

Za dronem, hej!

Jak co roku wielu z nas wyruszy w noc wigilijną szukać pocieszenia i mądrości płynących z opowieści o dziecku urodzonym po drodze. W drodze po tę mądrość i radość z niej płynącą, katolicy trafiają na Pasterkę, luteranie na Jutrznę, grekokatolicy i prawosławni na Wielkie Powieczcze. Wszyscy będą brodzić w ciemności, a potem w ciemnym kościele doznają wybuchu światła, które będzie symulować narodziny Światłości Świata. Objawienie zamknie się jednak w granicach kościelnego spektaklu. Po nim znowu wyjdą w noc rozświetlaną, co najwyżej, zwykłym ludzkim światłem ulicznych lamp i latarek.

Bo też do innego światła prawdy niż ludzkie dostępu nie mamy. Światło ludzkiej prawdy jest sztuczne, nienaturalne;

Jak co roku wyruszymy, by szukać mądrości płynących z opowieści o dziecku urodzonym po drodze.

Bo światło ludzkiej prawdy jest sztuczne, nienaturalne; jest tylko dziełem rozumu i doświadczenia. Nie dostarcza nam pewności, jak żyć właściwie.

jest dziełem rozumu i doświadczenia; jest sztuką wyobraźni i współczucia. Nie dostarcza nam pewności, jak żyć właściwie. Trzeba prawdę wybierać i wcielać we własne życie, ryzykując błądzenie lub bycie oszukanym. Zanim to jednak uczynisz, doradza Kierkegaard: „Pytaj, pytaj tak długo, aż znajdziesz odpowiedzi; można bowiem jakąś rzecz znać, jakiś pogląd dotyczący jej uznać, można było wielokrotnie samemu podejmować próbę jego poznania, ale dopiero głębokie, wewnętrzne poruszenie, dopiero serca niewysłowne wzruszenie, dopiero ono może Ciebie upewnić, że to, co poznałeś, stanowi Twoją własność i żadna przemoc nie będzie w stanie wydrzeć Ci tego przekonania; al-

bawiem tylko ta prawda, która jest budująca, jest dla Ciebie prawdą” (przeł. Karol Toeplitz).

To, co mnie dziś buduje w prawdzie Bożego Narodzenia, zawdzięczam ludziom z Szymek i Jałówki; sztuce Śledzia i Nowaka. Dzięki nim mogę oczyścić wyobraźnię z dewocyjnej abstrakcji i na nowo poczuć „serca niewysłowne wzruszenie”, wyobrażając sobie, jak nasi pasterze graniczni pilnujący narodowego stada dostają sygnał z gwiazdy-drona, żeby za nią podążać. I „przyszli, znaleźli dzieciątka w lesie...”. Smuga światła z czołówki wydobywa z mroku małą głowę dziecka i szybko zostaje przysłonięta, żeby nie oslepić oczu. „Alleluja! Znaleźliśmy! Pierwsi!”

„I przybyło mnóstwo wojsk, chwalcących Boga i mówiących: Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój, w ludziach dobre upodobanie”. A potem z dzieckiem, jego mamą i tatą „wrócili, wielbiąc i wysławiając Boga za wszystko, co słyszeli i widzieli”. A wszyscy, którzy to słyszeli, uwierzyli, że z „Jego światłem we włosach każdy życie zaczyna”. © RYSZARD KOZIOŁEK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zaleski
Włara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński,
Marek Rabiń, Mariusz Sepiolo, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydawniczy specjalny: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Kłata,
Hanna Krall, Stanisław Manciewicz, Dorota Mastowska,
Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Klodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka,
Magdalena Łanuszka, Stanisław Lubieński, Szymon Łucyć,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski,
Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocur,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszejca,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

ZUZANNA

Radzik:

Przerosnąć siebie



TEGO DNIA MÓJ ŚWIĘTEJ PAMIĘCI DZIEKAN zaczął pisać swoje książki. Z tego, co mówił, czasem odkładał początek pisanja, żeby 8 grudnia wklepać w komputer choćby jedną stronę. Byłoby w tym coś niemal zabobonnego, gdyby nie jego

mocne przekonanie, że uroczystość Niepokalanego Poczęcia Maryi jest doniosła dla nas wszystkich. Bo w tym początku bez uwikłania w grzech kryje się obietnica dla nas wszystkich, że już teraz jesteśmy w stanie działać w porządku łaski. Że możemy dzięki Bogu bliskiemu (czyim innym jest łaska? – w końcu nie jakimś magicznym eliksirem, tylko osobowym towarzyszeniem) przerosnąć siebie. Stać się więksi od siebie, jakimi jesteśmy, a może po prostu do siebie wrócić.

Gdzie masz być? Kim się stawać, przerastając własne wcześniejsze oczekiwania? Tego samego dnia 8 grudnia, tylko niemal 90 lat temu, Dorothy Day pojechała do Waszyngtonu relacjonować protesty zdesperowanych ofiar kryzysu ekonomicznego. Modliła się wtedy w waszyngtońskim sanktuarium, w gniewie i płaczu, by Bóg otworzył przed nią możliwość użycia swoich talentów na rzecz robotników i ubogich. Gdy po ośmiu godzinach w autobusie wymęczona weszła do domu, czekał na nią pochodzący z Francji samozwańczy misjonarz i teoretyk katolickiej rewolucji Peter Maurin. Niedługo potem Dorothy wyciągnie ze szuflki pieniądze odkładane na czynsz i stworzy z nim katolicką robotniczą gazetę, dom zamieni w przytułek dla każdego bez dachu nad głową i tak przeżyje kolejne prawie pół wieku. Zostanie po niej wielkie, ale rozproszone i nieobleczone w instytucjonalne formy dziedzictwo. „Uważaj, o co się modlisz” – mogłaby uczyć ta historia. Ale może Peter Maurin – i jego nagłe pojawienie się w jej życiu – pomógł tylko Dorothy Day usłyszeć samą siebie? To, w jakim kierunku mogła przerosnąć samą siebie i stać się bardziej?

Day po grudniowym wieczornym powrocie autobusem, emocjach tego dnia, demonstracji, uczuciach, jakie w niej wywołała – myślę o niej, gdy rozczulam się nad sobą, że świat

szarpie za serce i przeszkadza w skupieniu. Gdy myślę, co zrobić, żeby dać sobie ciszę. W tym roku nawet nie jęknęłam, że w skupieniu wadzą mi świąteczne światełka dostępne w drogerii od października albo budy świątecznego jarmarku. Wszystko to zdaje się błahostką, bo prawdziwy dyskomfort, szum, zakłócenie domagające się uwagi stanowi codzienna porcja wiadomości – czy to z granicy, przy której utknęli uchodźcy, czy z tej, na której zbierają się rosyjskie wojska. Czy ze szpitali, gdy pandemiczna górką nie chce minąć.

Dobrze byłoby jednak znaleźć ten pokój w sobie i słuchać, co w sercu woła. Dobrze by było, bo jak inaczej spełnią się te adwentowe obietnice, jeśli nie z naszym udziałem? Te prorockie teksty o Świętym Izraelu, który dokonuje wielkich rzeczy: każe wytryskać strumieniom z nagich wzgórz, zmienia pustynię w pojezierze, zasadza na niej cedry i akacje, mirty i oliwki. Czyni niemożliwe, wbrew logice rzeczywistości. Jak spełni Bóg obietnice odwróconej rzeczywistości, jeśli nie naszymi rękami? Jakże się spełni szept „nie bój się, przychodzę ci z pomocą”, jeśli nie zaniosą go nasze wargi, a tej pomocy – nasze nogi? Trzeba umieć w sobie usłyszeć, że to już, że teraz.

Ta podatność na szum i zamęt – skąd mi się ona wzięła? Czy z wiekiem traci się odporność, czy wyszłam z duchowej formy? Rozczulam się nad sobą i, niczym postać z okładki poradnika do kolejnego wcielenia hygge, chciałabym zawinąć się w pastelowy koc, żeby mi było błogo, a świat z jego mizerią zniknął. Chciałabym też świat, w których spotkamy się bez lęku, a na stole będzie leżało to, co powinno. Będzie posiekane, ulepione, wysmażone, jakby nic w te święta nie było ważniejsze. W końcu łączy nas też w jakiejś ortodoksji wyznawana grubość ciasta w uszkach i kostki w jarzynowej sałatce. Można się śmiać czy kpić, ale bezpieczny, otulający rytuał w rozdrzganym świecie ma wielki sens. Schować się w te uszka, makowce, barszcze. Przed wszystkim. Nie wiem, czy to chrześcijański odruch, czy też bardziej pierwotna, przedchrześcijańska odpowiedź na mroki grudnia. Zakitać się, a wokół chaty rozsypać mak, żeby w jego mnogości zmyliły się demony i inne strzygi. Czy co tam jeszcze na nas czyha? Gorzej, gdy to nie moce z ciemności rodzą nasze obawy, tylko bliźni. I my sami troszkę też.

Tylko pusty talerz wśród wigilijnych obrzędów jest w tym roku palący. Pewnie zawsze powinien alarmować bardziej niż koić. Może nie ma się co oszukiwać, schować go – jeśli nawet nie z powodu własnego wstydu, to z braku złudzeń. Chyba że raz jeszcze uwierzymy w to bożonarodzeniowe przesłanie, że skoro Bóg rodzi się człowiekiem, to człowiek może przerosnąć sam siebie. ©

KLUBY „TP” CZEKAJĄ NA CIEBIE!

Tu znajdziesz bezpieczną przestrzeń do rozmowy, spotkasz ciekawych i życzliwych ludzi. Spotkajmy się w Twoim mieście lub online.

www.klubtygodnika.pl



POZNAŃ

środa, 15 grudnia 2021 r.,
Spotkanie z Krystyną Adamczyk,
„Boże Narodzenie w literaturze”
/ online

WARSZAWA

czwartek, 16 grudnia 2021 r.,
Spotkanie z Katarzyną Kubisiowską
/ cykl: Pisz w Tygodniku /
online

REZERWUJ
CZAS!

MAŁGORZATA

Kordowicz: Czytanie snów



MARZENIA SENNE ODGRYWAJĄ ISTOTNĄ ROLĘ w życiu Józefa. Jako nastolatek roi on o kłaniających mu się snopach i ciałach niebieskich. Przebywający z nim w więzieniu słudzy faraona mają wizję tyjące ich dalszych losów. Faraonowi – w dwóch odsłonach – jawi się nocną porą kryzys gospodarczy mający nadejść po okresie dobrobytu. Dzięki umiejętnej interpretacji snów Józef dźwiga się z dołu, do którego wrzucają go bracia, i wznosi nieomal na szczyt drabiny społecznej.

Najwyższy mówi rodzeństwu Mojżesza: „Jeżeli kto u was – prorokiem Wiekuistego, Ja w widzeniu mu się objawiam, za pośrednictwem snu przemawiam do niego” (Lb 12,6; Cylkow). Natomiast Talmud uważa, że sny zwykłych ludzi zawierają 1/60 prorocstwa. Skoro tak, należałoby nie przejmować się złym snem, jednak bywa, że niepokój bierze górę. W takim przypadku Talmud sugeruje, by w obecności trzech osób odprawić ceremonię poprawy snu, składającą się z responsywnych stwierdzeń o jego pozytywnym charakterze i 9 wersów biblijnych: trzech dotyczących zmiany na dobre (Ps 30, 12; Jr 31, 12; Pwt 23, 6), trzech o wybawieniu (Ps 55, 19; Iz 35, 10; 1 Sm 14, 45) i trzech mówiących o pokoju (Iz 57, 19; 1 Krn 12, 19; 1 Sm 25, 6). Tę ceremonię można jeszcze znaleźć w niektórych współcześnie wydanych ortodoksyjnych modlitewnikach. Inną formą pozbycia się strapienia wywołanego nocną marą jest post następnego dnia.

Babiloński rabin Chisda rzuca w Talmudzie stwierdzenie, że „niewyjaśniony sen jest jak nieprzeczytany list”. Co może mieć na myśli? Czy znaczy to, że sen nie może się spełnić, póki nie zostanie wyjaśniony? Albo że dopiero wyjaśnienie nadaje mu sens? Rabin Ban’a opowiada taką dykteryjkę: „W Jerozolimie było dwudziestu czterech wyjaśniaczy snów. Pewnego razu przyśnił mi się sen i poszedłem do każdego z nich. Jeden wyłożył mi to, czego mi nie wyłożył drugi, a mimo to wszystkie interpretacje się we mnie spełniły, aby stało się tak, jak zostało powiedziane: Wszystkie sny »podążają za ustami« wyjaśniającego”.

Talmud przedstawia następujące wyliczenie: w opowieści o snach Józefa jest powiedziane, że „w wieku siedemnastu lat był wraz z bracią swoją pasterzem trzód” (Rdz 37, 2). Gdzie indziej pada: „A Josef miał trzydzieści lat, gdy stanął przed Faraonem” (41, 46). Od siedemnastego do trzydziestego roku życia – ile to jest lat? Trzyście, a dodając do tego siedem lat obfitości i dwa lata głodu, otrzymujemy w sumie dwadzieścia dwa i dopiero wtedy spełnił się sen, gdy jego bracia przyszli i oddali mu pokłon. Stąd wniosek rabina Lewiego: można spodziewać się spełnienia pomyślnego snu nawet dwadzieścia dwa lata po tym, jak nam się przyśni. Jak już nieraz się przekonał: cierpliwość popłaca. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Niebezpieczny zwyczaj



O PÓŁNOCY, KIEDY WIGILIA PRZECHODZI w uroczystość Narodzenia Pańskiego, woda w źródłach i studniach, w kranach raczej nie, zamienia się w wino, zwierzęta mówią po ludzku, a pod nieobecność mieszkańców, którzy modlą się na pastercie lub śpią, do rodzinnych domów przychodzą zmarli, żeby świętować przy stołach tych, którym dali życie.

To bajki, przecież nikt nigdy czegoś podobnego nie widział. To prawda, ale inaczej być nie może, gdyż te wydarzenia dzieją się o północy, a północ jest chwilą niemożliwą do uchwycenia. Dzieje się na styku trwania i przemijania, przechodzi do przeszłości i jednocześnie rozciąga się na przyszłość. A to napięcie między jest i nie-jest przynosi smak działania się w widzialnym niewidzialnego. Mówią starzy, że ten, kto by zdążył posmakować wigilijno-bożonarodzeniowego wina z wody, kto by usłyszał mowę zwierzęcia i kto by zobaczył uczujących, weselących się zmarłych, musi umrzeć. To też prawda. Piszą o tym poeci.

Tytułowi bohaterowie poematu T.S. Eliota „Podróż Trzech Króli” tak podsumowują swoją morderczą wyprawę:

*Wróciliśmy w nasze strony, każdy do swego Królestwa,
Ale nie ma już dla nas spokoju tu, gdzie rządzą prawa
dawnej wiary*

I lud, dzisiaj nam obcy, trzyma się kurczowo swoich bożków.

Rad byłbym, gdyby przyszła jeszcze jedna śmierć

(tłum. Stanisław Barańczak)

Jak wiadomo, królowie uczestniczyli w wydarzeniu przekraczającym wszelkie możliwe wyobrażenia o życiu i śmierci, szczęściu i nieszczęściu, o czasie i przestrzeni, i o czym tam jeszcze. Przeorało ono ich świadomość tak dogłębnie, że stracili wszelką pewność co do świata i co do siebie. Dlatego pragną dopełnienia, „jeszcze jednej śmierci” – spełnienia tego, o czym nawet nie śmiały marzyć. Prowadziła ich szczęśliwa gwiazda, a dzisiaj?

Jak co roku na wigilijnych stołach dostawimy jedno nakrycie więcej dla niespodziewanego gościa. W niektórych regionach Polski mówią, że dla Jezusa. W tym roku bądźmy czujni, on się już zmaterializował. W pierwszą niedzielę adwentu papież Franciszek powiedział: „Pomyślmy o tym, ilu migrantów jest narażonych w tych dniach na bardzo ciężkie niebezpieczeństwo i ilu traci życie na naszych granicach. Odczuwam ból z powodu wiadomości o sytuacji, w jakiej znajduje się wielu z nich; o tych, którzy zginęli w kanale La Manche, o tych na granicy Białorusi, wiele z nich to dzieci. (...) Ponawiam stanowczy apel do tych wszystkich, którzy mogą przyczynić się do rozwiązania tych problemów”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Kropka

*W głębi duszy jest
milczące „pośrodku”.
Jest tu tylko spokój
i świętowanie rodzenia
i działania Boga,
bo tu Bóg Ojciec mówi
swoje Słowo.*

MISTRZ ECKHART



*Czyń nie czyniąc.
Działaj bez działania.
Smakuj, co bez smaku.
Traktuj małe jak duże,
kilka jako całe mnóstwo.*

LAOZI



Wybrał PIOTR SIKORA



CHCĘ SIĘ PODZIELIĆ jedną z większych niespodzianek, jaka mnie ostatnio spotkała przy lekturze Pisma – dokładnie przy medytacji nad drugim czytaniem przeznaczonym na uroczystość Niepokalanego Poczęcia. Intrygujący fragment brzmi: „w Nim bowiem wybrał nas przed założeniem świata, abyśmy byli święci i nieskalani przed Jego obliczem. Z miłości przeznaczył nas dla siebie jako przybranych synów” (Ef 1, 4-5). Jak zwykle, otwarłem sobie tekst grecki (a potem łaciński) owego tekstu, i ze zdumieniem odkryłem, że kropka oddzielająca obydwa zdania postawiona jest w innym miejscu, a tłumaczenie – w obu przypadkach – mogłoby brzmieć: „wybrał nas..., abyśmy byli święci i nieskalani przed Jego obliczem w miłości. [Tu kropka i dalej:] Przeznaczył nas dla siebie jako przybranych synów...” (grec.: *hagious kai amomous katenopion autou en agape. Proopisas hemas...*). Identyfikacja jest w mojej ukochanej i wysłużonej „The New Jerusalem Bible”.

Oczywiście, jak znam życie, to obydwie lekcje są dopuszczalne i obydwie potwierdzone są w dawnych rękopisach, jednakże owa zgodność nowych wydań i tłumaczeń dała mi do myślenia. Oto

czytamy, iż Pan odwiecznie wybrał nas ku „świętości i nieskalaności”. I zaraz słyszymy, w jaki sposób możemy tę świętość i nieskalaność osiągnąć: tylko i wyłącznie przez miłość! Mamy być „święci i nieskalani w miłości”! Chrześcijaństwo nie zna bowiem innej drogi do doskonałości, jak tylko miłość, urzeczywistniana w konkretnej relacji do osób/Osób (do siostr i braci, i do Pana Boga).

Przeczytany w ten sposób tekst św. Pawła stoi w opozycji do wszystkich projektów samodoskonalenia. Doskonałości, dla której jedynym punktem odniesienia jest jakiś abstrakcyjny wzorzec, opisany katalogiem praw – nakazów i zakazów: „Zachowuję post dwa razy w tygodniu, daję dziesięcinę ze wszystkiego, co nabywam” (Łk 18, 12). W takiej optyce bliźni właściwie przeszkadza, zasadniczo jest niepotrzebny – no chyba że jako pasący naszą pychę punkt odniesienia: „Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie, zdziercy, oszuści, cudzołożnicy, albo jak i ten celnik” (Łk 18, 11). Trudno o lepszą ilustrację słowa „faryzeusz” – co znaczy tyle, co... „oddzielony”. Apostoł Paweł mówi nam w imieniu Jezusa: szukajcie zadanej Wam świętości nie w ucieczce i odseparowaniu się od innych; szukajcie jej w byciu z innymi i dla innych – w miłości. Zacznijmy w te Święta! ©

CZYTANIA LITURGICZNE (19 XII – 2 I)

4. niedziela adwentu: Mi 5, 1-4a;
Ps 80; Hbr 10, 5-10; Łk 1, 39-45;
Poniedziałek: Iz 7, 10-14; Ps 24; Łk 1, 26-38;
Wtorek: Pnp 2, 8-14; Ps 33; Łk 1, 39-45;
Środa: 1 Sm 1, 24-28;
Ps: 1 Sm 2, 1. 4-8; Łk 1, 46-56;
Czwartek: Mi 3, 1-4. 23-24; Ps 25; Łk 1, 57-66;
Piątek: 2 Sm 7, 1-5. 8b-12. 14a. 16;
Ps 89; Łk 1, 67-79;
Sobota, uroczystość Narodzenia Pańskiego:
Iz 9, 1-3. 5-6; Ps 96; Tt 2, 11-14; Łk 2, 1-14;

Niedziela, święto Świętej Rodziny: 1 Sm 1, 20-22.
24-28; Ps 84; 1 J 3, 1-2. 21-24; Łk 2, 41-52;
Poniedziałek: 1 J 1, 1-4; Ps 97; J 20, 2-8;
Wtorek: 1 J 1, 5 – 2, 2; Ps 124; Mt 2, 13-18;
Środa: 1 J 2, 3-11; Ps 96; Łk 2, 22-35;
Czwartek: 1 J 2, 12-17; Ps 96; Łk 2, 36-40;
Piątek: 1 J 2, 18-21; Ps 96; J 1, 1-18;
Sobota, uroczystość Bożej Rodzicielki Maryi:
Lb 6, 22-27; Ps 67; Ga 4, 4-7; Łk 2, 16-21;
2. niedziela po Narodzeniu Pańskim: Syr 24, 1-2.
8-12; Ps 147; Ef 1, 3-6. 15-18; J 1, 1-18.

Dziękujemy...

Święta Bożego
Narodzenia to czas
podsumowań
i podziękowań za dobro,
które spotkało nas
w mijającym roku.

W ramach **odpisu
jednego procenta
podatku** w 2021 roku
wsparli Państwo Fundację
Tygodnika Powszechnego
kwotą **388 536,74 zł.**

Całą naszą wdzięczność
i najlepsze życzenia
kierujemy więc
ku Państwu!

To dzięki Wam, z Wami i dla Was...

... wspieramy wydawanie dodatków
i wydań specjalnych „TP”



Wasz 1% pozwala nam na współtworzenie i współfinansowanie dodatków „Tygodnika Powszechnego” o tematyce społecznej, kulturalnej i historycznej. Fundacja uczestniczy też w przygotowaniu wydań specjalnych będących przypomnieniem najważniejszych, wciąż aktualnych i wartościowych tekstów „Tygodnika” powstałych na przestrzeni lat.

... prowadzimy ważne rozmowy o literaturze



Zainicjowaliśmy i od trzynastu lat współtworzymy z miastem Kraków i KBF **FESTIWAL CONRADA** – największy w Polsce festiwal literacki, podczas którego Kraków przez tydzień staje się sercem światowej literatury. Dostępne bezpłatnie internetowe transmisje wydarzeń festiwalu dają mu globalny zasięg. Tegorocznej edycji, zatytułowanej „Natura przyszłości”, towarzyszy cykl comiesięcznych rozmów, które wydłużają czas trwania Festiwalu na cały rok.

... edukujemy



MARCIN WICHA DLA „TP”

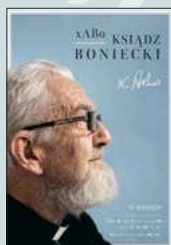
Prowadzimy projekt „**LEKcje CZYTANIA**” – społeczną akcję promującą czytelnictwo, zainicjowaną podczas pierwszej edycji Festiwalu Conrada w 2009 roku. Czas pandemii uniemożliwił spotkania w tradycyjnej formie, przenieśliśmy je więc do sieci, dzięki czemu mogło uczestniczyć w nich jeszcze więcej osób.

... ćwiczymy umysły



Wraz z Fundacją Centrum Kopernika i Uniwersytetem Jagiellońskim organizujemy **COPERNICUS FESTIVAL**, którego ideą jest odnajdywanie związków nauki ze sztuką, literaturą i humanistyką. Na festiwalu spotykamy się z wybitnymi naukowcami i ludźmi kultury z całego świata. Prezentujemy zarówno podstawy nauki, jak i jej najnowsze odkrycia, osiągnięcia i powiązania z różnymi dziedzinami. Angażujemy uczestników w dyskusję, zapraszamy na warsztaty i prezentacje. Tegoroczna edycja festiwalu odbyła się pod hasłem „Wyobraźnia”.

... opowiadamy niezwykle historie



Po międzynarodowym sukcesie naszej pierwszej produkcji filmowej **„XABO. KSIĄDZ BONIECKI”** w reżyserii Aleksandry Potoczek, za którą reżyserka otrzymała nagrodę specjalną im. Macieja Szumowskiego na Krakowskim Festiwalu Filmowym oraz Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Filmu Dokumentalnego Flahertiana w Rosji, z wielką dumą, z końcem 2021 roku, możemy ogłosić finalizację produkcji naszego drugiego filmu **„UKOS ŚWIATŁA”** w reżyserii Wojciecha Szumowskiego. Dokumentalna opowieść o działaniach Dariusza Popieli – założyciela Fundacji CENTRUM, inicjatora projektu „Ludzie, nie liczby”, nagrodzonego ostatnio Nagrodą im. Andrzeja Wajdy oraz Nagrodą POLIN 2021 – na rzecz pielęgnowania pamięci o żydowskich mieszkańcach Podhala, którzy padli ofiarą Zagłady – będzie miała swoją premierę w 2022 roku.

... współtworzymy Podkast Powszechny



Poszerzając możliwości obcowania nie tylko ze słowem pisanym autorów i autorek, redaktorów i redaktorek „Tygodnika Powszechnego”, wspieramy rozwój **PODKASTU POWSZECHNEGO**, w którym prowadzą oni w swoich autorskich cyklach rozmowy z wyjątkowymi gośćmi, opowiadają o sprawach społecznych,

nauce, historii i literaturze. Stworzyliśmy profesjonalne studio nagrań w nowej siedzibie „Tygodnika”, które umożliwia nam przygotowywanie materiałów audio najwyższej jakości. Cykle „#Dom” Krzysztofa Storego, „Rozmowy o byciu razem”, „Punkt zwrotny” i „Własny pokój” Katarzyny Kubisiowskiej oraz „Sztuka powszechnie nieznana” Magdaleny Łanuszki powstały wiosną 2020 roku podczas pierwszej fali pandemii COVID-19 i wciąż cieszą się wielkim zainteresowaniem słuchaczy.

... potrafimy sprostać wyzwaniom.



GRAŻYNA MAKARA

Rok 2021 to również niespodziewany dla „Tygodnika” **CZAS PRZEPROWADZKI Z WIŚLNEJ 12** – siedziby redakcji pisma od 1945 roku. To dzięki niezrównanej życzliwości i hojnemu wsparciu, jakie otrzymaliśmy wiosną od Czytelniczek i Czytelników „Tygodnika Powszechnego”, zdołaliśmy

zgrupować środki na wyszukanie i urządzenie nowej przestrzeni dla redakcji, wydawnictwa i naszej fundacji przy ul. Dworskiej 1C w Krakowie. Już wkrótce będziemy mieli przyjemność zaprezentować ją Państwu na łamach „Tygodnika”.

... za Państwa wsparcie.

Życzymy dobrych
Świąt Bożego Narodzenia!

Fundacja Tygodnika
Powszechnego



powszech.net/fundacja

DWUNASTY ZAWODNIK

JOANNA SADZIK, SZEFOWA STOWARZYSZENIA WIOSNA:

Mam serce liberałki, ale i częstkę lewackiej duszy.
Nigdy nie powiem, że każdy musi sobie radzić sam.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Ogląda Pani piłkę nożną?

JOANNA SADZIK: Oglądam. A nawet czytam o futbolu, np. Michała Okońskiego w „Tygodniku”. Moja córka dzięki piłce nauczyła się hiszpańskiego. Gdy miała 12 lat, zaczęła kibicować Barcelonie i tak zaczęła się uczyć języka. To były czasy, kiedy jeszcze grał David Villa, a już pojawił się Leo Messi. Byłyśmy nawet raz w Barcelonie na meczu.

Co Panią w piłce ciekawi?

Pewien rodzaj przestrzennej inteligencji piłkarzy: wiedzą, co się dzieje nie tylko w ich sąsiedztwie, ale też w każdym innym punkcie boiska.

W żargonie to „czytanie gry”. Mam dla Pani krótki test skojarzeń.
Wiem, co to jest spalony!

Nawet bym nie śmiał o to pytać.
Chodzi o sformułowanie „dwunasty zawodnik”.

Przywodzi mi to na myśl piłkarza, który wchodzi z ławki rezerwowych i przesądza o losach meczu.

A w piłkarskim języku to po prostu kibice. Tego sformułowania używa w filmiku Szlachetnej Paczki Robert Lewandowski.

Rzeczywiście. Gdy wybuchła epidemia, okazało się, jak ten dwunasty zawodnik jest ważny. Jedna z drużyn wydrukowała sobie kartonowych kibiców na trybunach, żeby nie było tak do końca smutno.

Tak, dwunasty zawodnik wiele zmienia.

To ktoś, kto mówi: „Wierzę w ciebie”. Pasuje do Szlachetnej Paczki, ale może bardziej do Akademii Przyszłości.

Akademia to projekt, którym obejmujemy co roku ok. 2 tys. dzieci. Głównie takich, które nie wierzą w swoje siły i nie mają obok siebie „dwunastego zawodnika”. Wie pan, dziecko tego nigdy nie powie. Już prędzej pokaże.

Jak?

Zachowaniem. Czasem wesołkujemy, żeby wreszcie zostać zauważonym. Czasami agresją. Jeszcze innym razem wycofaniem. Pamiętam siedmiolatkę, który usłyszał od rodziców, że nic z niego nie będzie. Choć to nie reguła: trafiają do nas też dzieci wspaniałych rodziców. Tyle że nie nauczyli się wspierać swojego potomstwa albo robią wszystko, co trzeba, a nawet więcej, ale sami potrzebują „dwunastego zawodnika”.

W zeszłym roku wydaliście „Raport o dołowaniu” na temat dzieci bez wsparcia. To fragment: „Igor jest leniem. Tak o sobie mówi i tak o sobie myśli. Jego mama i tata też tak mówią. Igor uważa, że życie jest straszne i zawsze może być gorzej (...) Każde zdanie zaczyna od „nie wiem», nawet jeśli wie”.

Dzieci bywają dołowane przez rodziców, ale nie tylko. Pamiętam Martynę, która powiedziała nauczycielce, że chce zostać weterynarą. Na co pani rzuciła prześmiewczo: „Do tego trzeba znać biologię”... Najczęściej w takim dołowaniu

nie ma złych intencji – po prostu mamy takie nawyki, odruchy. Rodzice chcą dla swoich dzieci dobrze. Nauczyciele też.

Martyna chodziła do III klasy, a dzięki pobytowi u nas wyjaśnił się jej problem. Gdy stała na środku klasy, np. recytując wierszyk albo odpowiadając na pytania, doznawała blokady. A do zeszytu pani wstawiała jej czarne pieczątki lub smutne buźki... Nasza wolontariuszka pogadała z wychowawczynią. Okazało się, że trafiła na nauczycielkę, która co prawda zrobiła błąd, ale potrafiła się też do niego przyznać. Zaczęła zadawać dziewczynce pytania, gdy ta siedziała w ławce, a nie stała twarzą do klasy. Odblokowało ją to.

Poza wolontariusem każde dziecko ma darczyńcę.

Który finansuje bądź współfinansuje dziecku Indeks Sukcesów. Może też napisać do podopiecznego „list mocy” – np. o tym, że w dzieciństwie był niepewny siebie albo się jąkał, ale znalazł się dorosły, który mu powiedział, że to nic nie szkodzi. Bo każdy z nas miał jakiś problem. Tylko że większość – właśnie dzięki „dwunastym zawodnikom” – dziś się do tych swoich proble-





mów uśmiecha. Akademia Przyszłości jest po to, by te dzieci też się mogły kiedyś uśmiechnąć.

Główne działania Akademii to spotkanie wolontariusza z dzieckiem. Raz w tygodniu przez godzinę.

Nie są to korepetycje, choć może się zdarzyć, że odrabiają razem lekcje. Ta godzina to spotkanie dorosłego człowieka z małym człowiekiem, podczas którego ten pierwszy towarzyszy w wędrówce drugiemu. Czasem idzie obok, czasem pokieruje, bo zna lepiej mapę, czasem ostrzeże, że idą w złą stronę. Zawsze ma czas.

Opowiem kolejną historię – Bartka. W trakcie czterech spotkań z wolontariuszką ani razu się nie odezwał. Ta uznała, że to jej porażka, że robi coś źle, i powiedziała Bartkowi, że w następnym tygodniu przyjdzie ktoś inny. Chłopiec się rozplakał.

A później – trochę cięgnięty za język – opowiedział swoją historię. Wynikało z niej, że nikt z dorosłych nigdy nie rozmawiał z nim tak, jak ta wolontariuszka. Ani w domu, ani w szkole.

„Raport o dołowaniu” to dla mnie wielkie oskarżenie systemu edukacji. Co jest z nim nie tak?

To, że się nie zmienia: patrząc na szkołę swoich dzieci, przypominam sobie własną i nie dostrzegam zasadniczych różnic. To dla mnie trudne do przyjęcia, że moje dzieci nie znałyby angielskiego, gdyby nie było nas stać na dodatkowe lekcje. Że nie umiałyby matematyki,

JOANNA SADZIK jest prezeską zarządu Stowarzyszenia Wiosna, wcześniej szefową jego projektów społecznych, m.in. Szlachetnej Paczki, a także wolontariuszką. Menedżerka i trenerka, z wykształcenia politolożka. Na zdjęciu w Krakowie, 9 grudnia 2021 r.

gdyby ich tata nie rozkochał ich w tej dziedzinie.

Mój syn jest od dawna straszony maturą. Straszony!

Dziecko znajomego, patrząc na swój piękny rysunek sprzed lat, powiedziało: „Już tak nie umiem rysować”. Ta samoocena to „zasługa” szkoły i kwintesencja jej działania.

A spójrzmy na lektury. Mój syn czyta właśnie dzieło Reymonta. Jak go pytam, co u „Chłopów”, ciągle odpowiada: „Krowa umiera” (*śmiech*). To naprawdę w większości nie są książki, które mogą podtrzymać w dzieciach ciekawość świata i miłość do czytania.

Co to jest Indeks Sukcesów?

Zwykła książeczka, do której można wpisać wszystko. Na początku drobne, zauważone przez wolontariusza rzeczy, np. „po raz pierwszy zaśmiał się na głos”. Później pierwsze wychwycone mocne strony.

Żadnych czarnych pieczętek?

I żadnych czerwonych długopisów, które chyba wszyscy pamiętamy. Do tego stopnia, że gdy pewnego razu w pracy naniósł na czerwono uwagi na jakiś tekst, jego autorka się przeraziła. „To ja to fatalnie zrobiłam” – powiedziała...

W Indeksie poza sukcesem jest też data i dwa podpisy – wolontariusza i podopiecznego. Po to, by dziecko poczuło powagę sytuacji.

Proponowaliście któremuś z ministrów edukacji wprowadzenie takich indeksów?

Nie, ale idea nie potrzebuje takich pieczęci, żeby żyć.

Jedno z moich dzieci w szkole podstawowej uchodziło za „niegrzeczne” – bo patrzyło w sufit, bo wyglądało za okno, bo się za dużo ruszało. W końcu wychowawczyni wymyśliła, że czas na wizytę u pani pedagog. Idę więc do szkoły z poczuciem niepokoju, ale też z wojowniczym nastawieniem. A pani pedagog czyta te uwagi, kiwa głową i mówi: „Najważniejsze, by Antek nie stracił przez to poczucia własnej wartości”. Miałam ochotę tę panią przytulić.

A to nie koniec. Nagle otwiera zeszyt z rubryką: „sukcesy”. I mówi mi, że używa go z dziećmi, które mają trudności, →

→ a pomysł zaczerpnęła od... Akademii Przyszłości. Byłam wzruszona, zwłaszcza że ta pani nie wiedziała, kim jestem.

System jest taki, jaki jest. Ale obok niego są też mądrzy ludzie.

Mądrzy ludzie mogą się bać robić mądre rzeczy. Np. iść z dziećmi do teatru, gdy pani kurator odradza.

Mam dla siebie i dzieci bilety na „Dziady” w Słowackim, jeśli o to pan pyta. A co do pani kurator, to mam nadzieję, że nikt tej „lekcji” nie weźmie na poważnie. Że najważniejsze okażą się takie wartości, jak umiejętność krytycznego myślenia.

Właśnie ogłoszono kolejne ogólnopolskie zamknięcie szkół w grudniu i na początku stycznia. Akademia stała się jeszcze ważniejsza w pandemii?

Nauczanie zdalne zwiększa nierówności. Widzieliśmy to, rozdając m.in. laptopy i inny sprzęt w ramach akcji Gra Paczka, w którą zaangażowali się znani gracze komputerowi. To w „Tygodniku” czytałam o nauczycielu, który podczas lekcji zdalnych objeżdżał rowerem gospodarstwa, zostawiając zadania na furtkach. Bo o wysyłaniu ich online nie było nawet mowy.

Dodatkowo w związku z zawirowaniami wokół edukacji do prywatnych korepetytorów zrobiły się jeszcze większe kolejki. A nie wszystkich stać na korepetycję.

Więc tak, czujemy się teraz jeszcze bardziej potrzebni.

Pewnie nie tylko na tym polu. Rozmawiamy tuż przed Weekendem Cudów.

To ważne wydarzenie w Szlachetnej Paczce – moment „spotkania” darczyńcy z obdarowywaną rodziną. W epidemii odbywa się to za pośrednictwem wolontariusza, który wręcza paczkę. W praktyce to zwykle wiele paczek. A bywa, że i dary niematerialne, jak dodatkowe lekcje angielskiego czy matematyki.

Jestem darczyńcą w rodzinie pani Małgosi. Odeszła od taty swojej córki z powodu przemocy. Musiała wynająć mieszkanie, a to duże pieniądze. Po śmierci mamy straciła jedyną osobę, która jej pomagała. W dodatku nie dostaje alimentów. Zarabia za dużo na zasiłek, ale za mało, by kupić dziecku buty czy kurtkę.

Trzeba pomagać z sercem i z rozumem.

Pomoc bezrozumna jest wtedy, gdy pomagam tak, jak ja chcę, a nie tak, jak potrzebuje tego obdarowywany.

Potrzebny był też stół i smartfon, na którym dziewczynka się uczyła, ale się zepsuł.

A cud?

Wierzmy, że Paczka to też impuls do zmiany. Do pomyślenia lepiej o sobie i o świecie. Do aktywności – jak w przypadku pani, która dostała maszynę do szycia, ale też kontrakt na szycie toreb. Wróciła do pracy.

W „Raporcie o biedzie”, kolejnym Waszym cyklicznym wydawnictwie, opowiadacie o ludziach, którzy żyją za kilka złotych dziennie...

...i zastanawiają się po śniadaniu, czy stać ich jeszcze dziś na jakiś posiłek. Albo w środku zimy żyją bez ogrzewania.

A dzieci? Słyszymy twierdzenia, że 500 plus niemal zlikwidowało ich biedę.

Tyle że wartość tego świadczenia drastycznie spadła, doszła do tego drożyzna. Tymczasem nieustannie zdarza mi się słyszeć pytania, dlaczego pomagamy np. rodzinie z czwórką dzieci, „skoro dostają 2 tys. złotych”.

W tej chwili w skrajnym ubóstwie żyje ponad 400 tys. dzieci. A skrajne ubóstwo to zagrożenie zdrowia.

Jak pomaga w pandemii Polak?

W marcu i kwietniu 2020 r. był moment sprężu – wszyscy szyli maseczki, chcieli pomagać, przedstawiciele małych organizacji dzwonili do mnie z pytaniem, co i jak mogą zrobić. Potem, wraz ze spadkiem zachorowań, spręż się skończył. A dwie kolejne fale epidemii to były lęki: przed utratą pracy, przed chorobą, przed nauczaniem zdalnym. W 2020 r. wyraźnie spadła i skala wolontariatu, i dobroczynności, choć ten trend na szczęście nie dotknął Wiosny.

Często podkreśla Pani, że trzeba pomagać z sercem i z rozumem. Jaka jest pomoc bezrozumna?

Gdy pomagam tak, jak ja chcę, a nie tak, jak potrzebuje tego obdarowywany.

Daje Pani pieniądze na ulicy?

Po to są zbiórki, by cel był zweryfikowany. Ale jeśli ktoś prosi o kupienie jedzenia, kupuję.

Są tacy, którzy mówią: Paczka to pomoc z rozumem, ale z sercem jest gorzej.

Bo?

Bo nie jest reakcją na krzyk rozpacz, na prośbę. To wy wybieracie „zastługujących” na wsparcie.

W pierwszym roku bycia wolontariuszką trafiłam na panią, która przez osiem godzin dziennie – a więc tyle, ile wynosi etat – zajmowała się organizowaniem pomocy dla swojej rodziny. Miała zaznaczone punkty na mapie Krakowa, w których wydawano różne rzeczy: tu jedzenie, tu ciuchy, tu jeszcze coś innego. Jej mąż mówił, że nie ma dla niego pracy z godnym wynagrodzeniem. Do nas miała konkretne życzenie – lodówkę, której nigdzie nie rozdawano...

Opowiadam tę historię zawsze, gdy ktoś pyta, dlaczego nie pomagamy wszystkim.

Jest bieda zawiniona?

Ktoś ma 40 lat, fach w ręku, dostępną pracę, ale jej nie podejmuje – można powiedzieć, że to bieda z wyboru. Ale wybór to nie wina. Zwłaszcza wybór – a najczęściej tak jest w podobnych sytuacjach – który jest determinowany: trudną przeszłością, lękiem, brakiem wsparcia. Czymś trudnym do uchwycenia na pierwszy rzut oka.

Może wtedy potrzebna jest inna pomoc? Niematerialna?

Na pewno, ale nie można oczekiwać od wszystkich wolontariuszy, że to wychwycą. A od organizacji, że odpowie na każdy problem. My akurat pomagamy ludziom, którzy popadli w kryzys ze względu na przypadek losowy, a odmowa pomocy materialnej nie zawsze oznacza odmowę pomocy w ogóle. Czasami cenniejsze będzie wsparcie prawne albo medyczne. Robimy to w Paczce.

Gdy Pani poprzednik,
ks. Jacek Stryczek,
mówił w mediach, że każdy
powinien sobie radzić sam, albo
pytał, dlaczego ktoś bez pracy
w 2010 r. nie ma jej nadal
w 2011 – nie trafił Pani szlag?

Są zdania, w których brakuje próby
zrozumienia. Dlaczego ten człowiek
nie ma pracy? Może jest chory? Miał pa-
daczkę lekooporną, dwa razy upadł i go
zwolnili? Może go boli dusza?

Mówiła Pani: „Jacek, nie szarżuj”?

Nigdy nie byliśmy na „ty”, a blisko za-
czeliśmy współpracować, gdy w 2017 r.
zaczęłam kierować Paczką. Może mi pan
nie uwierzy, ale ks. Stryczek się wtedy
w Paczkę szczególnie nie wtrącał. Był sku-
piony na innych odcinkach Wiosny.

Ale zdarzało się nam – pracownikom
Paczki – mocno wkurzyć. Niektóre z tych
wypowiedzi nie składały się nam z dzia-
łalnością, którą prowadziliśmy.

**Pytam, bo jestem ciekaw, kim jest
szefowa jednej z największych
organizacji pomocowych w Polsce.**

Kobietą z sercem liberałki, ale też
częstką lewackiej duszy (*śmiech*). Nigdy
nie powiem, że każdy musi sobie radzić
sam. Zawsze będę podkreślać, że ci, któ-
rzy stoją mocno na nogach, musieli kie-
dyś natrafić na wspierających dorosłych.

Paczka ma zresztą teraz pięcioro „sze-
fów” – tyle osób jest w zarządzie Wiosny.
Mają różne poglądy i różną wrażliwość.

**Trzy lata temu Stowarzyszeniem
Wiosna zatrzęsł reportaż**

Janusza Schwertnera w Onecie.

**21 osób oskarżyło ks. Stryczka
m.in. o mobbing. Nie wiedzieliście,
czy przetrwać. A teraz?**

Teraz nie pamiętamy, jak to jest być
w kryzysie.

**Opisywała już Pani w mediach
tamte zdarzenia, odcinając się
od zachowań poprzedniego prezesa.**

**A tak z dystansu: czym tłumaczy
Pani brak czujności pracowników,
którzy – jak Pani – musieli być
świadkami „stylu zarządzania”
ks. Stryczka, a nie reagowali?**

Reagowali. Sama ze względu na ten styl
zarządzania chciałam się zwolnić z pracy.
Później jednak był tekst Onetu, kryzys
i uznałam, że jeśli zmieni się zarząd, to



ANNA KACZMARZ / POLSKA PRESS / EAST NEWS

Wolontariusze Szlachetnej Paczki rozdzielają prezenty dla swoich podopiecznych.
Kraków, 12 grudnia 2020 r.

nie mogę zostawiać w takiej sytuacji sto-
warzyszenia.

Częścią odpowiedzi na pana pyta-
nie jest klimat lat 90. i wczesnych dwu-
tysięcznych. Proszę to sobie przypo-
mnieć: 20-procentowe bezrobocie,
wdzięczność, że ktoś przyjął do pracy,
szefowie, którzy podnosili głos i nikt się
temu nie dziwił. Plus wszystko to, o czym
dziś słyszymy w akcji #MeToo.

**Mawia Pani, że w Wiośnie panuje
dziś ustrój demokratyczny,
partycypacyjny.**

Nie szarżujemy, demokracja to rządy
większości, a tu jednak rządzią specjali-
ści – różni na różnych polach. Ale party-
cypacyjny na pewno. Jak wspominałam,
zarząd jest pięcioosobowy. I każdy ma po
jednym głosie.

**Jakie wypracowaliście
antymobbingowe bezpieczniki?**

Mamy związek zawodowy. Mamy ko-
misję antymobbingową, do której można
złożyć anonimowo skargę. Zorganizowa-
liśmy masę szkoleń: czym jest mobbing,
czym dyskryminacja, jaki to jest język in-
kluzywny. No i wspomniana partycypa-
cja: fakt, że nikt w Wiośnie nie ma dzisiaj
pełni władzy, to również bezpiecznik.

**Dlaczego organizacje pomocowe
radzą sobie z mobbingiem gorzej
niż korporacje?**

To nie jest reguła, ale faktycznie
w wielu NGO-sach pozostał wspomniany
duch lat 90. Dochodzą też do mnie głosy,
że w wielu organizacjach problemem jest
wypalenie. Ludzie przychodzą z ogrom-

nym sercem i mnóstwem emocji. Chcą
zmieniać świat, ale często ich przełożeni
„wiedzą lepiej”, jak to się robi. Takie zde-
rzenie z realiami jest tu dziesięć razy bole-
śniej niż w korporacji.

Bywa też, że sami pracownicy się za-
tracają. Przed covidem zdarzało mi się
iść około godz. 18 przez Wiosnę i widzieć
rzadek pracujących. Pytałam: „A dlaczego
jeszcze tu jesteś?”. Śmiali się, że jestem
wiedźmą, która wyrzuca do domu. A ro-
biłam to, bo byłam i jestem przekonana,
że trudno być dobrym pracownikiem, po-
zostając w alercie 16 godzin na dobę.

**Niech Pani coś powie o „dwunastych
zawodnikach” w swoim życiu.**

Moja nauczycielka polskiego, pani
Wanda Zaremba. Wierzyła we mnie. Po-
wiedziała mi w czwartej klasie: „Pisz, bo
umiesz to robić”. Wykopywała mnie na
olimpiady, konkursy.

Mój szef z pierwszej firmy, w której
pracowałam – Władek Lewandowski.
To były właśnie te lata 90., a on mnie od
początku pytał o zdanie w ważnych spra-
wach. Nadal przysyłał SMS-y: „Słyszałem
cię w radio, jestem z ciebie dumny”.

Moje dzieci, zwłaszcza córka, bo jest już
pełnoletnia. Potrafią nazywać cudze suk-
cesy, mówić innym ludziom budujące
rzeczy. Nawet jak tym „innym człowie-
kiem” jest własna matka.

© Rozmawiał
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



PATRICK PLEUL / DPA / PAP

Hala produkcyjna Tesli w Grünheide koło Berlina. Niemcy, 9 października 2021 r.

Niebo w kolorze bugatti

MAREK RABIJ

Były przedmiotem pożądania, symbolem statusu, aż w końcu spowszedniały i stały się produktem masowym. I wtedy nagle ich zabrakło.

MINĘŁO MOŻE DZIESIĘĆ SEKUND, ALE pan Jerzy już zdążył mnie fachowo otaksować spojrzeniem starego handlowca. Znacząco spojrzał na lekko ubłoczone buty, które mogły wskazywać, że do salonu wcale nie przyjechałem własnym samochodem. Potem, jakby od niechcienia, przeniósł wzrok na mój zegarek, zdecydowanie zbyt tani jak na luksusową markę japońskich aut, o których mamy rozmawiać.

– Od ręki? U nas oznacza to odbiór samochodu do 14 dni od zamówienia. Niestety, takich aut nie mamy – już przy biurku pan Jerzy pokazuje mi arkusz kalkulacyjny w laptopie. – Gdyby się pan jednak zdecydował troszkę poczekać, to na drugą połowę stycznia mógłbym już coś zaproponować. Na przykład

srebrny metalik w dość bogatej wersji wyposażenia. Jest jeden w całej Polsce. Białej perły będzie chyba więcej... a nie, przepraszam, też jedna sztuka. W wersji bazowej mamy większy wybór, aż sześć egzemplarzy.

Dlatego na rabaty, jakie trafiały się zawsze pod koniec roku, w tej chwili nie ma szans. A gdybyśmy dziś podpisali umowę na auto z rocznika 2022, odbiór samochodu nastąpiłby na przełomie kwietnia i maja.

U innych dealerów jest jeszcze gorzej.

– W połowie października coś było na stanie. Teraz? Zero. To, co stoi, jest już zarezerwowane i opłacone – ucina pracownik salonu popularnej niemieckiej marki. – Dziś zbieramy zamówienia z dostawą na wrzesień.

– Dwa tysiące złotych zaliczki i ma pan zarezerwowane miejsce w kolejce do odbioru na maj – handlowiec kolejnej marki nawet nie zamierza sprawdzać bieżącej dostępności modeli. – Kiedy dostaniemy informację, że samochód dla pana będzie wchodzić do produkcji, zaprosimy na podpisanie umowy i dopiero wtedy ustalimy cenę. Jak pan dojdzie do wniosku, że jednak za drogo, zwrócimy zaliczkę, ale radzę nie odkładać zakupu. Nasz najtańszy model tylko od października podrożał o prawie dwa tysiące złotych.

Instytut Badań Rynku Motoryzacyjnego Samar prognozuje, że sprzedaż nowych aut osobowych w Polsce wzrośnie w tym roku najwyżej o 5 proc., ale nawet tak ostrożne szacunki mogą się okazać zbyt optymistyczne. Producenci i dilerzy z ciekawością mieszaną z lękiem wyczekują wyników za ostatni kwartał, który zaczął się jak w rasowym horrorze. Z danych Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców wynika, że w październiku br. zarejestrowano w Polsce 31 258 samochodów osobowych, czyli aż o 21,99 proc. mniej niż rok wcześniej – i o 5,53 proc. mniej niż we wrześniu 2021 r. Podobne, a nawet głębsze spadki sprzedaży branża motoryzacyjna już miewała, ale zawsze w wyniku załamania popytu. Tym razem za motoryzacyjnym apetytem światowej

gospodarki, rozgrzanej pakietami anty-recesyjnymi, nie nadąża podaż, a głównym winowajcą jest zabójcze dla branży zjawisko ukryte pod niewinną z pozoru nazwą. Chodzi o tzw. łańcuchy dostaw.

Wojna czipowa

Koncerny motoryzacyjne współcześnie nie tylko sprzedają, ale przede wszystkim produkują na globalną skalę. Samochód stał się na tyle złożoną konstrukcją, że nie da się go wymyślić i zbudować od początku do końca w jednej fabryce. Trudno nawet mówić o technologii *made in Japan* czy *made in Germany*, gdy auto składa się z silnika wyprodukowanego w Polsce z części wykonanych w Chinach, karoserii z blachy sprowadzonej z Indii, a wytłoczonej na niemieckich maszynach gdzieś na Słowacji, komputera pokładowego zmontowanego z podzespołów ściągniętych z Tajwanu oraz Korei Południowej i zaprogramowanego na Białorusi. A są jeszcze projektanci, np. z Mediolanu, odpowiadający za wygląd i funkcjonalność pojazdów.

Kiedy lockdowny w kolejnych krajach zamroziły lub spowolniły produkcję, ten delikatny ekosystem rozpadł się jak domek z kart. Montownie aut, pozbawione stałego dopływu podzespołów, ograniczyły czas pracy lub wręcz stanęły. Dotkliwy okazał się zwłaszcza deficyt mikroprocesorów sterujących „inteligentnymi” funkcjami samochodów. Tu prym w produkcji wiodą trzy państwa o silnie scentralizowanej gospodarce, czyli Tajwan, Korea Południowa i Chiny. Dylemat: dostarczyć zamówione czipy partnerom w USA lub w Europie czy raczej wykorzystać je do budowy krajowych produktów i dzięki nim zyskać przewagę nad konkurentami – szybko zmienił się więc w decyzje czysto polityczne. Ostatnie dwa lata w handlu zagranicznym są *de facto* epoką skrajnego protekcjonizmu. Rykoszetem oberwała zaś motoryzacja, która marzy dziś o tym, by wrócić do poziomu sprzedaży samochodów sprzed pandemii.

Nie dziwią więc statystyki firmy AAA Auto, prowadzącej w całym kraju komisje samochodowe, z których wynika, że sprzedaż używanych samochodów w Polsce tylko od początku roku wzrosła o 18 proc., a przeciętna cena takiego pojazdu skoczyła z 19 do 22,5 tys. zł. Największą popularnością cieszyły się – to także duża zmiana w stosunku do lat po-

przednich – samochody eksploatowane najwyżej 36 miesięcy, co oczywiście nie oznacza, że motoryzacyjne predylekcje bywalców giełd i komisów niespodziewanie skreśliły bliżej pachnących aut prosto z salonów. Z konieczności dołączyli do nich po prostu ci, którzy dotychczas nawet nie wyobrażali sobie zakupu używanego pojazdu.

Pod tym względem polski rynek motoryzacyjny wraca do punktu, z którego wyruszył ponad 30 lat temu w wolnorynkową podróż. Znowu jesteśmy w sytuacji, w której o nowym samochodzie można głównie pomarzyć, a kupujemy to, co jest.

Telewizor, meble, mały fiat

„Auto staje się przedmiotem kultu w wyższej mierze niż przedmiotem użytku; jest to nie tyle środek przenoszenia się z miejsca na miejsce, ile cudowne urządzenie, przenoszące jego właściciela spośród szarego tłumu w obręb Wytwornej Elity” – pisał w 1957 r. Stanisław Lem na łamach „Przekroju”.

Niewykluczone, że autor był już wtedy właścicielem zakupionego właśnie w tym roku (podają za biografem Lema, Wojciechem Orlińskim) Automobilwerk Zwickau P70, czyli wschodniemieckiego wehikułu napędzanego dwusuwowym silnikiem o tak niewielkiej mocy, że był w stanie unieść jedynie karoserię ze sklejki. Lem, wielki miłośnik motoryzacji, szczerze nienawidził tego auciska. Marzył mu się samochód z prawdziwego zdarzenia, taki, co „ma Powieki na Reflektorach, Luksusy, Radio, Wszystko Synchronizowane, Nowe Zawieszenie, Chromów Masę”. Jednak w PRL-u wczesnego Gomułki szczytem snobizmu był najwyżej któryś z wartburgów. W 1960 r. za kierownicą takiego niemieckiego potwora Lem przejechał bez usterki 2,5 tys. km po „wspaniałych słowackich betonach” i udało mu się rozpędzić go do 110 km, o czym z zachwytem donosił Sławomirowi Mrozkowi. Polska? Na tle ościennych państw faktycznie mogła jawić się pisarzowi jako królestwo furmanki i kocich łbów. W 1950 r. liczba zarejestrowanych aut ledwie przekraczała 40 tys., a siatka drogowa dobijała do 113 tys. km, głównie poniemieckiego bruku. Lem zdawał sobie więc sprawę, że umorusana w socjalizmie ojczyzna jeszcze długo – a może nigdy – nie posmakuje motoryzacji jako fenomenu kulturowego. Luksusowe sportowe auta nie nadawały się na

dziurawe krajowe drogi, zresztą, kogo byłoby na nie stać? Brakowało też moteli, restauracji i stacji benzynowych – podłoża, na którym mogłaby wykiełkować polska „kultura automobilizmu”.

Kiedy w latach 80. Budka Suflera śpiewała o „toyocie przepięknej, aż strach”, Lem był już szczęśliwym posiadaczem pełnokrwistego nowoczesnego mercedesa. Przeciętnemu Polakowi horyzont konsumpcyjnych aspiracji nadal wyznaczał jednak „telewizor, meble, mały fiat” z innego hitu tamtych czasów. Świat motoryzacji przez wielkie M – choć już widoczny choćby w postaci katalogów zachodnich marek, kolekcjonowanych masowo przez polskie dzieci – stanowił raczej obiekt marzeń niż realną ofertę. W opublikowanym w 1980 r. „Witrażu” Andrzej Kuśniewicz, który w młodości pracował dla jednego z producentów samochodów, pisał: „niebo było idealnie niebieskie, podobne do koloru, jakim malowano wyścigowe samochody Bugatti”.

Wkrótce motoryzacyjni bogowie mieli jednak zejść na ziemię.

Prywatyzacja komunikacji

Pomiędzy 1980 a 1989 r. liczba zarejestrowanych aut osobowych wzrosła z 2,38 do 4,84 mln. W 1990 r. było ich już 5,26 mln. Kiedy pod koniec 2003 r. odliczaliśmy miesiące do wejścia do Unii Europejskiej, po drogach krążyło 11,24 mln samochodów osobowych, ale w rolę współgospodarzy Euro 2012 weszliśmy już jako posiadacze 18,77 mln pojazdów. Dziś 24,3 mln zarejestrowanych aut osobowych daje nam (według statystyk Europejskiego Stowarzyszenia Producentów Samochodów ACEA) trzecie miejsce na liście najbardziej zmotoryzowanych nacji Europy, tuż za otwierającymi zestawienie Luksemburczykami oraz Włochami.

Oczywiście, rzeczywistość jest odrobinę bardziej skomplikowana od statystyki. Polski boom na samochody z przełomu stuleci wynikał tyleż z fascynacji motoryzacją, co z konieczności zastąpienia własnymi czterema kółkami kolejnych znikających połączeń kolejowych i linii autobusowych, które zdejmowano z rozkładu konającego PKS-u. Rezultatem tej oddolnej prywatyzacji komunikacji był wysyp „trumien” jeżdżących po krajowych drogach. Nawet dziś ok. 3,2 mln samochodów, które widnieją w Centralnym Rejestrze Pojazdów i Kierowców, →

→ nie wyjeżdża już na ulice, zazwyczaj z powodów technicznych. Przeciętny wiek samochodu osobowego na polskich ulicach według ACEA to dziś 14 lat i jeden miesiąc. Natomiast w Luksemburgu statystyczny kierowca jeździ autem liczącym sześć i pół roku.

Na pocieszenie pozostaje świadomość, że na miano „złomowiska Europy”, jakie często przypisują Polsce branżowi publicyści (zwykle ci sami, którzy ochoczo odwiedzają targi samochodowe na koszt koncernów motoryzacyjnych), zasługujemy tak samo jak sąsiedzi. Na Starym Kontynencie starsze auta mają od nas Litwini (średnio 16 lat i 8 miesięcy), Estończycy (16 i 7), Rumuni (16 i 5), Grecy (16) oraz Chorwaci (14 i 6). Przeciętne auto w Niemczech liczy dziś 9 lat i 6 miesięcy, w Szwecji 10 lat, a we Francji – dwa miesiące więcej. Słowacy, którzy jedną piątą swego PKB zawdzięczają produkcji samochodów, do pracy w fabrykach motoryzacyjnych dojeżdżają dziś autami wyprodukowanymi 14 lat temu. W USA średni wiek eksploatowanego pojazdu osobowego to już 11 lat i dwa miesiące. Czyli

Polski rynek motoryzacyjny

wraca do punktu, z którego wyruszył ponad trzydzieści lat temu w wolnorynkową podróż. Znów jesteśmy w sytuacji, w której o nowym samochodzie możemy głównie pomarzyć.

równy o 12 miesięcy mniej niż w Wielkiej Brytanii, która właśnie odkrywa ze zdumieniem, że ojczyzna Rolls-Royce'a, Astona Martina, Bentleya i Land Rovera zamienia się stopniowo w wielki parking używanych hatchbacków niespełniających najnowszych norm emisji spalin.

Miłośnicy motoryzacji, którym „w żyłach zamiast krwi krąży benzyna”, będą

się oczywiście oburzać na to stwierdzenie, ale czasy, w których samo posiadanie auta było symbolem statusu społecznego, odeszły w przeszłość – a wraz z nimi sama motoryzacja jako masowy fenomen cywilizacyjny. Dzieci od resoraków woła konsole, a młodzież coraz rzadziej zdaje na prawo jazdy. W 2020 r. kurs ukończyło zaledwie 361 tys. osób, o 20 proc. mniej niż rok wcześniej, a tendencja spadkowa utrzymuje się od lat. W mediach motoryzacja z pasm najwyższej oglądalności przeciekła do internetu, gdzie gromadzi stałą, lecz niszową widownię.

Kebab rocznik 2005

Oczywiście pewnej części Polaków motoryzacja nadal podnosi ciśnienie. W 2019 r. w Warszawie anonimowy nabywca zapłacił niemal 18,5 mln zł za jeden z zaledwie 150 wyprodukowanych egzemplarzy Astona Martina Valkyrie AMR Pro. Nad Wisłę trafił także jeden z 20 modeli Bugatti Chiron, i to właśnie on otwierał zestawienie najdroższych aut wystawionych w serwisie OtoMoto. Właściciel chciał

WYJĄTKOWY PROJEKT NA POLSKIEJ SCENIE MUZYCZNEJ

NATALIA KUKULSKA

CZUŁE STRUNY

KONCERTY

29.01.2022 · ICE KRAKÓW

31.01.2022 · NFM WROCŁAW

FRYDERYK CHOPIN

TOMASZEWSKI · SZTABA · HERDZIN

KOŁODZIEJCZYK · SMOCZYŃSKI

ORKIESTRA AKADEMII BEETHOVENOWSKIEJ



REKLAMA

Prestige
MJM

bs BILET
SERWIS

Classic

TYGODNIK
POWSZECHNY

VIXON
radio

TIDAL

PRESS
SERVICE

VIVA!

BILETY: BILETSERWIS.PL

za niego, bagatela, 17,7 mln zł. Kupca szukało również Ferrari La Ferrari za 9,4 mln zł, pachnące nowością Lamborghini Aventador SVJ za 5,2 mln zł, Bugatti Veyron z 2009 r. za 3,8 mln zł czy Mercedes SLR z tego samego rocznika, wyceniony na 3,4 mln. W takim towarzystwie samochody z cennika Rolls-Royce'a, kosztujące w wersji bazowej około 1,5-2 mln zł, mogą wydać się ofertą masową i rzeczywiście – brytyjska marka chwali się, że w pierwszym kwartale zwiększyła w Polsce sprzedaż rok do roku aż o 62 proc.

Powyższe statystyki mówią jednak tyle o polskim stosunku do motoryzacji, ile menu ekskluzywnej i zarazem awangardowej restauracji o naszych zwyczajach kulinarnych. Firma Rankomat, internetowy broker ubezpieczeń komunikacyjnych, podała niedawno, że najczęściej ubezpieczanym pojazdem był w tym roku Opel Astra z rocznika 2005 z silnikiem benzynowym 1,6 litra, wart około 13 tys. zł. Przeciętny polski samochód zgłoszony do ubezpieczenia – a więc zapewne również systematycznie użytko-

wany – liczy dziś od 11 do 20 lat (w tym wieku jest aż 58 proc. zarejestrowanych pojazdów), a napędza go silnik benzynowy (43,5 proc.) o pojemności 1,6-1,9 litra (34,6 proc.). Aż 55 proc. pojazdów na polskich drogach stanowią auta sprowadzone z któregoś z europejskich krajów, najczęściej z Niemiec. Niemal sześć na dziesięć z nich ma jakiś ukryty defekt, zwykle przekreślony licznik. Trzymając się konsekwentnie kulinarnej stylistyki, można zatem stwierdzić, że w naszym motoryzacyjnym menu dominuje kebab, czyli sycaca, ale tania potrawa zagranicznej proveniencji, która tylko od czasu do czasu okazuje się niestrawna. I jedynie garstka motomaniaków ekscytuje się *nouvelle cuisine*.

W gruncie rzeczy nie powinno nas to jednak dziwić. W wysoko rozwiniętym świecie atlantyckim, do którego nam coraz bliżej, auta od dawna nie uchodzą za symbol statusu. Za sprawą wstydliwego wkładu, jaki branża motoryzacyjna ma w rozkręceniu zmian klimatycznych, wielu konsumentów uważa rezygnację z własnego samochodu za jedyny

moralnie uzasadniony wybór. W wersji wielkomiejskiej coraz częściej obrasta on zresztą kożuszkim snobizmem, który podpowiada, że modniej jest jeździć rowerem i komunikacją miejską, mieszkając w dogodnie skomunikowanym miejscu. W tym nowym systemie wartości bieguny zamieniają się położeniem. Nieposiadanie auta staje się przywilejem nielicznych. Posiadanie – zwłaszcza tam, gdzie nie dociera regularnie autobus – koniecznością.

W tym kontekście warto zerknąć na zestawienie średniego wieku samochodu w USA czy w Europie z metryką przeciętnego auta jeżdżącego po drogach w tych częściach świata, które przeżywają obecnie największy gospodarczy boom. W Azji Południowo-Wschodniej dominują dziś auta niespełna siedmioletnie. W Chinach – zaledwie pięcioletnie. Ale po Pekinie jeszcze w 1995 r. krążyło 8,9 mln rowerów, a ich udział w dziennej puli przejazdów sięgał 63 proc.

Aktualnie nie przekracza już nawet 11 proc.

© P MAREK RABIJ

REKLAMA



Gabrysia spogląda w obiektyw, jakby nie była pewna, czy jej wolno. Oczy wypełnione strachem i beznadziejnością, kucykowe krótkie nóżki, które doniosły ją tutaj na kilka ujęć. Ujęć, które mogą ocalić jej życie. Lub nie. Wtulona w nią córeczka Gucia zamyka oczy, jakby chciała zniknąć. Patrzę, jak cała się trzęsie. Nic nie rozumiem. Nie wie, co tu robią od kilku dni. Nie wie, dlaczego zniknęło to, co znała. Mała obórka, wiadro z wodą, no i jej ulubiona dróżka na pastwisko, którą zasypał pierwszy śnieg. Specjalnie dla niej zasypał... dla Guci! Jakby śnieg wiedział, że mała może już nie mieć okazji poczuć, czym jest skrzęca zima. Jakby ta zima i ta dróżka to były ostatnie rzeczy, jakie zachwycą Gucię, nim stąd odejdzie.

Takim jak Gucia i jej mama Gabrysia – nic nie wolno. A przynajmniej niewiele. Wolno pracować, wolno rodzić zrebaki. Nawet jednego za drugim. Nie wolno natomiast o nic prosić, nie wolno się zmęczyć, nie wolno odmówić gospodarzowi ani nie wolno się zestarzeć. Gabrysia bardzo się starała, ale wszystko przyszło jedno za drugim. Świat oblekł ją w starość i sobie poszedł. A ją zostawił jak stała, z córeczką u boku, zależną w 100 procentach od człowieka. Zostawił bez szans

na ratunek. Bo, bądźmy szczerzy, starych kucyków nikt nie ratuje. Bo po co. Świat, tam gdzie poszedł, ma kucyków na pęczki. Pełne stodoły, stajnie i pastwiska. Dwa kucyki w tę czy w tamą – nikomu nie robi różnicy. Te stare i wysłużone to zwyczajny balast. A balastu dziś ludzie łatwo się pozbywają. Tempo życia i zyski zagłuszają sumienie.

Nie wiemy, czemu gospodarz sprzedał obydwie kłaczce handlarzowi. Sam handlarz niecierpliwi się, gdy pytamy, co się stało. „Stara jest, i tyle. Co tu więcej trzeba, kto by to trzymał na starość, trzeba ubić, święta idą, nim samo padnie kiedyś” – ucina krótko i nerwowo zerkając na zegarek. Mieliliśmy však tylko kilka minut.

Nie dywagujemy. Przeszłość nie ma znaczenia. I może zwyczajnie – idą święta, a gospodarz potrzebował pieniędzy. Taki zimowy handel życiem. Zimowy jest najlepszy. Bo ceny są wysokie. Oczywiście Gabrysia tego nie wie, tak jak jej córeczka. Małe kucyki nie wiedzą, że nieważne ile zrobią, jak bardzo będą się starały i dreptały swoimi krótkimi nóżkami, to i tak nadejdzie taki dzień, kiedy ktoś opuści im trap i wskaże drogę. A jeśli nie będą chciały iść, to wrzucą je siłą. A potem, tonąc w przerażeniu, będą szły, kopytko w kopytko, ku swemu przeznaczeniu. I nawet gdy je osiągną, i wszystko przestanie dla nich istnieć, to zapewne nadal nie będą rozumieć, dlaczego świat je porzucił i skazał na okrutną śmierć. Bo najgorsze nie jest w tym wszystkim umieranie, ale to, że nie wiadomo do końca, czy coś potem los ma dla małych kucyków. Bo być może tam, dokąd idą małe kucyki, za Tęczowy Most, wcale nie ma zaśnieżonych drózek, które zima wysypała diamentowym śniegiem specjalnie dla nich?

Bez Was nie jesteśmy w stanie odwrócić losu Gabrysi i Guci. Ale z Wami, przez prawie 16 lat, tych cudów było blisko 1500. Proszę, zróbmy cud dla mamy i córeczki. Zbierzmy razem do 30 grudnia kwotę 5600 zł i подарujemy im na te Święta życie. Jeśli się spóźnimy, handlarz nie będzie czekał ani dnia dłużej. A malutka Gucia nigdy więcej nie zobaczy płatków śniegu, dróżki na pastwisko ani swojej mamy. To, co dla nas jest codziennością, dla nich jest luksusem. Pomożesz dać im ten luksus, życie?

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem **GABRYSLA** na konto **15 1020 5226 0000 6002 0220 0350**.

Możesz też pomóc wysyłając **SMS** o treści **GABRYSLA** na numer **7412** (koszt SMS 4,92 zł z VAT), **7910** (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub **91950** (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus

ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław, tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj! Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>





Jesteś gruba

TEKST ANNA GOC

ILUSTRACJE BARBARA NIEWIADOMSKA

**Im gorzej jest w twoim życiu,
tym gorzej jest
z twoim ciałem.
Ale widać tylko ciało.**

1 Zaczęło się od tajemnic, które – podobnie jak dobrzy dziadkowie – pochodzą z obu stron: ojca i matki. Tajemnicę ze strony ojca Olga nazwała roboczo „tym, co wydarzyło się nocą w ogrodzie”.

Po ojcu zostało jej kilka rzeczy. Zdjęcie ze śladem pieczętki w dolnym prawym rogu. Musiał je wyrzucić ze szkolnej legitymacji albo książeczki wojskowej. Zegar-kukułka, który z każdym tyknięciem udaje żywego. I lampka ze złoto-rubinowym abażurem, która rozświecila pokój jesiennym światłem.

Ma też jedno wspomnienie. Wyraźne. W centrum jest on – wysoki i szczupły. I dom, chyba ich wspólny, jeśli kiedykolwiek istniał. Ojciec idzie w stronę drewnianego płotu, schyla się i zrywa kilka gałązek kopereku.

Koperek. Tylko tyle. Musiała mieć wtedy dwa lata, nie więcej.

Tamtego wieczoru mógł siedzieć nad światłem naftowej lampy i zapisywać na zabrudzonych kartach grubego zeszytu informacje o lesie, w którym pracował. Liczbę drzew, które oznakował. Kilogramy paszy, którą przygotował przed zimą na dokarmianie. Stan szkółki. Jego czerwone ołówki – właśnie, je też pamięta – walały się po domu, więc musiał mieć je i w ogrodzie.

Być może przyszli już po zmroku, gdy zamglone pasmo pobliskich gór powoli znikало za oknem. Być może ogłuszyli go czymś. Być może próbował uciec. A może – jak chcą niektórzy – za dużo wypił, a tamtej nocy przyszły duchy, nie ludzie.

Nigdy nie rozmawiała o tym z matką. Raz tylko jej, a może babci, wymusnęło się, że ojca znaleźli martwego w ogrodzie.

Jedna tajemnica przechodzi w drugą.

Na tę drugą Olga też ma roboczą nazwę: „mama miała chyba depresję”. „Chyba” – bo o tym też nigdy nie rozmawiały. Tajemnice, zwłaszcza te rodzinne, lubią się nawzajem. I mają swoich strażników: „Po co ci to?”, „Nie ma do czego wracać”, „Ważne jest to, co tu i teraz”.

Tajemnicę matki próbowała rozwikłać. Zaczęło się od tego, że gdy miała cztery lata, zamieszkała z dziadkami w dużym, nieznanym mieście, a jej mama przeprowadziła się do niewielkiej miejscowości, w której nikogo nie знаła. Podobno z nikim się nie spotykała. Podobno gdzieś pracowała. Podobno przez długi czas była w szpitalu, podobno to był szpital psychiatryczny.

– Jestem Buką z „Muminków” – mówiła, gdy Olga miała cztery lata.

Olga znała taką mamę – smutną i nieobecną. Ale pamiętała też inną: taką, która puszcza z nią latawce albo bawi się w berka na trawie.

Gdy miała siedem lat, zamieszkały razem. W jednym pokoju z niewielką kuchnią i łazienką. Matka pracowała wtedy na zmiany, ale zamiast jednego dyżuru czasami brała dwa. Wychodziła o 7, wracała przed 22. Siadała zwykle na taborecie w kuchni, paliła papierosa, piła czarną, gorzką, mocną herbatę. Gdy Olga się do niej zbliżała, matka brała gazetę i chowała się za rozłożoną na wysokości twarzy płachtą.

Olga próbowała coś mówić. Opowiadać, co w nowej szkole, o tym, że dzieci znają się już z przedszkola albo po sąsiedztwie, a ona jedna jest tam nowa i może dlatego patrzeć na nią jakoś tak podejrzliwie. I że ostatnio ktoś jej wbił cyrkiel w plecy.

Matka nie reagowała, albo odpowiadała półsłówkami: „naprawdę?”, „aha”, „no trudno”. Olga po jakimś czasie zrozumiała, że gazeta jest jak mur, i że powstał z jakiegoś ważnego powodu, a w związku z tym nie ma co go forsować każdego wieczoru.

Pierwszego dnia w nowej szkole – nie pamięta.

Pierwszej klasy w nowej szkole – nie pamięta.

Za to lekcje wuefu pamięta dobrze. Miała z nimi problem od początku. Nie lubiła ubrań, które mokre przyklejały się do jej ciała i w ten sposób je odsłaniały. Nie lubiła tego, że jedna osoba wykonuje jakieś ćwiczenie, na przykład skacze przez kozła, a reszta patrzy. Ani tego, że nikt nie rozu-

mie, dlaczego ona nie potrafi zawisnąć na drabinkach i stanąć na rękach.

Gdy matka nie reagowała też na informacje o drugim miejscu, które zajęła w etapie wojewódzkim olimpiady filozoficznej, Olga poddała się i zaczęła szukać własnej kryjówki. Wchodziła pod prysznic, ale nie odkręcała wody. Stała tylko pod deszczownicą i zastygała, sama nie wie, na jak długo. Albo szła do lasu, a im dalej od ludzi, tym czuła się bezpieczniej.

– Jesteś gruba – powiedziała Oldze pewnego dnia matka.

2 Co z takimi słowami matki można zrobić?

Olga próbowała różnych rzeczy. Najpierw przyglądała się, dość niepewnie, innym zdaniom matki, które słyszała już wcześniej i które nagle zaczęły pasować do tego nowego: „jesteś gruba”.

Gdy mieszkała jeszcze z dziadkami, matka mówiła: „Służą ci te babcine obiady”.

Powtarzała to zdanie często. Olga analizuje: obiady były codziennie, to fakt. Jedno albo dwa dania. Co w tym złego? Regularne. Wcale nie takie tłuste. No, może czasem smażone mięso. Ale przecież wszyscy jedzą takie obiady i nikt ich nikomu nie wypomina. Jedyny ciepły posiłek w ciągu dnia. Poza tym była dzieckiem, skąd miała wiedzieć, czy je dużo, czy za dużo. A może matce chodziło o to, że ona sama ich nie dostawała? Potem, gdy zamieszkały już razem, gotowała, choć często w zamian dawała Oldze kilka złotych na kanapkę albo frytki w przyszkolnej knajpie.

Matka mówiła: „Co, znowu tyle jesz?”.

Olga wiedziała, do czego się to „znowu” odnosi. Było późne popołudnie, gdy babcia włożyła do piekarnika największy prociż z pizzą, a ona odliczała minuty, aż się zjawią. A potem kolejne, które upływały od umówionej godziny. Były jej urodziny, mieli być goście z jej klasy. Kilka koleżanek, którym czasem robiła niespodzianki, bo chciała, żeby ją polubiły. 15 minut, 25 minut, godzina. Nie przyszła żadna, jakby się zmówiły. Olga właściwie nie była głodna i nie wie, dlaczego zjadła prawie całą pizzę. Ale zjadła, i matka o tym pamiętała. Od tamtego czasu, gdy tylko na stole pojawiała się jedzenie, matka Olgi obserwowała, ile sobie nabiera na talerz, a potem szybko zanosila resztę jedzenia do kuchni. Nie pozwa-

lała na dokładkę. Robiła to nawet wtedy, gdy odwiedzali ich goście.

Olga wyjmowała też albumy ze zdjęciami, przeglądała jedno za drugim, uważnie. Zaczynała od tych najdawniejszych, jeszcze z czasów, kiedy mieszkała z dziadkami. Stoi obok młodszej kuzynki. To chyba zdjęcie z którychś świąt, a świąt nie lubiła najbardziej, bo o ile na co dzień w domu było nerwowo, to w święta było nerwowo pięć razy bardziej. Przygląda się dokładnie dwóm małym ciałom. Widzi, że kuzynka jest grubsza, ale to nie ona próbuje się ukryć, to nie ona się garbi, żeby sprawić wrażenie mniejszej. Olga wyjmuje zdjęcia klasowe, te robione przez fotografa, który zjawiał się w szkole na jeden dzień, zapraszał klasę za klasą, ustawiał dzieci, rozśmieszał, a potem przysyłał coroczny portret grupowy. Idealne narzędzie do porównań dla każdego, kto chciałby zobaczyć, jak jego dziecko wygląda na tle innych. Olga wie, że nie wyróżniała się wcale, nie jest „większa” od innych dziewczynek. Ale tylko ona ma za dużą bluzę i luźne spodnie.

Zaczęła w końcu obserwować matkę. Jej kolejne pomysły na własne odchudzanie. Wazyła już wtedy nieco ponad 50 kilogramów i ciągle odmawiała sobie jedzenia. Olga zachęcała ją: „Zjedz coś ciepłego”. Prosiła: „Prześnij ciagle tylko to chrupkie pieczywo”. Ale matka nie słuchała.

Oldze czasem się wydawało, że gdy matce ubywa kilogramów, to one nie znikają, tylko trafiają do niej. Jeden kilogram mniej matki, jeden kilogram więcej Olgi. A może to było tylko jej poczucie winy. Bo matka nie chudła, nie miała już z czego.

Gdy zmarła, Olga zaczęła tyć naprawdę.

3 Tylko pozornie została sama. Miała trzy kredyty do spłacenia – jeden swój, dwa matki. I jedną pracę.

Miesiąc w miesiąc przez trzy lata robiła to samo, z małymi odchyleniami. Dostawała pensję na konto, spłacała kredyty, robiła opłaty. Kombinowała. Jednego miesiąca nie zapłaciła za prąd, drugiego zapłaciła za prąd za dwa miesiące, ale nie przelała za gaz, trzeciego uregulowała rachunki za gaz, ale nie zapłaciła za wodę.

Niezależnie od kombinacji zostawało jej zwykle tyle samo: dwieście złotych.

Kombinowała więc dalej. 400 gramów kaszy kosztuje tyle samo co dwa kilogramy ziemniaków. 400 gramów →

→ kaszy to 400 gramów jedzenia, dwa kilogramy ziemniaków to dwa kilogramy jedzenia. Ziemniaki zapychają. Z ziemniaków można zrobić więcej rzeczy: ugotować je na obiad, a potem odgrzać na kolację, zrobić z resztek kluski, a jak się ma olej, to usmażyć placki ziemniaczane albo frytki. Jadła tak przez trzy lata.

Sprawę ziemniaków ukrywała.

Najpierw przed dalszą rodziną mamy, która co jakiś czas zapraszała ją do siebie. Mieszkali w innym mieście. Bilet w jedną stronę, dorzucenie się do jedzenia za te kilka dni w ich domu, bilet powrotny – Olga podliczała wydatek związany z zaproszeniem. Nie było jej stać. Więc po jakimś czasie przestali ją zapraszać.

W pracy miała inną strategię. Chciała być niewidzialna. Wchodziła tylnym wejściem, wychodziła też tamtędy. Jeśli miała pracować zdalnie, prosiła, żeby łączyć się bez kamerki. Gdy była w biurze, wybierała miejsca w odosobnieniu – na antresoli albo w kącie. „Czy ktoś chce coś z maka, bo zamawiam” – usłyszała pewnego dnia głos koleżanki z biura obok. Odkąd zaczęła jeść ziemniaki, marzyła o czymś innym. Czuła smak i zapach burgera. Wiedziała, że ją na niego nie stać, ale zamówiła. „Nie dziwię się, że tak wyglądasz, skoro jesz takie rzeczy” – skomentowała koleżanka.

Od tamtej pory Olga nie chce już jeść publicznie. Czuje, że ktoś ją stale obserwuje. Boi się, że ktoś powie: „Taka gruba, a żre”.

Pamięta zdanie matki: „Jesteś gruba”. Waży teraz dwa razy więcej niż wtedy, gdy to zdanie usłyszała po raz pierwszy.

Przychodzi jej do głowy też nowe zdanie, tym razem własne: „Jestem brzydka”.

4 Olga zastanawia się, co musiałoby się zdarzyć, żeby pozbyła się obu tych zdań.

Może gdyby nie tamten protest. Pamięta go bardzo dokładnie – rok temu, jesienią, w obronie ludzi zamykanych do więzień na Białorusi. Dzień wcześniej dokładnie wszystko zaplanowała: co napisać na transparencie, który rysunek wybierze, o której wyjdzie z domu, żeby zdążyć. Stała na rynku jednego z największych polskich miast, w niewielkiej grupie, i wtedy podszedł do niej fotograf prasowy. Speszyla się, bo nie lubi zdjęć. Ale on nie chciał jej zdjęcia. Poprosił, by swój transparent dała na chwilę dziewczynie obok, szczupłej i ładnej.



W pracy chciała być niewidzialna. Wchodziła i wychodziła tylnym wejściem. Gdy była w biurze, **wybierała miejsce w kącie.**

Nie przestaje chodzić na protesty, ale unika fotografów jeszcze bardziej. A gdy okazuje się, że ktoś robi jej zdjęcie i upubliczni je, przygląda mu się, myśli: „Ten potwór to ja”. Gdy na profilu facebookowym jednej z instytucji pojawia się kilka jej zdjęć, a pod spodem pierwsze osoby zostawiają lajki, pisze do zarządzających profilem i błaga, by zdjęcia usunęły.

Może gdyby miała się w co ubrać. Dokłada do swojego rozmiaru kolejne „X”. Już nawet rozmiar 42 bywa nazywany „dla puszystych”. – Jestem XXL – mówi. – Czuje się jak rozmiar spodni, który noszę.

Nie lubi ubrań, które są w sklepach oznaczone: „duże rozmiary”, „dla puszystych”, „moda XXXL”. Materiały – głównie ciemne. Wzory – takie, które kojarzą się jej z garderobą babci. Kroje – nawet one nie są przygotowywane z myślą o ludziach otyłych. Niby szeroka bezkształtna bluzka, a ręce nie mieszczą się w nieposzerzonych odpowiednio rękawach. Materiał napina się, skóra poci, pękają szwy. Przygląda się kolejnym kampaniom, w których występują modelki „plus size”. Ich zgrabnym nogom, wcięciu w talii, dużym piersiom. Wie, że od dawna tak nie wygląda. – Jeśli modelki z wcięciem w talii i zgrabnymi nogami są „plus size”, to kim ja jestem? – pyta. Wie, że takich ciał jak jej prawie nie pokazuje się w kampaniach, a jeśli się pojawiają, to najlepiej nie czytać komentarzy internautów.

Może gdyby nie ta bezsenność, która pojawiła się i nie chciała odejść. Spała po trzy godziny, budziła się i czuła, że jest jeszcze cięższa.

Może gdyby znalazła miejsce, w którym mogłaby ćwiczyć. Próbowala. Zapisala się na zajęcia w grupie. – Sala pełna ludzi, a ty od razu jesteś „ta duża”. Nie możesz złapać kroków, nie możesz nadążyć. Jest ci coraz bardziej wstyd. Zatrzymujesz się, reszta ćwiczy dalej. Próbujesz przejść do marszu, patrzy na ciebie coraz więcej osób. Opuszczasz ręce, bo to dla ciebie za duży wysiłek. Odpadasz. Odzywają się w tobie wszystkie najgorsze myśli: „jestem gorsza, nigdy nie będę taka jak oni”. Zamiast ćwiczyć, obserwujesz ludzi, którzy się nie pocą, którzy się uśmiechają, którzy pięknie wyglądają. Chcesz uciec, ale nie wiesz, jak to zrobić – mówi.

Zmienia strategię: szuka zajęć z trenerem personalnym. Wie, że te próbne są zwykle bezpłatne. Pierwszy trener włącza jej bieżnię, na której po kilku minutach traci oddech. Drugi – daje do rąk liny, którymi ma rytmicznie poruszać. Są ciężkie jak diabli. Nie daje rady. Szuka sportowych grup wsparcia, ale z wielu się wypisuje, bo ludzie, których tam spotyka, są już po tej lepszej stronie. Schudli. Myśli o tym, że pomógłby jej nawet spacer, gdyby ktoś zechciał z nią iść. Marzeniem jest grupa, w której są ludzie tylko tacy jak ona.

Może gdyby jej były partner na pytanie: „Czy ja jestem pączek?”, nie odpowiadał: „Tak, jesteś pączek”.

Może gdyby jej lekarz nie zapytał: „Dlaczego się pani tak zaniedbała?”.

Olga: – Im gorzej jest w twoim życiu, tym gorzej jest z twoim ciałem. Ale widać tylko ciało.

5 Kilka dni po naszej rozmowie podsyła fragment wpisu znalezionej na Facebooku:

„Jestem nękana, wyśmiewana przez to, że jestem otyła, a moja mama pracuje jako sprzątaczką. Nazywam się Oliwia i mam 14 lat (...) od małego mam chore serce, jestem z rozbitej rodziny, ponieważ mój tata jest alkoholikiem, a moja mama odeszła od niego, gdy byliśmy mali. Czy nadwaga, trądzik oraz praca mojej mamy musi doprowadzać mnie do myśli samobójczych?”.

I zadaje mi pytanie: „Czy można jej ja coś pomóc?”.

DOROTA

Masłowska: Lidle



KRYZYS KLIMATYCZNY, KRYZYS UCHODŹCZY, kryzys pandemiczny, kryzys wartości. Kryzys złotówki, kryzys męskości i jeszcze parę innych pomniejszych. Można przebierać w kryzysach, przeplatać je i dowolnie łączyć ze sobą, personalizować je, tworzyć z nich brygady i osobiste składanki, potworne wieczorne koktajle, mieszanek na zły sen. Można zwracać uwagę raz na jeden, raz na drugi, dołować się wybranymi. Można nawet uznać je wszystkie za wysokoklinalne figury publicystyczne i normalnie żyć, zachować dobry humor, styl, słabość do dobrze zaprojektowanych wnętrz. Jednak i w takim przypadku życie w korowodzie kryzysów zmienia nasze istnienie, zmienia nasze wszystko.

Jedną z największych zmian, jakie czuję, jest cena masła, a zaraz za nią poczucie czasu. Denerwowałam się kiedyś często, że tracę czas albo że ktoś mi go marnuje swoją gadaniną. Absorbuję mnie i angażuje w jakieś czcze sprawki, podczas gdy ja cały czas staram się kompresować, optymalizować. Zachowuję produktywność. Zajęcia najmniej ważne staram się wiązać w pakiety, robić hurtem. Rozmawiając przez telefon piszę maile; czyszcząc akwarium, maluję obrazy stopami. Zwiększam wydajność. Dziś myślę, że ta oddolna ekonomizacja życia wywołana była przez złudne poczucie niekończoności własnej i świata. To jego trwanie wydawało mi się jakieś rozlazłe, słamazarne, niegospodarne. Chciałam żyć szybciej, więcej, tak jakbym zamierzała wszystko to jakoś przewinać, mieć już z głowy. Wydawało mi się, że oszczędzam czas, ale oszczędzając, deprecjonowałam go, odbierałam mu doniosłość, obrażałam go, by nie powiedzieć wprost: marnowałam.

Teraz oszczędzanie czasu wydaje mi się kategorią anachroniczną, wręcz niedorzeczną. Nie mam wątpliwości, że sprawiła to bliskość i powszechność śmierci. Syreny karetek są dla mnie teraz jak śpiew ptaków, pojawiają się okresowo i choć bardzo głośne, szybko stają się niesłyszalne, gdy tak kursują wahadłowo po mieście, zapewniając szpitale i kostnice. O tak, normalność tego faktu, jego oczywistość, bezdyskusyjność zmieniły dla mnie poczucie czasu.

Myślę o tym często, gdy jeździmy do lidli. Mówię je małą literą, to nazwa zbiorcza dla dużych sklepów, w których oszczędza się pieniądze, czas i uwagę. Można tam zrobić zakupy wła-

ściwie samym ciałem, na autopilocie. Depresja lidlowa rozwija się już w samochodzie, gdy mozolimy się Bitwy Warszawskiej, a potem Grójecką w korkach, wśród ludzi, którzy też na różne sposoby oszczędzają czas, pchając się, trąbiąc, zajeżdżając sobie. Niekiedy wygląda to na jakąś warszawską grę miejską, grę o dużej zakaźności. Nie wiadomo, kiedy sami zaczynamy trąbić, wygrażać pięściami przez okna. W ten sposób jakby nastrojamy się, przysposabiamy bojowo. Wśród złorzeczeń zajeżdżamy na parking.

Tu zaczyna się wielka optymalizacja. Jak najmniej zbędnych namysłów, rozterek przed regałami. Ruchy, ruchy, ruchy. Zawsze ten sam układ półek, te same produkty, które wkładamy do koszyka w tej samej kolejności. W radiowęźle pętla się te same parapiosenki: do sekwencji mocno zużytych akordów doklejone jakieś zdanie oznajmujące w rodzaju „*This is a song*” albo „*Music is everything*”. Wszystko to składa się na podprogowy przekaz: „Jesteś nigdzie. Jesteś nikim. Robisz nic”. Przy nim wykonujemy te same somnambuliczne choreografie z wózkiem, meandrujemy w alejkach, ulegamy kolizjom, słuchamy burknięć i poirytowanych sapnięć, i sami je wydajemy. Wreszcie dobijamy do kasy. Zawsze jeszcze ktoś próbuje zaoszczędzić czas drogą wpełchnięcia się przed nas metodą „niby nigdy nic”, a my reagujemy z operowym oburzeniem wartym lepszej sprawy.

W kasie sprzedawcy również oszczędzają czas. Nie podejmując kontaktu wzrokowego przerzucają towary nad czytelnikiem. Gdyby nie zmęczone twarze, przekrwione oczy, można by pomyśleć, że to automatyczni ludzie. Zonglują towarami tak nienawistnie szybko, jakby krzyčeli: „Chcecie maksymalizacji, macie maksymalizację! Chcecie, bym był robotem, jestem! Jestem robotem!”. Po naszej stronie kasy tworzy się w związku z tym nierozbieralna pryzma; kasjer zaczyna wymownie wzdychać: jak człowiek nie umie sprawnie, szybko, błyskawicznie kupować, to niech idzie na bazar i tam se medytuje. Napięcie sięga zenitu. Dopiero z wpisaniem pinu do terminala i hasłem „transakcja zaakceptowana” pojawia się rodzaj przykrego rozładowania, obopólnego antyorgazmu. Drzwi hali nicości zasklepiają się za nami bezszelestnie, wyrzucając nas na parking oszołomionych, z kacem, urwanym filmem. Gdzie byliśmy? Co robiliśmy? Jak minęła ta godzina? Czy się rozebraliśmy, kogoś obrażaliśmy? A potem myśl: co zrobić z tak obrzydliwie, bezsensownie zaoszczędzonym czasem? Na co go przewalić? Tak jak istnieją „*fuck you money*”, tak my uzyskujemy właśnie spore ilości „*fuck you time*”. To nie jest dobry czas, nadaje się tylko do wrzucenia do niszcarki: scrollowania ekranu telefonu i obejrzenia 10 odcinków serialu podobnego do wszystkich seriali.

W tym świetle lidle zdają się sklepami przeszłości. W rozpadającym się świecie nie ma już czasu do zaoszczędzenia! Trzeba żyć wszystko, co się da, niepowściągliwie i rozrzutnie. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

I NIECH MÓWIA, CO CHCĄ

Przez lata myślałem, że przez moją chorobę nie można ze mną być.
Jak zobaczyłem, że nasze uczucie z Agatą jest obustronne, poczułem wielką ulgę.
I szczęście, że jednak mogę być dla kogoś najważniejszy.
Że mogę być tym jedynym.

TEKST EWELINA BURDA | ZDJĘCIA RENATA DĄBROWSKA DLA „TP”

DOSTAJĘ PYTANIA: „JAK TY WYRWALEŚ taką dziewczynę?”, „Płacisz jej za to, że z tobą jest?”. Agata z kolei słyszy: „Dlaczego marnujesz sobie z nim życie?”, „Przecież możesz być z każdym”. Nasz związek nie jest neutralny dla innych, jak większość relacji. Jesteśmy przedmiotem zainteresowania, kontrowersji, stereotypów – opowiada Wojtek Sawicki.

Mają po trzydzieści parę lat, ubrani w domowe rzeczy siedzą obok siebie: ona na kuchennym krześle, on na wózku elektrycznym. Ona ma ciemne włosy, luźno związane błękitną frotką, duże oczy, szeroki uśmiech. On opiera głowę na zagłówku wózka, na nosie ma okulary w modnych transparentnych oprawkach, na nogach jaskrawozielone klapki.

Od wczesnego dzieciństwa Wojtek choruje na dystrofię mięśniową Duchenne’a. Rzadką i nieuleczalną chorobę, która sprawia, że traci się całkowicie władzę nad ciałem. Żeby żyć, potrzebuje stałej pomocy drugiej osoby.

Część I: Flirt

Life on Wheel prowadzą we dwoje. Mówią, że to projekt upodmiotawiający, który ma wpływać na zmianę społecznego postrzegania osób z niepełnosprawnościami.

Pierwszy wpis na Instagramie pojawia się w kwietniu 2019 r. Żeby go stworzyć, Wojtek obsługuje komputer za pomocą ruchów gałek ocznych. Leży wtedy na łóżku rehabilitacyjnym, sprzęt przymocowany jest nad jego głową. W poście napisze o sobie: „W przerwach między turnusami rehabilitacyjnymi, pobytami w szpitalach, zmaganiami z moimi ograniczeniami, udało mi się nauczyć pływać, być najlepszym uczniem w podstawówce i gimnazjum, skończyć prestiżowe liceum nr 3 w Gdyni, studiować filozofię na Uniwersytecie Gdańskim, montować filmy i pisać do nich scenariusze, brać udział w konkursach poetyckich, przeprowadzać wywiady z muzykami, pisać recenzje, pełnić przez 8 lat funkcję redaktora naczelnego Porcys (znanego serwisu o muzyce niezależnej) i stworzyć od zera prężnie rozwijającą się listę przebojów Carpigiani”.

Połączą ich muzyczne zainteresowania. Na portalu Porcys Agata Tomaszewska (która tworzy też własną muzykę) działa aktywnie, komentuje wpisy, angażuje się w społeczność. Wojtek w sieci przez wiele lat jest anonimowy: nie podaje imienia i nazwiska, nie publikuje ani jednego zdjęcia, nikt nie wie, gdzie mieszka ani na co choruje.

– Nie chciałem zdradzać tego, jak wyglądałem i być ocenianym przez pryzmat

mojej choroby. Chciałem za to pokazać, że mogę konkurować, osiągać cele bez taryfy ulgowej. Ale czułem się przy tym bardzo samotny, byłem tylko awatarem w sieci i nikt nie wiedział, z czym się zmagam – mówi.

W 2018 r. przychodzi kryzys zdrowotny, Wojtkę czeka dużo zmian: musi być podłączony pod respirator całą dobę, ma założoną gastrostomię, czyli PEG-a, rurkę do żołądka, którą jest karmiony.

– Nie wiedziałem, jak będzie wyglądało moje funkcjonowanie, dlatego zrezygnowałem z bycia redaktorem naczelnym – wspomina. – To było dla mnie trudne emocjonalnie, bo portal przez wiele lat wyznaczał mój rytm dnia i sens życia. Po kilku miesiącach zacząłem się okropnie nudzić. Wtedy postanowiłem, że wystartuję z solowym projektem muzycznym, jakim było Carpigiani. Zależało mi bardzo na byciu we wspólnocie, tego mi bardzo brakowało.

Agata pracuje wtedy w reklamie, ma pomysły na rozwój projektu, które podsyła Wojtkowi: – Zaczęłam czuć do Ciebie sympatię, bo nie tylko miałeś dużą wiedzę i talent, ale było też tam miejsce dla mnie, mogłam być wysłuchana i doceniona – opowiada, patrząc na Wojtkę.

W lutym 2018 r. dostała od Wojtkę wiadomość na Messengerze.



Agata Tomaszewska i Wojtek Sawicki, Gdynia, grudzień 2021 r.

– Były moje urodziny, miałem specyficzny nastrój. Pomyślałem: a dobra, fajna ta Agata, napiszę do niej i zobaczymy, co się stanie – opowiada Wojtek. – W pierwszej wiadomości połączyłem pisanie o Carpigianim z flirtem. Ale to był taki bardzo delikatny flirt.

– Przeczytałam ją i pominęłam element flirtu, nie byłam na to gotowa. Nie wiedziałam w ogóle, kim jesteś. Wolałam najpierw się skupić na tym, co nas łączyło, czyli na pracy nad projektem Carpigiani – mówi Agata.

Od tego czasu rozmawiają bez przerwy.

Agata: – Im pewniej się czułam, tym więcej było sympatii, chemii między nami. Wojtek jest niesamowicie inteligentny, ale przede wszystkim bije z niego takie ciepło i dobro. A przy tym był fascynujący, bo nikt o nim nic nie wiedział. I miałam szansę dotrzeć do tej wiedzy tajemnej. Bardzo powoli ujawniał mi sekrety o sobie. Wtedy jeszcze nie chciał powiedzieć o chorobie.

– Nie mogłem jej wystraszyć na samym początku. Nie wiem, czy to było słuszne.

Ale się udało – żartuje Wojtek, ale od razu poważnie. – Cały czas miałem w głowie moje doświadczenia życiowe i nie chciałem, żeby i tym razem przerodziło się to tylko w przyjaźń czy koleżeństwo. Wcześniej, gdy zdradzałem fakty dotyczące mojej choroby, to od razu robił się tzw. *friendzone*.

– Ale chyba się nie dziwisz? – pyta go Agata.

– Postanowiłem, że zaryzykuję, ale byłem przygotowany na odrzucenie lub tylko na przyjaźń. Nie pogardziłbym też zwykłą znajomością, ale liczyłem w skrytości serca, że może to będzie coś więcej, bo Agata wydawała mi się naprawdę świetnym człowiekiem. Była otwarta, ciekawa świata, nie oceniała mnie – odpowiada Wojtek.

Agata: – Fascynowało mnie, co się tam u ciebie naprawdę dzieje, dlaczego nie wychodzisz z domu, czemu się ukrywasz. Chciałam rozwiązać tę zagadkę.

Część II: Randka

Na pierwsze spotkanie twarzą w twarz nalega Agata.

– Chciałam spotkać się już w Walentynki. Okazało się jednak, że Wojtek nie mieszka w Warszawie. Wtedy po raz pierwszy wyszła na jaw jego ekstrawagancja: zaproponował, że kupi mi bilet na samolot. Ten rozmach wydał mi się ciekawy – wspomina Agata.

Wojtek: – Nie wydawałem pieniędzy, miałem rentę i oszczędności z trzech lat – stwierdziłem: co mi tam, spróbuję. Wtedy jednak nie udało mi się namówić Agaty na samolot.

– Zależało mi na spotkaniu na żywo, bo wiedziałam, że można miło rozmawiać przez internet, ale prawdę pokazuje dopiero pierwsza randka – opowiada Agata. – Coraz bardziej się angażowałam, tworzyła się między nami więź i chciałam mieć pewność, że Wojtek mi odpowiada. Ale żeby się o tym przekonać, musiałam zobaczyć, jak zareaguje na jego chorobę, o której mi powiedział, na jego fizyczność.

– Bardzo bałem się odrzucenia, chciałem jak najdłużej czekać ze spotkaniem na żywo – dopowiada Wojtek.

– Pamiętam, jak mówiłeś mi kiedyś, że niektórzy z twojej rodziny płaczą na twój widok, boją się wejść do twojego pokoju. Ludzie różnie reagują na chorobę, na cierpienie. Musiałam być pewna, że moja reakcja będzie neutralna. Bo gdyby okazało się, że to jest zbyt ciężkie dla mnie, →

→ że tego nie udźwignę, to związek nie miałby sensu.

– Balaś się, że nie zniesiesz tego, że jestem taki piękny – mówi chłopak, mrużąc do Agaty.

Kiedy spotykają się po raz pierwszy, Wojtek mówi tylko szeptem.

Agata: – Pamiętam, jak powiedziałeś mi wtedy, że jestem jedną z osób, które najlepiej Cię rozumieją, chociaż dopiero Cię spotkałam – mówi Agata.

Wojtek: – To łączyło się z Twoim dobrym słuchem muzycznym. I z tym, że chciałaś naprawdę mnie usłyszeć.

Agata: – Podczas spotkania okazało się, że Wojtek jest niesamowicie optymistyczny, czego nie było widać w naszych rozmowach, bo w nich starał się być melancholikiem.

Wojtek: – Nie musiałem tak bardzo pokazywać moich szerokich horyzontów, tylko bardziej to, jaki jestem. Zawsze uważałem, że to mój intelekt może zrobić wrażenie na dziewczynie, a nie to, kim jestem czy jak wyglądam.

– Nie doceniałeś wartości swojej osobowości, że jesteś fantastycznym człowiekiem, z którym po prostu przyjemnie się spędza czas. Widziałam w Tobie ogromny potencjał, który był gdzieś tam stłamszony przez lata trudności – mówi Agata, patrząc na chłopaka.

– Odkrywałem siebie dopiero przez twój pryzmat. Przez lata myślałem, że przez moją chorobę nie można ze mną być. Jak zobaczyłem, że nasze uczucie jest obustronne, to poczułem wielką ulgę. I szczęście, że jednak mogę być dla kogoś najważniejszy. Że mogę być tym jedynym – mówi Wojtek.

Agata: – Ja czułam, że jesteś tą pierwszą osobą, która traktuje mnie tak jak trzeba i która mi tak wiele daje.

– To rzecz, którą wielu ludziom ciężko jest zrozumieć: jak ja mogę cokolwiek dawać, przecież to ona jest cała dla mnie, a ja jestem tylko obciążeniem – kwituje Wojtek.

Część III: Seks

Agata: – Często dostaję pytania w stylu: „Jak możesz skazywać się na brak miłości cielesnej?”. Powszechne jest założenie, że w związku interablistycznym, czyli z osobą z niepełnosprawnościami, na pewno nie ma seksu. Ja tak z góry nie zakładałam. Po prostu zapytałam Wojtkę, czy jest w stanie mieć wzwód, okazało się, że tak.

Mówią zgodnie: dzień, w którym testowali możliwość uprawiania seksu, był jednym z tych szczęśliwszych.

– Musieliśmy sprawdzić, czy damy radę fizycznie dokonać stosunku – tłumaczy dziewczyna. – Bo Wojtek ma przykurcze, leży głównie w jednej pozycji, tu ma respirator, tam ma PEG-a...

– No i też, jak widać, nie ruszam się za bardzo – wtrąca on z lekko szyderczym uśmiechem na twarzy.

– No, nie wejdzie na mnie przecież – śmieje się Agata. – Szukaliśmy więc najszybszych możliwych pozycji. I okazało się, że choć nie jest to proste, jest możliwe. To była wielka radość dla mnie, że nie będziemy mieć problemów z seksem i będę chciała być w tym związku. To dla mnie ważna sfera życia, potrzebuję seksu, nie chcę mieć relacji bez niego, a jakieś inne formy w stylu *outsourcing* seksu poza związek dla mnie nie wchodzi w grę.

– Ja też nie wyobrażam sobie bycia w związku bez sfery seksualnej. Jeśli miałoby jej nie być, wolałbym koleżeństwo czy przyjaźń. Inaczej byłoby to dla mnie trudne do zniesienia, bo jako dorosła osoba mam popęd seksualny, swoje pragnienia i męczyłbym się w takiej relacji. To dla wielu jest zaskakujące, bo jak to: osoba z niepełnosprawnością myśli o seksie? To jest wielkie tabu, seks OzN, czyli osób z niepełnosprawnościami. I czuję pewną misję, żeby o tym mówić. To jest część mojego aktywizmu – podkreśla Wojtek. – Poświęciłem prywatność dla misji, którą jest większa widoczność OzN w przestrzeni publicznej. Chcę pokazywać, że jesteśmy ludźmi z krwi i kości, mamy pragnienia, plany. Że chcemy mieć satysfakcjonujące życie seksualne, mieszkać w ładnym domu, nosić fajne ciuchy, marzyć o wakacjach w ciepłych krajach. I że to nie jest coś dziwnego czy naganego.

Część IV: Mieszkanie

Na początku znajomości Agata odwiedza Wojtkę w jego rodzinnym domu, ale nadal mieszka i pracuje w Warszawie. Gdy przeprowadza się nad morze, w pierwszym mieszkaniu w Sopocie mieszka sama. Jest ciasno, są schody. Wojtek zostaje na noc, z rzadka na dwa dni. Po roku przenoszą się do Gdańska – mieszkanie jest już dużo bardziej dostosowane, mogą spędzić razem kilka dni.

– To, że wówczas mogłem jakoś się usamodzielnąć, wynająć mieszkanie, to

zasługa zbiórki na działalność Life on Wheelz na portalu crowdfundingowym Patronite – wyjaśnia Wojtek.

Jednak kursowanie między Gdańskiem, gdzie znajduje się mieszkanie Agaty i Wojtka, a Gdynią, gdzie mieszkają rodzice i babcia chłopaka, którzy razem z Agatą tworzą system opieki mieszkanej – staje się męczące.

Agata: – Jak Wojtek był w Gdańsku, to całą dobę byłam zajęta różnymi czynnościami, po dwóch dniach chodziłam na rzęsach ze zmęczenia.

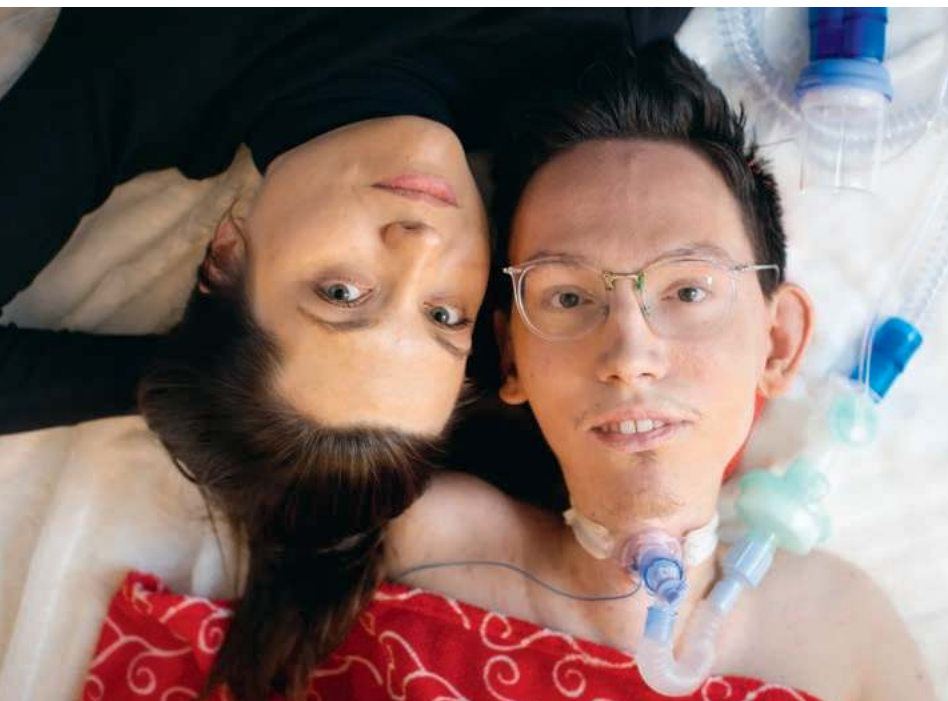
Wojtek: – Ustaliliśmy wtedy, że dwie noce to maksimum, później Agata musi odpocząć. Wiedziałam, że przy takim nałożeniu opieki nade mną, tworzenia związku i pracy, Agata długo nie pociągnie. Przenoszenie z łóżka, na którym śpimy, do łóżka rehabilitacyjnego, z którego pracuję, sadzanie na fotel, wszystkie czynności pielęgnacyjne – to potężny wysiłek.

Po roku przeprowadzają się do Gdyni. Nowe mieszkanie jest przestronne i jasne, z nowoczesnego bloku blisko jest nad morze. Ale to dalej nie rozwiązuje ciągłej zależności od rodziców. Przełom w samodzielności przychodzi, kiedy Wojtek dostaje pracę w banku jako konsultant ds. osób z niepełnosprawnościami.

– Mogliśmy wtedy zatrudnić asystentkę medyczną dla mnie, która pracuje po osiem godzin dziennie, na pełen etat. Od tego czasu bardzo dużo się zmieniło – opowiada. – Poczuliśmy się jak prawdziwa para, choć przez większość dnia ktoś z nami jest. Nie muszę też mieć już wyrzutów sumienia, że zamęczam Agatę lub rodziców. Płacę pensję asystentce, która pomaga mi, aby moje życie było pełniejsze, żebym zyskał większą swobodę. Ważne jest to słowo: asystent. Jestem samorządny, ta osoba robi po prostu to, czego od niej potrzebuję. Nie jestem dzieckiem, które musi mieć opiekuna i który za niego zdecyduje.

Agata: – Ja bardzo nie lubię być nazywana opiekunką Wojtka. Nie jestem za niego odpowiedzialna. To jest dorosły człowiek w pełni władz umysłowych, sam jest za siebie odpowiedzialny. Ja jestem jego narzeczoną, nie opiekunką.

Wojtek i Agata mówią, że o swoim związku słyszeli już chyba wszystkie możliwe teorie: niektórzy uważają, że to on wykorzystuje ją, inni – że ona jego.



Wojtek Sawicki i Agata Tomaszewska, Gdynia, grudzień 2021 r.

Wojtek: – Słyszę, że jestem naiwny i Agata polecała na moje pieniądze. Ale kiedy zaczęliśmy się spotykać, to moim jedynym dochodem była renta socjalna. Tak samo jest z teorią, że Agata polecała na moją „sławę”. Tymczasem wszystko, co dzieje się wokół Life on Wheelz, stworzyliśmy razem. Ale najbardziej absurdalny domysł na temat naszego związku wysnuła 80-letnia sąsiadka mojej babci. Stwierdziła, że Agata jest ze mną, żeby poderwać mojego ojca. Chyba oglądała za dużo tureckich seriali. Ja po prostu chcę być z Agatą i niech sobie mówią, co chcą.

Część V: Pierścionek

W jednym z ostatnich filmów na YouTube na kanale Life on Wheelz Agata z dumą prezentuje do kamery prawą dłoń. Na serdecznym palcu błyszczy pierścionek: delikatną obrączkę z białego złota zdbi diament.

– Tak właśnie wyobrażałam sobie pierścionek narzeczonej. I Wojtek go znalazł! – mówi rozpromieniona.

Realizacja tajemniczego planu zaręczyn zaczyna się, gdy Agata jest w górach.

Wojtek: – Pojechałem wtedy z asystentką do jubilera i kupiłem pierścionek. Wcześniej musiałbym jechać z rodzicami, prosić ich, negocjować termin, dopasowywać się. A mając asystentkę, to ja mogłem zadecydować: wtedy, o tej godzinie, pojedziemy do tego sklepu. Poczuliśmy się niezależni. To wydarzenie zbiegło się z tym, że dzięki nowej technologii od-

zyskałem głos, przestałem mówić tylko szeptem. Rozmawiałem więc z ekspedientką jak normalny klient, który chce o coś spytać, ma swoją opinię. Czułem się jak zwykły człowiek.

Oświadcza się kilka dni później na spacerze w Parku Oliwskim. Przed wyjściem asystentka wkłada pierścionek do wewnętrznej kieszeni jego kurtki. Na spacerze Wojtek prosi Agatę, by tam zajrzała. Świeci słońce, obok parkowej alejki rosną dzikie róże. Dziewczyna mówi „tak”.

Część VI: Długo i szczęśliwie

– Na początku zakładałem, że to będzie raczej krótka relacja, ale i tak cieszyłem się każdą chwilą. Jesteśmy razem już od trzech i pół roku, robimy rzeczy, o których myślałem, że nigdy nie będą dla mnie dostępne: byliśmy na koncertach, pojechaliśmy do Berlina, chodzimy do restauracji – wylicza Wojtek. – Mamy z Agatą wspólne plany. Chcemy wybudować dom w nowoczesnej technologii, przystosowany dla OzN, to nasz wielki projekt. I chcielibyśmy mieć dzieci. To jest kolejna kontrowersja, kiedy jesteś osobą z niepełnosprawnościami.

Agata: – Pierwszy raz jestem w związku, w którym w ogóle o tym myśle. Ale to będzie możliwe tylko wtedy, gdy będziemy w stanie finansowo tak zorganizować funkcjonowanie Wojtka, nasze funkcjonowanie, żebyśmy mogła opiekować się dzieckiem.

– Nie chciałbym, żeby Agata musiała się jeszcze bardziej męczyć, żeby ciąża i macierzyństwo były dla niej traumą. Ja się dzieckiem nie zajmę – mówi Wojtek. – Mogę za to robić tak jak Stephen Hawking, który zakładał karton na głowę i bawił się z dziećmi w robota.

– Widzę cię w tej roli! – dodaje Agata, dotykając nieruchomej dłoni narzeczonego. – Na pewno będziesz świetnym tatą. Tylko cały czas martwię się, żeby to nas nie wykończyło. Od państwa nie ma żadnego wsparcia, jeśli OzN chce mieć dziecko. „Dzieci? Po co wam?”. To najczęściej słyszymy.

Wojtek: – To bardzo frustrujące, że w moim życiu wszystko jeszcze bardziej zależy od pieniędzy niż w życiu ludzi zdrowych. I ten paradoks: osobom z niepełnosprawnościami ciężiej jest dostać dobrze płatną pracę, a ich życie jest kilkakrotnie droższe. To, co inni mają za darmo, ja muszę sobie kupić czy zorganizować. Jak na przykład wychodzenie z domu, które dla większości jest czymś bardzo prostym, a mnie zajmuje czterdzieści minut: muszę mieć opiekę, kilka warstw ubrań, w tym elektryczne skarpety i rękawiczki, przenośny respirator, dostosowany wózek, zabrać ze sobą przeróżne sprzęty – wylicza. – Dużą zmianą w moim funkcjonowaniu był wózek elektryczny, którym steruję ustami. A słyszałem, że taki wydatek to fanaberia: od tych, którzy nie wiedzą, czym jest niemożność decydowania o swoich ruchach.

– Masz go już od półtora roku, a wciąż jak siadasz na niego i jedziesz, to masz wielkiego banana na twarzy, prawdziwy z ciebie fan prędkości – Agata uśmiecha się. – Ostatnio jestem w pokoju, składam pranie. I Wojtek przyjeżdża, obraca się na środku pokoju, jest cały szczęśliwy, że po prostu mógł sam do mnie dotrzeć.

– Wadą tego wózka jest to, że nie można się nim skradać, od razu słychać, że się zbliżam – mówi Wojtek. – To mi często przeszkadza, bo bardzo lubię robić Agacie niespodzianki.

Ślub, według planów Wojtka, odbędzie się na jachcie.

– Już tyłu osobom o tym powiedziałeś, że nie możesz się teraz wycofać – przestrzega Agata.

Wojtek: – Fakt, będzie wtedy trochę głupio. Jak widać, zawsze miałem skłonność do ekstrawagancji.

© EWELINA BURDA

ON

Miał na nogach białe adidas. Chłupało w nich. Dżinsy były ciemnogrnatowe. Z nasiąkniętej puchówki ciekło. Trochę cuchnęła. Jak się leży parę dni w wodzie, nawet zimnej, to tak jest.

TEKST **ANDRZEJ STASIUK** | ILUSTRACJE **KASIA KOZAKIEWICZ**

Zaczynam to pisać w niedzielny, październikowy świt. Słońce jeszcze nie wzeszło i na trawie srebrzy się szron. Zaraz wszędzie nad ciemnym Uhercem. Wtedy będzie widać, jak na Mareszce rudzieje buczyna. W nieruchomym powietrzu słychać suchy szum wronich skrzydeł. Ach te wszystkie poranki, gdy powoli zaczyna krążyć gęsta i świetlista krew świata. Czarne cienie nie gasną od wschodu do zachodu słońca. Wróciłem po tygodniu. Za zimno już na namiot, ale rozbiłem go o zmierzchu nad rzeką. O zmierzchu, czyli gdzieś koło siódmej, kierowany indiańskim instynktem, żeby nikt nie widział, żeby nie wypatrzył. No i żeby jak najkrócej w tej jesiennej ciemności. Bo ile można leżeć w śpiworze i czekać na sen. Albo czytać przy latarce. To zresztą dość głupie – czytać w mroku, wśród odgłosów

rzeki i bagiennych zarośli. Jakaś sprzeczność, jakiś postmodernizm i transgatunkowość doświadczenia.

Po drugiej stronie, w resztkach dziennego światła, pobłyskiwała biel dawnej przyklasztornej cerkwi ufundowanej przez Mikołaja II. Woda lustrzyła się ciemno, prawie czarno. Patrzyłem na to rzecz jasna nie z namiotu, tylko spod wędkarskiego parasola. Wypatrzyłem to urządzenie u łowiących ryby. Rozkładało się w piętnaście sekund. Chroniło od słońca, deszczu i rosy. Mieściło się pod nim składane krzesło, maszynka do gotowania. Miało dopinaną osłonę od wiatru. Coś w rodzaju kopulastej jurty o wyciągniętych w górę proporcjach z otwartym widokiem na świat. Składane krzesło... Jeszcze parę lat temu ogarnąłby mnie wzgardliwy śmiech. Zawsze chciałem siedzieć albo leżeć na ziemi jak uczłowieczone zwierzę. Palić ogień, odganiać mokasyny dalekowschodnie i zielone małe skorpiony, jak wtedy na Gobi. Zwijać się w kłębek w śpiworze i zasypiać pod bezkresnym niebem Azji. A siedzę pod trochę debilnym daszkiem na składanym krześle, mam nawet mały składany stoliczek z maszynką do gotowania, jem chińską zupkę, pijam czerwone wino kupione gdzieś w przydrożnej Biedrze i gapię się w ciemność. Na rzekę, na pas zachodniego nieba, który lśni mrocznie jak stare srebro. Nic więcej. Tylko żurawie z klangorem szukają drogi na południe. Klucz za kluczem. Czarne, ledwo widoczne, dźwięczne cienie. Czasem plusnie ryba i odezwie się nocny ptak. Tylko to.

Prawie pół wieku temu kilka kilometrów w dół rzeki z chłopakami ze wsi przekraczałem nurt. Po pas, po pierś w ciepłej, powolnej wodzie. Było upalne lato i szliśmy od jednej piaszczystej łachy do następnej. Dotarliśmy do drugiego brzegu, ale tylko po to, by go dotknąć. Był wysoki, urwisty, osypywał się. Być może ogarnął nas strach, że dotarliśmy za daleko. Że przekroczyliśmy jakąś granicę i kraj, choć ten sam, był już obcy. Do tej pory oglądaliśmy go ze wzgórza po naszej stronie. Podobno niegdyś stał na nim warowny gródek, który strzegł przeprawy. Spoglądaliśmy z wysoka na rów-





ninę za rzeką. Była rozległa i wydawała się nie mieć końca. Przynajmniej dla chłopięcych oczu. Może dlatego nie wyszliśmy? Baliśmy się, że błądzimy, że zwyczajnie nie będziemy wiedzieli dokąd iść. Nigdy wcześniej nie byłem tak daleko od domu. W dodatku nikt z dorosłych o tym nie wiedział. Gdyby zobaczyli, jak brniemy po pierś w nurcie, byłiby wystraszeni i wściekli. Te wszystkie opowieści o topielcach, o wyjątkowej zdradliwości tej rzeki, o jej meandrach, które na mapie wyglądają tak, jakby nurt stale się wahał i próbował zawracać do swego źródła. Wróciliśmy stąpając po piaszczystym, osuwającym się dnie. Podnieceni, zwycięscy, związani tajemnicą. Byłem chyba najmłodszy i byłem z miasta.

Niewykluczone, że gdzieś już opowiedziałem tę historię. Nawet na pewno. Ale nie boję się powtórzeń. Może za którymś razem warstwy czasu rozstąpią się na tyle, że odsłoni się ten najgłębszy, pierwotny sens zdarzeń. Jestem coraz starszy i wciąż mam nadzieję. Pewnie jest trochę tak, jakbym siedział na krze, która topnieje i topnieje, a ja wyglądam stałego lądu. Pewnie tak jest. Pod tym trochę debilnym daszkiem dla wędkarzy. Z urwistym brzegiem na wyciągnięcie ręki. Tym samym, którego wtedy ledwo dotknęliśmy. Latem gnieździła się w nim kolonia brzegówek, ale teraz już odleciały. Małe ptaszki w nieustannym ruchu muskały skrzydłami fale w pogoni za owadami. Miałem wrażenie, że dzięki nim jest mniej komarów. Co oczywiście nie było prawdą i musiałem przyskać skórę i ubrania repelentem. Zupełnie jak na Syberii. No bo miałem tam pojechać. Tak sobie wymyśliłem, że wyprawię sobie okrągłe urodziny gdzieś w Tuwie albo na Zabajkale. Całkiem samotne. Rozpalę ogień na stepie, położę się na ziemi, wypiję trochę alkoholu i zasnę owinięty w ciepły śpiwór, bo o tej porze są już tam porządne przymrozki. W Tuwie albo na Zabajkale. Wśród jesiennych traw na jakimś płaskowyżu i z widokiem na ciemniejące o zmierzchu wzgórza. Pod niskimi gwiazdami przy dogasającym ogniu. Taka romantyczna wizja. W zupełnej ciszy i samotności. Może z klangorem żurawi lecących gdzieś na południe do Chin. No ale przyszła zaraza i zacząłem przyjeżdżać tutaj. Nad rzekę dzieciństwa.

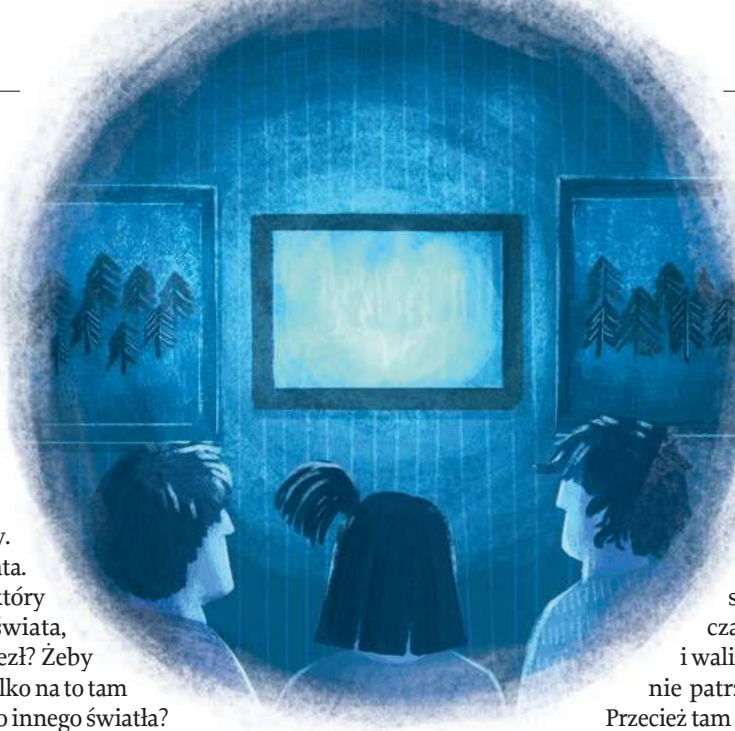
Z której wyłowiono przed paroma dniami zwłoki syryjskiego chłopaka. Jest zimno i woda ma szarzieloną barwę. Mogły tędy spływać, gdyby nikt ich w górze biegu nie zauważył. Tak sobie wyobrażam. Że je widzę, gdy rano wychodzę na brzeg, żeby patrzeć na drugą stronę, na bezkresną łąkę i kilka samotnych starych drzew. Niskie słońce jest gęste i ciężkie. Aż dziw, że w ogóle ten wiatr przebija się przez pejzaż, który wygląda jak złoty step. Albo jak sen o narodzi-

nach pierwszych krajobrazów. Więc mógłby płynąć ledwo widoczny z ciemną lśniącą twarzą tuż nad lustrem wody. Chłopak bez imienia z dalekiego kraju. Wygnany strachem i wyobrażeniami na brzeg obcej zimnej rzeki. Po między wikliny i wierzyby w grząskie błoto, w bagienne zastoiska. A potem krztusi się lodowatą wodą, jego ubranie nasiąka i nurt unosi go w dół biegu. Jak te wszystkie ciała. Topielców polskich, niemieckich, rosyjskich i żydowskich minionego wieku. W głąb pięknego pejzażu, w stronę dalekiego morza. Aż opadną w końcu na dno i objedzą je mięsożerne ryby.

Ale było zimno i w końcu wróciłem do hotelu stojącego na odludziu wśród wysokich sosen. Był wyłożony lśniącem kamieniem, trochę ciemnowy i jakoś tak sterylny. Wszędzie płaskie powierzchnie i proste kąty. Jakby na przekór piachom, sośninie i bagnom, które zaczynały się zaraz za progiem. Drzwi z imitacji mahoniu pobłyskiwały elektronicznie, gdy przykładano się kartę, a potem przypominały wysokim piskiem, żeby zamknąć. Fajnie. No i prawie zawsze było pustawo. Czasami ktoś przemknął albo przysiadł w półmrocznych perspektywach. Chroniłem się w nim, gdy nad rzeką robiło się zbyt zimno, albo przyjeżdżałem w nocy, w deszczu i nie chciało mi się rozbijać namiotu. Tak. Robiłem się stary i wygodny.

Teraz jednak w restauracji na śniadaniu był tłum mężczyzn. Wszyscy koło trzydziestki. Może mieli zlot przedstawicieli handlowych albo coś podobnego. Kursowali do bufetu i sobie dokładali. Zadowoleni, lekko już brzuszkwaci, jedni na niezobowiązująco, inni w koszulach, krawatach i w garniakovych spodniach. Nawet nie wyglądali na skacowanych. Profesjonaści. Usiadłem jak najdalej, bo nigdy nie przepadałem za masową obecnością facetów. Zdaje się, że od czasów wojska i więzienia. Ale usiadłem osobno i daleko też po to, by widzieć wielki telewizor w głębi sali.

Dochodziła ósma, a tam się kłębiło. Tutaj wewnątrz jak szarawe akwarium, a tam lucyferyczne igrzyska czelakoskształtnych. Się kłębiło, wirowało, błyskało i napierdalało z głośników. To, co zwykle. Półgołe baby, chłopcy z dupości-kiem, palmy, lazury. Może reklamy, może utwory słownomuzyczne. Czasem napisy. Ani śladu cienia, ani śladu nieruchomości. Nikt na to nie patrzył, tylko ja. Jakbym rzeczywiście wylazł z tysiącletnich bagien. Tylko ja się gapiłem. Tamci byli już chyba nauczeni i unosili się swobodnie w roztworze sensorycznej trutki, jak gdyby nigdy nic. Nakładali sobie mięso i wracali do stolików. Nakładali sobie jajka w majonezie i znowu wracali. Ci w garniakovych spodniach nakładali sobie müsli i też wracali. Pod tę poświatę, pod to promieniowanie nicości.



→ Wielki telewizor wyglądał jak okno w czarnych ramach. Ale nie wychodziło na sosnowy las, który rozciągał się za ścianą, i potem na świeżo zaorane pola, które wznosiły się łagodnie ku północy. Wychodziło do innego świata. Może do jakiegoś tunelu, który wysłał wszystkie barwy świata, żeby świat wyszarzał i szczeł? Żeby już nie było na co patrzeć, tylko na to tam na ścianie? Żeby już nie było innego światła? Żeby tylko bure jak błoto i szare jak szkielet zostało tam na zewnątrz? I żeby już niczego nie oświetlało, jak w jakiejś apokalipsie? Żebyśmy tylko siedzieli w kucki wokół migających szklanych ognisk, a wokół rozsnuje się mrok po krańce świata, tak jak wtedy, gdy wynaleźliśmy ogień?

Grzebałem widelcem w talerzu i pocieszałem się, że prorokowanie mi przejdzie, gdy jeszcze napiję się kawy. Zwyczajnie wypadłem z łańcucha ewolucji. Nie potrafiłem oglądać telewizji. Nie potrafiłem oglądać ekranów, na których poruszali się ludzie. Nawet w głupim internecie nic mnie bardziej nie wkurwiała, niż gadające głowy różnych mędrków. Natychmiast ich wyciszałem i likwidowałem. Byłem żywą skamienieliną. Mogę czytać, co mędrkowie powiedzą, nie znoszę ich oglądać.

Prawie osiem miliardów człekokształtnych na całym świecie, ale im nigdy dość, więc się kserują, multiplikują, wielokrotnieją i się wpatrują w te swoje fantomy, bo nic ich bardziej nie podnieca niż widok drugiego. I nadzieja, że sami kiedyś będą oglądani. Będą, nie ma obaw. W nicości starczy miejsca dla wszystkich. Miałeś pić kawę, a nie prorokować. Wiem. Miałeś jeść jajko na twardo w majonezie i trochę jarzyn, a nie wieszczyć. Wiem, miałem tylko patrzeć oczami dziecka na rzeczywistość oraz ulegać nieustannemu zdziwieniu jak niegdyś. Wiem. Ale w 1985 roku zepsuł mi się telewizor, przykryliśmy go makatką i używaliśmy jako stolika podczas przyjęć. I potem już nigdy nie miałem. Teraz czasami leżę w jakimś hotelu i próbuję go włączyć, bo zawsze wisi na ścianie. Mniejszy, większy, ale zawsze jest. Ślepi czarno i ponuro. Włączam i robi się kolorowo, ale ponuro jeszcze bardziej. Przelatują cały ten badziew i gdy czasem zjawiają się zwierzęta, zatrzymuje się na chwilę. Żaloty jeży mają więcej życia niż ta cała debileria, która przez 24 godziny na dobę „wyraża swoje opinie” albo próbuje wyjechać cię na kasę. Tak. Nie pomagało dziobanie jajka ani popijanie wodnistej kawy. Zastanawiałem się nad swoim miejscem w świecie i go nie znajdowałem. Chciałem jak zwykle pojechać trzy kilometry na skompromitowany Orlen i napić się porządnego espresso. Zawsze tak robiłem. Stawiałem furę pod Biedronką, bo paliwowy potentat nie miał nawet porządnego parkingu, i siedłem na espresso.

Ale nie mogłem wyjść. Patrzyłem na zadowolonych trzydziestolatków. Żaden z nich nawet nie zerkał na wielki ekran, chociaż bez przerwy się tam coś działo. Ruszało się, przeskakiwało, buczało, bzyczało, dudniło, napierdalało i waliło po oczach. Hej, dlaczego nie patrzycie, chciałem zawołać.

Przecież tam jest wszystko, a tutaj tylko jakiś szklany półmrok, sztuczny kamień się błyszczy i szarówka za oknem. Wiemy, ale się przyzwyczailiśmy, odpowiedzieli znad talerzy. Przyzwyczailiśmy się i mamy to gdzieś. To jest jak z pogodą, powiedział jeden. Jest jaka jest i wyżej nie podskoczysz. A poza tym mamy swoje, powiedzieli i podnieśli w górę smartfony. Mieli rację. To ja histeryzowałem, ponieważ wołałem przebywać na bezludnych bagnach, ale zrobiło się zimno i byłem już stary i wygodny. Wrócili do jedzenia. Ja też. Ale wcześniej spojrzałem za okno przez białą firankę.

Zobaczyłem jak idzie przez parking wyłożony kostką. Jakoś mu się udało przejść przez krajową sześćdziesiątkę dwójkę. Bóg wie jak, bo tiry o tej porze jechały już jeden za drugim, a on szedł ledwo ledwo. Ciężko i powoli. Zostawiał na betonie mokry ślad. Gdzieś w głębi hotelu krzyknęła kobieta. Wszedł pewnie do recepcji, gdzie mieli wielkie akwarium z egzotycznymi rybami. Krzyknęła i zamilkła. Tylko ja usłyszałem, bo tutaj wciąż było słychać pomruk rozmów, dudnienie telewizora i brzęk sztuców. Bez przerwy chodzili i sobie nakładali. Zanim doszli do stolika, już mieli zjedzone. Tak to wyglądało, ale mogłem się mylić, bo sam nie miałem apetytu.

No więc krzyk umilkł i słyszałem tylko absolutną ciszę gdzieś tam w głębi wypolerowanych i szklanych przestrzeni. I śniadaniowy zgiełk. Jakbym siedział gdzieś po środku. A potem drzwi obok baru otworzyły się i wszedł. Siedziałem blisko, poczułem chłód mojej rzeki. Miał na nogach białe adidas. Chłupało w nich. Dżinsy były ciemno granatowe. Z nasiąkniętej puchówki cieknęło. Trochę cuchnęła. Jak się leży parę dni w wodzie, nawet zimnej, to tak jest. Muł, stęchlizna, trochę chłodnego trupa. Ale ryby go nie nadjadły. W każdym razie nie było widać. Ręce miał opuszczone wzdłuż ciała, dłonie zielonkawe i lśniące. Kapało z nich na polerowany sztuczny kamień. Ruszył w głąb sali. Przeszedł obok bufetu. Pochyleni nad mięsem faceci unieśli głowy. Barmanka upuściła coś szklanego i zakryła sobie usta dłonią wystraszona, że usłyszy krzyk i odwróci się w jej stronę. Stała przy największym stole, przy którym siedziało sześciu mężczyzn. Zatrzymał się i powiedział: – Germany...

– O żesz Dżizas – powiedział jeden w czerwonej bluzie z jakimś napisem. Odsunął krzesło, wstał i ostrożnie wyciągnął dłoń z telefonem, jakby się bał, że mu kadr zniknie.

– German...

– Podlaskie. Powiat Siemiatycki – powiedział gruby i nieduży w różowej koszuli bez krawata i też zaczął ostrożnie się podnosić wpatrzony w przybysza, macając jednocześnie po stole w poszukiwaniu telefonu.

– O żesz fak – powiedział blondyn wystrzyżony po bokach i zrobił to samo, co reszta, czyli przyjął ostrożną pozycję z telefonem.

Po chwili już wszyscy, jak ich tam dwudziestu czy trzydziestu było, odsunęli z hurgotem metalowe krzesła i stanęli w luźnym kręgu ze wzniesionymi ramionami.

– Asfalt – powiedział któryś ze znawstwem.

– Nie. Ciapaty. Asfalty nie mają bród – powiedział łysiejący z brzuskiem w białej koszuli.

– Mają. Widziałem w Brukseli.

– A co, on z Brukseli? Z wody chyba wyszedł, nie?

– Jak z wody?

– No fak, ci mówię, z wody, z rzeki musiał wyleźć.

– Spod prysznic mógł.

– I co? Na śniadanie przyszedł?

– Ty! Skąd jesteś – zawołał ktoś z tyłu.

– Germany...

– No to, żesz fak, co? Do Niemiec chce czy z Niemiec tutaj wodą przybył?

– Z nimi nie wiadomo.

– Ale o powiat siemiatycki nie pyta.

– Co za kraj. Wszyscy go mają w dupie.

– I dobrze. Ja bym pociągi podstawił i woził, gdzie by tylko chcieli. Na Czechy, na Słowację, w piździec na Hurgadę, tylko żeby płacili.

– Z Siemiatycz byś woził?

– A co? Jest stacja? Jest. Wagony by się podstawiło, brało po pięćset albo tysiąc i droga wolna.

– Po dwa. Ile do takiego wagonu wchodzi?

– Zależy. Jak wywalić siedzenia, to dużo.

– Za dwa z siedzeniami, za tysiąc bez siedzeń.

– Ale euro?

– A co? Złote w setkach ze sobą wieźli?

– Ty! Masz euro czy złotych? – zawołał ten od pociągów w garniturowych rurkach i szpicowatych brązowych pantoflach.

Reszta się ośmieliła i powoli otaczała go luźnym kręgiem. Wszyscy pstrykali jak na ulicy, gdy jest wypadek. Najodważniejsi zachodzili go od tyłu i wołali: – Patryk! Zrób, żeby i mnie było widać!

Stał prawie nieruchomo. Poruszał tylko głową na lewo i prawo, ale bardzo wolno, jakby było mu ciężko od wody, która przez te wszystkie dni musiała zostać w jego ciele. Mokry golem, albo wielkie nieporadne dziecko. W końcu zasłonił go całkiem. Jesienny poranek był ciemny, więc niektó-

rym błyskały flesze. Zastanawiałem się, czy go oślepiają, czy w ogóle coś widzi, czy ma otwarte oczy. Ale przecież jakoś tu przyszedł.

W końcu chyba się napstrykali i uspokoili. Któryś powiedział, że jest po ósmej. „No, dobra, panowie. Po rzeczy i za dziesięć minut przy autach”. Wyszli bardzo szybko, nawet się nie oglądając. Barmanka stała nieruchomo za kontuarem. Było zupełnie cicho. Wydawało mi się, że słyszę odgłos spadających kropel.

– I co ja mam zrobić – powiedziała do siebie. – Po szefa dzwonić, na policję w Dorohuczcy? Cały mokry jest.

Dopiłem zimną kawę i wstałem. Już tak bardzo z niego nie kapą. Tylko trochę. Szara kałuża na szarej podłodze.

Szare światło ciągnęło od rzeki i wchodziło przez szare szyby. Trochę jak w zaświatach.

– No pan powie: dzwonić?

Wtedy pomyślałem, że go zawiozę, tam gdzie chce, skoro mi już tutaj wypłynął. Zawiozę go do tych jego Niemiec, skoro nawet on ma w dupie ten kraj. Szczerze mówiąc, w jego sytuacji aż tak bym nie wybrzydzał, ale zawiozę. Do Berlina, na Sonnenallee na przykład. Żeby był wśród swoich. Osiem godzin jazdy bez zatrzymywania, więc pewnie jakieś dziesięć. Bo przecież nie będziemy spać. Już raz wszedł do hotelu i wystarczy. Aby do Warszawy, potem już tylko autobahn. Nie miałem tej nalepki na szybę, że jadę ekologiczną furą, a bez niej podobno nie wpuszczali do centrum. Chyba rzeczywiście nie była za bardzo ekologiczna. Kto ją tam wie. Ale pieprzyć to. Jestem Polakiem i mi się uda. Na Sonnenallee. Pomiędzy swoich. Do zimnego, ponurego Berlina. Wysadzę go pod jakąś arabską knajpą, gdzie dają jeść, ale oczywiście nie mają nic do picia. Rozłożę coś na siedzeniu, żeby nie przeciekało, włączę na ful ogrzewanie, klimatyzację i powinien podeschnąć.

– Niech pani nie dzwoni – powiedziałem. – Zabiorę go. Tylko pójdę na górę i się spakuję.

– Pan mnie z nim nie zostawia – powiedziała trochę wystraszona.

– Nic pani nie robi. Będzie tak stał. Nieżywy jest.

– Nieżywy, ale przyszedł – powiedziała niepewnie.

– Wie pani, do mojej babki też nieżywi przychodzili. Pokręcili się po domu i potem wracali do siebie.

– Tak jak ten?

– Bardziej duchy.

– Duchy duchami, ale wodę będę musiała zetrzeć. Z duchów nie cieknie.

Przesunąłem krzesło na miejsce. Podeszedłem do baru, żeby ją uspokoić. Gdy go mijałem, poczułem lekki chłód. Znowu pomyślałem o Berlinie. Że o tej porze jest szary i zimny, a ulicami wieją ciemne wiatry. Takie same jak tutaj. A właściwie te same. Gdzieś od Uralu. Ale w arabskich knajpach, w kuchniach przy Sonnenallee jest ciepło.

– To tylko woda z rzeki – powiedziałem. – Spakuję się i przyjdę po niego.

© ANDRZEJ STASIUK





SPÓR O PRZYSZŁOŚĆ EUROPY

Nowy rząd w Berlinie chce głębokiej integracji Unii. Na plany zza Odry nerwowo zareagował rząd w Warszawie. Czy istnieje szansa na kompromis?

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

SFORMUŁOWANIE, KTÓRE ZNALAZŁO SIĘ w umowie koalicyjnej nowego rządu Niemiec i które ma wyznaczać jeden z jego strategicznych celów, brzmiało sucho i lapidarnie: „Dalszy rozwój w kierunku federalnego państwa europejskiego”.

Tych kilka słów wywołało burzę w polskim obozie rządzącym. Niemcy chcą stworzyć „europejskie superpaństwo, zarządzane przez unijny establishment” – ostrzegął minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro w wywiadzie dla dziennika

„Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Europosel Ryszard Legutko w rozmowie z portalem wpolityce.pl dostrzegł w zapisach niemieckiej umowy koalicyjnej widmo „lewicowego despotyzmu”. Media sympatyzujące z rządem Prawa i Sprawiedli-



FABRIZIO BENSCH / REUTERS / FORUM

Kancelarz Niemiec Olaf Scholz prezentuje skład swojego rządu. Berlin, 8 grudnia 2021 r.

wości w ostatnich dniach właściwie codziennie rozpisują się na temat rodzącej się niemieckiej hegemonii.

Wszystkich przebił Jarosław Kaczyński. Na wewnętrznym spotkaniu PiS miał przestrzegać najważniejszych polityków w kraju, że „Niemcy chcą zbudować Czwartą Rzeszę”. Za te słowa miał zostać nagrodzony oklaskami.

A w Niemczech? Cisza. Zdanie mówiące o „federalnym państwie europejskim” zniknęło z listy aktualnych tematów tak szybko, jak się pojawiło.

– Te słowa nikogo nie powinny dziwić – tak zapis o przyszłym państwie europejskim jako pożądanym celu komentuje w rozmowie z „Tygodnikiem” Jana Puglierin, szefowa berlińskiego oddziału Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych (istniejącego od 2007 r. think tanku, który specjalizuje się w polityce

międzynarodowej i zrzesza ludzi z różnych krajów).

Jana Puglierin radzi, aby przejrzeć programy partii tworzących koalicję, która od minionego tygodnia rządzi w Niemczech. Zarówno Zieloni, jak też liberałowie z Wolnej Partii Demokratycznej (FDP) wprost piszą w nich o powstaniu państwa europejskiego. Z kolei socjaldemokraci (SPD), główna formacja tej koalicji, z której wywodzi się nowy kanclerz Olaf Scholz, w wielu obszarach zachęcają do głębokiej integracji Unii.

– Myślę, że nowy rząd chciał po prostu podkreślić, że Niemcy będą dalej siłą pro-unijną – uważa Jana Puglierin, która ma dobre rozeznanie w kuluarach niemieckiej polityki zagranicznej i europejskiej.

Czy zatem wypowiedzi polskich polityków z partii rządzącej to gra wyłącznie na potrzeby wewnętrzne? Czy też może

faktycznie nad Europą unosi się widmo niemieckiej hegemonii?

Państwo „naj...”

Już od wielu dekad Niemcy są zawodnikiem wagi superciężkiej w niemal wszystkich kluczowych obszarach polityki europejskiej. To najludniejszy kraj Wspólnoty, leżący w samym centrum kontynentu. Posiada najsilniejszą gospodarkę. Takie branże jak motoryzacja, farmacja czy przemysł chemiczny napędzają badania i wdrażanie nowych rozwiązań. Przedsiębiorstwa zza Odry co roku zgłaszają najwięcej nowych pomysłów do Europejskiego Urzędu Patentowego.

Jeszcze w 2013 r. były szef niemieckiego MSZ Joschka Fischer (z Partii Zielonych) mówił, że „Niemcy są za duże na Europę i zbyt małe, aby same mogły odegrać znaczącą rolę na świecie”. Wtedy w Wielkiej Brytanii jeszcze nikt na poważnie nie mówił o brexicie. Dzisiaj, po odejściu wyspiarzy, dominacja Niemiec jest tym bardziej widoczna. Eksportowa machina Made in Germany spowodowała, że kraj ten mocno oderwał się od Francji czy Włoch, które jeszcze na początku wieku XXI miały wskaźniki ekonomiczne na poziomie zbliżonym do Republiki Federalnej.

Sukces naszego zachodniego sąsiada to m.in. zasługa niebywałego spokoju, który panuje w tamtejszej polityce. W ubiegłą środę, po ponad 16 latach, Angela Merkel przekazała kanclerskie stery w ręce socjaldemokraty Scholza. W tym czasie, podczas „ery Merkel”, przez Pałac Elizejski przewinęło się czterech gospodarzy, w Polsce urzędowało sześciu premierów, a we Włoszech dziewięciu. Nawet przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej zmieniali się ostatnio częściej.

Niemiecka stabilność procentuje również w polityce unijnej. „Idź na jakiegokolwiek spotkanie w Brukseli, a najprawdopodobniej będzie je prowadził Niemiec” – kąśliwie stwierdził brytyjski tygodnik „The Economist”.

Europosłowie z Niemiec dominują w tamtejszych frakcjach chadeków, socjaldemokratów i zielonych. Często zasiadają w Parlamencie Europejskim przez kilka kadencji. Uchodzą za najlepiej zorientowanych w aktualnie procedowanych sprawach i są najgłębiej zakorzenieni w strukturach. Przewodniczącą Komisji Europejskiej jest Ursula von der Leyen, protegowana Merkel. W poprzedniej →



KAY NIETFIELD / AFP / EAST NEWS

Annalena Baerbock, nowa szefowa niemieckiego MSZ, jako cel pierwszych wizyt zagranicznych wybrała Paryż, Brukselę i Warszawę. Na zdjęciu: na lotnisku przed rozpoczęciem swej pierwszej podróży, 8 grudnia 2021 r.

→ kadencji, choć Komisji przewodniczył Luksemburczyk Jean-Claude Juncker, to – jak mawiano – z tylnego siedzenia rządził szef jego gabinetu, Niemiec Martin Selmayr.

Romans słonia z myszami

Jak na unijną miarę Niemcy są olbrzymem, który swoim rozmiarem prowokuje krytykę. Rzetelnie atakować Republikę Federalną nie jest jednak rzeczą łatwą. Trudno wszak wytykać doskonale rozwinięty przemysł, przywiązanie do kompromisu i konsensusu w rozwiązywaniu politycznych sporów czy wreszcie polityków, którzy po wyborach w zgodzie przekazują sobie obowiązki i często kontynuują cele poprzedników, pomimo partyjnych różnic.

Bardzo krytyczne, a czasem obraźliwe komentarze, płynące zwłaszcza ze środowisk obozu rządzącego w Polsce pod adresem Berlina, przypominają czasem sytuację, w której klasowy rozrabiaka zostaje posadzony obok prymusa z dobrego domu i jest zmuszony wysłuchiwać pochwał pod jego adresem. Niemiecka klasa średnia żyje na poziomie

nieosiągalnym dla przeciętnego Polaka. Rodziny przekazują sobie wielki i zgromadzony przez kolejne pokolenia kapitał. Sprawne i bogate państwo sowsie wspiera swoich obywateli w skali, przy której program „500 plus” wygląda jak skromne kieszonkowe.

Niewątpliwie ogromne nierówności wciąż prowadzą do kompleksów, które łatwo prowokują do emocjonalnego wyżywiania się na Niemcach, najlepiej przy użyciu *argumentum ad Hitlerum*. Ale różnice w wielkości i poziomie rozwoju determinują również realne konflikty interesów. Jan Zielonka, profesor z Uniwersytetu w Oksfordzie, porównał kiedyś relacje Niemiec z innymi państwami w Unii do romansu słonia z myszami. Pomimo szczerych uczuć wierzący się słoń i tak może przez nieuwagę rozgnieść partnera na placu.

Za mało czy za dużo?

Aktualnym przykładem mogą być prace w Unii Europejskiej nad nową klasyfikacją źródeł energii, gdzie jeden ze sporów dotyczy tego, czy energetyka atomowa zostanie uznana za element zrównowa-

żonego rozwoju (tj. za zieloną energię). Niemcy, które realizują plan odejścia od atomu (ostatni swój reaktor wygaszą w 2022 r.), lobbują przeciw takiemu rozwiązaniu (mając tu poparcie kilku krajów). Po drugiej stronie sporu stoi kilkanaście państw pod wodzą Francji (w tym także Polska). Spór jest konkretny, a jego wynik będzie mieć poważne skutki.

Pomimo to ostra krytyka Niemiec, podlana gęstym sosem historycznych resentymentów (jak to ma miejsce w przypadku polskich rządzących), jest na kontynencie czymś wyjątkowym. – W Europie słyszę zupełnie inne głosy – przekonuje Jana Puglierin. – To, co do mnie dociera, to obawy, że Niemcy robią za mało, a nie za dużo.

Za przykład Puglierin podaje Emmannuela Macrona. Prezydent Francji od początku swojej kadencji krytykował brak determinacji i ambicji Berlina. Puglierin uważa przypinanie Niemcom łatki hegemonu za absurd. Wskazuje, że nowy rząd Scholza w swoim programie wręcz notorycznie podkreśla potrzebę dialogu i ucięcia wspólnych stanowisk z unijnymi partnerami.

Wyciszony kanclerz

W tym duchu można interpretować wizyty w Warszawie kanclerza Olafa Scholza i minister spraw zagranicznych Annaleny Baerbock (z Partii Zielonych), do których doszło w zaledwie kilka dni po ich zaprzysiężeniu.

Szczególnie nowy kanclerz może być dobrym kandydatem na uspokojenie relacji polsko-niemieckich. Jego polityczna dewiza brzmi bowiem „nigdy się nie obrażaj”.

– Jest wyciszony, mówi bez patosu, wręcz przynudza, nie pokazuje emocji – tak Scholza w rozmowie z „Tygodnikiem” opisuje Lars Haider. Dziennikarz i autor świeżo wydanej biografii nowego kanclerza podkreśla, że to człowiek w pełni oddany polityce. Praktycznie nie ma życia prywatnego. W wolnych chwilach czyta namiętnie literaturę fachową, aby wciąż poszerzać wiedzę. W stylu przypomina więc Merkel, choć z jedną dużą różnicą. – Scholzowi o wiele łatwiej przychodzi podejmowanie decyzji – twierdzi Haider. – I jest zawsze nastawiony na poszukiwanie rozwiązania.

Olaf Scholz zrobił też dobre wrażenie na Andrzej Przyłębskim, ambasadorze RP w Berlinie. – Widzę w kanclerzu

Pani Profesor Zofii Zarębiance
wyrazy najgłębszego współczucia z powodu śmierci

Męza

składają

KOLEŻANKI I KOLEDZY Z KATEDRY
HISTORII LITERATURY POLSKIEJ XX WIEKU WP UJ

POZEGNANIE

Scholz kogoś bardzo pragmatycznego i bardzo ostrożnego w sformułowaniach – mówi „Tygodnikowi” ambasador. – Kiedy premier Morawiecki był w Berlinie, to rozmowa w cztery oczy trwała między nimi godzinę, choć zaplanowana była na dziesięć minut. To jest człowiek, który chce się naprawdę zorientować, co się dzieje w Polsce.

Przyłębski wiąże też pewne nadzieje z Zielonymi. – Ze względu na ich wsparcie dla Ukrainy i ostrożność wobec Rosji, przejęcie spraw zagranicznych przez Zielonych bardzo dobrze rokuje – mówi ambasador. – Politycy tej partii mogą być też bardziej otwarci na zwrot zagrąbionych w czasie wojny dóbr kultury oraz na kwestie reparacji – wymienia sprawy ważne dla strony polskiej.

Kiedys, ale nie teraz

Główni aktorzy niemieckiej polityki, jakkolwiek byliby pragmatyczni, muszą jednak wsłuchiwać się w emocje społeczne oraz w głosy własnych ugrupowań. A te na dialog z polskim rządem patrzą sceptycznie.

Politycy nowej niemieckiej koalicji rządzącej, z którymi „Tygodnik” rozmawiał w ostatnich miesiącach, oficjalnie wolą nie wychodzić poza utarte komunikaty, i tak już niemal wprost krytyczne wobec rządu PiS. Przy wyłączonym mikrofonie wychodzi już tylko rozżalenie i zdziwienie, że Polacy dalej pozwalają populistom na rządzenie krajem.

Jeden z polityków Zielonych do tego stopnia ma problem z rozwojem sytuacji w Polsce, że postanowił nie odwiedzać Polski, aby – jak to ujął – nie wspierać autorytarnego reżimu. Dla wielu, szczególnie młodszych polityków z SPD, Zielonych i FDP, rząd w Warszawie niewiele różni się od reżimów w Moskwie czy Ankarze. Nie widzą więc też potrzeby, żeby specjalnie wsłuchiwać się we wciąż mal-kontenckie tony płynące z Warszawy w kwestii rozwoju Unii Europejskiej.

Oczywistych różnic w podejściu do przyszłości i federalizacji Unii nie ukrywa ambasador Przyłębski. – To nie jest dobry moment, bo powstałby twór pod przewodnictwem Berlina. Niemcy są tak duże, że to oni musieliby tym kierować

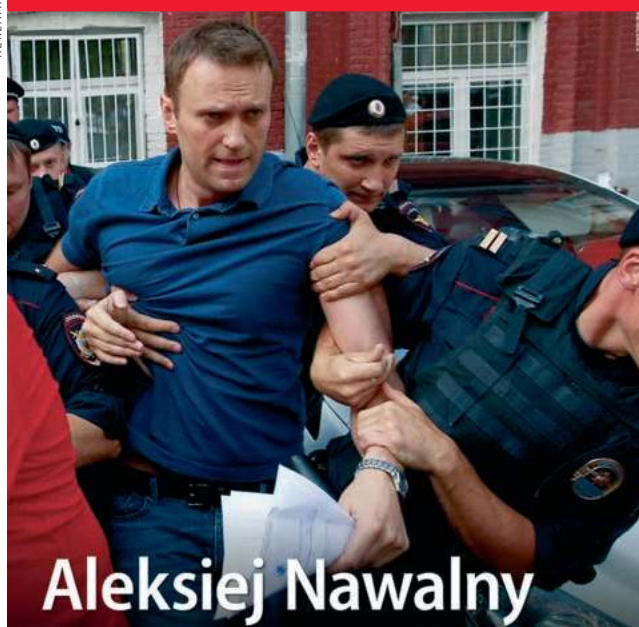
przy milczącej zgodzie zwłaszcza mniejszych państw – przekonuje. – Nie wykluczam, że kiedyś takie państwo powstanie. Natomiast obecnie jest czas na wspólną politykę zagraniczną oraz gospodarczą z jasnymi regułami gry, których przestrzegać będą wszyscy. Warto też rozmawiać o wspólnej polityce obronnej, o pewnej formie armii europejskiej rozwijanej w ramach NATO – wylicza.

Kwestie zapalne

Polski dyplomata docenia, że w umowie koalicyjnej znalazła się wzmianka o potrzebie aktywizacji formatu Trójkąta Weimarskiego. – Nowy rząd widzi, że istnieje w Europie oś Paryż-Berlin-Warszawa. A Polskę w tym układzie rozumiem jako przedstawiciela regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Wizja nowych członków Unii co do jej przyszłości musi być uwzględniana, żeby Unia się nie rozpadła, lub żeby nie doprowadzić do powstania Europy dwóch prędkości – przekonuje.

Natomiast na przychylność Berlina nie ma co liczyć w kwestii sporu o praworządność. W umowie koalicyjnej →

REKLAMA



Aleksiej Nawalny

Rosyjski działacz i więzień polityczny

Laureat Nagrody im. Sacharowa za wolność myśli
Parlament Europejski – 2021 r.

Doroczna Nagroda im. Sacharowa za wolność myśli przyznawana jest od 1988 r. osobom i organizacjom broniącym praw człowieka i podstawowych wolności. Nazwano ją na cześć sowieckiego fizyka i dysydenta politycznego Andrieja Sacharowa.



Parlament Europejski

GŁOSNE DMUCHANIE W GWIZDEK DLA DEMOKRACJI



Zgłaszają nieprawidłowości, rzucają nowe światło na sprawy, które nierzadko dotyczą milionów ludzi. Sygnaliści, dosłownie „dmuchający w gwizdek” (ang. *whistle blowers*), byli tematem debaty „Współcześni Don Kichoci. O co walczą sygnaliści?”. Dlaczego są niezbędni w demokracji?

A jak to jest zostać sygnalistą? Zapraszamy do wysłuchania pełnego emocji wywiadu z sygnalistką Sophie Zhang, analityczką danych, była pracowniczką Facebooka.

W 2019 r. legislatorzy europejscy uchwalili dyrektywę chroniącą sygnalistów. Na jej mocy od 17 grudnia 2021 r. osoby zgłaszające nieprawidłowości w imię interesu społecznego powinny zostać objęte ochroną w krajach Unii Europejskiej.

Deбата i wywiad:

www.youtube.com/user/ParlamentEuropejski
<http://epyoutube.eu/q44m>



Parlament Europejski
Biuro w Polsce

→ zapisano niemal wprost wsparcie dla Komisji Europejskiej w tym temacie. – Nie jest to sformułowanie przeciwko Polsce czy Węgrom, ale w obronie praworządności. Niemcy uważają, że praworządność w Unii jest niezbędna i wzywają do jej obrony tam, gdzie nie jest ona przestrzegana – uważa Jana Puglierin.

Ta kwestia może pozostać centralnym problemem, bo z kolei Andrzej Przylebski przypomina powszechnie znaną wykładnię rządu w Warszawie: – Wymiar sprawiedliwości pozostaje w gestii krajów członkowskich.

Rozmowa Andrzeja Przylebskiego z „Tygodnikiem” to jedna z jego ostatnich w roli ambasadora w Berlinie. Warszawa od dłuższego czasu szuka jego następcy. Na liście nazwisk są zarówno profesjonalne dyplomatki, jak i „jastrzębie”, gotowi do wchodzenia w spory. Co chyba pokazuje, że podejście rządu PiS do gabinetu Scholza dopiero się uciera.

Europa jako globalny gracz

Nowy rząd Niemiec ma świadomość, że na ruszenie naprzód z dalszą integracją Europy i umocnienie aliansu zachod-

nich demokracji otwarło się tzw. okienko możliwości.

To okienko jest małe i szybko może się zamknąć. We Włoszech władzę eurosceptykom wyszarpał Mario Draghi, były prezes Europejskiego Banku Centralnego i zwolennik zacieśniania europejskich więzów. We Francji Macron ma szansę na reelekcję w wyborach prezydenckich wiosną 2022 r. W USA administracja prezydenta Joeego Bidena sprzyja wizji Europy z Niemcami w roli nieformalnego lidera. Rząd Scholza może chcieć wykorzystać to *momentum* i pchnąć sprawę integracji do przodu. – Chodzi o wsparcie dla instytucji europejskich, dla Parlamentu Europejskiego, a także o demokratyzację procesów, takich jak wybór szefa Komisji Europejskiej – wymienia Jana Puglierin.

Politycy Zielonych, SPD i FDP, z którymi w ostatnich tygodniach rozmawiał „Tygodnik”, nie kryli, że chodzi też o unifikację systemów socjalnych i wspólną politykę migracyjną. Wielkim pytaniem kolejnych lat jest to, czy nowy rząd, w którym resort finansów przejęli liberałowie z FDP, będzie dążył do pogłębiania

strefy euro i zaciągania wspólnych długów.

Samo „państwo europejskie” to wciąż odległy i dość abstrakcyjny twór. Natomiast ustawia kierunek, w którym będzie podążał Berlin. W głębokiej integracji Unii Niemcy widzą możliwość nabrania sprawczości, decyzyjności i masy, która potrzebna jest im do rywalizowania z największymi globalnymi graczami.

To po części chęć spełnienia niemieckiego marzenia o byciu *Weltmeister*, mistrzem świata. Niemcy chcą mierzyć się z Chinami i USA, ale same są do tego za małe. Chcą przez integrację uruchomić finansowanie, które pozwoli współzawodniczyć europejskim firmom z coraz agresywniejszą azjatycką konkurencją, a nauce tworzyć nowe odkrycia. Dodatkowo, w przeciwieństwie do światowych rywali, Europa ma nieść wysoko na sztandarach wartości demokratyczne i poszanowanie mniejszości.

Ta wizja nie wszystkim się podoba, ale ma w Europie wielu zwolenników. Również Polska będzie musiała się w tej sprawie określić. © ŁUKASZ GRAJEWSKI

REKLAMA

Prestige
MIMBilet
SERWISPGE
NARODOWYREGENT
HOTELBUKOVINA
RESORTRadio
Złote przebojeCITY
CENTRUMTECHNICAL
SOLUTIONS

RZECZY

PREMIUM
HOTEL

PANI

Gala

VIVA!

fesz

party

URODA

onet

HELIOS

pdp

VIXON

ams

PRESS
SERVICE

Zrozumieć Szkocję

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

Dwa lata pandemii wpłynęły na oczekiwania Szkotów, kwestia niepodległości zeszła na dalszy plan. W przyszłość patrzą jednak z optymizmem.

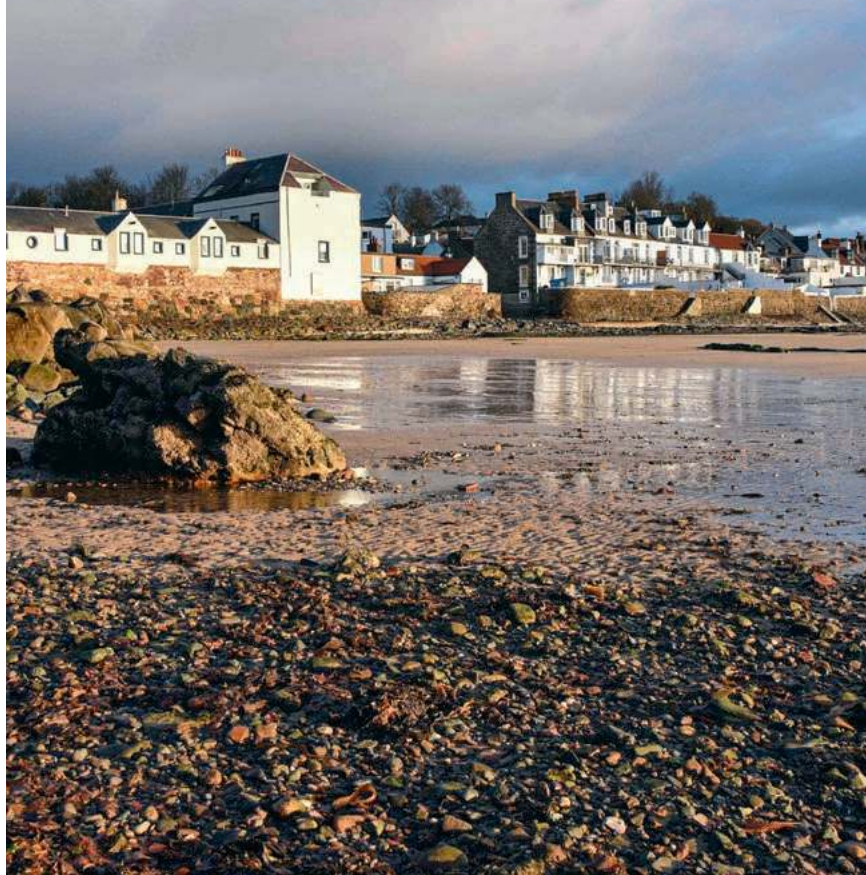
PIERWSI GOLFIŚCI ZJAWIAJĄ SIĘ W LUNDIN Links tuż po świcie. Słońce jeszcze jest nisko nad horyzontem, gdy – nie przejmując się porannym chłodem – przemierzają pole ciągnące się malowniczo między plażą a pierwszymi domami. Hrabstwo Fife, gdzie leży Lundin Links, uważane jest za miejsce narodzin tego sportu. W St Andrews, kilkanaście mil dalej, znajduje się najstarsze pole golfowe na świecie – obowiązkowy punkt wycieczek miłośników tej dyscypliny.

Dzień jest ciepły i pogodny, wieje łagodny wiatr. Zjawiają się też właściciele psów. Szeroka plaża pełna jest czworonogów, biegających za piłką i wpadających z entuzjazmem do cofającego się podczas odpływu morza. Świat może się zmagać ze swoimi wyzwaniami, ale poranny spacer na plaży jest tu niezmiennym rytuałem niezależnie od pory roku i pogody.

– Piękno szkockiego krajobrazu i związek z naturą sprawiają, że ludzkie doświadczenie staje się bardziej znaczące. Częściej się to zdarza, jak sądzę, w małych społecznościach – powie kilka dni później Glen Reynolds, radny z rejonu Banff i Portsoy w Aberdeenshire, z którym będziemy rozmawiać o tym, jak Szkoci przetrwali pandemię. Sam Reynolds kiedyś mieszkał w Londynie, ale wybrał życie w małej wiosce Pennan na północno-wschodnim wybrzeżu Szkocji. Jest też pisarzem. Żartuje, że jego książki powstały w wyniku zbyt długiego gapienia się na morze.

Powoli na północ

W Szkocji jestem po raz pierwszy po dwuletniej przerwie wywołanej pandemią. Podróż zaczynam od miejsc mi bliskich, jak Lower Largo w hrabstwie Fife. Znany



WILEK SOSNA

Lower Largo, zatoka i widok na hotel Crusoe. Szkocja, 19 listopada 2021 r.

hotel The Crusoe odmalowano na biało. Ma nowych właścicieli, którzy przejęli go kilka miesięcy temu. W listopadzie gości jeszcze nie przyjmuje, trwa remont. Po nim okna będą już uszczelnione i wiatr nie wedrze się do środka jak kiedyś. Morze jednak po staremu będzie podczas przyływu uderzać w hotelowe mury, podchodząc niemal pod okna. To się nie zmienia.

Doceniany w licznych konkursach bar z rybą i frytkami w Anstruther przetrwał pandemię. Mimo nieturystycznej pory jest w nim sporo ludzi. Wszystko po staremu, tylko kelnerka prosi o wypełnienie formularza z danymi na wypadek wykrycia covidu – w przeciwieństwie do Anglii, Szkocja utrzymała część restrykcji. Naturalnej wielkości firmowa figura rybaka w żółtym sztormiaku ma założoną maszeczkę. To tyle śladów zarazy.

Ogród za murem

Podobnie jest w kolejnych miejscowościach w Fife – odwiedzających lokalne atrakcje i kawiarnie nie brakuje, życie nabiera rozpędu. Szybki rekonesans przypomina, co w Szkocji najlepsze i napełnia optymizmem. Ludzie są życzliwi, a niebo szerokie.

Kilka mil od St Andrews rozciąga się Cambo, wiekowa posiadłość ziemiska, od kilku dekad udostępniająca turystom georgiański ogród otoczony wysokim ka-

miennym murem. Dzięki temu rośliny są osłonięte od wiatru i tworzy się mikroklimat.

Największą popularnością Cambo cieszy się wiosną, ze względu na swoją kolekcję przebiśniegów. Ale sekret ogrodu leży w tym, że jest piękny o każdej porze roku. Teraz głównym bohaterem są łagodne puszyste trawy w pastelowych odcieniach żółci i szarości, i nawet suche łodygi przekwitłych kwiatów dodają uroku grządkom. Nadal kwitną dalie i róże.

Jeszcze niedawno, jak przed wiekami, uprawiano tu warzywa, które zgodnie z tradycją trafiały do kuchni prowadzonego w Cambo lokalu. Teraz warzywa zniknęły, na ich miejscu pojawiła się łąka, wciąż jeszcze pełna kwiatów: maków, nagietek, groszku. Dzika łąka zaskakuje w takim miejscu, zwykle pełnym zaplanowanych rabat. – To nowy projekt, zaczęliśmy go w tym roku – wyjaśnia Katherine Taylor, główna ogrodniczka Cambo.

Opowiada, że warzywniak bynajmniej nie został zlikwidowany, lecz przeniesiony za mury – tak, aby powstał tam ogród komunalny propagujący organiczne metody upraw warzyw. W miejscu warzywniaka trzeba było coś zaplanować i wybór padł na łąkę.

– Gdy wysialiśmy nasiona, trochę się martwiłam, że chwasty zdominują

→ kwiaty, ale po około miesiącu kwiaty wygrały – opowiada Taylor. – Od lipca do października łąka wyglądała naprawdę pięknie i cieszyła się wielkim uznaniem odwiedzających, była też przystanią dla pszczoł i motyli. Stała się tak popularna, że w przyszłym roku znów ją wysiejemy.

Jesienna łąka wygląda inaczej niż w szczycie lata, ale i te ostatnie kolorowe plamy kwiatów na tle zbżazniających łądy i trawy mają melancholijny urok. Cały ogród wypełnia spokój. Może przez wysoki mur, odgradzający go od wiatru.

Kilka dni później w północno-wschodnią Szkocję uderzy burza Arwen z huraganowym wiatrem przekraczającym 70 mil na godzinę, a w Cambo wiele drzew, nawet tych za murem, zostanie połamanych. „Będziemy tęsknić” – napisze ekipa ogrodników, ale i zaznaczy, że w ten sposób powstało miejsce na coś nowego.

Brexit i covid

Zniszczenia spowodowane przez burzę opóźniają moją rozmowę z Glenem Reynoldsem. Huragan mocno dotknął rybackie wioski w Aberdeenshire i Moray. W wielu długo nie było prądu i wody. Strażacy, żołnierze i ochotnicy mieli pełne ręce roboty.

Dopiero po kilku dniach możemy porozmawiać na Zoomie – Reynolds ma w końcu prąd i internet. Gdy pytam o problemy mieszkańców, wskazuje na zdrowie psychiczne i ten wątek będzie pojawiać się też w moich kolejnych rozmowach. Że lockdowny negatywnie wpłynęły na samopoczucie, to jedno. Kolejna rzecz to przeciążony system ochrony zdrowia. I tu włącza się brexit.

– Politycy boją się tego tematu. Chętnie będą mówić o negatywnym wpływie pandemii, ale brexit najchętniej by pominęli – mówi Reynolds. Tymczasem brexit to odpływ wielu Europejczyków i brak pracowników w ochronie zdrowia i w domach opieki. – Jak mamy sobie z tym poradzić? – pyta Reynolds i podkreśla, że negatywne skutki pandemii dla psychiki dopiero zaczynamy dostrzegać.

Brexit dotknął też rybołówstwo i przetwórstwo. – Mamy tu dużą społeczność polską. W mojej katolickiej parafii 75 proc. wiernych to Polacy, mamy też polskiego księdza, ojca Piotra – opowiada Reynolds. – Trudno mi wyrazić, jak jestem wdzięczny wszystkim, którzy zostali w tym trudnym czasie. Wielu jed-

nak wyjechało. Tęsknimy za Polakami, którzy otworzyli tu swoje firmy, zaczęli nowe życie, a potem poczuli, że muszą wracać do kraju.

Gdy później będę rozmawiać z radną Doreen Mair z Fraserburghu, miejscowości z wielkim rybackim portem, powie to samo i również z żalem: – Straciliśmy wielu polskich pracowników. Uważam, że to wielki problem, bo dobrze się integrowali z naszą społecznością we Fraserburghu, pracowali ciężko, dzieci chodziły do szkoły. Teraz za to jest dużo ogłoszeń z ofertami pracy.

Szkocja głosowała przeciw brexitowi, ale wielu szkockich rybaków poparło wyjście z Unii. – Upatrywali w tym swej szansy, rząd tyle obiecywał... – wzdycha Mair. Na razie jednak port we Fraserburghu, a pewnie i inne szkockie porty, odnotowuje straty. – Zwłaszcza początek roku był trudny, mieliśmy brexit i lockdown. Ciągłe się z tego ciosu podnosimy – mówi Mair.

Po sąsiedzku

– Ludzie są zmęczeni, gubią się w sprzecznych komunikatach, szczególnie teraz, gdy wykryto nowy wariant covidu – mówi Doreen Mair. – Za to doceniają małe społeczności, które zwały szyki. W ostatnich dwóch latach otworzono we Fraserburghu 18 nowych sklepów, które w pandemii zaczęły dostarczać zamówienia do domów. Ludzie to doceniali i zostali lojalnymi klientami. Po prostu jesteśmy dobrą staroświecką społecznością, w której ludzie dbają o siebie nawzajem.

– W północno-wschodniej Szkocji są całe pokolenia rodzin, które się znają od setek lat. To jest więź. Duże miasta mają więcej środków, ale małe społeczności muszą polegać na wolontariuszach, na sobie samych, na tym, że ktoś zauważy, iż sąsiad nie wychodzi od wielu dni lub światło w domu się nie pali – mówi Reynolds. I opowiada o wspieraniu lokalnych sklepów i firm, o szansie na zmianę sposobu życia na bardziej lokalny, samowystarczalny, lepszy też dla środowiska.

– Gdy wychodzimy teraz powoli z pandemii, pojawiają się możliwości, by zmienić sposób życia. Nie możemy po prostu wrócić do status quo – uważa pisarz. – Spójrzmy na siebie i zastanówmy się, co chcemy osiągnąć jako ludzie. To ważny okres, nawet jeśli wprowadzenie zmian potrwa.

Punkt w czasie

Mark Diffley, badacz opinii publicznej i założyciel agencji Diffley Partnership, mógłby się zgodzić z Reynoldsem. – Wydaje się, że pandemia nie ma końca. Ale szefowa szkockiego rządu autonomicznego Nicola Sturgeon wielokrotnie mówiła, że pandemia jest może nie tyle szansą, co punktem w czasie, od którego pewne rzeczy mogą się zmienić. Są tu dwie kwestie: sprawa konstytucyjna, czyli pozostania lub nie Szkocji w Zjednoczonym Królestwie, oraz kwestia naszych wartości, priorytetów, tego, jak napravimy, to co szwankuje, jak zadamy o innych – mówi mi Diffley. – Ludzie chcą zmiany, chcą zobaczyć inną Szkocję.

Nicola Sturgeon, stojąca też na czele Szkockiej Partii Narodowej (SNP), od początku pandemii przyjęła postawę troskliwej, ale stanowczej opiekunki. Jej codzienne konferencje, podczas których emanowała spokojem i pewnością sprawiły, że nawet przez część sceptyków zaczęła być postrzegana jako wiarygodna liderka. Jej notowania są lepsze niż brytyjskiego premiera Borisa Johnsona. Latem 2020 r. jej działania dobrze oceniało ponad 70 proc. ankietowanych.

Im jednak dłużej trwa pandemia, tym Sturgeon oceniana jest gorzej, głównie z powodu innych kwestii, m.in. związanych z edukacją. Teraz z uznaniem odnosi się do niej 53 proc. Szkotów, za to wzrósł odsetek jej krytyków (z 22 do 41 proc.).

Głównym wyzwaniem dla Sturgeon pozostaje referendum w sprawie niepodległości – ostateczny cel jej wyborców. Najbardziej zagorzali zwolennicy suwerenności w jej partii chcieliby, aby odbyło się jak najszybciej i zarzucają swojej szefowej, że sprawa ta traci impet.

Sondaże pokazują, że ci ze Szkotów, którzy chcieliby referendum, najchętniej głosowaliby jeszcze przed kolejnymi wyborami parlamentarnymi, czyli przed 2026 r. Sturgeon wskazała ostatnio rok 2023 i zapowiedziała, że wiosną 2022 r. zacznie się kampania na rzecz niepodległości. Bo termin i kwestie prawne (na referendum musi zgodzić się Londyn) to jedno. Równie ważne to zdobyć poparcie większości dla suwerennej Szkocji. O ile po wybuchu pandemii liczba zwolenników niepodległości rosła, o tyle teraz znów jest ich nieco mniej niż przeciwników. Przełamanie tego impasu może być trudne, zwłaszcza że według sondażu YouGov suwe-



Ogród w Cambo. Szkocja, 18 listopada 2021 r.

renność spadła na liście deklarowanych przez Szkotów priorytetów na ósme miejsce. Nawet dla wyborców SNP nie jest to numer jeden.

Kwestia zaufania

Kampania referendalna mogłaby stać się okazją do refleksji nad charakterem Szkocji – o ile byłaby to szczerza dyskusja, a nie polaryzująca walka dwóch obozów. Jest w końcu sporo pytań o sprawy istotne dla ewentualnego niepodległego kraju: o granicę z Anglią, walutę, przynależność do Unii, a także o politykę socjalną, zdrowotną i edukacyjną.

Diffley Partnership publikuje serię raportów „Zrozumieć Szkocję”. Analizuje w nich także oczekiwania wobec kierunku, w którym zmierza kraj. – Gdy pytaliśmy ludzi, co jest dla nich ważne, odpowiadali: walka z ubóstwem i zmniejszenie nierówności. To numer jeden na liście – mówi Mark Diffley. – Myślę, że gdybyśmy zapytali o to przed pandemią, te kwestie byłyby ważne, ale nie aż tak ważne. Pandemia je unaoczniała. To zawsze miało w Szkocji znaczenie, ale teraz potrzeba zmniejszenia ubóstwa i nierówności społecznych stała się jeszcze bardziej paląca.

Badania Diffleya pokazują bardzo niski poziom zaufania Szkotów do polityków. – I to nie jest związane z covidem – podkreśla badacz. – W naszym pytaniu nie rozróżnialiśmy jednak między politykami szkockimi a brytyjskimi.

Komu więc Szkoci ufają? Okazuje się, że głównie innym ludziom. Diffley:

– Ufamy sobie nawzajem bardziej niż naszym instytucjom. W czasie pandemii ludzie reagowali chęcią pomocy innym, czy to formalnie przez organizacje, czy indywidualnie, pukając do drzwi sąsiada. Ta społeczna reakcja na covid była tak widoczna, że teraz wysokie zaufanie do ludzi wcale mnie nie zaskoczyło.

Heroizm i optymizm

O solidarności w najtrudniejszym okresie pandemii opowiada mi też Laurie Piper z Visit Moray Speyside, organizacji wspierającej turystykę. Np. hotel The Cullen Bay w miasteczku Cullen przygotowywał tysiące darmowych posiłków dla mieszkańców; produkty dostarczali miejscowi dostawcy, także za darmo. Mimo kolejnych lockdownów właściciele hotelu nikogo nie zwolnili. – Społeczność zachowała się heroicznie – podkreśla Piper.

Historia ta zyskuje na znaczeniu, jeśli uwzględnić fakt, jak bardzo restrykcje wpłynęły na turystykę. W 2020 r. w regionie Moray liczba turystów spadła o 65 proc. w porównaniu z rokiem 2019, zyski hoteli o 60 proc., a zatrudnienie w nich zmniejszyło się o 36 proc. Mimo to Piper patrzy w przyszłość z optymizmem. W końcu, jak mówi, ta część Szkocji ma w ofercie „doskonałą mieszankę przestrzeni i naturalnego piękna”. I ofertę noclegową nie tylko w hotelach, ale też w popularnych w czasie pandemii niezależnych domkach letniskowych.

Doreen Mair też wierzy w siłę tutejszej turystyki. – Fraserburgh ma Muzeum

Szkockich Latarni Morskich i pierwszą latarnię w Szkocji. Ludzie z całego świata przyjeżdżają, by ją zobaczyć. Mamy – mieliśmy... turystów głównie z Niemiec i Japonii – mówi.

Dlaczego z Japonii? Okazuje się, że żona szkockiego kupca Thomasa Glover, urodzonego we Fraserburghu, miała być pierwowzorem bohaterki opery „Madame Butterfly”. I choć ich związek nie był tak tragiczny jak w operze, historia Glovera i jego życia w Japonii interesuje odwiedzających miasteczko.

– Wprawdzie w czasie pandemii turyści z zagranicy nie mogli przybyć, za to przyjechali ci brytyjcy. Mamy wspaniałe warunki do surfingu i piękną plażę o długości pięciu mil. Latem roilo się od kamperów i namiotów. Może nie jest to Costa del Sol, ale jest pięknie, a ludzie zaczęli doceniać to, co mają pod nosem – kwituje Mair.

Szkocki optymizm potwierdzają raporty Diffley Partnership. – To była przyjemna niespodzianka – mówi Diffley, bo ponad 50 proc. respondentów pozytywnie oceniło swoje życie. Za wyjątkiem seniorów wszystkie grupy wiekowe wyraziły też przekonanie, że za pięć lat będzie im się żyło lepiej.

Ludzie chcą wierzyć

Do optymistycznych konkluzji swego ostatniego raportu Diffley dorzuca łyżkę dziegciu. – W czasie, gdy prowadzono te badania, czyli w październiku, wydawało się, że wracamy do normalności po tym, jak latem zniesiono większość restrykcji. Teraz jest Omikron i jeśli rząd powiedziałby coś o kolejnym lockdownie, optymizm pewnie mógłby zniknąć – zastanawia się. – Ludzie jednak chcą wierzyć, że będzie lepiej. Szczególnie młodzi.

Rok 2022 – kolejny z covidem i kolejny po brexicie – przyniesie Szkotom wyzwania. I politykom, i mieszkańcom rybackich miasteczek. Glen Reynolds wierzy, że jego rodakom nie zabraknie optymizmu.

– Jeśli nie zmienimy różnych rzeczy teraz, to kiedy? Covid jak w soczewce pokazał nam, jakie inicjatywy są potrzebne. Jeśli nic z tym nie zrobimy, zawiedzimy jako społeczeństwo i jednostki – przekonuje. – To nie będzie łatwe, ale jako radny rozmawiam z ludźmi i wiem, że są gotowi na zmiany, które przyniosą pozytywne skutki.

© PATRYCJA BUKALSKA



FRANC ZHURDA / AP / EAST NEWS

Zebulon Simentow (z lewej) i Izaak Levy przez lata mijali się bez słowa na klatce schodowej ich domu. Kabul, 28 listopada 2001 r.

Ostatni Żyd z Kabulu

WOJCIECH JAGIELSKI

Zebulon Simentow przetrwał burze, które przetaczały się tu przez pół wieku: Sowietów i Amerykanów, komunizm i demokrację. W końcu jednak opuścił Afganistan.

W GRUDNIU 2001 R. BYŁO ICH – JAK twierdzili – już tylko dwóch. W śródmiejskiej dzielnicy Szahre Nau znali ich wszyscy: kupcy z okolicznych sklepów, sąsiedzi. Gromadka chłopców – nieproszona, z nadzieją na bakszysz – zaprowadziła nas na ulicę Kwiatową.

Ulica wzięła nazwę od kwiaciarni, które się przy niej rozłożyły. Krzyżuje się z ulicą Kurzą – najślawniejszą ulicą Ka-

bulu, znaną ze sklepów z dywanami oraz z pracowni kuśnierskich i jubilerskich. Niedgdy gwarne, pełne przekupniów i podróżnych, odkąd nastały wojenne czasy, tkwiły w przygnębiającym bezruchu jak całe miasto, szare i zimne, zarosłe brudem i starością.

Dawno temu w stolicy

– Temple! Świątynia! – wołali chłopcy, wskazując żelazną bramę domu pod numerem 172. – Jehudi! Żydzi! Masdzid-e-jehudi! Żydowski meczet!

W piętrowej kamienicy, w której mieszkali dwaj ostatni Żydzi w Afganistanie, mieściła się bowiem także ostatnia synagoga. Izaak Levy, który nią zawiadywał, utrzymywał, że jest rabinem. Starszy o prawie 20 lat od Zebulona Simentowa, drugiego ostatniego kabliskiego Żyda, zajmował ciemną i lodowatą izbę na dole, pod schodami wiodącymi na piętro, do babińca (sali modlitewnej dla kobiet, teraz splądrowanej i zasypanej kurzem).

Levy miał długą siwą brodę i ciemną pergaminową skórę. Nosił czarną czapkę z karakułów i na ulicy nikt nie odróżniłby go od afgańskiego Tadżyka. Cały jego dobytek stanowiło zbarłżone łóżko, parę

połamanych krzeseł, stół, szafa i trochę cynowych mis, wiader, garnków i czajników do parzenia herbaty. Narzekał na bóle serca i łamanie w kościach, często płakał.

Zebulon Simentow, mieszkający na piętrze, handlował dywanami. W jego mieszkaniu z ustawionego w rogu piecyka rozchodziło się przyjemne ciepło, a na rozrzuconych na podłodze dywanach bez przerwy przesiadywali odwiedzający go kupcy.

Rabin z dołu uskarżał się, że kupiec z góry wykradł mu klucz do bożnicy i nie wpuszcza go do środka, lecz sam się w niej modli. Kupiec przeklinał rabina, że zamykał na klucz drzwi na klatkę schodową, i żeby dostać się do mieszkania, on musi przełazić do niego z balkonu w sąsiedniej kamienicy.

– Zostałem tu tylko po to, żeby pilnować synagogi – wyznał mi rabin z dołu. – Inaczej ten łajdak z góry zaraz by wszystko sprzedał.

– Zostałem tu tylko po to, żeby pilnować synagogi – powiedział mi na piętrze handlarz dywanami. – Inaczej ten diaduga wszystko by zmarnował.

Sąsiedzka wojna, którą toczyli od nie wiadomo kiedy, trzymała ich przy życiu i sprawiała, że wszystkie plagi, jakie spa-

dały na Afganistan, im wydawały się drugorzędne.

Jeszcze dawniej w Chorasanie

Obaj pochodzili z Heratu: wyrosłego na Jedwabnym Szlaku miasta kupców, uczonych i poetów. Jednego z najważniejszych miast w Chorasanie – tym Kraju Wschodzącego Słońca, rozpiętym niegdyś na ziemiach dzisiejszego irańskiego wschodu, afgańskiego zachodu oraz południa Turkmenii, Uzbekistanu i Tadżykistanu.

Żydów zawsze mieszkano tu wielu. Pierwsi przybyli z Palestyny jakieś 2500 lat temu, gdy Persją władał Cyrus II Wielki, który wyzwolił ich naród z babilońskiej niewoli. Nie wszyscy jednak wrócili do ziemi obiecanej. Wśród Pasztunów, których ziemie Brytyjczycy rozdrapali później między dzisiejsze Afganistan i Pakistan, do dziś krąży legenda, że są potomkami jednego z Zaginionych Plemion Izraela, i że Afganistan wziął nazwę od imienia Afgany, jednego z wnuków izraelskiego króla Saula.

Żydzi służyli na dworach Ghurydów (XII-XIII w.), a Nadir Szah Afszar, XVIII-wieczny perski Napoleon, zachęcał Żydów, by osiedlali się w Chorasanie i jako doskonali kupcy pomnażali bogactwo jego imperium. Pod koniec XIX w. w Afganistanie żyło co najmniej 50 tys. Żydów (kraj liczył wtedy ok. 5 mln ludzi; dziś więcej żyje w samym tylko Kabulu). Żydzi handlowali tkaninami, dywanami, skórami, kożuchami, futrami oraz wydobytymi w afgańskich górach szmaragdami i lazurytami. Bogatymi kupcami – a także rabinami – byli przodkowie Zebulona.

Exodus Żydów z Chorasanu zaczął się sto lat temu. W latach 30. XX w. w Afganistanie wprowadzono przepisy, które miały powstrzymać napływ Żydów uciekających przed komunistycznym terrorem ze środkowoazjatyckich prowincji Związku Sowieckiego. W żydowskich uciekinierach z Buchar i Taszkientu afgańscy przywódcy widzieli bolszewicką piątą kolumnę. Ale liczyli też, że gdy uda im się zmusić afgańskich Żydów do emigracji, przejmą ich majątki.

Już wtedy większość Żydów wyjechała z Afganistanu do Palestyny, gdzie Brytyjczycy, ówczesni władcy połowy świata, obiecali stworzyć żydowskie państwo – i pod Hindukuszem zostało ich może kilka tysięcy. Gdy w 1979 r. armia sowiecka najeżdżała Afganistan, żyło tam

jeszcze najwyżej kilkuset Żydów. Gdy w latach 90., po wycofaniu Rosjan, wybuchła wojna domowa, Żydów zostało tylko kilkunastu. Gdy wreszcie w 1996 r. rządy objęli po raz pierwszy talibowie, było ich już tylko dwóch: Izaak Levy i Zebulon Siementow. Tak przynajmniej twierdził Zebulon.

Wyjazd i powrót

W 1989 r., kiedy Kreml wycofał swe wojska spod Hindukuszu, 30-letni Zebulon wyjechał do Turkmenii, wówczas prowincji Związku Sowieckiego. Jako człowiek interesu nie przepadał za komunistami, ale przeczuwał, że po wycofaniu Rosjan w kraju wybuchnie nowa wojna, tym razem między ich pogromcami, mudżahedinami. Że wezmą się za łby, nie umiejąc podzielić się zdobytą władzą.

Nie mylił się. Mudżahedini ograbili Kabul i zrównali go z ziemią. Splądrowali i zniszczyli dom Zebulona i jego rodzinny sklep z dywanami. Nie oszczędzili też kamienicy przy ulicy Kwiatowej, synagogi, a nawet skromnej izby, w której żył szames, sługa bożnicy Izaak Levy. On nie wyjechał z Kabulu. Dopiero gdy napastnicy włamali się do synagogi, odesłał do Izraela żonę i czterech synów. Sam został jednak w Afganistanie.

Do ziemi obiecanej wyjechała też żona Zebulona – Żydówka z Tadżykistanu, którą poznał i poślubił w Turkmenii. Nie chciała nawet słuchać, gdy namawiał ją do przeprowadzki do Afganistanu. Dzięki pomocy rabinów, wspierających przesiedlenia Żydów do Izraela, wyjechali wspólnie z córkami z turkmeńskiego Czar-dzou do Taszkientu, a stąd prosto do Tel Awiwu. Ale Zebulon długo tam nie zabrał. – Wytrzymałem dwa miesiące i wróciłem – powiedział, kiedy zapytałem go o to w Kabulu. – Tu jest moje miejsce.

Wracał z pieniędzmi, które rabini z Izraela zebrali dla niego na utrzymanie żydowskiego cmentarza w Kabulu. Miał gotówkę, ale nie miał się gdzie podziać. Niewiele myśląc, poszedł do bożnicy, w której zastał szamesa Izaaka. Ten przyjął go pod dach bożnicy, który uważał za swój własny, i pozwolił zająć na mieszkanie babiniec na piętrze.

Co wam dziadyga nagadał?

Poszło między nimi o synagogę – o to, kto będzie miał nad nią pieczę, kto będzie jej strażnikiem, szamesem. Bo choć w Afganistanie zostało tylko dwóch Żydów, ich

rodacy z Izraela i diaspory łożyli na utrzymanie synagogi i cmentarza. Kto się nimi opiekował, ten otrzymywał pieniądze.

Izaak pozwalał tytułować się rabinem, ale Zebulon kwestionował jego wykształcenie, życiową mądrość i pobożność. Podważał nawet jego żydowskość.

– Czy uwierzy pan, że ten lajdak wydzwania do Izraela, do mojej żony i dzieci, a także do rabinów, i opowiada, że przeszedłem na islam? Rozповіда, że zostałem mułłą! – skarżył się Izaak, do którego izby na parterze zapukałem najpierw. – Żona mi napisała w liście, że chyba na starość zupełnie zwariowałem, i że chce się ze mną rozwieść.

– Uważajcie na kieszenie u tego tam – podniósł wzrok, pokazując gestem izbę Zebulona. – Liczy, że jako młodszy mnie przeżyje, że nie wytrzymam tego wszystkiego i wyjadę. Ale niedoczekanie jego! Bóg postanowił, że tu się urodzę i tu będę żył. Nie wolno mi się jego woli sprzeciwiać.

– I co wam ten dziadyga nagadał? Łzę w kółko jak najęty! – oburzył się Zebulon, którego odwiedziłem jako drugiego. Mówiąc o rabinie, tupął nogą w podłogę. – Nie rozmawiam z tym głupcem, a tym bardziej z jego bękartami.

Wokół toczyła się wojna, a oni, jakby jej nie dostrzegając, znosząc biedę i chłód, toczyli własny sąsiedzki konflikt. Tak żarcie, że ich zapiekłość wprawiała w zakłopotanie nawet afgańskich Pasztunów, znanych z przywiązania do obowiązków krwawej rodowej zemsty, przechowywanej w sercu z pokolenia na pokolenie.

Tora przepadła w zawierusze

Rabin skarżył mi się, że gdy Kabul pogrążył się w wojennym bezprawiu, Zebulon nasłał na niego zbójów, którzy ukradli mu naczynia do nabożeństwa. Z kolei Zebulon oskarżał rabina, iż plądrującym miasto mudżahedinom powiedział, gdzie ukrył dywany. Izaak przekonywał, że gdy władzę objęli talibowie, Zebulon doniósł im, iż rabin odprawia potajemnie żydowskie nabożeństwa i nawraca muzułmanów na judaizm, że w synagodze pędzi bimber i wynajmuje ją na burdel. Zebulon trząsał się z oburzenia na wspomnienie, że rabin napuszczał na niego talibów, że podszeptował im, iż on, kupiec, jeździ do Heratu nie po dywany, lecz na przeszeptki, i donosi Irańczykom.

W końcu obaj wylądowali za kratami. Talibowie uznali, że jeśli dopuścili się

→ choćby niektórych z tych zbrodni, o które się wzajemnie oskarżają, obaj zasługują na uwięzienie. Odebrali im też rzecz najcenniejszą: średniowieczną Torę, do której obaj rościli sobie prawa. Ostatnią Torę w Afganistanie.

Rabin trafiał do więzienia pięciokrotnie, łącznie przesiedział prawie dwa miesiące. Zebulona osadzono raz, na osiem dni. Zamknięto go w tej samej celi, w której siedział już rabin. Nie była większa niż dwa na dwa metry, ale nie zamienili ze sobą ani słowa. Udawali, że się nie zauważają.

Izaak mówił, że przekonał talibów, iż nie jest złoczyńcą, że nie przerobił synagogi na dom schadzek, a kobiety, które go odwiedzały, przychodziły po zioła i amulety, które miały im zapewnić syna lub odwieść ich męża od poślubienia kolejnych żon (islam zezwala na cztery).

Chairullah Chairchwa, ówczesny minister policji (gdy w sierpniu 2021 r. talibowie wrócili do władzy, został ministrem kultury i informacji), najwyraźniej miał dość donosów i kłótni wojujących ze sobą Żydów. Kazał ich wygnać z więzienia. Jednak Tory im nie oddał. Przepadła w zawierusze.

Samotny i sławny

Izaak i Zebulon stali się sławni jesienią 2001 r., gdy do Kabulu zjechali z całego świata dziennikarze, aby pisać, jak Amerykanie dokonują zemsty na talibach za gościnę, jakiej udzielili Al-Kaidzie (z tu-tejszych kryjówek planowała ona atak na Nowy Jork i Waszyngton). Zemsta Ameryki okazała się jednak mniej spektakularna od ataku na nią – w ciągu paru tygodni talibowie zostali obaleni – i dziennikarze, szukając rozpaczliwie tematów, które zaciekawiłyby lub rozbawiły ich publiczność, przychodzili do Izaaka i Zebulona, aby słuchać opowieści o ich sąsiedzkiej wojnie.

Tamtej jesieni obaj robili to jeszcze za darmo. Ale po śmierci Izaaka – umarł w 2005 r. przeżywszy 80 lat – za rozmowę z dziennikarzem Zebulon żądał już 500 dolarów amerykańskich zapłaty. W gotówce.

Mówił, że nie płakał po śmierci rabina, i że nie czuje się bez niego samotny. Jako ostatni Żyd w Kabulu przejął synagogę. Odprawiał w niej dla siebie nabożeństwa, obchodził żydowskie święta, na które zapraszał dziennikarzy. Żydowskie modlitwy odmawiał po persku. Nie znał hebrajskiego. Sława ostatniego Żyda w Afgani-



Toba Moradi, krewna Zebulona Simentowa, opuściła Afganistan miesiąc po nim i osiadła w Albanii. Na zdjęciu: Toba już w miejscowości Golem koło Tirany, 27 października 2021 r.

stanie sprawiała, że rabinowie z Izraela i diaspory słali mu pieniądze, a rabin z Taszkientu, gdzie do dziś żyje kilkanaście tysięcy Żydów, zezwolił mu w drodze wyjątku na kosztowny ubiór zwierząt i drobiu.

W części synagogi Zebulon urządził bar z kebabami. Knapa cieszyła się powodzeniem, właściciele okolicznych zajazdów zamawiali u niego posiłki dla gości. Kuchnia pracowała od rana do nocy, interes kręcił się, że aż miło.

Wszystko diabli wzięli przez wojnę. Przegnani talibowie skrzyknęli się w partyzantkę, która odbiła afgańską prowincję, a w miastach zaczęły wybuchać bomby. Ludzie przestali stołować się na mieście, a cudzoziemcy zaczęli wyjeżdżać z kraju. Zebulon tracił klientów, knajpa w synagodze przynosiła mu straty. W końcu ją zamknął.

Exodus

Gdy w sierpniu 2021 r. talibowie zajęli opuszczony przez Amerykanów Kabul, Zebulon zapewniał, że nigdzie się nie wybiera. „Jestem tu ostatnim Żydem – tłumaczył. – Jeśli wyjadę, stanę się zakończeniem naszych tu dziejów. To zbyt wielka odpowiedzialność”.

Rabini z Taszkientu i Stambułu obiecali mu pomoc, jeśli zdecyduje się wyjechać. Rabin Moshe Margaretten z nowojorskiego Brooklynu zorganizował powietrzny most powietrzny, którym wywoził uciekinierów z Afganistanu. Zebulon oznajmił jednak swoim wybawcom,

że nie wyjedzie, jeśli nie otrzyma za to 50 tys. dolarów. Zamiast Zebulona do samolotu zabrali więc żeńską drużynę piłkarską, tłumaczy amerykańskiego wojska, których nie udało się zabrać wcześniej, kilku sędziów i urzędników z obalonego rządu.

W końcu na wyjazd zdecydował się także Zebulon. Przekonali go sąsiedzi, którzy liczyli, że uda im się z nim zabrać. Rabin Margaretten załatwił formalności i opłacił podróż. Razem z Zebulonem do Pakistanu wyjechało prawie trzydzieścioro jego sąsiadów, głównie kobiety i dzieci. Po paru tygodniach załatwiania formalności Zebulon poleciał do Stambułu, a stąd do Izraela.

Przed wyjazdem, podczas wideokonferencji, w obecności specjalnego rabina, udzielił żonie zgody na rozwód. Od lat żyli osobno, nawet nie rozmawiali, ale rozwodu, który umożliwiłby jej ponowne zamążpójście, nie chciał dać. W Izraelu za taki upór mogłoby nawet trafić za kraty, więc teraz, rad nierad, obiecał, a rabin poświadczył, że zgadza się na rozwód, byleby pozwolono mu osiąść w ziemi obiecanej i spędzić tam resztę życia.

Ostatnia (już naprawdę)

Zebulon Simentow cieszył się już nowym życiem w Izraelu, gdy okazało się, że wcale nie był ostatnim Żydem w Kabulu, lecz że była nią jego daleka krewna – 83-letnia Toba Moradi, która miesiąc po nim opuściła Afganistan i wraz z dziećmi oraz wnukami osiadła w Albanii, w miasteczku Golem.

Toba miała 16 lat, gdy uciekła z domu, żeby poślubić Afgańczyka-muzułmanina, w którym się zakochała. Wyszła za niego, lecz nie przyjęła jego wiary. Żyła według żydowskich praw i tradycji. Rodzice i rodzeństwo, którzy się jej wyparli, wyjechali do Izraela, a czworo jej własnych dzieci – do Kanady.

Zebulon nigdy nie wspominał słowem o Tobie Moradi. Może dlatego, że przyjaźniła się z Izaakiem, jego najgorszym wrogiem, i ukrywała go w swoim domu przed talibami.

Po wyjeździe z Kabulu Toba wyjawiała, że to ona, aby uchronić rabina Izaaka przed talibami, zaczęła rozpowiadać po sąsiadach, że przeszedł on na islam, i że myśli o tym, aby zostać mullah.

Jakkolwiek by było – wygląda na to, że historia afgańskich Żydów naprawdę się skończyła. ©© WOJCIECH JAGIELSKI



Joe Biden na konferencji prasowej przed Białym Domem, podczas której ogłosił nowe działania rządu federalnego mające ochronić USA przed wariantami Delta i Omikron. Waszyngton, 2 grudnia 2021 r.

Zły wujek Joe

MARTA ZDZIEBORSKA

W Stanach, walczących z pandemią i inflacją, mało kto wierzy już w obietnicę Bidena szybkiego powrotu do normalności. Jak Amerykanie postrzegają swojego prezydenta niemal rok po objęciu przez niego urzędu?

INDYKI PEANUT BUTTER I JELLY ZOSTAŁY wybrane z uwagi na swój temperament, wygląd i jak podejrzewam, także ze względu na status zaszczepienia – dowcipkował Joe Biden przed listopadowym Świętem Dziękczynienia.

Dla prezydenta, który zgodnie z coroczną tradycją ułaskawił wówczas parę indyków – o wdzięcznych imionach Maśło Orzechowe i Dżem – był to jeden z najłatwiejszych chyba momentów jego urzędowania. Po miesiącach walki z pandemicznym kryzysem nie jest już postrzegany jako „wybawiciel” po rządach Donalda Trumpa. Według sondaży działania

Bidena popiera zaledwie 42,6 proc. społeczeństwa, co na tym etapie prezydentury plasuje go w gronie najbardziej nienubianych przywódców USA.

Można zaryzykować tezę, że w oczach przeciętnego Amerykanina Biden jest teraz niewiele lepszy od Trumpa.

Sprzątanie po poprzedniku

A przecież prezydent z Partii Demokratycznej od początku robił wszystko, aby tak nie było. Już pierwszego dnia urzędowania zaczął odkreślać kontrowersyjne decyzje poprzednika: m.in. wstrzymał proces wychodzenia USA ze Światowej Organizacji Zdrowia, podpisał rozporządzenie o ponownym przystąpieniu do paryskiego porozumienia klimatycznego i zniósł zakaz podróży do Stanów dla obywateli niektórych państw muzułmańskich.

W przeciwieństwie do Trumpa nowy prezydent podszedł do problemu pandemii odpowiedzialnie: zachęcał Amerykanów do noszenia maseczek, przyspieszył tempo szczepień przeciw covidowi i wytoczył wojnę koronaszczepkom, wprowadzając obowiązek wakcytacji dla pracowników dużych firm i urzędników administracji federalnej.

Odpowiadając na kryzys wywołany przez pandemię, Biden wyłożył też na stół rekordowy pakiet pomocowy dla amerykańskiej gospodarki. Zastrzyk finansowy w wysokości 1,9 biliona dolarów zagwarantował m.in. jednorazowe czeki pomocowe dla 280 mln Amerykanów, przedłużenie federalnych zasiłków dla bezrobot-

nych i wysokie ulgi podatkowe dla rodzin z dziećmi (to coś na kształt polskiego programu 500 plus: mniej zamożni dostali wsparcie w wysokości 300 dolarów miesięcznie na każde dziecko).

W połowie listopada Biden odhaczył kolejny punkt na liście obietnic wyborczych: Senat przyjął ambitny pakiet infrastrukturalny wartości biliona dolarów, który ma sfinansować remonty dróg i mostów, przebudowę portów i lotnisk oraz rozwój szybkiego internetu, co w wielu częściach kraju jest nadal dużym wyzwaniem.

„Zalewanie kraju pieniędzmi”

Prezydenturze Bidena towarzyszy jednak pewien paradoks. Choć Demokratą forsuje kolejne reformy, respondenci twierdzą w sondażach, że w zasadzie „nic dla nich nie zrobił”, i że nie interesuje się głównymi problemami kraju. A tematem numer jeden w Stanach jest dziś ponad 6-procentowa inflacja, która sprawia, że zwykłego obywatela stać na coraz mniej.

Za ceny żywności i paliwa – rosnące w tempie najwyższym od ponad trzech dekad – niektórzy winią wprost administrację Bidena. Ekonomistom i doradcom prezydenta zarzuca się, że zbyt naiwnie wierzyli, iż sprawna dystrybucja szczepionek przeciwko koronawirusowi umożliwi szybszy powrót do normalności – takiej, w której Amerykanie wyjeżdżali na wakacje, chodzili do restauracji i bawili się na koncertach. Ale tak się nie stało: kolejna fala pandemii latem i jesienią tego roku zatrzymała ludzi w domach, ➔

→ skłaniając ich do dalszych zakupów online, co pogłębiło dokonujące się już od jakiegoś czasu zmiany w modelu handlu i łańcuchu dostaw, zwiększając koszty po stronie dostawców, i w efekcie jeszcze bardziej wywindowało ceny towarów.

Choć inflacja jest obecnie trendem ogólnosiwiatowym, nie brakuje głosów, że w przypadku Stanów zjawisko to zostało dodatkowo nakręcone przez fiskalne rozdawnictwo Bidena. Przed takim scenariuszem przestrzegali już w marcu ekonomiści i dawni doradcy prezydenta Baracka Obamy: Lawrence H. Summers i Jason Furman. Po ten argument szczególnie chętnie sięgają Republikanie, przekonując w ślad za ekspertami, że pakiet antykrzysowy Bidena rozgrzał do czerwoności popyt na towary, co z kolei odbiło się na wzroście cen.

„Nie widać szans na ratunek. To bezpośredni efekt zalania kraju pieniędzmi” – krytykował niedawno prezydenta Mitch McConnell, lider Partii Republikańskiej w Senacie. Republikanie chętnie wykorzystują problem inflacji w trwającej już kampanii przed przyszłorocznymi wyborami do Kongresu.

Gdy sprzeciw się opłaca

Rosnące ceny są też wygodnym argumentem uzasadniającym blokowanie pakietu reform społeczno-klimatycznych Bidena. Pakiet gwarantuje m.in. darmowe przedszkola, przedłużenie pomocy finansowej dla rodziców i miliardowe inwestycje w zieloną energię. Hamulcowymi w Senacie są teraz nie tylko Republikanie, lecz także centrowi Demokraci: Kyrsten Sinema z Arizony i Joe Manchin z Wirginii Zachodniej. Głosy tych dwojga są

kluczowe dla przyjęcia projektu, co daje im silną pozycję negocjacyjną przy jego okrajaniu.

Sprzeciw wobec reform Bidena okazał się dla obojga senatorów z Partii Demokratycznej wyjątkowo lukratywny. Z ustaleń „New York Timesa” wynika, że w ostatnich miesiącach Manchin zebrał na swoją kampanię rekordowe 3,3 mln dolarów, czyli 14 razy więcej niż w 2020 r. Wszystko za sprawą hojnych wpłat od sektora naftowo-gazowego i węglowego oraz konserwatywnych darczyńców, którzy chcieli zablokować przełomowe rozwiązania w pakiecie, jak płatne urlopy rodzicielskie czy inwestycje w zieloną energię.

Biznes okazuje się hojny także dla senatorki Sinemy. Według analizy antykorupcyjnej organizacji Accountable.US wycofała ona poparcie dla obniżenia cen leków na receptę po tym, jak dostała zastrzyk pieniędzy od przemysłu farmaceutycznego. Sinema, znana głównie z walki przeciw podwyższeniu podatków dla przedsiębiorców (od nich też dostaje wsparcie), jest krytykowana w rodzimej Arizonie, gdzie zarzuca się jej obojętność na potrzeby elektoratu czarnoskórego i latynoskiego.

Media rozpisują się też o paradoksy Manchina: blokujący zielone inwestycje senator pochodzi z Wirginii Zachodniej – stanu, który co prawda uzależniony jest od produkcji węgla, ale z drugiej strony zмага się z wywołanymi przez zmiany klimatu powodzią i coraz częstszymi przerwami w dostawach prądu.

Polityka w czasach pandemii

Legislacyjne tarcia w Kongresie pokazały, że duży i wątpliwy wpływ biznesu na działania polityków to wciąż jeden

z głównych przejawów kryzysu demokracji przedstawicielskiej w USA, tuż obok partyjnej polaryzacji.

Podział kraju na dwa „plemiona” – zwolenników Demokratów i Republikanów (działania Bidena popiera tylko 6 proc. sympatyków tej drugiej partii) – widać szczególnie mocno przy okazji walki z pandemią. Podczas gdy Biden stara się zapanować nad kryzysem, republikańscy politycy sprzeciwiają się nakazom noszenia maseczek i obowiązkowi szczepień dla niektórych grup społecznych.

We wrześniu 2021 r. Biden wprowadził taki obowiązek dla wszystkich pracowników instytucji federalnych, dla firm zatrudniających więcej niż stu pracowników, dla firm i instytucji wykonujących prace dla rządu federalnego oraz dla pracowników dotowanych przez państwo szkół i domów opieki (rozporządzenie to zostało zakwestionowane przez sąd w jednym ze stanów; postępowanie trwa). Niezależnie od tego mniej więcej połowa stanów zobowiązała do zaszczepienia się swoich urzędników i personel medyczny.

Protestując przeciw takim działaniom Bidena, na początku grudnia kilku senatorów groziło – w akcie sprzeciwu – blokowaniem ustawy budżetowej, czego skutkiem mógłby być tzw. *shutdown*, czyli częściowe wstrzymanie działalności instytucji finansowanych z budżetu federalnego. Ostatecznie jednak ustawa została przegłosowana w Senacie.

Wykorzystując nastroje elektoratu – 60 proc. niezaszczepionych to sympatycy Partii Republikańskiej – politycy przedstawiają bidenowski obowiązek szczepień jako „przejaw autorytaryzmu” i „atak na ciężko pracujących Amerykanów”. Z drugiej strony, gdy dochodzi do kolejnego wzrostu zakażeń, Republikanie są pierwsi w oskarżaniu Bidena, że nie radzi sobie z kryzysem. Taka strategia opłaciła się podczas listopadowych wyborów na gubernatora Wirginii. Startujący z ramienia Republikanów biznesmen Glenn Youngkin wygrał dzięki zdystansowaniu się od Trumpa i skupieniu się na polaryzujących kwestiach, jak sprzeciw wobec obowiązkowych szczepień i noszenia maseczek.

My też deportujemy

Przegrana Demokratów w Wirginii interpretowana jest jako potwierdzenie kiepskich notowań Bidena, który rozczarował wielu także chaotycznym wycofaniem

Ecclesia res multorum colorum

Z głębokim żalem i nadzieją zmartwychwstania powiadamiamy,
że w dniu 4 grudnia 2021 roku zmarł

Ś.†P.

Ksiądz Kanonik Feliks Lenort

kustosz najstarszego księgozbioru teologicznego w Poznaniu,
wieloletni dyrektor biblioteki Arcybiskupiego Seminarium
Duchownego i Wydziału Teologicznego UAM.

WSPÓLNOTA ARCYBISKUPIEGO SEMINARIUM DUCHOWNEGO W POZNANIU

POŻEGNANIE



KELSEY KREMER / USA TODAY NETWORK / EAST NEWS

Donald Trump nie ustaje w budowaniu swojego zaplecza politycznego. Na zdjęciu: były prezydent na zakończeniu wiecu w stanie Iowa. Des Moines, 9 października 2021 r.

wojsk z Afganistanu i reakcją na rekordowy napływ migrantów na południową granicę USA.

Jak się okazuje, w tej ostatniej kwestii Biden nie różni się wiele od Trumpa. Najpierw utrzymał pandemiczne restrykcje umożliwiające szybką deportację migrantów, a potem przywrócił trumpowską politykę „Pozostać w Meksyku”, którą sam zniósł po objęciu urzędu. Według przepisów obowiązujących od grudnia 2021 r. aplikujący o azyl w USA znów muszą czekać na rozpatrzenie wniosków po drugiej stronie granicy.

We wrześniu świat obiegły szokujące zdjęcia z Teksasu, na których konni strażnicy graniczni brutalnie traktują haitańskich migrantów. W reakcji na krytykę administracja Bidena wprowadziła co prawda zakaz patroli konnych na granicy, jednak niedługo później wsadziła szturmujących pogranicze Haitańczyków w samoloty powrotne do ojczyzny. W ciągu dziewięciu dni deportowano prawie 4 tys. osób.

Czarna Georgia kipi gniewem

Poparcie dla Bidena topnieje najszybciej wśród młodych wyborców, kobiet, Latynosów i Afroamerykanów. Ci ostatni zarzucają mu, że odpuścił federalną reformę policji i jest nieskuteczny w powstrzymaniu Republikanów przed majstrowaniem przy zasadach głosowania w ponad 40 stanach. Szczególnie głośnym echem w USA odbiły się zmiany w przepisach w Georgii – stanie, który był kluczowy dla zwycięstwa Bidena i dla uzyskania przez Demokratów większości w Senacie w wyborach uzupełniających w styczniu 2021 r.

Uzasadniając to walką z oszustwami wyborczymi, Republikanie z Georgii zastrzyli procedury dotyczące głosowania

korespondencyjnego i zmniejszyli liczbę skrzynek, do których wyborcy mogą wrzucić swoje pakiety wyborcze. Zmiany te postrzegane są jako atak na elektorat Partii Demokratycznej: mniejszości etnicznej i mniej zamożnych wyborców, którzy ze względu na mało elastyczne godziny pracy rzadziej docierają osobiście do lokali wyborczych i preferują głosowanie listowne.

Oburzeni tą reformą w Georgii i brakiem skutecznych przeciwdziałań ze strony Demokratów (niedawno upadł projekt ustawy, która miała zakazać zmian w prawie wyborczym dyskryminujących mniejszości etniczne) są lokalni aktywiści. To oni w 2020 r. w pocie czoła namawiali czarnoskórych do głosowania na Bidena i na demokratycznych kandydatów do Senatu: Raphaella Warnocka i Jona Ossoffa.

„Frustracja wśród Afroamerykanów sięga zenitu (...). Biden nie może teraz spokojnie pojawić się w Georgii i powiedzieć, że coś dla nas zrobił” – podkreślał w rozmowie z „Washington Post” Mondale Robinson, szef organizacji Black Male Voter Project. Z kolei cytowana przez ten dziennik Christine White, działaczka organizacji Georgia Alliance for Progress, zarzuca Bidenowi, że jego obietnice walki z systemowym rasizmem kłócą się ze sposobem, w jaki funkcjonariusze traktują migrantów na pograniczu USA–Meksyk.

Zamiana ról

Erozja poparcia dla Bidena to szansa dla Donalda Trumpa, który wysyła coraz więcej sygnałów, że rozważa walkę o reelekcję w 2024 r. W ramach umacniania swojej pozycji w Partii Republikańskiej były prezydent organizuje wiece, promuje polityków startujących w wyborach do

Kongresu w 2022 r. i gości w swej rezydencji Mar-a-Lago na Florydzie wpływowych darczyńców.

Serwis Politico twierdzi, że Trump jest szczególnie aktywny w stanach, gdzie nieznacznie przegrał z Bidenem: Arizonie, Georgii, Michigan, Pensylwanii i Wisconsin. Jeśli wierzyć sondażowi przeprowadzonemu na zlecenie trumpowskiego komitetu „Make America Great Again, Again!”, Trump miałby tam teraz przewagę nad Bidenem i to rzędu 6-12 punktów procentowych. Nawet jeśli takie symulacje mogą w tym momencie jedynie oddawać nastroje chwili, trudno nie przyznać, że Trump jest dziś w bardziej komfortowej sytuacji: role się odwróciły i to on może rozliczać urzędującego prezydenta z jego błędów.

Zmęczona Ameryka

Tymczasem „miesiąc miodowy” Bidena dawno skończył się również za granicą. Już w pierwszym okresie jego prezydentury zawiedli się ci, którzy wierzyli w szybką odbudowę przywództwa USA na świecie. Biden rozczarował działaniem w Afganistanie bez konsultacji z sojusznikami. Jednocześnie stało się jasne, że to, ile prezydent zdoła zdziałać na arenie międzynarodowej, zależy też od sytuacji wewnętrznej w USA. Wystarczy spojrzeć na jego deklaracje podczas szczytu klimatycznego w Glasgow. Biden zapewniał, że Stany chcą być liderem w walce z globalnym ociepleniem, choć politycy jego partii od miesięcy nie mogą porozumieć się w sprawie reform klimatycznych, kluczowych dla redukcji emisji gazów cieplarnianych.

Jeszcze przed swą jesienną podróżą do Europy Biden zagrzewał Demokratów do przegłosowania tego projektu, przekonując, że jest to niepowtarzalna szansa, by przywrócić wiarę w przywództwo USA na świecie. Słowami prezydenta mało kto się wtedy przejął.

Podobnie zresztą jak jego deklaracjami o ubieganiu się o reelekcję w 2024 r. Po pierwsze, ma już 79 lat i jest najstarszym prezydentem w historii USA. Po drugie, nie minął jeszcze rok od jego zaprzysiężenia, a wielu zmęczonych kryzysem Amerykanów ma już dość jego rządów. To zaskakujący obrót sprawy w przypadku polityka, którego prezydentura miała być nadzieją na powrót do normalności sprzed ery Trumpa.

© MARTA ZDZIEBORSKA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

WYSTAWA CZASOWA

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa
polin.pl

WILHELM SASNAL TAKI PEJZAŻ

KURATOR: ADAM SZYMCZYK

.....
17.06.2021–10.01.2022

Mecenas:

Jankilevitch Foundation

Współorganizator:

Stowarzyszenie Żydów Polaków w Polsce

Partner:

Fundacja Galerii Foksal

Partner publikacji:

SIGNUM

Partnerzy medialni:

Wprost

sens

Wprost

Wprost

VOGUE

Interia.pl

Interia.pl

ams

Interia.pl

Newsweek

Historia

VIVA!

SZU M

onet

TOMASZ

Stawiszyński: Nienaruszalne



NIEZALEŻNIE OD TEGO, JAK GŁĘBOKO TNIE ostrze ateistycznego skalpela, niezależnie od tego, jak druzgoczący dla religijnej mitologii okazuje się rozwój nauk empirycznych – czegoś te krytyki nie sięgają.

W religii – wydaje się – jest coś nienaruszalnego, niedotykalnego, co zapewnia niezliczonym jej wcieleniom i wariantom wiecznotrwałą żywotność.

Cóż to takiego? Usunięty dziś dyskretnie na akademickim margines z powodu mrocznych fascynacji faszystowskim ruchem Żelaznej Gwardii Mircea Eliade – abstrahując od biografii, przecież wybitny myśliciel – uznawał, że chodzi o moc anulowania historii i czasu. Przemijalność, dowodził, jest faktem tyleż uporczywym, co nieznosnym, doświadczenie *sacrum* natomiast w jednej chwili skutecznie nas katapultuje ze sfery przemijalności i czasowości. Dokąd? W święty czas, w którym nie istnieje przepływ od punktu A do punktu Z, tylko wieczny powrót, kolistość nieznająca kategorii następstwa zdarzeń. Różne formy umożliwiające dostęp do doświadczenia *sacrum* w sensie najgłębszym robią właśnie to: ratują nas z opresji przemijania.

Na poziomie praktycznym dzieje się to choćby poprzez wykorzystanie, by tak rzec, naturalnych zasobów cykliczności tkwiących w świecie przyrody. Matematycznie uregulowane obroty ciał niebieskich, dzień i noc, pory roku – oto środowisko, z którego wyobraźnia religijna chętnie korzysta, instalując w węzłowych punktach jakieś święta i obchody. Taką sprężynę z rytmiką przyrody powtarzalność stanowi kręgosłup dla naszej – bez tego amorficznej – egzystencji. Uświadamia, że jesteśmy częścią uniwersalnych procesów, z których nasza przemijalna jednostkowa postać się wywodzi i do których kiedyś powróci. Ratuje z tego upiornego liniowego czasu, w którym każda strata jest bezpowrotna – i przenosi do sfery bezpiecznej niezmienności.

Kto wie, może właśnie dlatego – choć chrześcijaństwo w zachodnim świecie przeżywa kryzys – bez względu na religijne afiliacje tak zapamiętane kultuwujemy chrześcijańskie

święta. Niechby nawet starannie odsączone z religijnej treści, niechby do cna utowarowione i skomercjalizowane, ale wciąż będące dla wielu istotnym okresem w roku, wciąż pripraviające o specyficzną miksturę wzniosłości, nostalgii i radości. Tego nie dostaniemy nigdzie indziej, tego nam nie zapewnią ani żadne naukowe odkrycia, ani żadna teoria filozoficzna. No, chyba że taka, która będzie umiała wywieść swoich zwolenników ze świata pojęć ku jakiemuś trudnemu do opisanego przeżyciu, jakie się w rewirach religijnej wyobraźni i symboliki nieuchronnie uruchamia.

Ale jest tam – myślę – jeszcze coś głębszego. Nazwałbym to... pocieszeniem, jakkolwiek archaicznie by zabrzmiało, zwłaszcza dla kogoś, kto z religią zerwał już dawno wszelkie stosunki. I nie chodzi tu wcale o słynne Marksowskie „opium ludu”. Piszę to pamiętając, że było w tym określeniu pewne uznanie, dostrzeżenie, że wobec bezwzględności i trudów życia w tym świecie religia przynosi ukojenie. Wedle twórcy tej tyleż uwodzącej, co destrukcyjnej (sądząc po owocach) koncepcji ukojenie miało jednak swoją cenę. Mianowicie – konserwację stosunków społecznych będących źródłem cierpienia, na które opium miało być lekarstwem. Gdyby te stosunki społeczne odpowiednio zmienić – wierzył Marks i przekonywał, że one się z konieczności same w końcu zmienią – cierpienia odejdą, a wraz z nimi niepotrzebne stanie się opium.

Cóż, bardziej niż Marks przekonuje mnie w tej materii Paul Tillich, niemiecki XX-wieczny protestancki teolog, który wiarę definiował jako aż i tylko „troskę ostateczną”. Są specjalne sprawy – twierdził – które obejmujemy właśnie taką troską. Wiążą się one z tym, co w ludzkim życiu graniczne – z cierpieniem, sensem, śmiercią, miłością, poświęceniem, ofiarą, zadośćuczynieniem, winą i karą, dobrem i złem, nieskończonością.

Są to przy tym sprawy – dodajmy – od wszelkich stosunków społecznych niezależne. Archetypowe, a zatem takie, które obchodzą człowieka niezależnie od czasów, w których żyje, kultury, płci, koloru skóry, klasy oraz stanu posiadania. Religia – niezależnie od wszelkich zasadnych krytyk, które na nią od czasów Oświecenia spadają – wciąż pozostaje nośnikiem tych spraw. I nawet jeśli ateistyczny skalpel oprawi ją z wszelkich pretensji do wiarygodnego wypowiedziania się o świecie – coś nienaruszalnego ocaleje. Bez żadnych dogmatów, za to w bliskości, w geście wspólnoty, w spotkaniu z innymi, z którymi dzieli się los istot skończonych, przemijalnych, potrzebujących miłości i doświadczających lęku przed nieznanym. ©

Sukces partnera „Tygodnika Powszechnego”

Firma SALESmanago oraz jej prezes Grzegorz Błazewicz to sprawdzeni przyjaciele „Tygodnika Powszechnego” i naszej Fundacji. Nie tylko dostarczają nam nowoczesnych narzędzi Marketing Automation, umożliwiających rozwój cyfrowy, ale wspierają także nasze „Lekcje czytania” oraz festiwale Conrad i Copernicus. Nie zapominamy też o golach, jakie założyciel SALESmanago zdobywał dla futbolowej drużyny „Tygodnika”!

Składamy SALESmanago i prezesowi Błazewiczowi gratulacje z powodu nawiązania wartej setki milionów złotych współpracy z londyńskimi funduszami Perwyn i SilverTree Equity, dzięki której polska spółka rusza do boju o pozycję globalnego lidera rozwiązań Customer Data Platform i Marketing Automation.

Grzegorz, gratulujemy i mamy nadzieję na kolejne lata dobrej współpracy.

Jacek Ślusarczyk, prezes „Tygodnika Powszechnego” sp. z o.o.
Aleksander Kardyś, prezes Fundacji Tygodnika Powszechnego



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. JACEK TARAN

NARODZINY REPREZENTATYWKI

18 grudnia 1921 roku: tego dnia dla piłkarzy z polskiej „jedenastki” wszystko jest pierwsze.

ZBIGNIEW ROKITA

TO BĘDZIE ICH PIERWSZY MECZ. A CHCIAŁoby się, aby był też pierwszy gol. Może nawet wygrana, choć w tę mało kto wierzy. Nikt nie wie, jaki poziom reprezentują jako zespół, bo jak donosi prasa: „w wielkiej wszechświatowej rywalizacji ludów jeszcze wogóle udziału nie brali” (pisownia ówczesna). Polska nie należy nawet do FIFA, powstałej w 1904 r. (wejście w jej skład w 1923 r.).

Jest 18 grudnia 1921 r. i Polacy właśnie „zawodują” z Węgrami – drużyną znakomitą, z przeszło 80 meczami na koncie. Niebawem zacznie się pojedynek, od którego będziemy liczyć dzieje polskiej reprezentacji w piłce nożnej. Pogoda w Budapeszcie nie sprzyja, jest zimno i deszczowo. Polacy odczuwają trudy podróży: trasa z Krakowa do Budapesztu zajęła im 36 godzin pociągiem, a stawiający pierwsze kroki PZPN wysłał kadrę wagonem niższej klasy.

Gdy wróg u granic

Tymczasem towarzyszący polskim piłkarzom korespondenci ślą depesze do swoich gazet. Wiemy z nich, że czescy celnicy podczas kontroli „czynili wstręty” trenerowi, ale ostatecznie go puścili (Czesi nas nie lubią, my – Czechów: chwilę wcześniej zakończyła się gorąca faza konfliktu o Śląsk zaolziański).

Z relacji prasowych wiemy też, że w Bohuminie piłkarze posilili się sznycłami z piwem, po czym udali się na miasto „napelniając puste ulice śmiechem” i urządzili zawody w biciu głowami o parkan. Następnie wsiedli na powrót do pociągu,



a „w drodze uprzyjemniano sobie chwile dyskusjami metafizycznymi nad »szczęściem« we footballu”. Na Węgry dojechali „niewypoczęci, ociążali, pochmurni jak niebo w tym dniu. (...) Kałuża w gorączce, Gintel z bólami żołądka, reszta znużona i zdenerwowana” (cytowane w tekście depesze pochodzą z „Przeglądu Sportowego”, „Tygodnika Sportowego” i „Sportu Polskiego”).

„Reprezentatywka” Polski, odrodzonej w 1918 r., dotąd nie występowała na arenach światowych. Zabrakło jej na olimpiadzie w 1920 r. w Antwerpii, gdzie w szranki stanęło 29 drużyn (na ostatnich tokijskich igrzyskach było ich już ponad 200). Nie stanęli, choć planowali – szyki pokrzyżowała wojna z bolszewikami. „Kurier Warszawski” pisał w lipcu 1920 r.: „Jak to? Wróg stoi u gra-

nic ojczyzny, wyciąga łapę bolszewicką po Mińsk, Wilno i Lwów, obwieszczając Europie, że za miesiąc wkroczy do Warszawy, a nasza młodzież będzie grała tenisa w Antwerpii, skakała przez płoty lub pokazywała tłumom polską atletykę?”.

Imperia, narody i piłka

Sportowcy nie wzięli więc udziału w tej olimpiadzie, tak różnej od wcześniejszych. Nie było tam już takich pojedynków jak na poprzedniej – choćby meczu piłkarskiego Cesarstwa Niemieckiego z Imperium Rosyjskim, w którym kaiser pokonał cara 16:0. W 1920 r. zmagania monarchii zmieniły się w zmagania coraz liczniejszych republik. W Antwerpii zabrakło zresztą nie tylko Polaków. Nie było też Węgrów, Niemców, Austria-

ków, Bułgarów, Turków – drużyn z krajów, które w I wojnie światowej stały po przegranej stronie i zostały ukarane krótkotrwałym wykluczeniem z igrzysk. Nie było też reprezentacji Rosji, gdzie trwała wojna domowa.

Przed I wojną światową polska reprezentacja nie istniała, podobnie jak polskie państwo – choć zdarzało się wówczas, że niektóre regiony ówczesnych imperiów miały swe drużyny. Np. w 1912 r. Mikołaj II pozwolił fińskim piłkarzom wystąpić pod własną flagą na igrzyskach (Wielkie Księstwo Finlandii miało autonomię, z Rosją łączyła je unia personalna). Być może car pożałował tej decyzji – Finowie pokonali reprezentację Rosji 2:1. Londyn z kolei zezwalał na start drużyn Australazji i Związku Południowej Afryki (później Australia i RPA).

W czasach Franciszka Józefa w szeregach FIFA przyjęta została czeska drużyna – Czechy należały do cesarstwa austriackiego jako jego kraj koronny – ale wobec protestu Wiednia prędko ją z organizacji usunięto (obawiano się zapewne, że reprezentacja może umocnić tendencje niepodległościowe). Czesi łatwo się nie poddali: założyli UIAFA, alternatywną wobec FIFA federację, która miała zrzeszać tak państwa, jak i narody. Przystąpiła do niej np. Wisła Kraków, założona w 1906 r. (Cracovia, powstała w tym samym roku, pozostała wierna Austrii). FIFA zakazała rozgrywania meczów z „separatystami”. Trwała więc wojenka UIAFA i FIFA. Powstał nawet Związek Footballistów Polskich, który chciał reprezentować polski futbol, ale na niewiele się zdało. Monopolu FIFA nie udało się skruszyć. Na swój pierwszy międzynarodowy mecz Polska musiała czekać do 1921 r.

→



ARCHIWUM WYDAWNICTWA GIA

Kolorowane zdjęcie ekipy polskiej reprezentacji przed meczem z Węgrami (18 grudnia 1921 r.). Od lewej stoją: Imre Pozsonyi (trener), Wacław Kuchar, red. Edmund Szyk, Marian Einbacher, prof. Jan Weysenhoff, Leon Sperling, Stefan Loth, Artur Marczewski, Jan Loth, Stanisław Mielech, Edward Cetnarowski, prof. Wacław Babulski, Józef Kałuża, red. Henryk Lesser, Ludwik Gintel. Klęczą od lewej: Zdzisław Styczeń, Stanisław Cikowski i Tadeusz Synowiec. Fotografię wykonano w Krakowie, w grudniu 1921 r., a jej czarno-biały oryginał został opublikowany w „Przeglądzie Sportowym” nr 32 z 24 grudnia 1921 r.

Galicja rządzi!

→ Organizacja pierwszego meczu międzynarodowego nie była prosta. Z większością sąsiadów nie sposób było zagrać ze względu na trwające konflikty. Rywal nie mógł też leżeć zbyt daleko, aby koszty dojazdu nie były zbyt wysokie.

Najpierw Polska miała debiutować meczem z Belgią (mistrzem z Antwerpii), ale szybki pokrzyżowała wojna 1920 r. Później na mecz umówiono się ze znakomitymi Austriakami. Kontakty sportowe w ramach niedawnych Austro-Węgier były silne. To właśnie w mocnym piłkarsko imperium Habsburgów jedną z liczących się drużyn była Cracovia, później pierwszy mistrz Polski, i to ona była po wojnie wizytówką polskiego futbolu. W c.k. imperium Cracovia miała status „klubu pierwszej klasy” – w Austro-Węgrzech cieszyło się nim 16 drużyn, w tym tylko trzy spoza Wiednia.

Krakowski futbol rozwija się w tym czasie dynamicznie. W 1888 r. w mieście pojawia się pierwsza – przynajmniej oficjalnie – piłka: przywozi ją doktor Henryk Jordan, propagator kultury fizycznej. W 1906 r. gazeta „Nowa Reforma” zamieści ogłoszenie: „Akademicki klub footballistów (gra w piłkę nożną) zawiązuje się w Krakowie. (...) Uprasza się wszystkich, którzy chcą do tego klubu należeć, o przybycie do parku dra Jordana we środę o godz. 6 wieczorem przed pawilonem”. Tak powstawała Cracovia.

Spośród trzech zaborów to w Galicji polscy „footballiści” odnosili największe sukcesy (o drużynach z zaborów pruskiego, rosyjskiego czy z Górnego Śląska w tym czasie w Europie wiele się nie mówi). Według „Przeglądu Sportowego”, powstałego w 1921 r. jako organ PZPN, Węgrzy zgodzili się w ogóle zagrać z Polską właśnie po tym, jak Cracovia świetnie zaprezentowała się na meczach z węgierskimi drużynami.

Po 1918 r. kluby z Galicji zdominują też polską piłkę. Gdy w 1921 r. zaczęły się rozgrywki klubowe, pierwszym mistrzem będzie Cracovia – otrzyma ufundowany przez Ministerstwo Zdrowia Publicznego „puchar wędrowny”. Do 1932 r. tylko jeden jedyny raz mistrz Polski nie będzie pochodzić z Krakowa lub Lwowa.

Tę dominację widać również sto lat temu podczas meczu z Węgrami. Na boisko tego dnia wybiega siedmiu zawodników z Cracovii, dwóch z Polonii Warszawy oraz po jednym z Pogoni Lwów

i Warty Poznań. Ówczesne przepisy nie przewidywały zmian w trakcie meczu, więc ławka rezerwowych nie istniała. Grano na ogół z piątką napastników, trójką pomocników i dwójką obrońców – odwrotnie niż dziś.

Kuchar cuci bramkarza

Gdy piłkarze wybiegają na murawę budapeszteńskiego stadionu, ich celem jest nie tyle wygrać (choć pewnie nie mieliby nic przeciwko temu), co przede wszystkim się nie zbłąźnić. Polscy korespondenci będą później pisać: „Gra rozpoczyna się w szalonym tempie. Węgrzy przechodzą od razu do szeregu ataków”; „Robinsonady Lotha” (naszego bramkarza); „Węgrzy napadają z furją”; „Deszcz uczynił boisko elastycznym”. Polacy nie potrafili strzelić, a „część winy tego spoczywa na pomocy, która nie karmiła ataku dobrymi piłkami”.

W końcu zabraknie robinzonady Jana Lotha (z Polonii Warszawa; jedyne go w historii polskiej drużyny zawodnika, który czasem grał jako bramkarz, a czasem jako napastnik). Węgrzy prowadzą. Chwilę później podanie od Józefa Kałuży (z Cracovii; w latach 30. będzie trenować reprezentację) otrzymuje Wacław Kuchar (z Pogoni Lwów; potem selekcjoner). Kuchar strzela, piłka trafia w głowę węgierskiego bramkarza. Ten pada. Sędzia nie przerywa gry. Kuchar ma przed sobą pustą bramkę. Ale zamiast strzelić pierwszego w dziejach polskiej drużyny gola, cuci Węgra, który stracił przytomność.

Z ławki trenerskiej przygląda się temu Imre Pozsonyi. Na co dzień trenuje Cracovię, a dziś kieruje też polską drużyną. W przeszłości zawodnik reprezentacji Węgier, wystąpił w pierwszym w historii jej meczu – w 1902 r., gdy Węgrzy przegrali z Austriakami (przypomina się tu mem z Euro 2016, gdy Austria spotkała się z Węgrami: na memie Franciszek Józef, dowiadując się, że szykuje się mecz Austria–Węgry, pyta: „A przeciw komu zagrają?”). Gdy Pozsonyi opuścił za jakiś czas Cracovię, zostanie trenerem FC Barcelony.

Ale dziś Pozsonyi wspiera Polaków. Czytelnicy nazajutrz dowiedzą się, że „w pierwszej połowie gry przewaga Węgrów była widoczna, po pauzie gra prawie równomierna”. Niestety na koniec Polska przegrywa jeden do zera.

Rozwój wprost żywiołowy

Ale i tak w powszechnym odbiorze sukcesem jest sam już mecz. Prasa uzna go

„zaszczytną dla nas przegraną”. Gazety piszą: „Wynik ten jest naprawdę nadzwyczaj chlubny. Ponieśliśmy porażkę najmniejszą jaką zna ten sport”. Gdzie indziej: „Przez wynik ten doprowadziliśmy do tego, że od razu stajemy się państwem, z którym zagranica w sporcie piłki nożnej się liczyć musi”.

Dziennikarze przesadzają, pisząc, że Węgry są najlepszą drużyną Europy, choć prawdą jest, że należą do czołówki. Międzywojnie to czas największych w historii sukcesów piłkarskich krajów powstałych po rozpadzie Austro-Węgier (choć dziś z futbolu węgierskiego pamiętamy głównie złotą „jedenastkę” Ferencza Puszkasa i finał z 1954 r., gdy Węgrzy o włos zostaliby mistrzami świata).

Podsumowując rok 1921, „Przegląd Sportowy” napisze: „Bilans sportowy Polski za rok ubiegły przedstawia się nader korzystnie. Postęp z zadowoleniem notujemy w każdej dziedzinie. Żywiołowy wprost rozwój notuje piłka nożna”. A Polska i Węgry spotkają się niebawem na pierwszych dla naszych piłkarzy igrzyskach (Paryż 1924), choć tam przegrają 0:5. Na międzynarodowe sukcesy piłkarskie będziemy musieli jeszcze poczekać.

Później

Meczem z Węgrami polska „reprezentatywka” otworzyła swoje zmagania w międzywojniu i podobnym meczem je zakończy: 27 sierpnia 1939 r. w Warszawie pokona 4:2 Węgrów, ówczesnych wicemistrzów świata. Kolejnych planowanych wtedy spotkań (3 września z Bułgarią i 6 września z Jugosławią) już nie będzie.

Wśród polskich sportowców, którzy stracą życie w kolejnych latach, będzie kilku spośród tych, którzy w 1921 r. grali w Budapeszcie. Napastnik Martin Einbacher zginie w Auschwitz. Innego napastnika, Leona Sperlinga, gestapowiec zastrzelił w getcie. Obrońca Ludwik Gintel zdążył uciec do Palestyny, popełni tam samobójstwo. Jego kolega z defensywy, Artur Marczewski, zostanie w 1945 r. schwytany przez Sowieców i ślad po nim zaginie.

Niektórzy z ich boiskowych kolegów będą po wojnie trenerami lub gwiazdami. Ale to już będzie inna piłka i inna „reprezentatywka”. © ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest stałym współpracownikiem „TP”. Autor książek reporterskich, m.in. „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku”.



ARCHIWUM PRYWATNE OLIVIERA MAZEROLLE

Olivier Mazerolle z Lechem Wałęsą. Obok Jocelyne Mazerolle, żona Oliviera (pierwsza z lewej) oraz Joanna Person, była lekarka Wałęsy (pierwsza z prawej). Mazury, lipiec 1988 r.

Rozważni i romantyczni

OLIVIER MAZEROLLE,

W LATACH 80. KORESPONDENT FRANCUSKICH MEDIÓW W PRL:

Swoją walką Polacy budzili kiedyś podziw Europy. Dziś ze smutkiem patrzę na ewolucję Polski.

SZYMON ŁUCYK: Na początku grudnia 1981 r. miał Pan obsługiwać wizytę premiera Francji w PRL. Choć ją odwołano, został Pan w Warszawie. Dlaczego?

OLIVIER MAZEROLLE: Pamiętam rozmowę telefoniczną z moim szefem. On mówi: „Wróć do Paryża”. „Nie” – odpowiadam. I tłumaczę, że rozmawiając z ludźmi z PZPR, czuję klimat napięcia. Na dodatek w Gdańsku będzie zebranie Komisji Krajowej Solidarności, na którym mogą paść ważne słowa. „Wolę zostać”. Jako dziennikarz serwisu zagranicznego radia RTL jeździłem wtedy dużo po świecie. Ale moją obsesją było, by jak najczęściej być w Polsce. Polacy czasu Solidarności swoją odwagą i wytrwałością wywoływali wówczas podziw w całej Europie, zwłaszcza we Francji.

Czuł Pan, że idzie burza?

Pamiętam zebranie Solidarności na Politechnice Warszawskiej 6 grudnia. W kuluarach widzę Bronisława Gremka, z którym zaprzyjaźniłem się w czasie kilku pobytów w Polsce od września 1980 r. Wtedy po raz pierwszy widzę u niego ton sarkastyczny, opryskliwy. „Jest bardzo źle. Ale Rosjanie nie wejdą, chyba że ich do tego zmusimy” – mówi. Wskazuje ręką na salę obrad, skąd dochodzą gniewne okrzyki, np.: „Niech wszyscy komuniści wrócą do ZSRR!”. Kilka dni wcześniej milicja spacyfikowała strajk w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej. Odebrano to jako zapowiedź kolejnych represji. Rosło napięcie.

Wieczorem 12 grudnia był Pan w biurze agencji AFP

przy ul. Pięknej, czekając na wieści z Gdańska.

Kwadrans przed północą odcięto telefony i telexy, poza jedną linią telexową, która łączyła nas z biurem AFP w Wiedniu. Poszliśmy z Marią, polską koleżanką z AFP, na miasto, aby zobaczyć, co się dzieje. Siedzibę Solidarności przy ul. Mokotowskiej blokowało ZOMO. Mam wciąż przed oczami sylwetkę uzbrojonego mundurowego w budynku związku. Około pierwszej zaszliśmy do przyjaciela Krzysztofa Śliwińskiego, działacza Klubu Inteligencji Katolickiej. Drzwi mieszkania były wyważone. Przerażona matka Krzysztofa powiedziała, że go aresztowano. Zaraz potem inny działacz Solidarności poinformował nas o zatrzymaniu wielu innych opozycjonistów. Były też sceny surrealistyczne. W hotelu Victoria, gdzie nocowałem, zaraz po północy siedzieli biznesmeni i turyści z drinkami, wraz z damami do towarzystwa, jakby nigdy nic, podczas gdy za oknem stały czołgi.

Czułem, że ta walka będzie trwać. Na jutro po wprowadzeniu stanu wojennego spotkałem się w Warszawie z Bernardem Guettą, korespondentem „Le Monde”, który wrócił z Gdańska. Spojrzeliśmy na siebie i zgodziliśmy się, że na tym się nie skończy. Że nie można zakneblować całego narodu.

17 grudnia wrócił Pan do Paryża pierwszym dostępnym samolotem.

Po 13 grudnia chciałem wrócić jak najszybciej, by opowiedzieć Francuzom, co się stało w Polsce. Jadąc na Okęcie, spotkałem działaczkę Solidarności z 10-letnią córką. Z powodu stanu wojennego postanowiła wysłać ją za granicę do ojca. Kobieta powierzyła mi numer telefonu byłego męża, abym się z nim skontaktował w Paryżu. Wiem, że dziś ta „dziewczynka” pracuje w Brukseli dla Unii Europejskiej.

Z Wojciechem Jaruzelskim spotkał się Pan kilka lat później w innym historycznym momencie: w czerwcu 1989 r., po pierwszej turze częściowo wolnych wyborów.

To było szalenie zaskakujące spotkanie, 13 czerwca w gabinecie Jaruzelskiego. Byliśmy we dwóch, razem z dziennikarzem z „Le Figaro”. Jaruzelski, zwykle sztywny i ukryty za czarnymi okularami, był bardzo rozluźniony. A przecież spotkaliśmy się zaraz po głosowaniu, →

→ które komuniści przegrali z kreteśm z Solidarnością. Na taśmie zarejestrowałem ogłuszający śmiech Jaruzelskiego. Tłumaczył mi, że teraz razem z Gorbaczowem chce przywrócić prawdziwy komunizm, zdeformowany przez Stalina i jego następców. Próbował mnie przekonać tak oto: „Wiecie, o czym mówię, bo wasza rewolucja też została wykończona przez Robespierre’a”.

Dziś myślę, że Jaruzelski był rozluźniony, bo nie bał się już interwencji militarnej ze strony Gorbaczowa. Nie mógł wtedy przewidzieć, że w wyniku drugiej tury i biegu zdarzeń PZPR straci władzę. Poza tym wiedział, że po odmrożeniu relacji z Zachodem Polonia będzie mogła znów wspierać finansowo rodaków w kraju. To było ważne dla gospodarki.

Wracając do stanu wojennego: głośne są słowa szefa francuskiego MSZ Claude’a Cheyssona z 13 grudnia 1981 r. dla radia Europe 1: „Oczywiście nic nie zrobimy”. W sensie: w sprawie Polski...

To zdanie Cheyssona było wielce niefortunne, wręcz głupie. Trzeba jednak zrozumieć, że operacja militarna NATO nie wchodziła w grę. Nie ma wątpliwości, że na wieść o stanie wojennym administracja prezydenta Mitterranda odechnęła z ulgą, bo obawiano się interwencji sowieckiej. Powodem takiej reakcji była po prostu geopolityka, a nie fakt, że w ówczesnym francuskim rządzie było czterech członków Francuskiej Partii Komunistycznej – socjalista Mitterrand umiał ich zneutralizować.

Można powiedzieć, że w tym czasie były dwie Francje: Francja ludowa, masowo sprzyjająca Solidarności, oraz Francja instytucjonalna, prezydenta Mitterranda, bardzo ostrożna w tej sprawie. Główną zasadą tej drugiej było: nie drażnić Sowietów. Ale już całe media we Francji – oprócz komunistycznego dziennika „L’Humanité” – popierały wtedy Solidarność, podobnie jak związki zawodowe, stowarzyszenia i intelektualści.

Jak Pan tłumaczy, że właśnie we Francji było tak wiele solidarności zwykłych ludzi, od lewicy po prawicę, z polską Solidarnością?

Dostrzegam pokrewieństwo między polskim i francuskim temperamentem. Duchem wolności odrzucającym przymus przychodzący z zewnątrz. We Fran-



EDITIONS DE L'ARCHIPELAG

OLIVIER MAZEROLLE (ur. 1942) jest znanym dziennikarzem politycznym. W latach 1980-81 wystannik radia RTL w Polsce, potem szef redakcji zagranicznej RTL, dyrektor RTL i dyrektor telewizji publicznej France 2. Obecnie komentator telewizji LCI. W 2020 r. wydał we Francji wspomnienia pt. „Ciekawość to niewybaczalna wada” (wyd. L’Archipel), w których opowiada o swej pracy w Polsce.

cji zresztą duch rebelii idzie jeszcze dalej: odmawia często posłuszeństwa jakiemukolwiek porządkowi, nawet wewnętrznemu. Poza tym co najmniej od czasów napoleońskich Polacy są naszymi sojusznikami. Przecież – to rzecz wyjątkowa na tle świata – Napoleon występuje w polskim hymnie narodowym! I jeszcze jedno: wyobraźnia Francuzów jest zdominowana przez rewolucję, począwszy od roku 1789 aż po maj 1968 r. Stąd też fascynacja rewolucją polską. Tym bardziej godną podziwu, że nie krwawą, jak większość rewolucji, lecz pokojową.

Wróćmy do karnawału Solidarności. Pierwszy raz pojechał Pan do Polski jako wystannik RTL na początku września 1980 r., po podpisaniu porozumień sierpniowych.

Gościłem wtedy w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej. Uderzyło mnie, że gromadzili się tam razem ludzie wierzący, agnostycy, ateści i byli komuniści – wszyscy ci, którzy chcieli zakosztować wolności. Nieco później odkryłem, że znakomite trio – Jan Paweł II, Wałęsa i polscy intelektualiści – pozwoliło zachować Solidarności linię umiaru. Uważałem wtedy i wciąż uważam, że polski papież odegrał wówczas wielką rolę w sferze politycznej i moralnej. Był bardzo konserwatywny w sferze dogmatycznej, ale pod wieloma względami otworzył chrześcijaństwo na nowoczesność.

Wtedy światowe stacje biły się o wywiad z Wałęsą. Radio zleciło mi jak naj-

szybszą z nim rozmowę, żeby wyprzedzić konkurencję. W Gdańsku znałem tylko miejsce planowanego spotkania: Hotel Morski. Zagaduję tam członkinię związku, która – co za szczęśliwy przypadek! – mówi po francusku. Czekam godzinę, dwie, trzy, a Wałęsy nie ma. Patrzę nerwowo na zegarek, bo o osiemnastej wywiad ma iść w radiu. Wreszcie o pół do trzeciej po południu zjawia się drobny człowiek z rozwianym włosiem, w sfatygowanej i poplamionej marynarce z Matką Boską w klapie. To, co mnie uderza, to szybkość i spontaniczność, z jaką odpowiada na pytania, nie czekając nawet na koniec tłumaczenia.

Mam wywiad, ale jak teraz wysłać przed wieczorem nagranie drogą telefoniczną do Paryża? Znowu podchodzi ta sama pani i uspokaja: „Nie martw się!”. W dziesięć minut dostałem połączenie z gdańskiego hotelu z Paryżem, choć wtedy na rozmowę międzynarodową czekało się długo! Zrozumiałem, że Solidarność ma już spore wpływy. Wywiad wyemitowano przed konkurencją, misja spełniona! (śmiech)

Jakie wrażenie zrobił Wałęsa?

Już w trakcie tej pierwszej rozmowy pojąłem, że mam do czynienia z kimś, kto ma fenomenalny instynkt. Myślę, że nigdy nie spotkałem nikogo obdarzonego takim talentem politycznym jak Wałęsa, choć rozmawiałem z wieloma politykami. Jego siła tkwiła wtedy w tym, że potrafił wizję intelektualne przedstawiać prostym językiem. Mówił na wiecach do robotników: „Zobacz, kto jest naszym przeciwnikiem. Chcesz walczyć na pięści z czołgami? Chcesz oplakiwać swojego syna? W ten sposób nie wygramy!”. To trafiało do ludzi. Potrafił w tym, co mówił, godzić sprzeczności i nie robił wrażenia, że uprawia polityczne kalkule.

Mówię tu o liderze Solidarności, nie o prezydencie. Wiem, że w Polsce jego prezydenturę ocenia się bardzo krytycznie. Myślę, że potem zabrakło mu mądrych doradców, których miał w latach 80.

We wspomnieniach, wydanych niedawno we Francji, pisze Pan o prywatnych relacjach z rodziną Wałęsów. Jaki był ich początek?

Jeden z francuskich znajomych Wałęsy zapytał mnie w 1988 r., czy mógłbym przyjąć u siebie w domu na letnie waka-

cje jego 14-letniego syna Przemysława. Trzeba było to zrobić dyskretnie, unikać paparazzich. Zapytałem żonę, zgodziliśmy się. Dla mnie to był sposób wyrażenia mojej więzi uczuciowej z ówczesną Polską. Więzy prywatnej, nie politycznej. Nie powiedziałem o tym nikomu, poza rodziną i dwójką czy trójką przyjaciół.

Przemek miał duży urok osobisty, był sprytny i zaradny. Jego żywy charakter sprawiał nam też kłopoty. Kiedyś ledwie zaczął się uczyć surfować na desce, a już zniknął tak daleko od brzegu, aż chcieliśmy dzwonić po pomoc. Ale wrócił na brzeg sam – i to bardzo zadowolony!

Przemysław był u Pana na wakacjach trzykrotnie. Za ostatnim razem, latem 1989 r., „podał” nawet Panu politycznego newsa.

Kiedyś wróciłem do domu na obiad i zastałem go w salonie przed telewizorem, jak śmiał się do rozpuku razem z moją żoną. Pytam, co się stało. „Tata to kłamczuch” – odpowiada. „Mówi, że chce być premierem. A mnie mówi, że premier jest g... wart. Trzeba być prezydentem”. Miał

rację. Jego ojciec wiedział, że komuniści nie zaakceptują wtedy szefa Solidarności jako premiera, i liczył, że zgodzą się na kogoś innego z obozu opozycji. Faktycznie, szefem rządu został Tadeusz Mazowiecki.

Od tamtego czasu nie widziałem Przemka, którego życie potoczyło się nieszczęśliwie. Zabrała go przedwczesna śmierć kilka lat temu.

Mówimy o wydarzeniach sprzed 30-40 lat, ale Pana głos wibruje od emocji, często się Pan uśmiecha.

Byłem wtedy pod wrażeniem Polaków. Bardzo rzadko w historii ludzkości naród walczył przez prawie dziesięć lat niemal bez przemocy, wytrwale i zaciekle. W tej dekadzie Polacy wyróżniali się rozważą, wbrew stereotypowej opinii na ich temat we Francji. Pamiętam tysiące Polaków, którzy 10 listopada 1980 r. zgromadzili się na zimnie przed szarym budynkiem Sądu Najwyższego, i ich radosne twarze, gdy ich sąd zalegalizował Solidarność.

Tym bardziej czuję smutek, kiedy widzę ewolucję dzisiejszej Polski. Wolność

słowa, niezależne sądy i wolna prasa to zasady, które definiują nasz kontynent. Nie wyobrażam sobie nawet, aby Polacy mogli dziś zaakceptować zasady typowe dla carskiej lub sowieckiej Rosji.

Pod rządami PiS Polska odwraca się od Europy?

Odpowiem tak: polscy przyjaciele, macie rację, gdy nie do końca ufacie innym Europejczykom, którym w historii zdarzało się oddawać was na pastwę sąsiadnych krajów, a potem Związku Radzieckiego. Ale dziś, podobnie jak wy, Unia Europejska, także Francja, chce silnej Europy, niezbędnej również do zachowania naszej tożsamości. Nie zapominajcie też, proszę, że Kościół, który otworzył wam drogę do wolności, był Kościołem Jana Pawła II, domagającym się życia w prawdzie. To nie był Kościół uwięziony w czasie przeszłym. On patrzył w przyszłość. I wreszcie pamiętajcie, że byliście motorem, który porwał 40 lat temu całą Europę. Europę, która was wciąż potrzebuje.

© Rozmawiał w Paryżu SZYMON ŁUCYK

REKLAMA

 **Kraków**

4-5.12.2021
otwarcie

MuFo Rakowicka

mufo.krakow.pl

ul. Rakowicka 22A

MUZEUM FOTOGRAFII W KRAKOWIE - INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA



PRAWDZIWA ŻYDOWSKA ARYSTOKRACJA

Przywódca powstania w getcie i twórca najważniejszych polskich słowników. Zupełnie inne temperamenty, gusta i upodobania. Nie wiedzieli, że mają ze sobą tyle wspólnego.

JOANNA SZCZESNA

JEST JESIEŃ 2007 R. I OD BLISKO CZTERECH LAT MAREK EDELMAN aplikując mi kolejne dawki sterydów walczy z autoagresywnym chorobskim, które omal nie odebrało mi wzroku. Udało mu się powstrzymać postęp choroby, ale w prawym oku wciąż było minus 8 dioptrii i prawie już się z tym pogodziłam. On jednak się nie pogodził. A ponieważ jako efekt uboczny zażywania sterydów pojawiły się u mnie początki zaćmy, wierci mi dziurę w brzuchu, że mam iść na zabieg, bo jego zdaniem wtedy natychmiast poprawi mi się wzrok. Okuliści co prawda są sceptyczni co do możliwości przywrócenia mi widzenia sprzed choroby, zresztą przeważnie uważają, że to zbyt wczesny etap zaćmy, by ją operować. Ale Marek nie ustępuje.

Kiedy zdejmują mi opatrunki, widzę równie dobrze jak przed chorobą, równie dobrze na prawe, właśnie zoperowane, jak i na lewe (minus 2,5 dioptrii) oko. Podeksytowana dzwo-

nię do Marka, a ten ani się nie dziwi, ani się nie cieszy: – Ale o ci co chodzi? Przecież mówiłem, że tak będzie.

Dostaję tydzień zwolnienia, a tu trzeciego dnia po mojej operacji umiera Władysław Kopaliński, z którym od lat byłam zaprzyjaźniona, i redakcja „Gazety Wyborczej” zamawia u mnie artykuł do „Dużego Formatu”. Marka, który dzwoni do mnie codziennie, oszukuję, że odpoczywam, a tymczasem siedzę wiele godzin dziennie przy komputerze. Gdy prawda wyjdzie na jaw, będzie się potem długo na mnie wściekał. A część złości przeniesie na Bogu ducha winnego Kopalińskiego.

I tak ma mu za złe, że należał do partii, że nie angażował się w działania opozycji. Zarzuca mu, że ukrywał się ze swoim żydostwem, że nie wrócił po wojnie do żydowskiego nazwiska, że wybrał sobie „lepsz” – Kopaliński...

– Stefczyk – poprawiam. – Kopaliński to literacki pseudonim.



WOJCIECH DUSZENKO / AGENCJA WYBORCZA.PL // ARCHIWUM JOANNA SZCZESNEJ // MONTAŻ TP-ONLINE

Od lewej: Władysław Kopaliński (Warszawa, grudzień 1998 r.), Marek Edelman i Joanna Szczesna (Warszawa, kwiecień 2005 r.).

A potem dodał, że on sam, dla własnej przyjemności zabawiał się w trawestację tego wierszyka. I wręczył mi pożółkły maszynopis ze słowami: – Może ci się to na coś przyda: „Mikołaja imię daję, / Rzekłem żonie, gryząc piernik. / Bo trzech byli Mikołaje: / Rej, Szarzyński i Kopernik”, „Samuelem zwę go śmieie, / Rzekłem żonie, gładząc włoski. / Bo trzech byli Samuele: / Prorok, Johnson i Twardowski”.

Marek Edelman był na tego typu twórczość absolutnie głuchy. Ani nie rozumiał, dlaczego miałoby go to śmieszyć, ani nie dostrzegał w tym żadnego wdzięku. Pamiętam, jak kiedyś, raczej w celach prowokacyjnych niż w ramach wykładu o stopach, rymach i wersyfikacji, opowiedziałam mu o pewnej podróży samochodem *via Niemcy* na konferencję polonistyczną do Londynu, w czasie której grupka młodszych pracowników Uniwersytetu Jagiellońskiego ułożyła kilkadziesiąt limeryków na wezwanie Wisławy Szymborskiej (tylko jej organizator imprezy zafundował bilet samolotowy). Szymborska zażądała od nich tylu sprośnych pięciowierszy, ile po drodze mijali miejscowości.

No więc cytowałam Markowi limeryki z miasteczek, których nazwy zajmowały pozycje rymową, już to z Zwickau, już to z Lobau (duży potencjał, jeśli chodzi o rym) – we wszystkich przypadkach nazwy były w pozycjach rymowych – a on nic, pokerowa twarz. W końcu poloniści z Krakowa dojechali do Stralsundu: „Raz pewien Żyd ze Stralsundu / Zapisal się był do Bundu. / Lecz wnet go z Bundu wylali, / Gdy ch... swym jak ze stali / Stargał paradny mundur”.

Marek wysłuchał i mówi całkiem serio, a przynajmniej z poważną miną: – Co za głupoty mi tu opowiadasz, przecież my, w Bundzie, nie nosiliśmy żadnych mundurów.

I tak się skończyła moja jedyna bodaj próba wtajemniczenia Marka Edelmana w limeryczne świntuszenie. Zrozumiałam, że może i lubi pikantne ploteczki, byle nie były rymowane.

Słownik autorski

Władysław Kopaliński był człowiekiem wyjątkowo dyskretnym, nieuznającym zwierzeń, a emocje trzymał na uwierzy. Kto wie, może dawał im upust, z lubością recytując mi wielką polską poezję, a też śpiewając z zapalem przedwojenne przeboje? Słuch miał znakomity, głos donośny, sądząc zaś po życzliwych uśmiechach żegnających nas kelnerkę, one też – choć siadaliśmy w najodleglejszym kącie naszej knajpki – musiały słyszeć te jego występy. Uważały mnie za jego wnuczkę. Ja za zwyczaj podpytywałam go o jego prace leksykograficzne.

– Słownik robi się z innych słowników, a nie z głowy, czyli z niczego – tłumaczył mi. – I trzeba sięgać do najświeższych wydań, żeby to nie były jakieś starocie. Do każdego swojego hasła muszę mieć co najmniej dwa źródła. W tym sensie nie wierzę nawet „Encyclopaedia Britannica”, jeśli nie znajdzie potwierdzenia gdzie indziej.

Wiem, w dzisiejszych czasach brzmi to ekscentrycznie, ale dawno, dawno temu takie właśnie panowały obyczaje. A kilkanaście tomów „Encyclopaedia Britannica” zajmowało poczesne miejsce w bibliotece Kopalińskiego.



– Stefczyk, Stefczyk... – wydziwia Marek. – Cóż to za nazwisko?

Ale on wcale nie udawał, że nie jest Żydem, po prostu nie afiszował się ze swoim pochodzeniem. A z partii wystąpił jeszcze przed stanem wojennym. Zresztą wszystko, co zrobił dla polskiej kultury i leksykografii, warte jest więcej niż parę podpisów pod protestacyjnymi listami.

Zabawne, niezabawne

Władysława Kopalińskiego poznałam w latach 70., mniej więcej w tym samym czasie, co Marka Edelmana, ale obdarował mnie swoją przyjaźnią kilkanaście lat później. Chadzaliśmy regularnie na spacer do Łazienek, a później na jakieś „małe co nieco”. Pod koniec jego życia, kiedy już nie miał sił na spacer, spotykaliśmy się co miesiąc we włoskiej knajpce na Koszykowej, tuż koło jego domu.

Nasze rozmowy zwykle zaczynały się od omówienia bieżącej sytuacji politycznej, później przechodziliśmy do moich dziennikarskich planów, którym Władek – podobnie zresztą jak Marek Edelman – kibicował. W odróżnieniu jednak od Edelmana miał duże zrozumienie dla mojej pasji kolekcjonowania purnonsensowej poezji i wszelakich zabawnych wierszyków, zwanych w angielszczyźnie *light verses*. Od początku był fanem prowadzonego przeze mnie w „Magazynie Gazety Wyborczej” cyklu „Zabawy literackie” i znał mnóstwo anegdot na ten temat. Kiedyś – pisałam akurat o parodiach, pastiszach i trawestacjach – odpowiedział mi, że Karol Estreicher, bibliograf, dyrektor Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego, napisał na urodziny swego syna czterowiersz: „Tadeuszem zwać go muszę, / Rzekłem żonie, wybacz duszko, / Bo trzech byli Tadeusze: / Rejtan, Czacki i Kościuszko”.

→ – Po to mam w domu bibliotekę, żebym nie musiał mieć nic w głowie – oświadczył mi. – „Słownik mitów i tradycji kultury” robiłem na zupełnie szalonej zasadzie. Trudno powiedzieć, czym się kierowałem, poza przeświadczeniem, że te akurat, a nie inne hasła są przydatne. Wybacz, ale nie umiem tego lepiej uzasadnić.

– A jednak – zauważyłam – nie przypominam sobie, bym nie znalazła jakiegoś poszukiwanego hasła.

– I to właśnie graniczy z cudem – odpowiedział. – Jeśli wybór hasel zgadza się z zainteresowaniem odbiorcy, świadczy to o duchowym podobieństwie i kulturowej wspólnotocie.

Nie uważał, że leksykograf winien zachować obiektywizm, przeciwnie: jak czegoś nie lubił – ganił, jak mu się podobało – dawał temu wyraz. „Baskerville – krój czcionki i czcionka rzadkiej piękności...” – czyż to hasło nie pokazuje, jak intensywny był jego stosunek do wszystkiego, co związane z książką i słowem drukowanym? Tak, odsłaniał się w swoich słownikowych hasłach. Ich lektura naprawdę sporo mówi o jego gustach i smaku. Również w sensie dosłownym. Przykład? Zaprosiłam go kiedyś na kolację, i nieszczęście – miałam tylko czerwone wino, a on pijał wyłącznie białe. „No tak – myślę sobie – ale skąd niby mogłam wiedzieć?”. A jednak kiedy później uważniej wczytałam się w słownik eponimów, okazało się, że mogłam to przewidzieć: wszak przy winie czerwonym (bordo) jest tylko sucha informacja, a przy winie białym (chablis) autor się rozplęwa: „znakomity smak, wspaniały aromat”.

Anioł

Raz na rok Kopaliński odczuwał potrzebę bardziej osobistych wynurzeń i opuszczał skorupę dobrze wychowanego i poruszającego się po utartych szlakach konwersacji dżentelmena. I tak u początku naszej przyjaźni, na jednym ze spacerów w Łazienkach, opowiedział mi pewną historię, a była ona tak osobista, by nie powiedzieć intymna, że nie od razu zrozumiałam, co usłyszałam.

Zaczął od ciotki Guty, siostry swojej matki, która kochała go tak, jakby był jej własnym synem, miłością niemal histeryczną, dużo bardziej niż pozostałych siostrzeńców i siostrzenice. Długo myślał, że to dlatego, iż jest najmłodszy w rodzinie. Prawdy dowiedział się jako nastolatek (to on wprowadził to słowo do polszczyzny, tłumacząc je z angielskiego *teenager*), dopiero po śmierci ciotki gdzieś w połowie lat 20.

– Była wiosna 1907 roku – opowiadał mi. – Ciotka spotkała na Krakowskim Przedmieściu swoją siostrę, a moją przyszłą matkę. Spytała, dokąd idzie, a ta odpowiedziała, że do doktora, aby przerwać ciążę. Była już wtedy w wieku przedklimakteryjnym i miała sześcioro dzieci, najstarszy Ignacy miał lat dwadzieścia, najmłodszy syn: lat siedem. Ciotka krzyknęła, że po jej trupie i jak złapała siostrę za rękę, to nie puściła chyba aż do momentu, kiedy przyszedłem na świat.

MAREK EDELMAN:

Jestem prawdziwa żydowska arystokracja, tylko nikt mnie tak nie traktuje.

U mnie w domu po prostu się o tym wiedziało: u jednego z wujków wisiał portret Gaona, a ja patrzyłam na niego jak na mojego dalekiego przodka.

Zapadło długie milczenie. Nie miałam pojęcia, dlaczego mi to opowiada. Dopóki nie usłyszałam następnego zdania: – I popatrz, Joasiu, z całej naszej wielkiej rodziny tylko ja jeden ocalałam.

W ten sposób Władysław Kopaliński poinformował mnie, że pochodzi z żydowskiej rodziny. „Ja jeden z całej rodziny ocalałam” to w polszczyźnie zdanie równoważne z deklaracją: „Jestem Żydem”.

Już przed wojną obracał się w spolonizowanym środowisku (o aspiracji jego rodziców do polskości świadczy choćby jego słowiańskie imię; w innej gałęzi rodziny Sterlingów też zresztą popularnością cieszyły się imiona typu Władysław, Waclaw, Mieczysław czy Zdzisław), w domu mówiło się po polsku, on sam nie znał jidysz ani hebrajskiego, w 1936 r. ożenił się z protestantką, Adelą Bartoszewicz.

Do swoich zwierzeń zwykle przystępował zniechęcony, ledwo zdążyłam wyciągnąć notesik (wolno mi było mieć notesik, bo od początku naszej znajomości jasne było, że pamięć to ma on, nie ja). Pod datą 15 października 2005 r. zapisałam:

„W czasie okupacji nic nie zmieniłem w swoim trybie życia, normalnie chodziłem po ulicach. Zmieniłem tylko nazwisko i adres: przeprowadziłem się z Senatorskiej na Czackiego 10. Najpierw udzielałem lekcji języków, ale to było ryzykowne. Dowiedziałem się, że firma perfumeryjna szuka księgowego. Z czasem zacząłem nawet nią kierować. Całkowicie ignorowałem okupacyjną rzeczywistość. Czuwał nade mną anioł”.

Nowe nazwisko, nowy adres, ale wciąż mieszkał i poruszał się po ulicach Śródmieścia. Wzrost wyróżniał go z tłumu. Każdego dnia mógł spotkać sąsiadów z Senatorskiej albo klientów, dla których rodzinna drukarnia na Elektoralnej świadczyła przed wojną różne usługi (wizytówki, zaproszenia, papeterie, plakaty, wkładki reklamowe itp.).

– A anioł? – spytałam cichutko.

Milczał tak długo, że pomyślałam, iż naruszyłam niepisaną umowę, zgodnie z którą nie zadaję mu żadnych pytań dotyczących jego okupacyjnego, a też przedwojennego życia. Wiedziałam, że wyjątkowo wprost tego nie lubi. Ale nie, najwidoczniej nie. Po chwili milczenia ciągnął dalej: – Kiedyś szedłem ulicą z moim ulubionym bratem, tylko o siedem lat starszym. Rozpoznano nas na Koziej, blisko naszego przedwojennego adresu. Ja runąłem do ucieczki, pamiętam, że uciekałem Kanoniczą. On został. Tam na miejscu go zastrzelono.

Znowu zapadło między nami milczenie. Bo co można powiedzieć człowiekowi, który stracił całą rodzinę? O co pytać? Jak komentować? Tak, nie otrzymałam od Władka różnych odpowiedzi, ale też nie zadałam mu różnych pytań. Ja tylko mogłam wyciągać notesik, kiedy zaczynał mówić o przeszłości.

Kuzyni

W marcu 2007 r., miesiąc po śmierci swojej żony, z którą był w związku małżeńskim blisko 70 lat, Władek zadzwonił i zaprosił mnie do naszej knajpki na Koszykowej „poza wszelkim

trybem". Ledwo usiedliśmy, poinformował mnie, że właśnie poślubił Annę Mysłowską, wspaniałą tłumaczkę z języka angielskiego.

– Nie chciałbym, żebyś dowiedziała się tego na mieście, i byłoby mi przykro, gdybyś pomyślała, że jestem płochy – oświadczył. Tak, „płochy”, właśnie tego słowa użył zbliżający się do setki Kopaliński. – Ożeniłem się z kobietą, którą kocham od 40 lat. Nie mogłem tego zrobić wcześniej, bo miałem zobowiązania jeszcze z czasu wojny.

Czy można jaśniej powiedzieć, że jego zmarła żona pomagała mu w czasie okupacji ukrywać się po aryjskiej stronie?

Kiedy pisałam dla „Gazety” wspomnienie o Władku, udałam się do Żydowskiego Instytutu Historycznego, żeby sprawdzić, czy są tam jakieś wiadomości o jego rodzinie. Nie było. On sam jednak wyznał żonie swojego przyjaciela Ryszarda Herczyńskiego, Grażynie, która przygotowywała dla branżowego czasopisma medycznego biogram Władysława Sterlinga, warszawskiego neurologa zamordowanego po aryjskiej stronie w 1942 r., że jest z nim spokrewniony. Ten Władysław Sterling pochodził z bardziej znanej gałęzi rodziny, gdzie prócz wybitnych i zasłużonych lekarzy (m.in. Seweryna Sterlinga, fizjatri, który dorobił się w Łodzi ulicy i szpitala swego imienia), byli też prawnicy oraz wiele osób związanych z kulturą: śpiewak operowy, nauczyciel muzyki, poeci, publicyści, krytycy literaccy, historycy sztuki (jeden z nich, Charles Sterling, zyskał sławę za granicą, w Polsce znany jest m.in. z książki „Martwa natura”).

Te dwie gałęzie rodziny Sterlingów błędnie połączono niedawno w haśle „Władysław Kopaliński” w Wikipedii. Przypisano mu tam mianowicie fragment biografii Jana Sterlinga (syna znanego warszawskiego adwokata), który w czasie okupacji należał do organizacji PLAN, a po zdekonspirowaniu jej przez Niemców uciekł z Polski, by po wojnie zostać na Zachodzie. Z Władkiem, poza odległym pokrewieństwem, łączyło go jedynie imię Jan, które przynależało do aryjskich papierów Kopalińskiego.

O rodzinie Marka Edelmana też zresztą niczego w ŻIH-u nie znalazłam, a sam Marek niewiele umiał o niej powiedzieć. Ojciec Natan pochodził z Warszawy, matka Cygora, w polskich dokumentach Cecylia – z Homla na Białorusi, miejsca urodzin Marka. Rodzice repatriowali się do Polski po traktacie ryskim, kiedy miał dwa lata. Jego pierwszym językiem był rosyjski.

– Może nie pisz – poprosił mnie kiedyś – o tym Homlu, bo ja wszędzie podaję, że urodziłem się w Warszawie.

– Marku, uspokój się – mówię. – To kłamstwo już się dawno przedawniło.

Kiedy nie ma faktów i dokumentów, pojawiają się rodzinne legendy. O matce, z domu Percowskiej, której dwunastu braci eserów miało zginąć w Homlu rozstrzelanych przez bolszewików (żona Edelmana, Alina Margolis-Edelman, uważała tę opowieść za apokryf). I o ojcu, którego przodkiem był słynny Gaon z Wilna.

WŁADYSŁAW KOPALIŃSKI:

Nie chciałbym, żebyś dowiedziała się tego na mieście, i byłoby mi przykro, gdybyś pomyślała, że jestem „płochy”. Ożeniłem się z kobietą, którą kocham od 40 lat. Nie mogłem tego zrobić wcześniej, bo miałem zobowiązania jeszcze z czasu wojny.

– Eliasza ben Salomona Zalmana, wielkiego XVIII-wiecznego rabinicznego autorytetu zaangażowanego w spory z chasydyzmem? – upewniam się.

– A co? – odpowiada Edelman zaczepnie. – Jestem prawdziwa żydowska arystokracja, tylko nikt mnie tak nie traktuje. U mnie w domu po prostu się o tym wiedziało: u jednego z wujków wisiał portret Gaona, a ja patrzyłem na niego jak na mojego dalekiego przodka.

Kiedy mówię, że jego nazwisko najczęściej występowało w miejscowościach Hrubieszów, Janpol, Lubartów, Łuków, Pińczów, Radzyń, Słonim, Sochaczew, Zamość, i że Wilna tam nie było, odpowiada, że to nic nie znaczy.

– Miałem kiedyś wyrysowane moje drzewo genealogiczne i prowadziło do

Wilna właśnie. Tylko dwóch pokoleń brakowało w nim do Gaona. No więc była tam jakaś Wilnerówna, która wydała się za Edelmana, i już. Niestety, zostawiłem ten rysunek w samochodzie, który oddałem do blacharza, a kiedy go odebrałem, już go tam nie było. Zniknęły mi też mapy i samochodowy atlas Polski.

– A coś jeszcze wiesz o swojej rodzinie?

– Ojciec umarł wkrótce potem, jak przyjechalśmy do Warszawy. Na gruźlicę gardła. A mama, gdy byłem nastolatkiem. Na wrzodziejące zapalenie jelita grubego – odpowiada doktor Edelman. – Dziś to nie są śmiertelne choroby, ale wtedy były.

Minęły lata od śmierci obu moich przyjaciół i oto nagle wiosną 2020 r. dostaję telefon od Anny Przybyszewskiej-Drozd, która pracuje w Jewish Genealogy Family Heritage Center. Jest fanką twórczości Kopalińskiego i zapamiętała mnie sprzed lat, kiedy szukałam w ŻIH-u czegoś o rodzinie Sterlingów. Ma dla mnie informacje, że brat Kopalińskiego, ten, który został zastrzelony przez Niemców na warszawskiej ulicy, miał na imię Karol i studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim.

– Czy taki drobiazg jest dla pani w ogóle ważny? – pyta.

– Ważny? To mało powiedziane. Mam poczucie, że ukochany brat Władka wyłania się z nicości. Nigdy nie spytałam o jego imię, a teraz, dzięki pani, przestał być bezimiennym starszym bratem, stał się Karolem Sterlingiem.

Ale to nie koniec newsów. Pani Anna informuje mnie jeszcze, że Władysław Kopaliński jest w prostej linii (po matce z domu Wilner) potomkiem Gaona z Wilna. Dowodzi tego ponad wszelką wątpliwość jej kwerenda wśród nagrobków żydowskiego cmentarza na Okopowej w Warszawie oraz analiza ogłoszeń drobnych z prasy sprzed stulecia.

Jaki żal, że Marek Edelman już nie żyje i nie mogę zadzwonić do niego z radosną nowiną: „Hej, Marku, zobacz, znalazłam ci kuzyna. Proszę, przestań się na niego bocyć. To niepoważne”.

© JOANNA SZCZĘSNA

Autorka przygotowuje książkę o doktorze Marku Edelmanie, na którą otrzymała stypendium artystyczne m. st. Warszawy.

Prezydent Miasta Krakowa

ogłasza konkurs na kandydata na stanowisko dyrektora Ośrodka Kultury im. Cypriana Kamila Norwida w Krakowie

I.

Ogłasza się konkurs na kandydata na stanowisko dyrektora Ośrodka Kultury im. Cypriana Kamila Norwida w Krakowie, zwanego dalej „Ośrodkiem”, z siedzibą w Krakowie, os. Górali 5, będącego samorządową instytucją kultury, wyodrębnioną pod względem prawnym i ekonomiczno-finansowym, której organizatorem jest Gmina Miejska Kraków, zwana dalej „Organizatorem”.

II.

1. Do konkursu na kandydata na stanowisko dyrektora Ośrodka może przystąpić osoba, która spełnia poniżej podane warunki.

2. Wymagania obowiązkowe:

- 1) wykształcenie wyższe magisterskie;
- 2) minimum 5-letnie udokumentowane doświadczenie zawodowe, rozumiane jako doświadczenie uzyskane w trakcie wykonywania pracy (zadań) na podstawie m.in. stosunku pracy, umowy cywilnoprawnej, prowadzenia działalności gospodarczej;
- 3) znajomość przepisów prawa regulujących funkcjonowanie samorządowych instytucji kultury;
- 4) znajomość problematyki będącej przedmiotem działalności Ośrodka;
- 5) posiadanie:
 - a) udokumentowanego, co najmniej 4-letniego stażu pracy na stanowiskach kierowniczych, w tym 2-letniego w obszarze działalności kulturalnej i zarządzania zespołem ludzkim

lub

b) udokumentowanego, co najmniej 2-letniego doświadczenia w zarządzaniu instytucją kultury lub podmiotem prowadzącym działalność kulturalną oraz zespołem ludzkim

lub

c) co najmniej 2-letniego okresu prowadzenia działalności gospodarczej w obszarze działalności kulturalnej i zarządzania zespołem ludzkim;

6) stan zdrowia pozwalający na wykonywanie pracy na stanowisku kierowniczym;

7) korzystanie z pełni praw publicznych;

8) brak skazania za umyślne przestępstwo ścigane z oskarżenia publicznego lub umyślne przestępstwo skarbowe;

9) brak zakazu pełnienia funkcji związanych z dysponowaniem środkami publicznymi, o którym mowa w art. 31 ust. 1 pkt 4 ustawy z dnia 17 grudnia 2004 r. o odpowiedzialności za naruszenie dyscypliny finansów publicznych (Dz. U. z 2021 r. poz. 289);

10) bardzo dobra lub dobra znajomość w mowie i piśmie języka angielskiego; atutem będzie znajomość także innego języka obcego w stopniu komunikatywnym w mowie i piśmie.

3. Wymagania fakultatywne, preferowane:

- 1) wykształcenie wyższe magisterskie o kierunku humanistycznym lub ekonomicznym, organizacja i zarządzanie-menedżer kultury, zarządzanie i marketing;
- 2) ukończone studia, studia podyplomowe lub kursy, szkolenia z zakresu: ekonomii, zarządzania, zarządzania w kulturze i pokrewnych kierunków;
- 3) zdolności menedżerskie oraz organizatorskie, a także umiejętność zarządzania zespołami ludzkimi i nawiązywania dobrych kontaktów interpersonalnych i międzyinstytucjonalnych;
- 4) znajomość specyfiki działania sektora finansów publicznych, także w zakresie pozyskiwania środków finansowych ze źródeł pozabudżetowych, w tym funduszy Unii Europejskiej.

III.

1. Wniosek do konkursu na kandydata na stanowisko dyrektora Ośrodka musi mieć formę pisemną i zawierać następujące dokumenty:

- 1) list motywacyjny z własnoręcznym podpisem;
- 2) kwestionariusz osobowy zgodny ze wzorem stanowiącym załącznik nr 1 do niniejszego zarządzenia z własnoręcznym podpisem;

- 3) życiorys z opisem dotychczasowej pracy zawodowej z własnoręcznym podpisem;
 - 4) kserokopie dyplomów oraz zaświadczeń o posiadanych kwalifikacjach z własnoręcznym podpisem;
 - 5) kserokopie świadectw pracy z dotychczasowych miejsc pracy oraz dokumenty potwierdzające spełnienie wymagań, o których mowa w rodz. II ust. 2 pkt 5 z własnoręcznym podpisem;
 - 6) aktualne zaświadczenie od lekarza pierwszego kontaktu o stanie zdrowia pozwalającym na pracę na stanowisku kierowniczym;
 - 7) oświadczenie kandydata, że nie był karany za przestępstwo popełnione umyślnie ścigane z oskarżenia publicznego lub przestępstwo skarbowe popełnione umyślnie oraz że nie toczy się przeciwko niemu postępowanie karne lub postępowanie karne skarbowe z własnoręcznym podpisem;
 - 8) oświadczenie kandydata, że nie toczy się przeciwko niemu postępowanie o przestępstwo ścigane z oskarżenia publicznego, z własnoręcznym podpisem;
 - 9) oświadczenie kandydata, że posiada pełną zdolność do czynności prawnych oraz korzysta z pełni praw publicznych, z własnoręcznym podpisem;
 - 10) oświadczenie, że kandydat nie był karany zakazem pełnienia funkcji związanych z dysponowaniem środkami publicznymi, o którym mowa w art. 31 ust. 1 pkt 4 ustawy z dnia 17 grudnia 2004 r. o odpowiedzialności za naruszenie dyscypliny finansów publicznych (Dz. U. z 2021 r. poz. 289), oraz że aktualnie nie toczy się przeciwko niemu postępowanie w sprawie o naruszenie dyscypliny finansów publicznych, z własnoręcznym podpisem;
 - 11) oświadczenie, w którym kandydat wyraża zgodę na przetwarzanie swoich danych osobowych na potrzeby postępowania konkursowego zgodne z wzorem stanowiącym załącznik nr 2 do Zarządzenia nr 3525/2021 Prezydenta Miasta Krakowa z dnia 7 grudnia 2021 r. w sprawie ogłoszenia konkursu na kandydata na stanowisko dyrektora Ośrodka Kultury im. Cypriana Kamila Norwida w Krakowie, z własnoręcznym podpisem;
 - 12) autorski program realizacji zadań w zakresie bieżącego funkcjonowania i rozwoju Ośrodka (maksymalnie 10 stron formatu A4 oraz maksymalnie 2 500 znaków na stronie, z własnoręcznym podpisem), zawierający m.in.:
 - a) misję i wizję rozwoju Ośrodka na minimum 3 lata, na podstawie Statutu i Regulaminu Ośrodka, zgodnych z Programem Rozwoju Kultury w Krakowie do roku 2030, przyjętym uchwałą nr LXXIX/1933/17 Rady Miasta Krakowa z dnia 5 lipca 2017 r.;
 - b) cele strategiczne, w tym propozycje oferty programowej, uwzględniającej m.in. projekty i cykle kulturalne, edukacyjne oraz zadania związane z ochroną i poszanowaniem dziedzictwa kulturowego Nowej Huty, w szczególności jej krajobrazu kulturowego;
 - c) koncepcję finansowania działalności Ośrodka umożliwiającą osiągnięcie celów strategicznych, w postaci całościowego biznesplanu dla programu uwzględniającego dotychczasowy poziom dotacji Organizatora wraz z propozycją pozyskiwania środków ze źródeł zewnętrznych;
 - d) program promocji i kreowania wizerunku Ośrodka jako centrum aktywności kulturalnej oraz działań na rzecz integracji społeczności lokalnej;
 - e) założenia planów inwestycyjnych wraz z propozycją zewnętrznych źródeł finansowania;
 - f) wskazówki zawarte w podręczniku „Audyt jakościowy w miejskich instytucjach kultury w Krakowie”.
2. Program, o którym mowa w ust. 1 pkt 12, powinien być dostarczony w formie pisemnej oraz w wersji elektronicznej w sposób uniemożliwiający jego edycję (np. PDF) na płycie CD lub pendrivie (pamięć USB).
 3. Do wniosku mogą być dołączone inne dokumenty, w tym opinie lub rekomendacje potwierdzające doświadczenia zawodowe.
 4. Wniosek wraz z załącznikami powinien być umieszczony w zamkniętej kopercie, z podanym adresem zwrotnym, numerem telefonu kontaktowego oraz adresem poczty elektronicznej z dopiskiem: „Konkurs na kandydata na stanowisko dyrektora Ośrodka Kultury im. Cypriana Kamila Norwida w Krakowie”. Oryginały dokumentów, o których mowa w rodz. III, ust. 1 pkt 4 i 5, należy przedłożyć w trakcie rozmowy kwalifikacyjnej.
 5. Wniosek o przystąpienie do niniejszego konkursu należy złożyć na **stanowisku nr 5 w Kancelarii Magistratu Urzędu Miasta Krakowa, plac Wszystkich Świętych 3-4 (w godzinach od 7.40 do 15.00), lub przesłać na adres: Urząd Miasta Krakowa,**

→ **31-004 Kraków, plac Wszystkich Świętych 3-4, do dnia 31 stycznia 2022 r.**

6. Wniosek, który wpłynie po wyżej określonym terminie, nie będzie rozpatrywany. W przypadku przesyłki pocztowej o dotrzymaniu terminu decyduje data wpływu do Urzędu.

7. Z dokumentami i informacjami dotyczącymi warunków organizacyjno-finansowych działalności Ośrodka można zapoznać się na stronie BIP Ośrodka bądź w Wydziale Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa, Kraków, Wielopole 17 a, pok. 110, tel. 12 616 19 16.

8. Konkurs prowadzony jest w języku polskim.

IV.

1. Postępowanie konkursowe rozpoczyna się z dniem wejścia w życie Zarządzenia nr 3525/2021 Prezydenta Miasta Krakowa z dnia 7 grudnia 2021 r. w sprawie ogłoszenia konkursu na kandydata na stanowisko dyrektora Ośrodka Kultury im. Cypriana Kamila Norwida w Krakowie.

2. Konkurs zostanie przeprowadzony przez komisję konkursową, zwaną dalej Komisją, powołaną przez Prezydenta Miasta Krakowa.

3. Konkurs zostanie przeprowadzony w dwóch etapach: I etap – sprawdzenie ofert pod względem formalnym bez udziału uczestników, II etap – rozmowa kwalifikacyjna, podczas której zostanie zweryfikowana znajomość języka angielskiego kandydatów oraz kandydaci zobowiązani będą do prezentacji własnej oferty/koncepcji; rozmowa odbędzie się nie wcześniej niż w terminie 7 dni od dokonanej przez Komisję oceny spełnienia warunków przez uczestników, określonych w ogłoszeniu o konkursie, lub stwierdzenia uchybień lub braków w złożonych ofertach.

4. O zakwalifikowaniu do konkursu i terminie rozmowy kwalifikacyjnej uczestnicy konkursu zostaną powiadomieni indywidualnie na podany adres e-mail oraz telefonicznie.

5. Nieobecność uczestnika podczas rozmowy kwalifikacyjnej traktowana będzie jako rezygnacja z ubiegania się o stanowisko, bez względu na jej przyczyny.

6. Zakończenie postępowania konkursowego przewiduje się w ciągu 60 dni po upływie terminu składania wniosków.

7. Za termin zakończenia postępowania konkursowego uznaje się dzień podjęcia ostatecznej decyzji przez Prezydenta Miasta Krakowa w sprawie powołania kandydata na stanowisko dyrektora Ośrodka.

8. Konkurs pozostanie nierozstrzygnięty w razie stwierdzenia przez Komisję, że żadna oferta nie spełnia warunków określonych w ogłoszeniu o konkursie lub żaden z uczestników dopuszczonych do udziału w konkursie nie spełnia szczegółowych kryteriów oceny, ustalonych przez Komisję z uwzględnieniem treści wymagań, o których mowa w rodz. II ust. 2.

V.

Ostateczną decyzję w sprawie powołania wyłonionego w konkursie kandydata na stanowisko dyrektora Ośrodka oraz szczegółów dotyczących warunków zatrudnienia podejmie Prezydent Miasta Krakowa.

VI.

1. Przed powołaniem kandydata na stanowisko dyrektora Ośrodka zostanie zawarta z nim odrębna umowa określająca warunki organizacyjno-finansowe działalności Ośrodka oraz program jego działania, zgodnie z art. 15 ust. 5 ustawy z dnia 25 października 1991 r. o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej (Dz. U. z 2020 r. poz. 194).

2. Odmowa przez kandydata na stanowisko dyrektora zawarcia umowy, o której mowa w ust. 1, powoduje jego niepowołanie na to stanowisko.

VII.

Dyrektor zostanie powołany z dniem 1 października 2022 r. na okres od 3 do 7 lat, zgodnie z art. 15 ust. 2 ustawy z dnia 25 października 1991 r. o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej (Dz. U. z 2020 r. poz. 194).

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**

„TP” 51-52/2021



TOMASZ WELNA / ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

METAMORFOZA

ZAMKU KRÓLEWSKIEGO NA WAWELU

**NOWY SKARBIEC KORONNY I NIE TYLKO
OD 30 CZERWCA 2022**



ANNA STANKIEWICZ / ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

Hieronimus Bosch van Aken – naśladowca, „Sąd Ostateczny”, około 1550 r.

Tajemnice, splendor i historia królestwa

ANDRZEJ BETLEJ, DYREKTOR ZAMKU KRÓLEWSKIEGO NA WAWELU:

W 2022 r. otworzymy Nowy Skarbiec Koronny w niedostępnej dotąd przestrzeni Zamku. Zobaczymy też wybitne dzieło Rembrandta z nowojorskiego Frick Collection, które właściwie nie wypożycza dzieł.

GRZEGORZ NUREK: To Pański pomysł, by dekoracja świąteczna Krakowa zawierała motywy zaczerpnięte z arrasów?

ANDRZEJ BETLEJ: Nie. Byłem zaskoczony, ale bardzo pozytywnie. W ten sposób wystawa arrasów utrwali się w pamięci krakowian. To jeden z widocznych znaków, że Kraków wraca do swego dziedzictwa, chociażby przez taką dekorację, którą przygotowały z własnej inicjatywy Urząd Miasta Krakowa i Zarząd Dróg.

Ile osób odwiedziło wystawę arrasów na Wawelu?

Blisko 120 tysięcy. To rekord frekwencyjny wśród wystaw czasowych na Wawelu, ale też jeden z rekordów ogólnopolskich. Byłby jeszcze bardziej spektakularny, gdyby nie obostrzenia związane z pandemią.

Składałem podziękowania pełne szacunku dla wszystkich tych, którzy przygotowali „Wszystkie arrasy króla. Powroty 2021–1961–1921” i czuwali nad ekspozycją: dla kustoszy, techników, konserwatorów, po osoby sprzedające bilety. To, co wydarzyło się w miesiącach wakacyjnych i jesienią, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania.

Co teraz stanie się z arrasami?

Są poddawane zabiegom konserwatorskim, z pomocą tzw. veloxów oczyszczamy je. A następnie nawinięte na wałki wrócą do magazynów. Ale oczywiście część z nich zostanie na ścianach w reprezentacyjnych komnatach królewskich.

Teraz otworzyli Państwo nową ekspozycję – „Nie tylko Bruegel i Rubens. Malarstwo Niderlandów na Wawelu”.

Ta wystawa też będzie prezentowana w komnatach królewskich do końca lutego. Postanowiliśmy wystawy czasowe

wprowadzać do stałych ekspozycji. To w znaczący sposób zwiększa atrakcyjność oferty skierowanej do zwiedzających. Pokażemy dzieła wybitne, łącznie z pracą, którą otrzymaliśmy na własność: „Portret króla Władysława IV” wykonany przez Petera Paula Rubensa. Ekspozycja „Nie tylko Bruegel i Rubens” została uzupełniona o kilka prac z Muzeum Narodowego w Gdańsku. Wydaliśmy również katalog poświęcony malarstwu niderlandzkiemu i flamandzkiemu. Autorką erudycyjnego katalogu, a zarazem kuratorką wystawy jest dr Joanna Winiewicz-Wolska. To zachęta do zobaczenia obrazów malarzy wymienionych w tytule wystawy, ale też malarstwa artystów z ich kręgu, im bliskich.

Latem 2022 r. nowe otwarcie Skarbca Koronnego.

Warto czekać na to wydarzenie. 30 czerwca rozpoczniemy bowiem wielki festiwal otwarcia na wzgórzu wawelskim. Udostępnimy zwiedzającym nową ekspozycję stałą Skarbca Koronnego. Dotąd zajmował on tylko cztery pomieszczenia, latem będzie obejmował aż dwanaście sal, niemal cały parter skrzydła północnego niedostępny dotąd dla naszych gości. Zobaczymy sale po gruntownym remoncie konserwatorskim, na nowo i nowocześnie zaaranżowane, pokazujące znacznie więcej dzieł niż dotychczas. Będzie można zobaczyć przedmioty rzemiosła artystycznego, wyroby złotnicze, opowiemy także o trofeach, wotach, darach i zdobyczach wojennych. Skarbiec był przez wieki jedną z najważniejszych instytucji państwa. To w nim przechowywano arrasy po śmierci króla Zygmunta Augusta. Za pośrednictwem bezcennych zbiorów zbudujemy wciągającą narrację o historii Rzeczypospolitej, roli i znaczeniu Skarbca Koronnego.

Odłoni Pan więcej szczegółów prac nad ekspozycją?

Przed nami w jednej z sal spektakularna prezentacja kolekcji rzeźb. Pokażemy je na realistycznych figurach zwierząt, a odbiorcy odniosą wrażenie, jakby napierały na nich pięknie przyozdobione konie arabskie.

Co jeszcze przygotowujecie na to wielkie otwarcie?

Zaprezentujemy też nową odsłonę stałych ekspozycji: Komnat Królewskich



JEREMI DOBRZAŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE

DR HAB. ANDRZEJ BETLEJ – prof. UJ, historyk sztuki. W latach 2012-2016 dyrektor Instytutu Historii Sztuki UJ; 2016-19 dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, za jego kadencji został m.in. ukończony remont konserwatorski i otwarta nowa ekspozycja Muzeum Czartoryskich; od stycznia 2020 r. dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu; wiceprzewodniczący Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa.

i tzw. Prywatnych Apartamentów Królewskich. W nowej aranżacji, w nowym świetle. Mam nadzieję, że spodoba się wszystkim. Liczę, że uda się także przygotować specjalnie zaaranżowany gabinet porcelanowy, gdzie pokażemy naszą wyjątkową kolekcję porcelany miśnieńskiej.

Tego samego dnia otworzymy niewielką, ale wyjątkową wystawę arcydzieł z kolekcji Lanckorońskich. I nie chodzi tu jedynie o nasze zbiory, ale dzieła sprowadzone specjalnie na tę okazję z całego świata, w tym obraz Paola Uccella z National Gallery w Londynie. Pojawiają się obrazy z Rijksmuseum, z muzeów w San Francisco, Auckland. Obrazy, które należały do zbioru Lanckorońskich, ale po 1945 r. zostały sprzedane przez spadkobierców Karola Lanckorońskiego. Chcemy te arcydzieła zebrać i zestawić z naszą kolekcją. Myślę, że to będzie szczególne wydarzenie. Wszak nie codziennie National Gallery udostępnia innym instytucjom obraz Uccella ze stałej ekspozycji.

W sierpniu natomiast zawita na zamek Rembrandt.

Dzięki współpracy z Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie przez dwa miesiące na Wawelu oglądać można będzie jeden z najsłynniejszych obrazów Rembrandta: „Jeździec polskiego”, obraz zwią-

zany z kolekcją króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. A być może pokażemy też inny obraz Rembrandta. Obecnie prowadzimy na ten temat rozmowy.

Pragnę zwrócić uwagę, że nowojorskie muzeum Frick Collection, gdzie znajduje się „Jeździec polski”, zgodnie ze swoim statutem właściwie nie wypożycza dzieł ze stałej kolekcji, ale szczęśliwie w przyszłym roku w muzeum trwać będzie remont. I dlatego to niepowtarzalna okazja, by zobaczyć w Polsce to wyjątkowe arcydzieło Rembrandta.

Już w lutym zainaugurujemy program wystawienniczy 2022 wystawą studyjną „Mistrzostwo rysunku. Andrzej Radwański 1711-1762”, pokazując wyjątkowe prace malarza Andrzeja Radwańskiego, autora wielu polichromii kościelnych. Jego zachowane szkice w niczym nie ustępują dziełom znanych mistrzów europejskich. Pod koniec 2023 r. pokażemy wystawę Jakuba Mertensa (autora arcydzieła – ołtarza ze „Zwiastowaniem” z bazyliki Mariackiej) na tle malarstwa ok. 1600 r. Mam także nadzieję na iście „królewską ekspozycję” (ale tu nie chcę na razie zdradzać szczegółów). Chcielibyśmy również, by Wawel stał się ważnym ośrodkiem naukowo-badawczym nad dziedzictwem dawnej sztuki Krakowa.

Czego jeszcze możemy spodziewać się na Wawelu w 2022 r.?

Z Fundacją im. Bronisława Chromego (w końcu Chromy to jeden z najbardziej kojarzonych ze wzgórzem wawelskim artystów, autor rzeźby smoka wawelskiego) planujemy plenerową wystawę jego rzeźb. Wystawa ta będzie częścią szerszego projektu związanego ze smokiem wawelskim.

W 2022 r. przypada też 20. rocznica śmierci prof. Karoliny Lanckorońskiej. Wystąpiliśmy do władz miasta o nadanie jej imienia jednemu ze skwerów u podnóża wzgórza wawelskiego. W końcu to jej dar właściwie zbudował kolekcję malarstwa renesansowego na Wawelu. W dalszych planach mamy też wystawę rysunków Jacka Malczewskiego, przyjaciela ojca Karoliny Lanckorońskiej. Malczewski był częstym gościem w rezydencji Lanckorońskich w Rozdole i tam powstało wiele jego prac. Chcemy o tym przypominać, odsłaniając w 2022 r. kolejne karty mniej lub w ogóle nieznanej historii Zamku i stojących za tą historią ludzi. © Rozmawiał GRZEGORZ NUREK



DZIAŁ DOKUMENTACJI WIZUALNEJ ZAMKU KRÓLEWSKIEGO NA WAWELU

Blaski i cienie Rzeczypospolitej

DARIUSZ NOWACKI

Skarbiec Koronny był miejscem, gdzie przechowywano widome znaki suwerenności Królestwa Polskiego, a potem Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

30 czerwca otworzymy nową stałą ekspozycję Skarbcza Koronnego. Skarbiec zajmie dwanaście sal; cztery pomieszczenia, które dotychczas były mu przypisane, oraz osiem, które od drugiej połowy lat 40. zajmowało Archiwum Narodowe (wcześniej: Państwowe) w Krakowie.

W salach, które zwolniło Archiwum, zachowały się portale gotycko-renańsowe dotychczas nieanalizowane szczególnie przez badaczy, jako że były w ograniczonym stopniu dostępne. W tych pomieszczeniach znajdowała się czytelnia, w magazynie stały regały. Remont konserwatorski, który dobiega końca, ujawnił relikty XIV-wiecznych murów z czasów Kazimierza Wielkiego. My te relikty częściowo wyeksponujemy. Część sal nie posiada walorów architektonicznych i tu zostawimy ciemne, neutralne wnętrza, stosowne dla zabytków bardzo wrażliwych na światło dzienne.

Mamy pełną świadomość, że nawet dwanaście sal to stosunkowo niewiele w porównaniu z przestrzenią historycznych skarbców europejskich. Niemcy, Szwedzi, Francuzi, Hiszpanie, Węgrzy, Włosi posiadają znacznie bogatsze od naszych zbiory historycznych kosztowności. Nasz kraj, a w szczególności Wawel, został tego pozbawiony wraz z rozbiorami. W roku upadku Rzeczypospolitej

Prusacy – tuż przed ustąpieniem z Krakowa na rzecz Austriaków – włamali się do Skarbcza i faktycznie unicestwili jeden z symboli naszej państwowości.

Skarbiec Koronny aż do drugiej połowy XVIII w. był złączony z Archiwum Koronnym, gdzie przechowywano najważniejsze dokumenty wagi państwowej, np. rachunki królewskie, i traktaty międzynarodowe, jak choćby akt traktatu krakowskiego z 1525 r., skutkującego słynnym hołdem pruskim. Zrab Skarbcza natomiast stanowiły insygnia władzy monarszej i przedmioty służące przy koronacjach: korony, berła i jabłka, taca pod koronę, miecz koronacyjny, ewangeliarz, na który przysięgał koronowany monarcha, nadto kosztowne naczynia, dary dyplomatyczne, relikwie oraz osobliwości.

Pruska dokładność

Pruska grabież Skarbcza miała nie tylko znaczenie symboliczne, była też wielką stratą materialną. W 1795 r. Prusacy zrabowali przede wszystkim: pięć koron (w tym najważniejszą – zwaną Bolesława Chrobrego albo Główną czy Uprzywilejowaną), cztery berła, pięć jabłek, Szczerbiec, czyli miecz koronacyjny, oraz różne kosztowności. Włamania dokonali z rozkazu króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III pod osłoną nocy.

Co ciekawe, proces niszczenia insygniów udokumentowali z pruską dokład-

nością, stąd wiemy, co wpadło w ich ręce i jak cenne przedmioty zniszczyli. Kilka lat później Prusy przegrały wojnę z Napoleonem i musiały zapłacić ogromną kontrybucję, daninę na rzecz Francji. Zaczęło brakować gotówki, co skutkowało opodatkowaniem wszystkich obywateli – każdy był zobowiązany oddać kosztowności lub je wykupić. Dla Prusaków ograbienie wawelskiego Skarbcza miało więc także znaczenie strictly praktyczne. W latach 1809-11 z przetopionego złota wybito monety, a kamienie jubilerskie sprzedano.

Kilka przedmiotów z mniej cennych kruszców ocalało na Wawelu. Owe symboliczne relikty dawnej świetności Polski po wejściu do Krakowa Austriaków zabrał Tadeusz Czacki, ostatni kustosz Skarbcza. Część sprzedał, a część przekazał do pierwszego polskiego muzeum urządnego przez Izabelę Czartoryską – Świątyni Sybilli w Puławach. Na szczęście większość tych pamiątek przetrwała do naszych czasów i prezentujemy je na Wawelu, by wymienić: głównie miecza przysłanego Stefanowi Batoremu przez papieża, relikwiarz Drzewa Krzyża Świętego uchodzący za pamiątkę po Carach Szujskich, pantofle koronacyjne Zygmunta Augusta, wielką nadworną chorągiew z czasów Zygmunta Augusta, a przede wszystkim Szczerbiec – najważniejszą polską pamiątkę historyczną. Te skarby zaprezentujemy jako trzon ekspozycji Nowego Skarbcza Koronnego.

Popis dyplomacji

Szczerbiec, wkrótce po rabunku sprzedany przez Prusaków, przechodził z rąk do rąk, aż w 1880 r. trafił do Ermitażu. Po traktacie ryskim nie podlegał rewindykacji, bo nie należał do plonów carskiej grabieży – w Petersburgu znalazł się najzupełniej legalnie. I znów mieliśmy szczęście, bo zabieg o jego odzyskanie przez polską delegację rewindykacyjną to był godny pamięci popis polskiej dyplomacji.

Mołotow i wierchuszka władzy radzieckiej stosowały się do instrukcji Lenina, aby od caratu deklaratywnie się odciąć; z tego względu – acz niechętnie – zgodzili się na zwrot znacznej części polskich dóbr kultury zagrabionych w okresie zaborów. Problem polegał na tym, że trzeba było zabytki te precyzyjnie wskazać i umiejętnie negocjować – zarówno z przedstawicielami najwyższych władz, jak i z dyrektorem Ermitażu, kustoszami i magazynierami. Przy okazji tej wyprawy

Marianowi Morelowskiemu i innym negocjatorom udało się także odwiedzić stołeczny bazar i pozyskać pojawiające się tam polonika.

Polska delegacja rewindykacyjna wystarala się m.in. o zwrot kolekcji Radziwiłłów z Nieświeża. Ozdobę tego najzasobniejszego staropolskiego skarbcza stanowiły oznaki zaszczytne i militaria po Janie III Sobieskim, zagrabione przez Rosjan w 1812 i 1813 r. Nasi dyplomaci przyjechali z fotokopiami inwentarzy nieświeskich i starannie przepisany ich tłumaczeniami na język rosyjski. O wszechstronnym przygotowaniu do negocjacji świadczy także legendarny wagon spirytusu, który się nie zmarnował...

Podstawą dzisiejszej ekspozycji Skarbcza są rewindykaty z Rosji sowieckiej. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę komisje rządowe zadecydowały, że najważniejsze zabytki nie wrócą do Nieświeża, lecz na Wawel i Zamek Królewski w Warszawie. Dla Warszawy odzyskano m.in. obrazy Canaletta. Na Wawel trafiły: arrasy Zygmunta Augusta, Szczerbiec, chorągwie, a także wspomniane pamiątki z Nieświeża. Tuż przed wkroczeniem hitlerowców do Krakowa zawartość Skarbcza, tak jak arrasy, została ewakuowana i przez Rumunię, Francję, Anglię trafiła do Kanady. Kosztowności wróciły na Wawel w 1959 r., po czym natychmiast przystąpiono do swego rodzaju rekonstrukcji Skarbcza Koronnego. Oprawę nowej ekspozycji zaprojektował prof. Adam Młodzianowski.

Skarbiec systematycznie się rozrastał. Wielokrotnie powracał dylemat, czy rekonstruować zaginione regalia. A może skoncentrować się na multimediach? Oba rozwiązania z powodzeniem można jednak odnieść do procesu budowy samochodu z klocków Lego. Nie da się w ten sposób wykreować prawdziwego pojazdu. Owszem, znamy kopie Szczerbca, tak jak pokuszono się o stworzenie ze złota i z kamieni jubilerskich duplikatu korony Chrobrego. Tym działaniom zawsze jednak bliżej będzie do karykatury niż oryginału.

Podobnie z Archiwum Koronnym – wiele szczęśliwie ocalałych dokumen-

tów znajduje się dzisiaj w Archiwum Głównym Akt Dawnych, w Bibliotece Czartoryskich, w Ossolineum. Dlatego w Skarbcu, w sali poświęconej Archiwum chcemy zaprezentować pojedyncze dokumenty wypożyczone z tych instytucji, pedantycznie dbających o dobrostan owych świadectw naszej historii. W sąsiedniej sali postaramy się przypomnieć fakt przechowywania na co dzień obok Skarbcza arrasów, wywieszanych w komnatach jedynie od święta.

Tysiąc utraconych klejnotów

Zygmunt August zapisał Rzeczypospolitej niemal tysiąc klejnotów, które stały się jego życiową pasją kolekcjonerską. Do Skarbcza trafiła także część kosztowności królowej Bony odzyskanych z Bari. Rzeczpospolita to roztrwoniła, w czym udział miał zarówno polski parlament, jak i kolejni władcy, traktujący państwowy Skarbiec niczym swoją prywatną własność.

Zasadniczo każdy monarcha miał własną szkatułę i nią powinien rozporządzać, a nie sięgać do Skarbcza Koronnego. Wielokrotnie jednak czytamy w przekazach, że nie tylko Wazowie, ale nawet Jan III miał sporo na sumieniu w tym względzie. Władca ten, uchodzący za wzór wszelackich cnót, na odjezdne francuskiego posła ofiarował mu pierścień z monogramem Zygmunta Augusta. Skąd Sobieski go miał? Zabrał ze Skarbcza czy kupił na wyprzedaży klejnotów (bo i taka była)? Faktem jest, że z niezwyklej kolekcji kosztowności legowanej Rzeczypospolitej w testamencie ostatniego Jagiellona do dziś zachowały się pojedyncze klejnoty, rozproszone po świecie.

Nowa ekspozycja

W Skarbcu swoje eksponowane miejsce będą mieć – tak jak dotąd – Szczerbiec i miecz ceremonialny Zygmunta Starego. Ten ostatni wrócił na Wawel w 1962 r. dzięki ofiarności Polaków skupionych wokół Instytutu Sikorskiego w Londynie.

W tych ponurych czasach nasi rodacy na emigracji zachowali się propaństwowo. Zdawano sobie sprawę z tego, że Wawel pod zarządem prof. Jerzego Szablowskiego nie jest ekspozyturą Ko-

mitetu Centralnego PZPR, tylko samodzielnym muzeum, wolnym od panującej w kraju ideologii. Podnoszono, że na Wawelu w przykładowy sposób i z pasją dba się o dobrostan zabytków. Taka postawa opiekunów skarbców wawelskich przyczyniła się do serii spektakularnych darowizn, zakupów i depozytów. Przykładowo od 1962 r. chlubimy się depozytem Opactwa Benedyktynów w Tyńcu, obejmującym m.in. dwa pastorały pierwszych opatów i najstarszy polski szczyt złoty kielich z pateną z drugiej połowy XI wieku.

W zupełnie nowej odsłonie i nowym świetle pokazemy płaszcz kawalera Orderu Świętego Ducha ofiarowany przez Ludwika XIV Janowi III Sobieskiemu w 1676 r. Ta znakomicie zachowana pamiątka stanie się wizytówką nowego Skarbcza. Wśród niewystawianych dotąd zabytków zaprezentujemy m.in. chorągiew Konfederacji Krakowskiej króla Jana Kazimierza. Po rewindykacji z Rosji była w bardzo złym stanie i dopiero nowoczesna, tzw. kwalifikowana gabłota umożliwi jej bezpieczną ekspozycję.

Gdy idzie o dobór zabytków – jeszcze nie powiedzieliśmy ostatniego słowa. Wciąż trwają rozmowy z właścicielami cennych dzieł sztuki i pamiątek, które chętnie pozyskalibyśmy w depozyt. Monitorujemy rynek aukcyjny i antykwaryczny na świecie, co od czasu do czasu przynosi satysfakcjonujące efekty. Na aukcji Sotheby's w Paryżu zakupiliśmy srebrną patelę z zastawy Zygmunta III Wazy. Patera powstała ok. 1617 r. w jednym z ważnych augsburskich warsztatów złotniczych. Tuż przed szwedzkim potopem Jan Kazimierz sprzedał ją wraz z wieloma innymi wazowskimi kosztownościami. Udało się nam wylicytować to wybitne dzieło europejskiego złotnictwa za mniej więcej połowę rzeczywistej jego wartości; sprzyjał nam pośpiech i roztargnienie francuskich specjalistów... ©

Autor jest kustoszem, kuratorem zbiorów złotnictwa w Zamku Królewskim na Wawelu, twórcą koncepcji i scenariusza ekspozycji Nowego Skarbcza Koronnego.

CIEMNA STRONA ŚWIATA

Obserwacje astronomiczne sugerują, że materia, jaką znamy, to zaledwie kilka procent tego, co istnieje.

SEBASTIAN J. SZYBKĄ

NAUKA UJAWNIA, ŻE RZECZYWISTOŚĆ ma wiele warstw, z których część nie jest bezpośrednio dostępna naszym zmysłom. Fizycy sięgając do jednej z nich – kwantowego świata cząstek – odkryli, iż rządzi się ona odmiennymi od „naszych” prawami. Np. właściwości kwantowych obiektów zdają się nie być jednoznacznie określone przed dokonaniem pomiaru. To tak, jakby nasze skarpетки mogły być równocześnie czarne i czerwone, a ich kolor ustalałby się z pewnym prawdopodobieństwem dopiero, gdy ktoś na nie spojrzy.

Jednym z mieszkańców tego świata są neutrina. Niewyobrażalnie duże ilości tych cząstek w każdej sekundzie przenikają nasze ciało, ale trzeba było kilku dekad rozwoju wyrafinowanych technik detekcji, aby potwierdzić ich istnienie. Dokonano tego w 1956 r., przyglądając się zachowaniu innych, znanych wówczas cząstek – protonów. Na co dzień bardzo łatwo zapomnieć o istnieniu neutrin, bo choć wszechobecne (ogromne ich ilości powstają choćby w Słońcu), słabo oddziałują z cząstkami, z których składa się wszystko, co znamy.

Neutrina to dobry przykład na ogólniejsze zjawisko w fizyce: wygląda na to, że wiele składników naszego świata bardzo trudno zaobserwować, a „solidne” obiekty materialne, jakim są choćby nasze ciała, to wyjątek. Dlaczego szukaliśmy neutrin, skoro nikt ich wcześniej nie widział? Fizyka posługuje się filozoficzną zasadą brzytwy Ockhama – „nie należy mnożyć bytów ponad konieczność”. Naukowcy stawiają hipotezę o istnieniu elementów rzeczywistości nieujętych przez standardowe teorie tylko wtedy, gdy obserwacje tego, co znamy, sugerują, że jest to niezbędne.

Żaden ze współczesnych eksperymentów badających świat w małej skali nie rejestruje istotnie nieoczekiwanych sygnałów, tak jak to miało miejsce w przypadku neutrin. Za to niespodzianka pojawiła się w zupełnie innej części fizyki. Obserwacje astronomiczne tego, co naprawdę duże – galaktyk i wszechświata – sugerują, że oprócz materii, którą dobrze znamy, powinno istnieć coś jeszcze.

Dwa nowe składniki

W astronomii konieczność rozszerzenia katalogu tego, co istnieje, zaczęła powoli się wyłaniać już prawie sto lat temu. W 1933 r. Fritz Zwicky doszedł do wniosku, że w gromadach galaktyk powinno znajdować się więcej materii, niż widzą astronomowie – galaktyki poruszały się tak, jak gdyby były przyciągane przez dużą niewidoczną masę. Tę brakującą masę nazwano ciemną materią. Z czasem obserwacje dostarczały różnych argumentów przemawiających za jej istnieniem, a dziś generuje się nawet „mapy” ciemnej materii, obrazujące jej rozkład w kosmosie.

To jednak nie koniec – zupełnie nowego rodzaju „niewidocznego towarzysza” ujawniły badania w skalach kosmologicznych. Wynika z nich, że oprócz ciemnej materii w naszym dotychczasowym opisie wszechświata brakuje czegoś jeszcze. Ten drugi składnik określa się najczęściej mianem ciemnej energii.

Teoria grawitacji sformułowana przez Einsteina dała nam na początku XX w. unikatową możliwość próby opisu całego wszechświata jako jednego wielkiego układu fizycznego. Obecnie, ponad sto lat później, możemy powiedzieć, że próba ta wypadła pomyślnie. Współczesny model kosmologiczny, pomimo swoich ograniczeń i problemów, stanowi zaskakująco skuteczne narzędzie umożliwiające zrozumienie wszechświata na zatrwajającym wielkich skalach czasu i przestrzeni. Obserwacje astronomiczne wskazują, że wszechświat się rozszerza – galaktyki systematycznie oddalają się od siebie – a teoria Einsteina pozwoliła nam zrozumieć, że kiedyś był on niewyobrażalnie gęsty i gorący (właśnie to nazywamy Wielkim Wybuchem). Model ten umożliwia również określenie, z czego składa się obserwowalny wszechświat. Ku zdumieniu astronomów pod koniec XX w. obserwacje ujawniły, że rozszerzanie naszego wszechświata przyspiesza. Te obserwacje, zinterpretowane w ramach modelu kosmologicznego, zdaniem wielu fizyków wskazują właśnie na istnienie ciemnej energii – hipotetycznej formy energii wypełniającej przestrzeń.

Co więcej, wygląda na to, że zdecydowana większość tego, co istnieje teraz, ma postać ciemnej energii (ponad dwie trzecie całości) oraz ciemnej materii (trochę mniej niż jedna trzecia). Materia, z której zbudowane są nasze ciała, gwiazdy, kos-

miczny gaz i pył – a więc wszystko, co składa się z protonów i neutronów – to zaledwie jedna dwudziesta całości. Dodajmy, że bliskie naszemu sercu obiekty, takie jak gwiazdy i planety, stanowią nikiły ułamek tego małego fragmentu (porównywalny z częścią przypadającą na neutrina). Jeśli kosmolodzy mają rację, w takim razie to, co dotychczas uważaliśmy za świat, jest tylko lukrem na pączku stworzenia.

Nieuchwytne cząstki

Zatem prawie wszystko, co istnieje, to ciemna energia i ciemna materia. Przymiotnik „ciemna” wskazuje, że nie potrafimy bezpośrednio podglądać tych dwóch dominujących składników wszechświata. Chociaż przypuszczamy, że istnieją one również tu, na Ziemi, to dotychczas nie udało się ich dotknąć ani uchwycić za pomocą żadnych technologii. O ich istnieniu wnioskujemy wyłącznie na podstawie tego, w jaki sposób, poprzez grawitację, wpływają na ruch innych obiektów: galaktyk, gwiazd, światła...

W astronomii metoda przewidywania istnienia niewidocznych obiektów, np. planet, za pośrednictwem ich wpływu na ruch obiektów, które widzimy, sprawdziła się wielokrotnie. Dzięki niej w XIX w. odkryto za pomocą matematycznych obliczeń planetę Neptun, zanim ją zaobserwowano przez teleskop. Obecnie jest to ponadto standardowa metoda poszukiwania planet pozasłonecznych. Dokładnie taka sytuacja ma miejsce w kosmologii. Gwiazdy i galaktyki są niczym lampki na ogrodowej choince. Z ich ruchów i rozłożenia możemy nawet w nocy odczytać kształt niewidocznych drzewka.

Dominująca obecnie hipoteza zakłada, że ciemna materia składa się z cząstek, choć nie mogą to być dokładnie te same cząstki, które znamy już z fizyki. Pomimo trwających prawie pół wieku prób dotychczas nie udało się bezpośrednio ich zarejestrować. Poszukując ciemnej materii, przeważnie przyjmujemy najprostsze założenie, że odpowiada jej jeden rodzaj cząstek. Jednak obecnie nie potrafimy wykluczyć możliwości, że jej struktura jest bardzo złożona.

Natura ciemnej energii jest odmienna od natury ciemnej materii. Przypuszcza się, że wypełnia ona przestrzeń równomiernie. W przeciwieństwie do zwykłej ➔

→ oraz ciemnej materii ciemna energia nie tworzy zgęstnień. Właśnie dlatego mamy nikłe szanse, by wykryć ją bezpośrednio w laboratorium – łatwiej dostrzec kostkę masła niż tę samą kostkę masła rozsmarowaną równomiernie po podłodze hali gimnastycznej. Pojęcie „ciemnej energii wypełniającej wszechświat” brzmi bardzo tajemniczo, a ponadto bywa ono używane zamiennie z kompletnie inaczej brzmiącym terminem „stała kosmologiczna”. Spróbujmy może rozjaśnić nieco mroki spowijające ciemny sektor energetyczny wszechświata.

Stały problem kosmologii

Einstein odkrył równania teorii grawitacji w roku 1915. Teoria ta, zwana ogólną teorią względności, opisuje grawitację jako efekt geometryczny. Czasu i przestrzeni nie sposób rozdzielić, stąd sensownie można mówić wyłącznie o obiekcie zbudowanym z tych dwóch pojęć, tzw. czasoprzestrzeni. Czasoprzestrzeń jest tworem geometrycznym, który zakrzywia się pod wpływem nagromadzonej w nim materii i energii. Lewa strona równań Einsteina zbudowana jest z wielkości określających geometrię. Po prawej stronie znaku równości mamy wielkości określające rozłożenie materii i energii w czasoprzestrzeni.

Dwa lata po odkryciu równań teorii grawitacji Einstein wprowadził do nich pewną poprawkę. Przekonany o niezmienności wszechświata, uzupełnił równania o dodatkową wielkość, zwaną stałą kosmologiczną. Pojawiła się ona po lewej, geometrycznej stronie równań. Pozwoliła zrównoważyć przyciągające działanie grawitacji. Umożliwiło to stworzenie modelu wszechświata, który nie podlega ewolucji – taki wszechświat nie rozszerza się ani nie kurczy, nie ma więc także początku (Wielkiego Wybuchu).

Model zaproponowany przez Einsteina okazał się niepoprawny: po pierwsze był on matematycznie niestabilny, niczym równania opisujące igłę ustawioną pionowo na swoim ostrzu, a po drugie, był sprzeczny z obserwacjami astronomicznymi wskazującymi na ucieczkę odległych galaktyk. Choć motywacja przemawiająca za wprowadzeniem stałej kosmologicznej okazała się błędna, to stała ta, raz zaistniawszy, nie pozwoliła tak łatwo usunąć się z fizyki. Jak zauważa noblista Roger Penrose, wprowadzenie stałej kosmologicznej do równań Einsteina jest

Na ogół zakładamy,
że ciemnej materii
odpowiada
jeden rodzaj cząstek.
Ale nie da się wykluczyć,
że jej struktura jest
bardziej złożona.

w zasadzie jedyną możliwą modyfikacją, która nie zmienia drastycznie niektórych podstawowych cech tej wspaniałej teorii.

Mniej więcej do końca XX w. przypuszczano, że stała kosmologiczna jest równa zero. Problem stałej kosmologicznej dotyczył prób zrozumienia tego faktu. Jak pokazuje artykuł Stephena Hawkinga z 1984 r. o znamienym tytule „Stała kosmologiczna prawdopodobnie jest równa zero”, próbowano uzasadnić znikanie tej stałej, posilując się argumentami teoretycznymi bazującymi na teorii grawitacji wzbogaconej o hipotetyczne efekty kwantowe.

Sytuacja zmieniła się diametralnie za sprawą obserwacji astronomicznych z końca XX w. Dwa zespoły astronomów przedstawiły wówczas wyniki obserwacji odległych supernowych, czyli eksplozujących gwiazd. Dane obserwacyjne, zinterpretowane w ramach teorii Einsteina, wskazywały na przyspieszanie ekspansji wszechświata. Najprostszym wytłumaczeniem dla przyspieszonej ekspansji jest niezerowa (dodatnia) stała kosmologiczna. Na początku XXI w. „problem stałej kosmologicznej” zmienił swoje znaczenie i jest utożsamiany z pytaniem: dlaczego stała kosmologiczna jest niezerowa i ma taką wartość, jaka wynika z obserwacji astronomicznych?

Energia próżni

Rozwiązanie problemu stałej kosmologicznej wymaga znalezienia dla niej fizycznej interpretacji. Jeśli wielkość ta występuje po lewej stronie równań Einsteina, to jest fundamentalną stałą określającą właściwości grawitacji. Istnieje również odmienna interpretacja. Erwin Schrödinger, jeden z twórców mechaniki kwantowej, w 1918 r. zaproponował statyczny model wszechświata, który formalnie odpowiadał statycznemu

modelowi wszechświata Einsteina. Różnica pomiędzy tymi dwiema matematycznymi konstrukcjami polegała na tym, iż w modelu Schrödingera zamiast stałej kosmologicznej wprowadzono energię o dziwnych właściwościach. Einstein zauważył, że oba modele są sobie równoważne pod pewnymi warunkami, a jedyna istotna różnica polega na tym, że człony ze stałą kosmologiczną zostały przełożone z lewej strony równań Einsteina na prawą stronę, zyskując przy tym nową interpretację energii wypełniającej wszechświat. Skąd mogłaby się brać ta energia?

Na początku XX w. zrodziła się mechanika kwantowa. Jedną z jej konsekwencji jest tzw. energia punktu zerowego, czyli najniższa energia danego układu fizycznego. Energia ta, inaczej niż ma to miejsce w fizyce klasycznej, jest niezerowa. Jeśli więc zastosować ten koncept do próżni, to okazuje się, że również próżnia powinna charakteryzować się pewną energią. Przed powstaniem mechaniki kwantowej fizycy wierzyli, że próżnia jest nudna jak gładka powierzchnia wody. Gdyby uzupełnić tę analogię o prawa mechaniki kwantowej, okazałoby się, że na powierzchni wody zawsze muszą istnieć niezliczone drobne fale.

Koncepcja energii próżni jest dla fizyków atrakcyjna, bo łączy ze sobą dwie różne teorie fizyczne dotyczące najmniejszej i największej skali. Taka unifikacja byłaby jawnym znakiem, że prace postępują we właściwym kierunku. Stała kosmologiczna zyskuje w ten sposób fizyczną interpretację, która daje nadzieję na wyliczenie jej wartości z rozważań teoretycznych.

Próby wyliczenia wartości stałej kosmologicznej skończyły się jednak najbardziej spektakularną porażką w dziejach fizyki. Rozbieżność przewidywań z wartością stałej oszacowanej na podstawie obserwacji astronomicznych sięga stu dwudziestu jeden rzędów wielkości. Fizyka nie zna tak wielkich liczb! To niewyobrażalnie większy błąd niż pomylenie mrówki ze wszechświatem.

Trudno zaprzeczyć, że czegoś tutaj nie rozumiemy. Mimo że problem ten znany jest już prawie od stu lat, nie udało się go do dzisiaj rozwiązać. Obserwuje się pewne efekty kwantowe (tzw. efekt Casimira), które mogłyby wynikać z istnienia energii próżni, lecz ich interpretacja jest niejednoznaczna. Wielu wpływo-

wych fizyków, takich jak Wolfgang Pauli i Pascual Jordan, zwątpiło w fizyczną realność energii próżni. Roger Penrose uważa, że „całkowicie mylące jest myślenie o ciemnej energii jako jakiegokolwiek materialnej substancji, czy też jako o energii próżni”. Jeśli ma rację, to jedyną nieznaną składową wszechświata pozostaje ciemna materia, a przyspieszoną ekspansję wszechświata powoduje stała kosmologiczna, która określa właściwości grawitacji (lewa strona równań Einsteina) i której nie powinno określać się mianem ciemnej energii.

Choć nie wiemy nawet, czy stałą kosmologiczną można powiązać z energią próżni, wielu fizyków idzie o krok dalej i proponuje inne formy energii wypełniające przestrzeń, takie jak kwintesencja. Kwintesencja o odpowiednio dobranych właściwościach mogłaby być trudna do odróżnienia od stałej kosmologicznej. Obecnie wszystkie wyniki obserwacji pozostają zgodne z hipotezą stałej kosmologicznej, a najnowsze dane astronomiczne nakładają coraz to silniejsze ograniczenia na alternatywne formy ciemnej energii.

W sidłach grawitacji

O istnieniu ciemnych składowych wszechświata wiemy tylko dzięki wykryciu ich grawitacyjnego wpływu na obserwowalną materię i światło. Choć, jak pamiętamy, taka metoda detekcji niewidocznych obiektów sprawdzała się w przeszłości znakomicie, historia nauki każe zachować ostrożność. Przynajmniej raz, w XIX w., zdarzyło się tak, że grawitacyjnie „odkryty” obiekt nie istniał. Winę za błędną predykcję ponosiła teoria grawitacji Newtona. Nie dość dokładnie opisywała ona ruch Merkurego, a niezgodność przewidywań z obserwacjami najprościej było wytłumaczyć istnieniem dodatkowej planety. Ale planety tej, nazwanej Wulkanem, nigdy nie znaleziono. Problem ruchu Merkurego został rozwiązany dopiero, gdy Einstein odkrył bardziej precyzyjną teorię grawitacji.

Większość naukowców traktuje istnienie ciemnej strony wszechświata bardzo poważnie. Powstało nawet specjalistyczne czasopismo poświęcone tylko temu zagadnieniu: „Physics of the Dark Universe”. Obecnie kilkadziesiąt eksperymentów próbuje zarejestrować cząstki ciemnej materii. Za istnieniem ciemnej energii (w postaci stałej kosmologicznej) i materii przemawiają wyniki

Przypuszcza się,
że ciemna energia
**równomiernie wypełnia
całą przestrzeń.**

W przeciwieństwie
do materii nie tworzy
ona zgęstnień.

bardzo licznych obserwacji. Wszystkie one opierają się na założeniu, że teoria grawitacji Einsteina dobrze opisuje rzeczywistość nie tylko w obrębie Układu Słonecznego, ale również na dużo większych odległościach. Jeśli jednak teoria Einsteina nas zwodzi, to zarówno ciemna energia, jak i materia mogą nie istnieć naprawdę.

Obecnie nie potrafimy wykluczyć także pośrednich scenariuszy implikujących, że choć ciemne składniki świata istnieją, to nie jest ich tyle, co przypuszczamy. Z drugiej strony, wszystkie nasze dotychczasowe obserwacje są zgodne z teorią grawitacji Einsteina i nie mamy podstaw, by nie wierzyć w jej skuteczność nawet na niewyobrażalnie dużych kosmologicznych odległościach.

Po drugiej stronie

Powszechnie przyjmowana interpretacja wielu obserwacji astronomicznych implikuje, że wszechświat tylko w ok. 5 proc. składa się z materii, którą dobrze znamy.

Przykład neutrin, nieustannie przenikających nasze ciała, ale odkrytych stosunkowo niedawno, pokazuje, że hipoteza ciemnego wszechświata nie jest tak kontrowersyjna, jak by się to mogło wydawać. Jednak w fizyce nigdy nie mamy pełnej pewności. Istnienie neutrin jako realnych cząstek potwierdziło wiele eksperymentów. Potrafimy obserwować neutrina pochodzące od źródeł astrofizycznych. Potrafimy również generować je sami. Za odkrycia związane z neutrinami przyznano cztery Nagrody Nobla. Obecnie o istnieniu ciemnej energii i materii wnioskujemy zaś tylko na podstawie ich grawitacyjnego oddziaływania.

W 2011 r. przyznano Nagrodę Nobla za odkrycie, że wszechświat rozszerza się coraz szybciej. Ale, jak już wiemy, niekoniecznie oznacza to, że przestrzeń wypełniona jest jakąś nieznaną formą ciemnej energii.

Istnienie neutrin ma więc zupełnie inny status w fizyce niż istnienie ciemnej energii i materii. Jak jest naprawdę? Być może dowiemy się niedługo. Każdego dnia nasza wiedza o wszechświecie wzrasta. Na 22 grudnia 2021 r. zaplanowano wyniesienie w przestrzeń kosmiczną teleskopu Jamesa Webba, następcy sławnego teleskopu Hubble’a (wydarzenie to było już przekładane, więc miejmy nadzieję, że dojdzie do skutku tym razem). Ten teleskop, wraz z innymi nowymi instrumentami, może pomóc w rozwiązaniu wielu kosmicznych zagadek – w tym rozstrzygnięciu hipotezy istnienia ciemnej energii i ciemnej materii.

© SEBASTIAN J. SZYBKĄ

POŻEGNANIE

Diligentibus Deum omnia cooperantur in bonum

Zawiadamiamy, że 4 grudnia 2021 roku, w wieku 84 lat,
odszedł do domu Pana

Ś.†P.

Ksiądz Feliks Lenort

Miłujący Boga człowiek o wielkim sercu i szerokich horyzontach.

Duszpasterz dialogu. Wieloletni dyrektor Biblioteki Wydziału Teologicznego UAM w Poznaniu, autor i wydawca, dla którego książki były prawdziwą pasją. Wierzył w Kościół wielu barw i otwartych drzwi.

POGRĄŻONA W SMUTKU RODZINA I GRONO PRZYJACIÓŁ

Kosztowna adaptacja

SZYMON DROBNIAK Z SYDNEY

Niewiele jest miejsc tak silnie doświadczających pierwszych objawów katastrofy klimatycznej jak Australia. I niewiele państw, których władze tak mało się tym przejmują.

KIEDY NA PRZEŁOMIE 2019 i 2020 r. w środku australijskiego lata Nowa Południowa Walia i Wiktoria płonęły, wydawało się, że doszliśmy do momentu przełomowego. Do punktu bez powrotu, po którym muszą nastąpić polityczne rewizje i zmiany programów. Co mogłoby być bardziej jaskrawą wizualizacją katastrofy klimatycznej niż spłoniecie bezcennych lasów pacyficznym o powierzchni większej niż Wyspy Brytyjskie, unicestwienie trzech miliardów zwierząt kręgowych, wielokrotnie większej liczby bezkręgowców oraz znanych i nieznanych nauce gatunków grzybów, słuzowców i roślin?

Niestety, szybko potwierdziły się najgorsze obawy. Tuż obok dogasających jeszcze zgłiszczy buszu Nowej Południowej Walii premier Australii Scott Morrison jak mantrę powtarzał jedno słowo: adaptacja. Nie mówił o redukcji emisji gazów cieplarnianych, racjonalnej polityce klimatycznej, o prawdziwych zmianach. Zamiast tego Morrison nieustannie przekonuje, że Australia nie musi podejmować żadnych wymiernych działań. Ocieplenie klimatu jest według niego stanem niemożliwym do powstrzymania (dla niektórych słuchaczy rezerwuje bardziej radykalny przekaz – że globalnego ocieplenia nie ma), a z całą pewnością nie za cenę jakichkolwiek poświęceń Australii czy minimalnego choćby spowolnienia rozwoju gospodarczego kraju.

Według premiera Australijczycy powinni po prostu przyjąć do wiadomości codzienność monstualnych fal upałów, coraz częstszych katastrof pożarowych – i przystosowywać się do klimatycznej oczywistości.

Serial katastroficzny

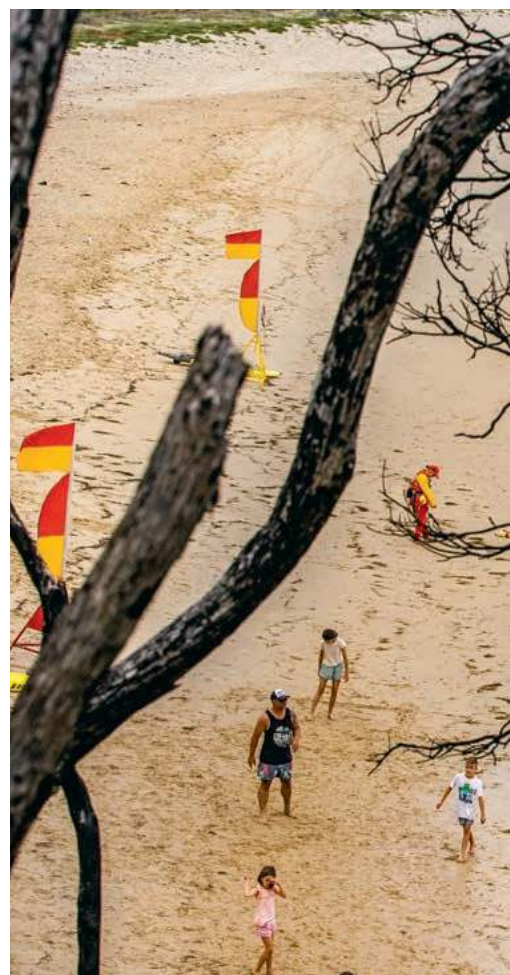
Blisko dwa lata po czarnym lecie Australia jest w tym samym albo jeszcze bardziej absurdalnym z klimatycznego

punktu widzenia miejscu. Złożyło się na to kilka w zasadzie losowych czynników, jeden po drugim uderzających w kontynent po dramatycznych pożarach. Najpierw pandemia koronawirusa, potraktowana tu wyjątkowo restrykcyjnie: na ponad półtora roku Australia zamieniła się w zamkniętą twierdzę, wszelkimi sposobami ograniczając podróże na kontynent i z niego.

Nawet teraz, gdy wyszczepialność społeczeństwa sięga 80 proc., a w niektórych regionach grubo ponad 90 proc., większość stanów i terytoriów Australii w dalszym ciągu zamyka swoje granice dla reszty kraju, nie mówiąc już o przybyściach z zagranicy. Najbardziej niszczące były jednak lockdowny: wepchnęły one w stagnację tereny zdewastowane przez pożary, skazując mieszkańców na wędrowanie wśród zgłiszczy, w oczekiwaniu na wieczne opóźniające się działania rządu, samorządów i prywatnych ubezpieczycieli.

Pozostawieni samym sobie, zwłaszcza w oddalonych od dużych miast częściach kraju, Australijczycy ze zgrozą obserwowali nie tylko niemoc publicznych systemów pomocowych, krępowanych narastającymi restrykcjami pandemicznymi, ale także stopniowy rozkład poczucia wspólnoty i więzi w lokalnych społecznościach. Z wielu najbardziej dotkniętych pożarami obszarów docierały opowieści o mieszkańcach miasteczek i wsi pogrążonych w zgorzknieniu i wzajemnych pretensjach, a u progu chłodnej i wilgotnej zimy wszystko to podsycane było poczuciem bezradności w obliczu kolejnej katastrofy naturalnej.

Jakby tego było mało, po morderczych upałach i suszach klimatyczne wahadło wychyliło się w drugą stronę, spełniając kolejne ostrzeżenia klimatologów. Choć utarło się mówić o „globalnym ociepleniu”, termin „katastrofa klimatyczna”



przyjmowany przez wiele mediów i redakcji jest bardziej precyzyjny. Zmiana klimatu nie musi wiązać się tylko z falami upałów i suszami – choć są to jedne z jej bardziej dramatycznych skutków. Inną właściwością zmieniającego się klimatu są coraz bardziej gwałtowne i kontrastowe zmiany pogody, wywoływane przez rozregulowane układy atmosferyczne.

W 2020 r., po dogasnięciu ostatnich pożarów buszu, nad kontynent nadciągnęła La Niña – faza cyklu atmosferycznego ENSO (El Niño-Southern Oscillation), przynosząca susze na wschodnich krańcach Pacyfiku i wilgotną, deszczową pogodę na zachodzie, w tym nad pacyficzną Australią. Coś, co powinno dać ulgę wysuszonemu i spalonemu słońcem kontynentowi, szybko zmieniło się w kolejną katastrofę, tym razem powodziową.

Z niewielkimi przerwami ulewne deszcze nawiedzały wschodnią Australię



JENNY EVANS / GETTY IMAGES

Plaża w pobliżu miasteczka Mallacoota w Australii. Mieszkańcy i turyści upamiętniają rocznicę ewakuacji czterech tysięcy osób, które w tym miejscu znalazły schronienie podczas pożarów buszu. Grudzień 2020 r.

przez większość 2020 i 2021 r. W marcu i kwietniu 2021 r., na początku australijskiej jesieni, ogromne obszary Nowej Południowej Walii i Queensland zostały zalane jedną z największych powodzi w historii tych stanów. Woda wdarła się na przedmieścia zachodniego Sydney, zmusiła ponad 18 tys. osób do ewakuacji, a kilkanaście osób utonęło w zalanych domach i samochodach. O skali powodzi najlepiej mogą świadczyć działania podejmowane na tamie Warragamba, największej takiej konstrukcji zabezpieczającej zapasy wody pitnej dla Sydney. Od początku ulewnych deszczów w marcu 2020 r. przez kolejny miesiąc ze zbiornika zaporowego każdego dnia spuszczano objętość wody niemalże równą pojemności całej morskiej zatoki Sydney.

Po australijsku

Kiedy dziś spaceruje się ulicami Sydney lub Melbourne, katastrofa klimatyczna

jakby łagodnieje. W Sydney już w zasadzie zapomniano o dramatycznym lecie 2020 r., o dniach bez błękitu nieba i tygodniach wdychania gryzącego, siwego dymu nadlatującego znad Gór Błękitnych. Wielkie miasta Australii żyją z dala od klimatycznych problemów – pozamykani w swoich klimatyzowanych biurach ludzie rzadko kiedy w natłoku codziennych obowiązków mają czas na myślenie o klimacie. La Niña dla większości sydneyczyków oznaczała co najwyżej wybijające od czasu do czasu sztormy burzowe albo niemożność zanieczyszczenia się w oceanie, regularnie zanieczyszczanym ściekami i brudem splukiwanych przez ulewny deszcz.

Mimo to coś w umysłach Australijczyków drgnęło. Świadomość klimatyczna australijskiego społeczeństwa nie była najgorsza – ale po czarnym lecie wyraźnie wzrosła. W badaniu opinii społecznej prowadzonym przez Instytut Austra-

lii porównano postawy proklimatyczne w dwóch punktach czasowych: w lipcu 2019 r., tuż przed dramatem czarnego lata, i w styczniu 2020 r. Frakcja Australijczyków zadowolonych z skutki zmian klimatu urosła z 73 proc. do prawie 80 proc. O 15 proc. (z 43 proc. do 58 proc.) wzrósł również udział osób przyznających, że widzą obok siebie negatywne skutki zmian klimatu. O przeszło 10 proc. wzrosła proporcja ludzi gotowych zapłacić z prywatnych pieniędzy 500 dolarów i więcej w skali roku na rzecz walki ze zmianami klimatu.

Czy te społeczne zmiany nastrojów przełożą się na widzialne, namacalne efekty i politykę rządu? Wszyscy po cichu liczyli, że listopadowy szczyt klimatyczny COP26 w Glasgow będzie dla Australii okazją do, choćby niewielkiego, odbicia się od dyplomatycznej porażki, jaką od kilku lat jest polityka klimatyczna kraju. W tygodniach i miesiącach poprzedzających COP26 kolejne kraje deklarowały rewizję celów emisyjnych, zbliżając się do tego, co powinno wystarczyć, by utrzymać Ziemię w granicach limitów temperaturowych zapisanych w porozumieniu paryskim z 2015 r.

Australia z deklaracjami klimatycznymi od zawsze miała problem. Poczynając od protokołu z Kyoto (podpisanego w 1997 r., wszedł w życie w 2005 r.), gdzie wynegocjowała dla siebie korzystną klauzulę pozwalającą jej *de facto* zwiększyć emisje CO₂, kraj ten zawsze poruszał się na granicy tego, co było akceptowalne w międzynarodowej polityce klimatycznej. Cele emisyjne zadeklarowane przez Australię w porozumieniu paryskim od początku były określane jako mało ambitne, zwłaszcza biorąc pod uwagę założeń kraju oraz jego pozycję jako wiodącego eksportera węgla kamiennego na świecie. Praktycznie do samego końca premier Morrison opierał się krajowym i międzynarodowym naciskom, by przed COP26 zrewidować zobowiązania Australii i zadeklarować klimatyczną neutralność do 2050 r.

Lawirując tak, by nie nadepnąć na odciśniętym przez rządzącą Koalicję, Morrison ogłosił tuż przed COP26 australijski plan działań klimatycznych. Broszurka dumnie zatytułowana „The Australian Way” („Po australijsku”) została wysłana przez niemal wszystkich liczących się badaczy klimatu i organizacje →

→ zajmujące się działaniami na rzecz zatrzymania katastrofy klimatycznej. W dużym skrócie plan Morrisona deklaruje neutralność klimatyczną do 2050 r. (*net zero emissions* – termin ten oznacza, że do atmosfery zostanie wyemitowanych najwyżej tyle gazów cieplarnianych, ile zostanie z niej pochłoniętych) – ale bez jakichkolwiek regulacji prawnych, bez harmonogramu konkretnych działań, bez żadnych propozycji mogących uwiarygodnić te deklaracje.

Technologiczne miraż

Absurdalność „The Australian Way” podkreśla również uporczywe powtarzanie przez Morrisona i jego rząd, że drogą do klimatycznej neutralności jest technologia i adaptacja. Jasno zresztą zakomunikował to pawilon wystawowy Australii zaprezentowany w czasie COP26. Podczas gdy inne kraje chwalały się przy takiej okazji realnymi proklimatycznymi działaniami (np. ograniczaniem emisji i inwestowaniem w zieloną energię), Australia na kluczowym międzynarodowym spotkaniu dotyczącym globalnego ocieplenia zbudowała ołtarzyk dla swoich technologii energetycznych, opartych na węglu kamiennym i gazie ziemnym, oraz dla technologii wychwytywania i magazynowania dwutlenku węgla, wciąż mało realistycznych i uważanych za nieskuteczne na dużą skalę.

Australia daleka jest też od zadeklarowania wsparcia finansowego adekwatnego do swojej zamożności i wysoko-

**W Sydney
już zapomniano**
o dramatycznym lecie
2020 r., o dniach
bez błękitu nieba
i tygodniach wdychania
gryzącego, siwego dymu.

ści własnych emisji, które mogłoby pomóc najbardziej zagrożonym zmianami klimatu krajom Pacyfiku i Azji Południowo-Wschodniej. Jeśli dodamy do tego wypisanie się Australii z porozumienia zmierzającego do redukcji emisji metanu (również będącego istotnym gazem cieplarnianym) oraz lobbowanie, wraz z Chinami i Indiami, za usunięciem z finalnych ustaleń COP26 deklaracji odejścia od węgla kamiennego – dostajemy dość typową mieszankę australijskiej hipokryzji i daleko posuniętej ignorancji, do jakich przyzwyczały nas kolejne rządy tego kraju.

W 2022 r. Australijczycy wybiorą swoich reprezentantów do parlamentu. Czy będzie to kolejne zwycięstwo Morrisona i Koalicji, a wraz z nimi – zapowiedź następnych lat klimatycznej stagnacji i odkładania konkretnych działań na bliżej nieokreślone „później”? Sondaże od

kilku miesięcy wyraźnie faworyzowały Partię Pracy – głównego oponenta Koalicji. Ostatnie dane wskazują jednak na odrobienie przez Koalicję strat i realny scenariusz bliski remisowi, co oczywiście do samego końca utrudni typowanie zwycięzcy.

Ewentualna wygrana Koalicji i Morrisona oznaczać będzie zwycięstwo Australii za nic mającej katastrofę klimatyczną, i całą swoją nadzieję pokładającą w technologicznej adaptacji do zmian klimatu, a także w już niemal mitycznej zdolności Australijczyków do przystosowania się do coraz trudniejszych warunków pogodowych. Ale nawet jeśli wygra Partia Pracy, widmo klimatycznej ignorancji będzie prześladować Australię jeszcze bardzo długo. Pytanie też, czy otwarcie proklimatyczny rząd Partii Pracy zdolny będzie przeprowadzić niezbędne reformy.

Historia australijskich politycznych „wojen klimatycznych” pokazuje, że w przeszłości kończyło się to najczęściej rozbiciem o wewnątrzpartyjny opór i cyniczne kalkulacje polityczne. Ale czas na podjęcie realnych działań nieubłaganie się kończy. ©

SZYMON DROBNIK jest ekologiem ewolucyjnym i zoologiem. Prowadzi badania na Uniwersytecie Jagiellońskim i Uniwersytecie Nowej Południowej Walii w Sydney. W listopadzie ukazała się jego książka „Czarne lato”, poświęcona katastrofie klimatycznej w Australii (wyd. Czarne).

REKLAMA



NAGRODA DRAMATURGICZNA IM. TADEUSZA RÓŻEWICZA



ZAPRASZAMY AUTORÓW DO UDZIAŁU W I EDYCJI KONKURSU

Nabór tekstów do 30 marca 2022 r.

Więcej informacji: www.nagrodarozewicza.pl

Organizator

Partner

Patroni medialni

teatr
miejski
W GLIWICACH

TYGODNIK
POWSZECHNY

e-teatr.pl

TVP
KULTURA

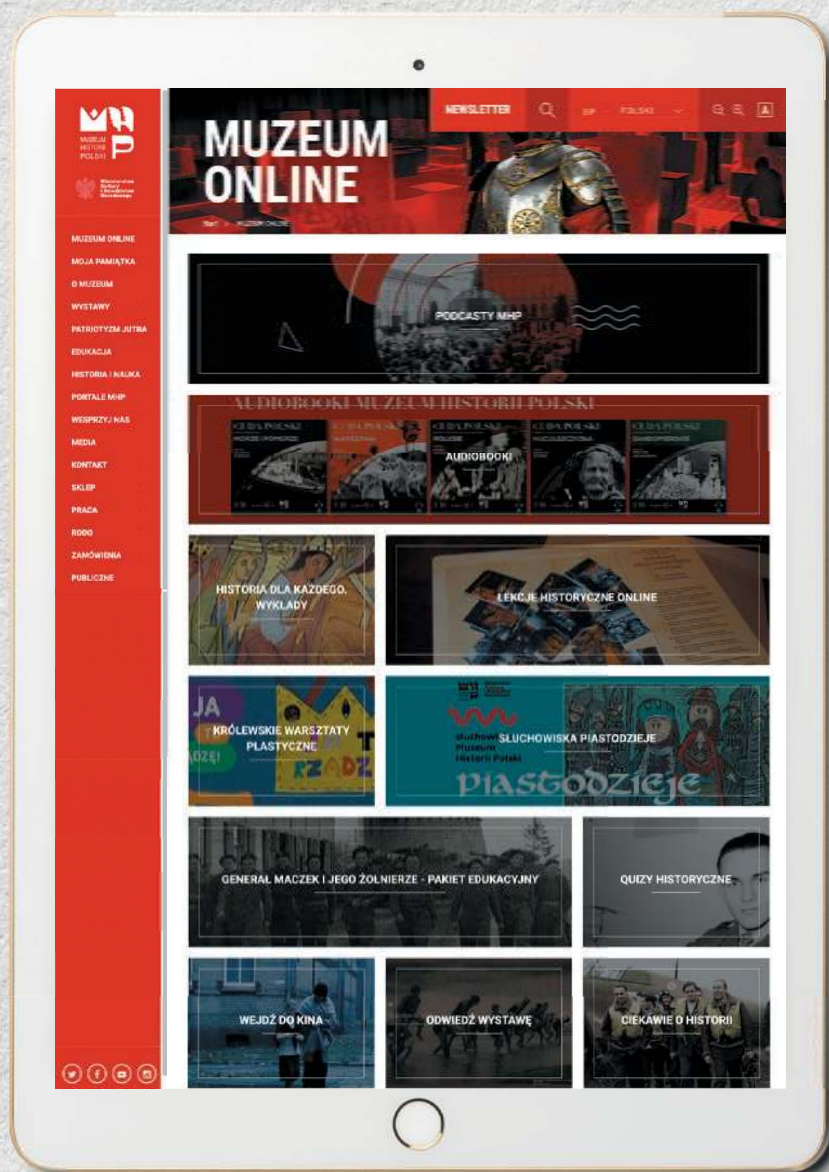
Polskie
Radio
Katowice

CZAS
literatury



Muzeum Historii Polski zaprasza do

Muzeum Online



Specjalna zakładka
na stronie
www.muzhp.pl

- # filmy
- # podcasty
- # audiobooki
- # słuchowiska
- # warsztaty artystyczne
- # e-wystawy
- # pakiety edukacyjne

NORMALNY STAN RZECZY

KAROL PALCZAK, MALARZ:

Nie lubię oświetlonych miejsc. W dzieciństwie chodziłem na roraty, światła gasły w kościele. Zastanawiałem się, czemu ksiądz nie prowadzi zawsze mszy bez świateł, byłoby sto razy lepiej. Kocham ciemność.

URSZULA HONEK: Podobno kupujesz samochody, niszczysz je, podpalasz, a potem powstają z tego obrazy.

KAROL PALCZAK: One akurat przez przypadek się spaliły. Miałem taką wizję, chciałem zrobić serię z rozwalonymi autami. Kupiłem trzy graty i po prostu dwa spuściliśmy ze skarpy.

Po prostu? To legalne?

Hmmm, nie wiem. Ale to zabawne spuścić z takiej skarpy auto. Jeszcze przez przypadek kolega do diesla nalał benzyny, coś na odwrót zrobił i nam auto zgasało przy samej górze, i musieliśmy popchać.

Lubisz coś zniszczyć?

Nie, no co ty. Mogłem zadzwonić do kuzyna, który pracuje w straży, i powiedzieć, że jak będzie wypadek, to żeby mi dał znać, ale uznałem, że nie wypada. Miałbym tam stać i patrzeć? Chciałem, żeby to było pod kontrolą, więc sam zrobiłem. Okazało się jednak, że wcale nie jest prosto rozwalić auto w taki sposób, aby było dobrze. Staczając się utknęło w jakichś krzakach i trzeba było znów pchać. A na koniec jeszcze włożyłem racę do środka, bo chciałem zobaczyć, jak będzie wyglądało z dymem, i się zapaliło siedzenie, a potem reszta. Minuta i auto stało w płomieniach.

A co z ludźmi? Twoje wczesne portrety były smutne, ale łagodne – z mamą, z babcią, ojcem.

Ostatnie prace są wstrząsające. Na przykład mężczyzna zarzuca sznur na drzewo i się wiesza.

Zacząłem angażować przyjaciół i znajomych. Każdy z nich jest inny, ma własne wyobrażenie o sobie. Często gdzieś razem idziemy i inscenizujemy różne sytuacje albo wychodzą one przypadkiem i z tego powstaje ten cały świat w moich obrazach, który nie jest wymyślony. Nagrywam to, a potem maluję. Czasami mam jakieś pomysły, ale tak naprawdę wszystko jest wzięte z życia. Często to się wymyka spod kontroli i pojawia się scena. To ma być bliskie życiu i prawdzie.

Ale Ty zarzuciłeś temu człowiekowi sznur na szyję?

Sam sobie zarzucił. Ten obraz powinien być wystawiany z filmem. To była taka sytuacja: poszliśmy kręcić, miałem pomysł, żeby samemu się powiesić, a on miał mnie ratować. Jest nawet jeden taki obraz, na którym to robi. Chciałem poruszyć temat samobójstw, które są teraz bardzo poważnym problemem na wsiach. I w pewnym momencie on sam sobie zaczął zarzucać ten sznur.

On, czyli kto?

Mój znajomy z Krzywicy, bardzo ciekawy gość. Inteligentny wbrew pozorom, zresztą wszyscy są tam inteligentni. Ludzie ze wsi mają bardzo dużo mądrości, której nierzadko nie widzę w mieście, ale może nie znam wystarczająco dużo miastowych i nie powinienem się wypowiadać.

Ale malujesz ludzi, którym się nie powiodło. Ty już jesteś gdzie indziej.

Co to znaczy, że się „powiodło w życiu”? Tutaj wszyscy mają tak samo. Nikt nie ma pracy i wszyscy za nią wyjeżdżają. Nie ma perspektyw. I nie ma co się powieść. Tego się nie odczuwa, kiedy wszyscy mają tak samo. To jest normalny stan rzeczy. Mamy podobne doświadczenie z dzieciństwa, wszyscy byliśmy biedni. Utożsamiam się z nimi.

Na pewno nie jestem po stronie inteligencji (*śmiech*). Albo, jak oni o sobie mówią: postępowej inteligencji. Oczywiście nie wszyscy są źli i arogancy. Ale bardzo nie lubię, gdy ktoś uważa się za kogoś lepszego. Jeszcze ta pogarda dla Podkarpacia... Najchętniej to by powiedzieli: „Wysadzić to Podkarpacie. My, inteligencja z Warszawy, tego żądamy”.

Dlatego w wywiadach mówisz o sobie, że jesteś prostym chłopem ze wsi?

Tak, na złość. Trochę też się śmieję z tych, którzy śmieją się z tak zwanych „prostych ludzi”.

Taki śmiech z człowieka wpływa na poczucie wartości?

Miałem niskie poczucie własnej wartości, ale nie ze względu na pochodzenie. →

Karol Palczak „Bałwan”, 2016.
Olej na płycie, wielkość naturalna.



→ W takim razie na co?

To bierze się z dzieciństwa, na pewno szkoła ma na to wpływ, wychowanie, ale to są takie bardziej osobiste rzeczy. Robiłem coś i zawsze mi się wydawało, że to jest gówno, nikt mnie dobrze nie ocenił. Kiedy byłem dzieckiem, zobaczyłem w gazecie obraz Vermeera. Pomyślałem: jak nie będę tak malował, to będę nikim. Nie miałem żadnego porównania, do nikogo, bo na wsi skąd miałem mieć porównanie? Wyznaczyłem sobie taką poręczkę nieświadomie, nie wiedziałem przecież, jak wygląda inne malarstwo. Komputer też miałem późno, jakoś na studiach po raz pierwszy, wcześniej tylko telewizor, nie było skąd brać informacji, w muzeum też nie byłem. Ale dzieci na wsi tak mają. Żyją sobie i nie mają pretensji do świata. Gdybym miał wybrać jeszcze raz, to chciałbym tak samo.

A zatrudniłbyś się jeszcze raz jako strach na wróble? Podczas studiów wyjechałeś do takiej pracy w Holandii.

Dziwne uczucie – chodzić po tych polach i odstraszać ptaki. Musisz tam być trzy miesiące, nie możesz wyjechać wcześniej, bo trzeba zarobić. Dopiero wtedy czujesz, jak to jest być zniewolonym człowiekiem. Pamiętam, że przejeżdżali rowerzyści, a ja sobie myślałem: jak ja im zazdroszczę, chciałbym teraz to rzucić i pójść tą drogą. A tak – musi człowiek biedować i zarabiać swoje pięć euro na godzinę. Taka praca jest uświadamiająca, każdy powinien w życiu coś takiego przetrwać

Kupiłeś coś sobie po tej Holandii?

Zestaw farb za trzy tysiące. To było na trzecim albo czwartym roku. Wcześniej nie było mnie stać na takie. Na studiach artystycznych wszystko jest drogie. Teraz jest jeszcze gorzej, bo wszystko podrożało. Samo płótno kosztuje około osiemnastu złotych. Jeżeli student ma jeszcze kupić dobre farby, to za wszystkie kolory, które są potrzebne, musi zapłacić z pięć tysięcy złotych. Na studiach nie ma się też pracowni, a ona jest ważna. Mieszka się ze współlokatorem w małym mieszkaniu, nie ma się gdzie skupić. Niektórzy mogą pracować w akademii wśród innych ludzi, ale ja zawsze wolałem mieć ciszę, i żeby nikt nie patrzył.

Masz momenty utraty nadziei?

Dziwne uczucie – chodzić po polach i odstraszać ptaki.

Przejeżdżali rowerzyści, a ja sobie myślałem: chciałbym teraz to rzucić i pójść za nimi. Strach na wróble za pięć euro na godzinę.

Załamania? Każdy ma, ty pewnie też. Również złości, teraz może mniej. Przychodzą takie chwile, gdy traci się natchnienie, wtedy trzeba się zresetować, zrobić coś innego, gdzieś wyjechać. Bywało ciężko i wtedy sobie myślałem, że może lepiej zająć się czymś innym, np. pójść w budowlankę. Choć ja i tak zawsze bym malował. Żeby coś osiągnąć w czymkolwiek, trzeba temu poświęcić życie, postawić wszystko na jedną kartę. Tylko że tutaj stawiasz swoje życie, możesz stracić np. trzydzieści lat życia na nic tak naprawdę, nie masz niczego i szukasz byle jakiej alternatywy. Ale już straciłeś całe życie i pewnie też umiejętności społeczne i różne inne rzeczy.

Po co Ci to?

Nic mi nie będzie dawać większej satysfakcji niż malarstwo, choćbym nie wiem co innego robił. Miałem niedawno taki moment, dwa lata temu, jeszcze przed bielską nagrodą, nie wiedziałem, co malować, i pojechałem sobie rowerem do Grecji i jak już wracałem, to mi się tak strasznie nudziło i myślałem: kiedy wrócę do domu i zacznę malować? Zostanie może po mnie coś pięknego, to jest wielki dar i zaszczyt. Myślę, że każdy ma coś takiego w sobie. Ostatnio, gdy budowałem pracownię w stodole, to też było zajebiste. Codziennie idziesz i coś stwarzasz, robisz coś nowego, od zera. Murarz czy malarz – każdy coś tworzy. Praca to jest twórczość i jak nie ma pracy, to człowiek głupieje, zaczyna się nudzić i wpada w poczucie bezsensu. A w sztuce tworzysz coś z niczego, masz kilka tubek farby i tworzysz. I każdy, kto jest do czegoś powołany, czuje z tym więź i musi to robić.

Kiedy nie masz pomysłu na obraz, to co robisz, żeby nie popaść w to poczucie bezsensu?
Idę sobie wykopać rów.

Tak po prostu?

Zawsze znajdzie się powód, żeby wykopać rów. Zamierzam też posprzątać stajnię, zrobić ogrodzenie. Będę hodował świnię, kury i kaczki. Może indyki i gęsi. Dużo pracy jeszcze przede mną.

Wolisz malować ludzi czy przedmioty?

Najbardziej lubię malować szybko, dopóki czuję emocjonalną więź. Nie lubię nad jednym obrazem siedzieć długo. Im dłużej siedzę, tym bardziej moja miłość do tego obrazu zanika. Właściwie wszystko lubię malować. No, oprócz gałęzi, są wkurzające. Nie lubię też, jak na zewnątrz jest dużo liści, kolorowo. Latem rzadko można stworzyć coś dobrego, wychodzi jakaś sielanka.

A skąd u Ciebie tyle lodu?

Z Krzywczu, z Sanu. Byłem na Sanie i kręciłem filmy, kłuję ten lód, była gruba warstwa.

Ustawiam sobie martwą naturę. I z ludźmi jest tak samo. To jak z kręceniem filmu. Musisz to wszystko pustać i wydobyć istotę. Chodzi też o to, żeby to nie było takie jak na zdjęciu. Farba ma ogromną moc, tylko trzeba ją potrafić wykorzystać, a to wbrew pozorom nie jest takie trudne. Siła obrazu pochodzi z prostoty, ale żeby tę prostotę wydobyć, trzeba się przebić przez tysiące różnych narzędzi, które należy odrzucić – musisz wiedzieć, co odrzucić, żeby dojść do tej prostoty. Ale tak jest chyba we wszystkim.

Myślisz czasami o tym, co jest na Twoich obrazach?

Czasami coś odczuwam, ale zwykle, jak namaluję już obraz, to odwracam go do ściany, nie chcę na to patrzeć.

Dlaczego?

Żeby nie widzieć błędu. Najlepiej odwrócić na rok, a potem sprawdzić, czy obraz jest gówniany, czy jednak w porządku.

W pracowni wszystkie masz odwrócone do ściany?

Niemal. Zwykle maluję tak, że robię jedną warstwę – a zazwyczaj jest ich pięć – i odwracam do ściany. Potem biorę



KRZYSZTOF MORCINEK / MATERIAŁY PRASOWE

KAROL PALCZAK

(ur. 1987 w Przemyślu) jest malarzem, absolwentem Wydziału Malarstwa krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Laureat m.in. Grand Prix 44. Biennale Malarstwa Bielska Jesień, Grand Prix pierwszego Krakowskiego Salonu Sztuki; w 2020 r. nominowany do Paszportu „Polityki”.

drugi, trzeci, czwarty, piąty obraz, nakładam warstwę i znów odwracam do ściany. Codziennie biorę inny obraz, i potem druga tura, i kolejna.

Nie chcesz patrzeć na swoje obrazy, a jednocześnie niechętnie je sprzedajesz.

Niektórych nie chcę sprzedawać, np. tego z bałwankiem, lodem. Inne sprzedałem i żałuję, no ale musiałem to zrobić. Na szczęście trafiły w dobre ręce. Tych obrazów się nie wstydzę, i dobrze, że trafiły do tych właśnie ludzi. Pewne obrazy chcę mieć przy sobie. Drugiego takiego przecież już nie namaluję. Bardzo chciałbym zobaczyć swoje pierwsze prace, choć zginęły gdzieś na Allegro. Jak sprzedałem wtedy za sto sześćdziesiąt złotych, to się cieszyłem jak cholera.

Co to były za prace?

Na przykład portret mojego wujka, który siedział smutny przy stole. Jakies obrazy z egzaminów wstępnych na ASP. Trzy były fajne, chciałbym je teraz zobaczyć. Pamiętam, że na pierwszym roku studiów namalowałem obraz z postacią z „Piratów z Karaibów”. Miałem ten film na DVD i przemałowywałem z zatrzymanego kadru w telewizorze. To była postać idąca w nocy z lampą oliwną. Obraz miał metr dwadzieścia na siedemdziesiąt. Poszedłem pod Bramę Floriańską, ale gość go nie chciał. To poszedłem do sklepu z antykami

i powiedziałem, że chcę trzysta czy czterysta złotych, facet go przyjął i powiedział, że się do mnie odezwie dopiero, jak sprzeda. Wkurwiłem się, że nikt nie docenia takiego obrazu, i powiedziałem: a to sobie go weź. Potem już nie poszedłem odebrać, taki byłem zły. Pewnie gdzieś teraz krąży, nie wiadomo gdzie. Był tak podpisany, że nikt tego nie wie – czarną farbą na czarnym tle.

Malujesz swój smutek czy innych ludzi? Bo mi się wydaje, że sobie szukasz aktywności, żeby tego smutku nie było.

Nie wiem, czy ja jestem smutnym człowiekiem.

No właśnie: jesteś czy nie?

Właściwie nie jestem smutnym człowiekiem. Ja to jestem bardzo wesoły, lubię się śmiać, bawić.

No to skąd tyle smutku na Twoich obrazach?

Z prawdy. To nie jest tylko mój smutek, ale tego, co tam jest, co się wydarza, bo moi modele też często mają problemy. Tam jest po prostu życie, a ja jestem obserwatorem.

Malując ludzi z Krzywcy zbliżasz się do nich?

No pewnie. Żyjemy razem, wszystko wspólnie odczuwamy i dlatego to jest prawdziwe.

Zabierasz ich na swoje wernisaże. Chętnie jeżdżą?

Pewnie. To są fajni ludzie. Moje malarstwo jest przystępne dla zwykłych ludzi, może się podobać: drzewo się pali, wiedzą, że jest z Krzywcy, czują z tym więź.

Rozmawiasz z nimi o swoich obrazach?

Nie za bardzo. Ale z przyjaciółmi malarzami też nie. Ja to nie lubię o malarstwie rozmawiać.

A o czym lubisz?

O normalnych rzeczach.

O życiu?

To jest ciekawsze. Gdy jestem z przyjaciółmi, to rozmawiam o poważniejszych rzeczach niż sztuka. Sztuka to efekt uboczny naszego życia.

Żałujesz czasami ludzi z Twoich obrazów?

Nie. Oni są szczęśliwi.

Nie widać.

No dobra, nieraz mi żal. Wszyscy mają takie same możliwości? To nie jest prawda. Niektórzy urodzili się w jakiejś patologii i jeździli pięćdziesiąt kilometrów do szkoły, albo w rodzinie była ciężka sytuacja finansowa. Tacy ludzie na starcie mieli gorzej. Niby teraz jest już łatwiej: przeprowadza się do dużego miasta, →

→ szuka się ośmiogodzinnej pracy i można żyć. Ale co z tymi, którzy zostają, bo są pozbawieni nadziei, nie wierzą w samych siebie – tego nikt nie bierze pod uwagę.

Malujesz rzeczy, które dobrze znają: świetlówkę w stajni, kolby kukurydzy zawieszone w spiżarni, ogniska, kąpiele w lodowatej wodzie.

Tak. Chcę, żeby jednocześnie był to język dostępny dla kogoś, kto ma większe zapotrzebowania czy wymagania wobec sztuki, ale też dla ludzi, którzy powiedzą: jaki ładny, fajny, kolorowy obraz. Popatrzą na niego i np. stwierdzą: „niby taki zwykły bałwanek, a jednak coś w nim jest”.

Kolorowy? Krzywca na Twoich obrazach jest przestrzenią ciemną, zimną, nieprzyjazną.

Fascynuje mnie ciemność, bo jest tajemnicza. Nie lubię oświetlonych miejsc. Kiedy idę do muzeum sztuki współczesnej czy do kościoła modernistycznego, który jest oświetlony, wszędzie białe ściany, źle się tam czuję. Wolę półmrok. W dzieciństwie chodziłem na roraty i światła gasły w kościele. Zastanawiałem się wtedy, czemu ksiądz zawsze nie prowadzi mszy bez światła, wtedy byłoby sto razy lepiej. Kocham ciemność.

Czyli od dziecka czułeś coś takiego.
No wiesz, słońce też jest fajne.

Ale takie jak dzisiaj? Już blisko zmroku?

Każde, tylko trzeba jakiś kontrast znaleźć, żeby to nie było puste. To jak u Vermeera – wszystko oparte jest na kontraście. Nie docenilibyśmy ciemności, gdyby nie było światła, ani światła, gdyby nie było ciemności. Wszystko byłoby jednowymiarowe. Nie widzimy głębi zła, jeżeli nie zobaczymy dobra, i dobra, jeżeli nie doświadczymy zła.

U Ciebie jest dobro?

Właściwie wszystko lubię malować, oprócz gałęzi,

są wkurzające. Nie lubię też, jak na zewnątrz jest dużo liści, kolorowo. Latem rzadko można stworzyć coś dobrego, wychodzi jakaś sielanka.

A nie? Myślę, że jest coś dobrego. Piękno u mnie jest dobre, nawet jeżeli są tam złe, ciemne rzeczy. Jest tajemnica.

Nie boisz się, że skoro w Twojej twórczości tak dużo wypływa z Krzywcy, to w końcu się to wypali?

Nie boję. Myślałem już o tym kilka razy. Czasami mi się wydawało, że już nie mam co malować: tu byłem, tam byłem, już nie ma co – mówiłem sobie. Ale potem spojrzałem na rzeczywistość w inny sposób. Na przykład na samym podwórku, w jednej spiżarni czy w garażu można zobaczyć tyle tematów. Trzy wystawy można by tym obdzielić. Trzeba tylko to zauważyć.

Zostaniesz w Krzywcy na zawsze?

Nie wiem. Na razie mi się nigdzie nie spieszy. Gdyby Krzywca dostała prawa miejskie i wybudowałby blok, to bym stąd spierniczył. Wybudowałbym w lesie dom, gdyby mnie było stać, albo bym się przeniósł gdzieś w góry.

Nie czujesz się tu osamotniony?

Czuje, ale każdy się czuje osamotniony na wsi.

Ale teraz już chyba w siebie wierzysz?

Mam poczucie, że się znam na tym, co robię, znam wartość tego, czego się nauczyłem. Według mnie to, co robię, jeszcze najlepsze nie jest, ale znam swój fach, np. znam dużo technik, czuję farby, umiem ocenić swoje możliwości.

I to wszystko? Nazywają Cię nadzieją polskiego malarstwa.

Ależ to głupota.

Jesteś jednym z najbardziej rozpoznawalnych malarzy swojego pokolenia.

Ale jest bardzo dużo dobrych malarzy. Miałem dużo szczęścia. Gdyby nie te kilka osób, które spotkałem, to byłoby całkiem inaczej w moim życiu. Moja nauczycielka skierowała mnie do ludzi ze Zdynowa, była tam malarka, a jej mąż sprzedawał chyba w sklepie plastycznym na ASP. Mówili, że się tam dostanę, dali mi iskierkę nadziei, trochę pomogli z historii sztuki – i się dostałem. Potem Bogumił Książek, mój profesor, bardzo mi pomógł. Spotkałem dużo dobrych ludzi. „Nie ma co głupot gadać, musimy se pomagać” – jak śpiewał Kazik.

Udało mi się, jestem finansowo niezależny, ale kiedyś to się może skończyć.

Boisz się tego?

Nie boję się, jestem pogodzony, lepiej pogodzić się już teraz, że to wszystko może być chwilowe. Może przyjdzie czas, że nikt nie będzie chciał mnie kupować, obrazy nie będą mi wychodziły albo ktoś mnie skrytykuje i powie: „O, Palczak się już skończył, już nie ma co w niego inwestować”. Co najgorszego miałem przeżyć, to już przeszedłem, nic mnie już nie zaskoczy. Dlatego mam to gdzieś. Nigdy nie miałem spinki, na studiach było ciężko, myślałem, że może tak będzie do końca życia, że będę jeździł do tej Holandii czy do Niemiec raz na rok, zarabiał i żył. Gdybym wrócił do tego najgorszego momentu, to sobie poradzę – jak będzie, tak będzie. Nawet gdybym był teraz w biedzie, to bym nie żałował. Ale czy robiłbym takie obrazy, jak robię? Może nie miałbym na farby, aparat, komputer? Chyba że bym zarabiał w tej Holandii na szparagach.

Czyli niczego się nie boisz?

Boję się, że nie namaluję obrazów, z których będę zadowolony. Każdy z nas może mieć obawy, że nie wykorzysta swojego talentu, nie spełni się, że to, co zrobił, jest po prostu średnie.

Ale czy Ty się cieszysz z tego, co osiągnąłeś do tej pory?

Bardzo się cieszę, jest kilka obrazów, z których jestem zadowolony.

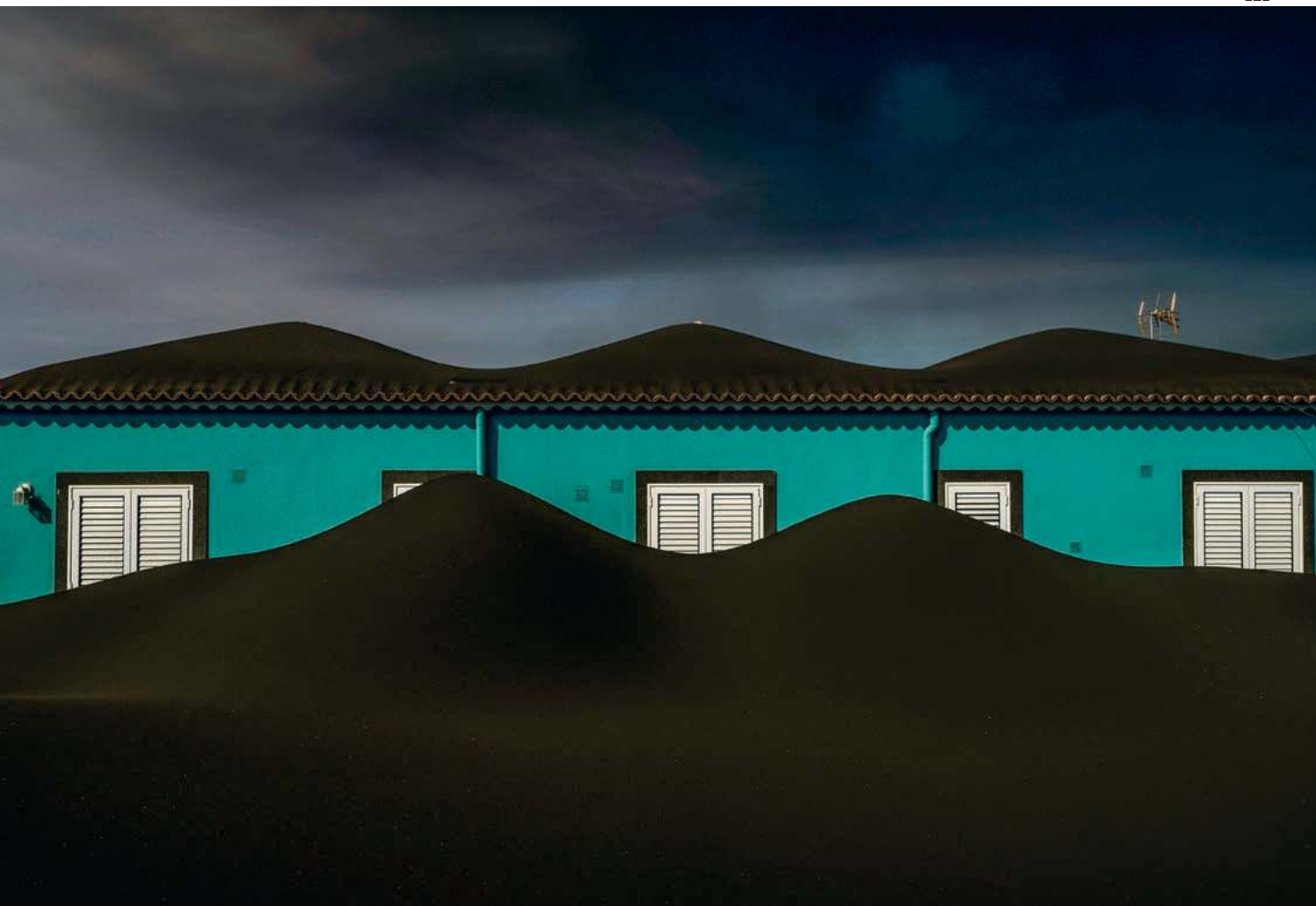
Tylko kilka?

Czasami sobie myślę, że jakbym teraz umarł, to miałbym poczucie, że mi czegoś brakuje.

© Rozmawiała URSZULA HONEK

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM www.radiokrakow.pl



Przykryte popiołem domy po wybuchu wulkanu Cumbre Vieja, La Palma, Wyspy Kanaryjskie, listopad 2021 r.

W cieniu Frankenstein

MONIKA OCHĘDOWSKA

Ustanawiając rok 2022 Rokiem Romantyzmu Polskiego, Sejm wykazał się niespotykaną intuicją. Właśnie ukazała się książka wyznaczająca symboliczny początek nowej, znów romantycznej epoki.

POGODA BYŁA PASKUDNA. DŁUGA ZIMA przeszła w deszczową wiosnę, a niebo na wiele miesięcy przybrało odcień brudnej żółci. Niemal każdą majową noc ścinały przymrozki, pod koniec lipca padał śnieg w kolorze zakrzepłej krwi. Burze niszczyły zasiewy, zdychało bydło, ceny żywności rosły, w miastach wybuchaly epidemie i zamieszki. Oglądając

zdjęcia robione podczas najbardziej zadymionych dni po ostatnich pożarach australijskiego buszu albo te z pierwszych tygodni erupcji wulkanu Cumbre Vieja na hiszpańskiej La Palmie, łatwiej wyobrazić sobie, jak musiał wyglądać tamten „rok bez lata”. Wybuch indonezyjskiego wulkanu Tambora w kwietniu 1815 r. słysząc było ponoć

w promieniu ponad dwóch tysięcy kilometrów – od Singapuru po zachodnią Australię. Wstrzyknięte w stratosferę kilometry sześcienne pyłu i tlenku siarki wywołały nagłe zmiany klimatyczne, dotkliwe także dla mieszkańców Europy i Ameryki Północnej jeszcze wiele miesięcy później.

Padający nieustannie deszcz ze śniegiem w czerwcu 1816 r. nie zachęcał do pieszych wędrówek. Mary Godwin i Percy Shelley, Claire Clairmont, przyrodnia siostra Mary, George Byron i John Polidori w willi nad Jeziorem Genewskim ku pokrzepieniu podczytywali na głos popularne wówczas „Fantasmagoriana albo zbiór opowieści o objawianiu się strachów, duchów, zjaw etc.”. Wpadli na pomysł urządzenia konkursu na najstraszniejsze opowiadanie. To właśnie wtedy Polidori (dwudziestoletni lekarz i autor rozprawy o sennowłóctwie, nąjęty przez towarzystwo do sporządzania

EMILIO MORENATTI / AP / EAST NEWS

→ opiumowych mikstur) stworzyć miał „Wampira”, a rok od niego młodsza Mary Godwin (w grudniu 1816 r. weźmie ślub z Shelleyem) – „Frankensteina” oraz jego bestię o oczach „zamglonych i żółtawych” jak niebo nad Szwajcarią.

Ponad dwieście lat później niespotykane w naszej szerokości geograficznej upały, niszczycielskie powodzie i pożary, informacje o nieustającej erupcji Cumbre Vieja oraz kolejnej fali pandemii koronawirusa nie znikają z czołówek mediów. Ale nie wystarczy wyłączyć telefon i zrezygnować z oglądania telewizji. Kiedy otrzymujemy pozytywny wynik testu na SARS-CoV-2, przekraczająca 40 stopni Celjusza temperatura powoduje problemy z układem krążenia, a każdy mikrogram pyłu PM_{2,5} w atmosferze przekłada się na spadek masy ciała rodzących się właśnie w Sydney noworodków, łatwiej zauważyć, że jesteśmy z tymi zjawiskami w nierozrwalny sposób, fizycznie wręcz splątani. Dlatego Timothy Morton, angielski filozof i literaturoznawca, a także badacz twórczości Shelleyów, nazwał je „oblepiającymi nas” hiperobiektemi.

Mortonowska „ciemna ekologia” nie zgadza się z traktowaniem tych hiperobektów jako pasywnych i bezwolnych, nie kieruje się w ich ocenie także kryterium piękna. Morton zachęca, by uznać ich podmiotowość, zdolność do sprawstwa, a tym samym – sprzymierzyć się z nimi. Czyż nie to właśnie podpowiadała Wiktorowi Frankensteinowi stworzona przez niego – z tego, co odrzucone – hybryda? I czy nie tego oczekiwała od swoich czytelników Mary Shelley, pozwalając opowiedzieć „potwornemu” jego własną historię?

O czym szumią wierzby

Pod wpływem rosnącego zainteresowania zagadnieniami związanymi ze zmianami klimatu także w literaturze pojawiła się krytyka ekologiczna albo po prostu – ekokrytyka. Nie bez przyczyny dla prekursorów „zielonych” studiów literackich ważnym punktem odniesienia jest romantyzm oraz przypadający na tę epokę początek rewolucji przemysłowej i gwałtowny rozwój nauki, doskonale uchwycony we „Frankensteinie”. Piszac swą debiutancką powieść, Shelley miała w pamięci eksperymenty włoskiego fizyka i fizjologa Luigiiego Galvaniego, który stymulował prądem truchelkę żab, przekonany, że to elektryczność jest bo-



Przypowieść o kleszczu

obrazuje zupełnie poważną tezę, zgodnie z którą nawet w tych obsesyjnie higienicznych czasach zawsze jesteśmy połączeni z nieczystym, wniechcianym i budzącym wstręt towarzyszem. Jesteśmy Frankensteinem.

skim pierwiastkiem wprawiającym ciała w ruch. Równocześnie w Londynie jedna po drugiej powstawały prywatne szkoły anatomiczne, a konkurujący ze sobą chirurdzy pilnie potrzebowali zwłok do ćwiczeń w prosektoriach. Prędko pojawili się handlarze, nazywani popularnie „ożywcami” ciał, którzy pod osłoną nocy wykopywali ledwo pogrzebanych.

Zaledwie dwa miesiące po publikacji „Frankensteina” zwodowano statek SS Savannah, który niedługo później jako pierwszy parowiec przeplął Atlantyk. W latach 20. XIX w. zaczęto podróżować koleją, a w roku 1837 Samuel Morse skonstruował telegraf, rewolucjonizując tym samym sposób komunikacji. Czasy związane z intensywnym rozwojem transportu i przekazu informacji to także początek mody na zdobywanie szczytów i innych trudno dotąd dostępnych miejsc. Popularne stają się podróże do wodospadów, starych kopalni, zaro-

śniętych cmentarzy. Zdystansowany ogląd świata, ujmowany oświeceniową metodą „szkiełka i oka”, które nie było w stanie przeniknąć do „jądra natury”, zastąpiony zostaje związkiem intensywnie emocjonalnym, zaangażowanym jednocześnie „czuciem i wiarą”. Uznaje się, że materię przenika coś metafizycznego, a wieczorny spacer wokół jeziora może przynieść nagły wgląd w podszyte grozą tajemnice natury. To jednak człowiek – zgodnie z modnymi koncepcjami Friedricha Schellinga – pozostawał koroną stworzenia. Dzisiejsi filozofowie i pisarze, którym bliskie są ciemne idee Mortona, mają zdecydowanie więcej pokory.

Jakkolwiek trudno byłoby wskazać w polskiej literaturze nurt będący odpowiednikiem popularnego na Zachodzie, romantycznego przyrodopisarstwa, to sięgając choćby po nominowaną do Bookera i nagrodzoną trzy lata temu Pulitzerem „Listownię” Richarda Powersa (przełożoną w tym roku na język polski przez Michała Kłobukowskiego), należy pamiętać o „Gloria victis” (1910) Elizy Orzeszkowej – to nie żart. Nowela o ukrytych w lasach mogiłach powstańców okazuje się niezwykle nowoczesną próbą włączenia przyrody w przestrzeń pamięci. Rozmawiające z wiatrem stare brzozy, świerki i dęby w utworze Orzeszkowej można porównać – jak zauważa Anna Barcz – „do komórek neuronowych, przewodzących w realny, materialny sposób obcość wydarzeń; zakorzeniających tragicznie to, co dotychczas było symboliczne”.

Sam Powers, mówiąc o swojej książce na łamach „Tygodnika” („TP” 25/2021), zwrócił uwagę, że „Listownię” nie jest tak naprawdę ani o drzewach, ani o ludziach, ale o relacjach – „gęstej sieci powiązań i zależności między człowiekiem a światem pozaludzkim” (w języku polskim słowo „relacja” oznacza zarówno opowieść, związek, jak i zależność). To zadziwiające, zdumiewał się pisarz, jak duża część współczesnej literatury tego nie widzi. Bez obaw, wypadłoby odpowiedzieć autorowi „Listowni” – także w najnowszej polskiej prozie pojawiły się już pierwsze próby skoncentrowane na relacjach „o” i „z” pozaludzkim.

Wyspiański z kleszczem

Wiele wspólnego z nowelą Orzeszkowej ma wydany wiosną 2019 r. „Pusty las” Moniki Sznajderman – historia mieszkańców Beskidu Niskiego i opo-

wieść o zależnościach między ludzkim a nie-ludzkim (światłem, pogodą, epidemiami), a jednocześnie pionierska próba rekonstrukcji dziejów regionu. W okolicy Gorlic, gdzie w drugiej połowie XIX w. wybuchła naftowa gorączka wyznaczająca w Polsce początek epoki przemysłowej, powraca także w wydanym latem tego roku „Rzeszocie” Bartosz Sadulski. W jego silnie inspirowanej romantyzmem (także formalnie, poprzez nawiązania do powieści epistolarnej) książce relacja z pokiereszowaną jak rzeszoto ziemią jest niezwykle istotna.

Świadomie nawiązują do nurtu ekokrytycznego także powieść „Pod słońcem” Julii Fiedorczuk (2020) oraz zbiór opowiadań „Samosiejki” Dominiki Słowik (2021). Inspirowaną „rokiem bez lata” książkę „Ideot. Rzecz o narodzinach potwora” wydał Kasper Bajon (2021). A do polonistycznych skryptów zbierających utwory pisane w nurcie realizmu ekologicznego zdążył trafić już zbiór miniatur Andrzeja Stasiuka „Kucając” (2015), złożony z felietonów drukowanych w „Tygodniku Powszechnym”.

Sam tytuł, zaczerpnięty, jak pisze w tytułowym tekście Stasiuk, z Emila Ciorana, wiele mówi o tym, w jakiej pozycji ustawia się autor wobec tego, co nie-ludzkie: „zamiast wciąż obłądnie i na wyprzódki się cywilizować, »powinniśmy zawsze i pogodni kućać w ciepłe zwierząt« (...). Idę więc i kucam. Czekam, aż się zbliżą i poczują mój obcy, ludzki, ale przecież znany zapach. Aż zapomną na chwilę o nieufności, dzięki której żyją, i podejdą w zasięg dotyku. Teraz ja wciągam w nozdrza ich woń”. „Kucając” to, najprościej rzecz ujmując, opowieść o próbie nawiązania kontaktu, pełnym zaangażowania i bliskości obwąchiwaniu się z intensywnie woniejącym światem.

Albo jeśli ktoś kiedyś wskaże utwór wyznaczający symboliczny początek neoromantycznej epoki literackiej na wzór wydanych dwieście lat temu Mickiewiczowskich „Ballad i romansów” (właśnie na ich cześć Sejm ustanowił rok 2022 Rokiem Romantyzmu Polskiego), będzie to zdecydowanie „Romantika” Piotra Mareckiego. Autora nazywanego przez czytelników portalu Lubimyczytać.pl – niepewnych, czy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego nie robi sobie z nich tą publikacją żartów – „Wyspiańskim z kleszczem w dupie”.



Czy jakiegokolwiek wesele

mogłoby się odbyć bez
związania grupy toksyczną
substancją – alkoholem,
nikotyną, narkotykami?

Budowanie wspólnoty
wydarza się przecież wokół
i dzięki toksyczności, a zatem,
dosłownie – zanieczyszczenia
organizmów.

Serce alkoholu i demoscenerzy

Jeśli Stasiuk wzywa czytelniczki i czytelników do „zawszenia”, Marecki po prostu łapie kleszcze. Oto prawdziwa literatura grozy naszych czasów, oto upiór sterylnej ponowoczesności – zdaje się ironizować autor, rozpisując na kilka stron krwawą próbę wyrwania przenoszącego choroby pajęczaka z wstydliwego miejsca. I jakiegokolwiek ta opowieść na pierwszy rzut oka wydaje się tyle komiczna, co trywialna, potraktowana zupełnie serio pozwala zobaczyć, jak bardzo (głęboko) to, co nie-ludzkie zostało zepchnięte – posługując się terminem filozofa i krytyka Andrzeja Marca – w „antropocień”. Kleszcz (pojawiający się skądinąd w pismach Mortona obok karalucha czy łazienkowego rybika) „w dupie Mareckiego” to krótkowzrostowa przypowieść obrazująca zupełnie ważną tezę angielskiego filozofa, zgodnie z którą zawsze jesteśmy połączeni z nieczystym, niechcianym i budzącym wstręt

towarzyszem. Jesteśmy Wiktorem Frankensteinem.

„Romantika” jest bezpośrednią relacją ze ślubu oraz wesela autora (stąd porównania Mareckiego z Wyspiańskim), które odbywa się w Jasielówce niedaleko Jasłisk, a wszyscy przybywający na imprezę goście to osoby znane w krakowskim środowisku literackim: poetki i poeci, redaktorzy i redaktorzy, wydawczynie i wydawcy. Wśród bohaterów są również, co ważne, miejscowi – mieszkańcy Podkarpacia. Ale tematem książki nie są, wbrew pozorom, życiowe perypetie literatów ani chłopów, ale wszystko, co w naszym „środowisku” (rozumianym jako bezpośrednie otoczenie) toksyczne. Począwszy od destylatów, które zwozi na wesele poeta Konrad Góra, czy narkotyków, które zażywa właściciel Jasielówki, pisarz Sławomir Shuty, przez bezpośrednie otoczenie (w powietrzu czuć palonymi w piecach starymi ciuchami), po Ukrainę (znaną na świecie przede wszystkim z powodu katastrofy elektrowni jądrowej w Czarnobylu), na którą jadą w podróż poślubną Piotr i Ola.

Toksyczność (kleszcz) zwykle budzi w nas lęk i przerażenie, pragniemy od niej za wszelką cenę uciec. Skażenie jednak, jak zauważa autor pojęcia „antropocień”, w kontekście ciemnej ekologii „funkcjonuje jako istotny składnik kolektywnego życia na Ziemi”. Po pierwsze – toksyczność mogła być początkiem życia. „Tlen, którym dziś oddychamy, około 2 miliardów lat temu był przyczyną pierwszego wielkiego wymierania, któremu uległy bakterie beztlenowe” – pisze Marzec. A po drugie – toksyczność była od zawsze warunkiem nawiązywania międzyludzkich relacji, ale też towarzyszyła próbom wglądu w istotę rzeczy (Góra wygłasza mowę o „sercu alkoholu”). Czy jakiegokolwiek wesele (albo inny ryt przejścia) mogłoby się odbyć bez związania grupy toksyczną substancją – alkoholem, nikotyną, narkotykami? Budowanie wspólnoty wydarza się przecież wokół i dzięki toksyczności, a zatem, dosłownie – zanieczyszczenia organizmów.

Andy Warhol i powierzchnie rzeczy

Brian W. Aldiss w latach 70. pisał o „Frankensteinie”, że przyjęta w książce metoda narracji czytelnikowi „może się wydać niezadana i bałaganiarska”. Ale współcześni Mary Shelley, nawykli do

→ epistolarnego stylu pisanie, nie mieli z nią trudności: dla nich „rzeka dokumentacji płynąca z rozmaitych źródeł tylko dodawała dziełu wiarygodności”. Dziś tę metodę – w prozie, której tematem staje się refleksja nad komunikacją i rozszczępieniem rzeczywistości wywołanym działaniem mediów społecznościowych – śmiało wykorzystują autorzy takiej rangi jak Ali Smith czy Giovanni Agnoloni. Maile, esemesy oraz relacje instagramowe (instastorki) jako pełnoprawne źródła informacji pojawiają się także u Mareckiego. Co więcej, autor sugeruje, że usunął ocenzurowane przez „środowisko” fragmenty, pozostawiając w „Romance” puste miejsca. Wypełnione samymi kropkami strony mają tam jednak jeszcze inną ważną funkcję i znaczenie.

Otóż zbierając nieprzychylnie recenzje swojej książki, Marecki bywa krytykowany za powierzchowność swojej prozy zatrzymującej się na relacjonowaniu zdarzeń (miejmy w pamięci wagę słowa „relacja”, myśląc o gatunku, który wybrał autor). Ta powierzchowność to jednak bezpośrednie, zapowiedziane przez drugie motto książki i stanowiące artystyczny manifest odwołanie do Andy’ego Warhola, którego słowackie muzeum zwiedzają weselnicy.

Warhol w słynnej rozmowie z Gretchen Berg, opublikowanej w listopadzie 1966 r. w jednym z amerykańskich pism, przyznał, że widzi tylko powierzchownie rzeczy, jakby czytał Braille’em. Nie próbuje niczego krytykować, nie próbuje ukazywać brzydoty. Dlaczego? Ponieważ jest to rola nacechowanego opiniami języka. A język – jak wiemy od romantyków – nie jest jedynym ani bynajmniej uprzywilejowanym sposobem dostępu do świata. Ale czy także najważniejszym zagadnieniem współczesnej nauki nie jest (jak pokazały tegoroczne Noble w dziedzinie fizjologii i medycyny) właśnie dotyk, niepozwalający na zachowanie krytycznego dystansu? Dotykajmy, czytamy palcami, poleca Marecki, w końcu większość mieszkańców naszej planety nie posługuje się językiem, a mimo to istnieje – czuje i pamięta.

© MONIKA OCHĘDOWSKA

Korzystałam z książek Anny Barcz „Realizm ekologiczny. Od ekokrytyki do zookrytyki w literaturze polskiej” (2016) oraz Andrzeja Marca „Antropocień. Filozofia i estetyka po końcu świata” (2021).

Sorry, Polsko

ANITA PIOTROWSKA

Nasza rzeczywistość społeczno-polityczna, choć w ostatnich latach arcyciekawa i szczególnie podatna na opisowe przekłamanie, w kinie dokumentalnym, mającym z definicji dawać świadectwo, pozostaje światem nieprzedstawionym.

NIE LICZĄC DOKUMENTÓW ROBIONYCH na zamówienie polityczne, powstają czasem filmy próbujące chwytać na gorąco atmosferę „ulicy” (jak „Dobra zmiana” Konrada Szolajskiego, 2018), tyle że poza głównym systemem finansowania, czyli PISF i TVP. Zwycięzca Krakowskiego Festiwalu Filmowego „Mój kraj taki piękny” (2019) Grzegorza Paprzyckiego, o demonstracjach dzielących Polskę na pół, czy „Ostatni rycerze prawej strony” (2020) Michała Edelmana, o łódzkim oddziale ONR, to z kolei niskobudżetowe dokumenty studenckie, wyprodukowane przez uczelnie filmowe. Za krótkometrażowym „7-My sierpnia” (2020) Michała Bollandy stoi Kampania Przeciw Homofobii, w trybie niezależnym powstają także tytuły opowiadające o aktywizmie ekologicznym, jak „Ostatnie pokolenie” (2021) Mikołaja Borowego, czy o pedofilii w Kościele, jak filmowe śledztwa braci Sekielskich.

Ale gdzie jest kino bezpośrednio zaangażowane w politykę, ukazujące w zbliżeniu procesy, które w gwałtownym tempie zmieniają nasz kraj? Gdzie pogłębione portrety ludzi, którzy tę rzeczywistość kreują? Kiedyś, w innych niespokojnych czasach, robili to najwięksi, dziś trwają środowiskowe dyskusje, na ile apolityczność rodzimego dokumentu wynika z cenzury (coraz trudniej przebić się w PISF-ie z nieprawomyślnym tematem), na ile z autocenzury (asekurantwa lub zwykłej kalkulacji „co się lepiej sprzeda na zagranicznych festiwalach”).

Dodajmy, że nie wszyscy filmowcy mają temperament polityczny, niektórzy są tą tematyką zmęczeni, innym zaś kojarzy się ona wyłącznie z publicystyką. Przy produkcji nie ma też co li-

czyć na platformy streamingowe, bo to nie jest ich wymarzony kontent. Gatunek zwany dokumentem politycznym pozostaje więc u nas prawie martwy. Zwłaszcza że jeśli miałby być profesjonalnie zrobiony i wciągający, wymaga sporych nakładów. Przede wszystkim wymaga jednak dużej odwagi. Na szczęście taki film właśnie nakręcono, choć rzecz jasna niezależnie i w dużej mierze dzięki publicznej zbiórce. „Powstał z wściekłości i frustracji” – mówi jego twórcy, reżyser i autor zdjęć Kacper Lisowski oraz producentka Iwona Harris. Miał niedawno premierę na najważniejszym festiwalu kina dokumentalnego w Amsterdamie i został tam świetnie przyjęty. Nazywa się „Sędziowie pod presją”.

„Tylko nie każ mi wybierać (...)”, nie każ walczyć, nie każ ginąć” – przeszywająco brzmią słowa piosenki „Sorry Polsko” Marii Peszek w końcówce filmu, którego głównymi bohaterami są obrońcy niezawisłych sądów: Igor Tuleya, Waldemar Żurek, Sylwia Gregorczyk-Abram, Krzysztof Parchimowicz czy Krystian Markiewicz. Wyrosły z gniewu dokument pokazuje także ich własną emocjonalną walkę. Sędziowie i ich sojusznicy prowadzą ją nie tylko przeciwko zastraszaniu, przeciw Komisji Dyscyplinarnej i antyunijnej ustawie kagańcowej. Towarzyszy tym zmaganiom ograniczone poparcie (czy w ogóle zainteresowanie) społeczne, a do tego kafkowski klimat tudzież internetowy hejt, czasem odgórnie sterowany.

Film rejestruje akty sędziowskiego buntu, który z sal rozpraw i sprzęd telewizyjnych kamer przenosi się też w wymiar bardziej międzyludzki. Oregdując podczas festiwalu rockowego za przestrzeganiem suwerenności i apo-



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Sędziowie pod presją”

lityczności sądów, bohaterowie prze-stają być postaciami z cokołów, udrapo-wanymi w togi. Również twórcy zadba-li, byśmy zobaczyli w nich żywych ludzi, filmowanych w domowym zaciszu, w chwilach zwątpienia, zmęczenia, z ba-gażem osobistych problemów.

Lecz, jak przystało na rasowy doku-ment polityczny, oglądamy ich głównie na pierwszej linii frontu, kiedy dają wy-ras swej dezaprobaty wobec metod sto-sowanych przez władzę pod pretekstem reformy sądownictwa. W pewnym mo-mencie Gregorczyk-Abram, adwokatka i obrończyni praw człowieka, przypo-mina o pięciu etapach, jakie według pro-fesora Macieja Kisilowskiego dzielą de-mokrację od dyktatury. Właśnie te klu-czowe momenty, dla wielu niedostrze-galne, a dziś przykryte przez kolejne próby zdemontowania trójpodziału wła-dzy, chce utrwalić Lisowski i jego ekipa. Już od pierwszych sekund filmu manife-stują swą postawę „murem za Igorem”, ale na samych intencjach się nie kończy. Pośród nielicznych tytułów mierzących się z „dobrą zmianą” ten posiada zdecy-dowany rozmach realizacyjny (kamera krąży między Katowicami a Gdańskiem, pomiędzy Warszawą i trybunałem unij-nym w Luksemburgu), a przy tym żywy, pulsujący nerw, który każe chwycić swój czas na gorąco, ze świadomością, że histo-ria najnowsza toczy się bardzo szybko.

Kronika sędziowskiego oporu opo-wiedziana została ze swadą i zaufaniem po obu stronach obiektywu. Czuje się na własnej skórze temperaturę ubiegło-rocznych demonstracji w obronie wol-nych sądów i Strajku Kobiet, lecz praw-

dziwie beczenny jest dla nas dostęp do postaci, które stały się celem poli-tycznego ataku i konsekwentnie nie opuszczają gardy. Zastanawiamy się, co tak naprawdę czuje Tuleya tuż po wszczęciu postępowania wobec niego i w oczekiwaniu na wyrok. Sędziego Żurka poznajemy, kiedy na wsi, w oto-czeniu rodziny, pisze w gniewie pismo procesowe do rzecznika Izby Dyscy-plinarnej, ażeby dać wyraz swojej dez-aprobaty dla niekonstytucyjności tego ciała. Ktoś mówi w filmie o wielkiej samotności sędziego – właśnie o niej i na przekór niej zrealizowano ten do-kument. Chwilami ostry i punkowy, chwilami cierpliwie edukacyjny, tłumaczy ustami bohaterów, w jaki spo-sób nagonka na niepokornych funkcyj-nariuszy przekłada się w praktyce na życie szarego obywatela.

I jeszcze garść mikroobserwacji. Oto inkryminowany sędzia próbuje wy-krzesać ogień z odpornej zapalniczki. W kolejnych scenach on i jego kolega z szacunku dla instytucji sądu staran-nie pastują przed rozprawą swoje buty. Nawet staroświecka nokia używana przez Tuleyę wydaje się coś tutaj zna-czyć. Te i wiele innych banalnych z po-zoru detali budują dosłowny i symbo-liczny przekaz filmu, podobnie jak na-trętnie tykające zegary w ostatnich jego minutach. ©

SĘDZIOWIE POD PRESJĄ – reż. Kacper Lisowski. Prod. Polska 2021. Dostępny na MOJEEKINO.pl w ramach festiwalu WATCH DOCS (do 19 grudnia) oraz w wybranych kinach.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Mistrzowie kina hiszpańskiego



Przegląd, Ninatoka, 15-19 XII

W tegorocznej, czwartej już edycji wydarzenia znalazło się hiszpańskie kino noir z epoki gene-rata Franco. Zobaczymy wpisujące się w ten nurt filmy Carlosa Saurya, Luisa Buñuela, Fernando Fernán-Gómeza, a tak-że, w związku z setną rocznicą urodzin Luisa Garcíi Berlangi, mistrza groteskowej komedii społecznej, jego największe osiągnięcia.

2. Dowód tożsamości



Dokumentalny, reż. Mikołaj Grynberg, Polska 2021, TVN24 GO

Co to znaczy być Pola-kiem i Żydem jednocze-śnie? Jak osoby z żydowskimi korzeniami odnajdują się w dzisiejszej Polsce? Paweł Łoziński, Miriam Synger, Mikołaj Trzaska i wielu innych próbują najszczerczej odpo-wiedzieć na te pytania. W wyprodukowa-nym przez muzeum Polin dokumencie mierzy się z nimi również debiutujący za kamerą pisarz.

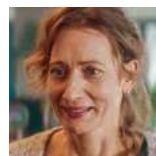
3. Psie pazury



Dramat, reż. Jane Campion, Wielka Brytania 2021, Netflix

W westernowej scenarii autorka „Fortepianu” dekonstruuje filmowy gatunek, by zanurkować w mrokach ludzkiej duszy. Adaptacja powieści Thomasa Savage’a przynosi wyrotową, pełną niedopowiedzeń i wizualnie porywającą przypowieść o świecie ufundowanym na przemocy i zemście. Wyśmienita rola Benedicta Cumberbatcha i muzyka Jonny’ego Greenwooda.

4. Czarna owca



Komedia, reż. Aleksander Pietrzak, Polska 2021, Player i inne VoD

Również rodzime kino popularne stara się oswajać tak zwane trudne tematy. Magda-lena Popławska i Arkadiusz Jakubik wciela-ją się w stare dobre małżeństwo, które w obliczu jej coming outu musi zdefiniować się na nowo. Podobnie jak cała wielopoko-leniowa rodzina, ukazana w satyrycznym świetle, ale zarazem lekko i ciepło. Ku po-krzepieniu serc.

Znikający „Punkt”

JAN BŁASZCZAK

Ich debiut na brytyjskim rynku wydała wytwórnia Virgin w niespotykanej niskiej cenie 49 pensów. Album trafił do 60 tysięcy słuchaczy. Dla wielu z nich był muzycznym kuriozum, ale nie brakowało takich, którym przemeblował głowy.

JEŚLI MUZYKA BRYTYJSKA LAT 60. USTAWIŁA popkulturę na następne dziesięciolecie, to niemiecka bezapelacyjnie opanowała jej rubież. Twórcy krautrocka (jak nazwały pogardliwie tę muzykę anglojęzyczne media) inspirowali wszystkich, którym obojętne były listy przebojów, stawiali za to na eksperyment i wyprawy do innego wymiaru. Pokolenie odcinające się od salutujących przed swastyką przodków uciekało w psychodeliczne doświadczenia, organizowało dadaistyczne happeningi i lewicowe bojówki. I zatracało się w muzyce – hipnotycznej, głośniejszej, wtedy jeszcze dobrze nie nazwanej. Pośród zespołów reprezentujących tę zagadkową i bezkompromisową scenę muzyczną przełomu lat 60. i 70. Faust był najbardziej tajemniczy.

– Nasze pokolenie desperacko poszukiwało sposobów realizacji własnych dążeń – wspomina Jean-Hervé Peron, basista grupy Faust. – Paryski Maj 1968 r. okazał się punktem kulminacyjnym. Polityczno-społeczno-kulturowa rewolta, która sprawiła, że wrzód wreszcie pękł. Młodzi ludzie w Niemczech dołączyli tym chętniej, że wszędzie byli traktowani jak czarne owce. Oni szczególnie potrzebowali czegoś, co pozwoli im zbudować swoją tożsamość na nowo. I nie mógł to być popularny brytyjski czy amerykański rock’n’roll. Jako Francuz miałem pewnie inne motywacje, jednak cele mieliśmy takie same: stworzyć wreszcie coś naszego, coś prawdziwie nowego.



Muzyka grupy Faust była niepokojąca, eklektyczna i wykorzystywała studio nagrań w nowatorski sposób. Obraz grupy budowały również rozgrywające się w ciemnościach koncerty-happeningi, niezwykle okładki, niejasne powiązania z radykalną lewicą i opuszczona szkoła we wsi Wümme, gdzie przez dwa lata istniało coś na kształt komuny. „Nie ma zespołu bardziej mitycznego niż Faust” – deklarował autor i muzyk Julian Cope w swojej głośniejszej książce „Krautrock-sampler” z 1995 r. Jeśli to prawda, to nie ma albumu bardziej mitycznego niż „Punkt” – ich legendarna piąta płyta, nagrana w 1974 r. w monachijskim studio słynnego producenta Giorgia Morodera. Teraz ukazuje się znów jako część boxu „1971-1974”, wydanego przy okazji 50. urodzin zespołu i zbierającego wszystkie nagrania z kanonicznego okresu. Zakończonego w sposób godny reputacji, jaką cieszył się Faust.

– Kiedy okazało się, że wytwórnia odmówiła płacenia naszych rachunków

(tak, to prawda, że w hotelowej restauracji zamawialiśmy steki dla naszych psów), postanowiliśmy uciekać – wspomina Peron. – Natychmiast spakowaliśmy sprzęt, taśmy z nagraniami i wrzuciliśmy je do ciężarówki. Nasz technik Ruud Bosma sforsował szlabany i zdołał uciec. Ja, Sosna i Irmeler zostaliśmy w studiu, gdzie zatrzymała nas policja. Trafiliśmy do aresztu, skąd po 24 godzinach wykupiły nas szczodre matki Sosny i Irmelera. Prawdziwy rock’n’roll!

I pomyśleć, że kiedy trzy lata wcześniej wytwórnia Polydor podpisywała kontrakt z grupą Faust, była święcie przekonana, że złowiła niemieckich Beatlesów.

Die Beatles

Kiedy przyszły menadżer grupy Faust, Uwe Nettelbeck roztaczał przed wydawcą swoją wizję, zagrał na czulej strunie. Wytwórnia Polydor miała przecież prawdziwych Beatlesów w zasięgu ręki. To właśnie z jej inicjatywy w Hamburgu odbyły się słynne sesje nagraniowe, pod-



Faust w Wümme, 1971 r Od lewej: Werner „Zappi“ Diermaier, Rudolf Sosna, Hans-Joachim Irmeler, Jean-Hervé Peron, Arnulf Meifert, Gunther Wüsthoff.

UNIVERSAL MUSIC / MATERIAŁ PRASOWE

czas których Tony’emu Sheridanowi towarzyszyła młoda grupa The Beat Brothers, która niedługo miała uprościć nazwę i zawojować świat.

Sam Nettelbeck nie był postacią anonimową. W latach 60. jeden z najważniejszych niemieckich krytyków filmowych, kiedy zapukał do drzwi wytwórni, nie publikował już w prasie głównego nurtu, z którą rozstał się w atmosferze skandalu. Niemniej wciąż pozostawał człowiekiem mediów – mającym znajomości i zorientowanym we współczesnej kulturze. W tym czasie był już związany z radykalnie lewicowym pismem „konkret”, w którym poznał Ulrikę Meinhof – przyszłą założycielkę terrorystycznej Frakcji Czerwonej Armii.

Dostał od wytwórni zielone światło i zaczął działać. Skontaktował się z dwoma lokalnymi składami, które namówił do współpracy pod wspólną marką. Niedługo później powołana w ten sposób grupa Faust oraz genialny reżyser dźwięku Kurt Graupner wyjechali do

opuszczonej wiejskiej szkoły, gdzie miały rozpocząć się nagrania. Jeśli do tej pory proces kształtowania nowej gwiazdy niemieckiej fonografii sprawiał wrażenie przemyślanej strategii, to pierzchnęło ono wraz z przyjazdem do Wümme.

– Znaleźliśmy się w nietypowej, bardzo uprzywilejowanej sytuacji – wspomina Peron. – Nie zawsze byliśmy ze sobą zgodni, bywało niekomfortowo, ale mieliśmy idealne warunki do poważnych poszukiwań i eksperymentów. Odizolowani od miejskiego hałasu, od mediów, żyliśmy jak w klasztorze: skupieni na swoich myślach i muzyce, którą mieliśmy w głowie.

Nie oznacza to bynajmniej, że muzycy prowadzili żywot mnichów. Wydawnictwo „1971-1974” wypełnione jest anegdotalami i historiami z wiejskiego życia. O posiłkach spożywanych nago, o Graupnerze, który tak poprowadził kable, by jeden z muzyków mógł brać udział w próbach bez wychodzenia z łóżka, o Diermaierze i Peronie, którzy, protestując przeciwko zakazowi wprowadzania psów do studia, sami zamieszkali w budzie.

Nie zawsze jednak było wesoło. Pewnej nocy szkoła została otoczona przez oddziały specjalne poszukujące jednej z członkiń Grupy Baader-Meinhof.

– Spałem w najlepsze, kiedy obudziła mnie uzbrojona po zęby policja – wspomina Peron. – Surrealistyczna pobudka. Na szczęście, kiedy tylko się zorientowali, że jesteśmy niegroźnymi długowłosymi muzykami, dali nam spokój. Oczywiście wiedzieliśmy, że Uwe podziela niektóre poglądy Rote Armee Fraktion, ale z pewnością nie pochwalał ich terrorystycznych metod.

Pomimo wizji komercyjnego sukcesu, jaką Nettelbeck roztoczył przed wytwórnią, sam nie ingerował w proces twórczy zespołu. Czasem pomagał im jedynie skanalizować buzujące w ich głowach pomysły, znaleźć wspólny mianownik dla ich różnicowanych poglądów na sztukę.

– Faust nie zaistniałby bez Uwe, a gdy już się zrodził, szybko rozpadłby się bez jego obecności – twierdzi Peron. – Nigdy na nas nie wpływał, ale zawsze nas

wspierał. Aż do czasu, kiedy zmęczył się naszą młodzieńczą arogancją i bezmyślnym dążeniem do autodestrukcji. To cechy nieodłączne młodości. Zwróć jednak uwagę, że czasem to właśnie one prowadzą do rewolucji.

Między magią a polityką

Podczas dwóch lat spędzonych w Wümme zespół zarejestrował materiał na cztery płyty. Choć Peron zapewnia, że ze względu na izolację muzycy nie utrzymywali kontaktów z innymi niemieckimi twórcami tej epoki, nagrania grupy Faust cechuje ten sam hipnotyzujący, psychodeliczny duch, co nagrania Amon Düül II, Ash Ra Tempel czy Can. Z tym że Faust siedzi jeszcze dalej.

Popsute dysonansami psycho-folkowe melodie z ich debiutanckiej płyty raz przeistaczają się w pijane improwizacje, innym razem toną w dźwiękowych kołach zapowiadających muzykę industrialną. Nad tym wszystkim unosi się duch absurdałnego humoru, jak u Franka Zappya. Na samą myśl o dniu, w którym w siedzibie Polydor włączono tę wyczełkowaną taśmę, przechodzą mnie ciarki. Przy czym warto dodać, że w swojej bezczelności Faust umieścił na początku albumu krótkie cytaty z utworów The Beatles i The Rolling Stones.

– To był polityczny zabieg – wspomina Peron. – W ten sposób deklarowaliśmy, że taka muzyka nas nie interesuje. Mówiliśmy: „Posłuchajcie lepiej, co my mamy do powiedzenia!”.

Debiut ukazał się na przezroczystym winylu, w przezroczystej okładce i przezroczystej obwolucie z nadrukowanym zdjęciem rentgenowskim dłoni zaciśniętej w pięść. Nawet dzisiaj ten graficzny projekt wygląda rewelacyjnie.

Po nagraniu pierwszego albumu z zespołu odszedł Arnulf Meifert. Po kilku miesiącach spędzonych w Wümme uznał, że nie pasuje do operującej w warunkach ciągłego chaosu dadaistycznej grupy. Paradoksalnie na drugim albumie – „So Far” – Faust przedstawił słuchaczom bardziej uporządkowaną wizję swojej twórczości. To tutaj znalazło się hipnotyzujące „It’s a Rainy Day, Sunshine Girl”, prezentujące grupę jako pojętnych uczniów The Velvet Underground, oraz zaskakująco funkowy utwór tytułowy. Wydany w różnych odcieniach czerni album zawierał także pionierskie wyścieszki w stronę elektroniki i industrialu. ➔

→ W swoim wiejskim studiu muzycy gościli też skrzypka i kompozytora – Tony’ego Conrada. Jego idea „jeden dźwięk i jeden rytm na jedną godzinę grania” przypadła do gustu Peronowi i Diermaierowi. Basista wspomina „magiczne godziny” spędzone przez trio na nieustannym graniu tej samej nuty i wsłuchiwanie się w rozwijający się wszechświat mikrotonów. Po muzyce, która ostatecznie trafiła na album „Outside the Dream Syndicate” słychać, że Peron nie do końca zaufał wizji Conrada. Na płycie słyszymy go grającego dwa dźwięki. Cóż za rozmach!

Zachwyć i przechwycić

Większa konwencjonalność „So Far” nie uchroniła Fausta przed porażką przez Polydor. Ułatwiła jednak Nettelbeckowi znalezienie nowej przystani dla zespołu. Początkowo sceptyczna brytyjska publiczność z coraz większym zainteresowaniem śledziła niezwykle meandry niemieckiego rocka. Wśród wczesnych admiratorów znalazł się m.in. słynny dziennikarz radiowy John Peel. Dzięki temu Nettelbeck przekonał szefa raczkującej wytwórni Virgin, Richarda Bransona, do podpisania kontraktu.

W ramach umowy zespół udostępnił wytwórni niewydane dotychczas nagrania ze studia w Wümme. Po skompilowaniu z nich szalonego kolażu dźwiękowych miniatur Virgin wydało go jako „Faust Tapes” w dumpingowej cenie 49 pensów. W ten sposób album trafił do 60 tysięcy słuchaczy. Dla wielu z nich było to muzyczne kuriozum w okazyjnej cenie, ale nie brakowało takich, którym trzeci album zespołu przemeblował głowy.

Fascynacja tylko wzrosła, gdy Faust zaczął występować w Wielkiej Brytanii. Peter Blegvad, gitarzysta grupy Slapp Happy, tak opisał koncert z 1973 r. w książeczce dołączonej do „1971-1974”: „(...) występowali w ciemnościach. Na scenie stały automaty do flippera, na których muzycy czasem grywali, zamiast sięgać po instrumenty, jakby to już miało wystarczyć za spektakl. Czasem na scenie ustawiali też młot pneumatyczny. Wstrząsający całą salą hałas, który generował, muzycy uznawali za środek wyrazu równie znaczący, co dźwięki pochodzące z bardziej konwencjonalnych źródeł muzyki”.

W Wielkiej Brytanii Faust nagrał ostatni z wydanych w latach 70. albumów. Uważane przez wielu za ich opus magnum „IV” powstało w zabytkowym



Jean-Hervé Péron podczas koncertu w Union Chappel Islington, Londyn, 15 listopada 2021 r.

Występowali w ciemnościach. Na scenie stały automaty do flippera, na których muzycy **czasem grywali zamiast sięgać po instrumenty**, jakby to już wystarczało za spektakl. Czasem na scenie ustawiali też młot pneumatyczny.

The Manor Studio. W tym samym czasie za ścianą Mike Oldfield nagrywał „Tubular Bells”. Faust znów zaskoczył, mieszając hipnotyzujący rock z bardziej piosenkowym repertuarem. Album otwierał „Krautrock”, którego tytuł jest klasycznym przykładem przechwycenia. Pogardliwa etykieta sięgająca czasów I wojny światowej, kiedy Brytyjczycy nazywali tak niemieckich żołnierzy, stała się tytułem jednego z przebojów progresywnej niemieckiej sceny. Nagranego za brytyjskie pieniądze.

Pięć

Oficjalna wersja głosiła, że po zakończeniu współpracy z Virgin zespół Faust po prostu się rozpadł. Co więcej, jego członkowie zniknęli bez słowa, a ich aktywność pomiędzy 1975 a 1990 rokiem pozostaje zagadką. Prawdziwi fani wiedzieli natomiast o tajemniczym „monachijskim albumie” nagrany niedługo po powrocie z Wielkiej Brytanii. Nikt jednak nie wierzył, że może on jeszcze ujrzeć światło dzienne.

– Przełomem okazała się propozycja Gunthera Buskiesa z wytwórni Bureau B: zaoferował digitalizację taśm, które przechowywałem przez lata – tłumaczy Peron. – Zgrywałem je w czasie rzeczywistym przez pięć dni, po dziesięć godzin dziennie. Jednak nie narzekam, bo to była wspaniała podróż w czasie.

Warto było ją odbyć, ponieważ „Punkt” to znacznie więcej niż ciekawostka lub przypis dla kronikarzy rockowej awangardy. Wystarczy posłuchać utworu „Juggernaut”, który zwiastuje brytyjskiego punk rocka, lub „Schön Rund” prezentujący jazzowe oblicze zespołu. Choć przygodę z grupą Faust radziłbym zaczynać od „So Far” lub „IV”, jej mityczny piąty album zasługuje na to, by traktować go na równi z kultowymi poprzednikami.

Kiedy Faust powrócił w latach 90., w jego składzie znalazło się trzech spośród założycieli grupy: Peron, Diermaier i Irmmler. Jeszcze w tej samej dekadzie muzycy poróżnili się i założyli dwa odrębne zespoły. Zamiast procesować się o nazwę, artyści uznali, że mają do niej takie same prawa, a jeśli będzie to przyczyną chaosu i zamieszania, to tym lepiej.

Obie grupy nagrywały później świetne płyty jako Faust, często współpracując z twórcami reprezentującymi inne gatunki muzyczne (m.in. hiphopową grupą Dälek i industrialnym Nurse With Wound). Muzykom zdarza się też występować solowo.

Sam dziesięć lat temu spóźniłem się na warszawski koncert Perona. Kiedy przed klubem zapytałem, czy muzyk jeszcze gra, usłyszałem, że trudno ustalić, ale ktoś na scenie smaży bakłażana. Zdębiałem i nie wszedłem.

Po dziesięciu latach postanowiłem zweryfikować tamtą informację. Usłyszałem odpowiedź: – Robiłem już na scenie bardzo różne rzeczy. Pamiętam malowanie nago, wycinanie słów piłą łańcuchową, rozbijanie telewizorów i pianin dwuręcznym młotem, rozrzucanie nawozu po sali, podpalanie wielkich kanistrów, a nawet smażenie kielbas, ale bakłażanów sobie nie przypominam. Może sięgnę po nie, kiedy następnym razem będę występował w Polsce.

© JAN BŁASZCZAK

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 **12 395 71 00**

JAN

Klata: Kraków-Yellowstone



„CZY MY JESTEŚMY W KRAKOWIE, CZY MY JESTEŚMY W YELLOWSTONE?”. Cóż za wspa-
niały początek przygodnej znajomości!
Dodajmy jeszcze trzy znaczące literki:
PKP, i mamy potencjał na niezapomniane
zdarzenie, autentyczny intercity-happe-

ning. Warsaw-City – Wawel-City: oto relacja z zatłoczonego
składu. Nie dziwota zatem, że pierwsza część zagajenia doty-
czyła Krakowa, jako że pociąg dojeżdżał z pewną taką kilkun-
stominutową dezynwolturą, dojeżdżał, ale właściwie stał kil-
kaset metrów od celu. Czynny wagon Wars robił robotę w za-
kresie alkoholowym, że tak lekkim objazdem powrócę do ge-
nezy pytania z pierwszej linijki: „Czy my jesteśmy w Krako-
wie, czy my jesteśmy w Yellowstone?!”. ©

Usłyszałem ponowiony pytajnik z transakcentacją i zorien-
towałem się, że ja właśnie jestem adresatem. A właściwie nie
ja, tylko moje kilkunastoletnie futerko z second handu, czyli
eksztrebak, wzięty za misia, najwyraźniej amerykańskiego.
Alternatywa od razu stała się mniej zalotna, a zgola namolna,
zwłaszcza że zarysował ją jeden z dwóch panów, którzy czę-
sto a chwiejnie pielgrzymowali do wagonu restauracyjnego.
Obydwaj byli już mocno zrestauirowani piwem, a może i nie
tylko. Jeden pytał, drugi się śmiał, co akurat łatwo było stwier-
dzić w świetle całkowitego braku maseczki.

„Widzisz, Witoldzie, pracujemy w branży budowlanej,
i z rzadka jeździmy w delegacje, a – jak widzę – szkoda, bo
w delegacji jest ciekawie, można zwiedzić USA i zapolować na
niedźwiedzie” – powiedział ten, co mówił do tego, co się śmiał.
Śmiejący się mrugnął – nie wiadomo, czy to był tik czy znak
do ataku. Później wydarzenia w pociągu potoczyły się błyska-
wicznie: bardzo duży, bardzo pijany pan budowlaniec się za-
machnął, stojący dotąd pociąg nagle szarpnął i ruszył z kopyta,
pan z Yellowstone wpadł na tego drugiego branżowego pana,
co się śmiał, zatoczyli się na koniec przedziału i upadli, a ja wy-
siadłem na stacji Kraków Gł. Na zakończenie przygody dotarły
do mnie jeszcze bardzo głośne okrzyki leżących, dość abstrak-
cyjne: „Szczepmy się!”. Zaprawdę, szczepmy się!

Lektor: Zatrute źródła



■ Götz Aly
EUROPA PRZECIWKO ŻYDOM 1880-1945
Przełożyła Joanna Czudec
Wydawnictwo Filtry,
Warszawa 2021,
ss. 504

WOJNA SIĘ KOŃCZY, LILLY
Weisz, młoda węgierska
Żydówka, wraca z obozu
Bergen-Belsen do Egeru,
do domu. Ale domu
już nie ma, w ruinach
znalazła tylko trochę
rodzinych fotografii. Jej
bliscy nie żyją. Chrześci-
jańskie sąsiadki, które
miały przechować walizki
z lepszą odzieżą, twierdzą,
że wszystko zabrali
Rosjanie, choć jedna
z nich nosi futro matki
Lilly. Nękani wyrzutami
sumienia, nieznani Lilly
starsi państwo zapra-
sają ją do siebie – ich
mieszkanie wypełnia

rzeczy Weiszów, kupione
po korzystnej cenie od
państwa. Uszczęśliwiona
dziewczyna zabiera jedną
z poduszek matki.
Ta historia mogłaby się
zdarzyć także w Polsce.
Götz Aly, niemiecki
historyk urodzony
w 1947 r. (wydano u nas
jego „Państwo Hitlera”,
„Obciążonych” – rzecz
o eksterminacji ludzi
upośledzonych pod
rządami nazistów, a także
rozliczenie z niemiecką
rewoltą studencką 1968
roku, w której sam brał
udział), analizuje przy-
czyny ogólnoeuropejskiej

wrogości wobec Żydów
– antysemityzmu, który
nie skończył się wraz
z II wojną. Podkreśla, że
nie chce pomniejszać
odpowiedzialności
nazistowskich Niemiec
za Zagładę i że najważ-
niejszym wydarzeniem,
które tę monstrualną
zbrodnię umożliwiło,
była wywołana przez
III Rzeszę wojna. To ona
aktywowała pozostałe
czynniki, z których
jednak każdy „wpisuje
się w kontinuum now-
szej historii Niemiec
i Europy”, jak agresywny
nacionalizm, populizm,
dyskryminacja mniejszo-
ści czy sięganie po prze-
siedlenia ludności jako
sposób rozwiązywania
konfliktów. Powszechny
antysemityzm sprawił,
że skuteczna okazała
się taktyka wciągania
mieszkańców państw
okupowanych i sprzy-
mierzonych do systemu
zła. Najeżdźcy, „dzielac

się łupem z członkami
podbitych narodów, po-
mniejszali ich wolę oporu,
robili z nich wtajemniczo-
nych i współsprawców,
paserów i złodziei”.
Aly omawia kolejne
przypadki, od carskiej
Rosji po Francję, od
Polski i Litwy po Grecję.
Szuka wspólnych mia-
nowników i zauważa
na koniec, że być może
w tym przypadku
„dobro sprzyjało złu”,
a powszechne dążenie
do awansu społecznego
przyspieszyło paradok-
salnie wzrost nienawiści,
której Żydzi stali się
łatwym przedmiotem.
„Zazdrość rodzi się tam,
gdzie ludzie żyją obok
siebie, gdy nie dzielą ich
granice nie do przekro-
czenia. (...) W takich mo-
mentach to, co racjonalne,
przegrywa z emocjami.
To inni ponoszą winę
za to, że coś nam nie
wyszło”. Prestroga wciąż
aktualna. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Wcielenie i jedzenie



OKOŁO SZEŚCZDZIESIĄT ZŁOTYCH ZA KILO USZEK z grzybami musi średnio wydać krakus lub warszawiak w tym sezonie bożonarodzeniowym. Tak przynajmniej wynika z moich nieprofesjonalnych, acz bardzo terenowych badań w obu miastach. Do-

brze wiem, że to ledwo wycinek polskiej rzeczywistości, niesprawiedliwie często brany za całość. Kapitałną w tej kwestii uwagę poczynił ostatnio autor Klubu Jagiellońskiego, pisząc o zapatrzeniu części polskiej klasy gadającej w model węgierski – to znaczy w tamtejsze prawyborczy na opozycji i ich scalający efekt. Gdyby chcieć coś podobnego powtórzyć u nas, trzeba by sobie wyobrazić, że liderem i twarzą zjednoczonego frontu anty-PiS zostaje, dajmy na to, burmistrz Nysy lub prezydent Przemysła.

Zostawmy polityków i ich wielkie ucho od śledzia, wróćmy do uszek. Średnie ceny rynkowe służą co najwyżej jako materiał porównawczy do śledzenia wieloletnich trendów, ale nie mówią wiele o rzeczywistości wyborów dokonywanych przez konkretne rodziny. Ceniona stołeczna firma cateringowa każe sobie dziś płacić aż sto dwadzieścia za kilo, a nie sądzę, żeby miała kłopoty ze zbytem. Po lekturze dziejów pomysłu, jak kulkę nadzienia zawinąć w ciasto, opisanych w tym numerze znakomitym piórem Michała Kuźmińskiego, aż wstyd nie brać własnoręcznie udziału w tej cywilizacyjnej przygodzie. A jednak kwitnie nam rynek outsourcingu prac zaszytych w okres świąt równie mocno jak liturgiczne słowa i gesty. Coraz mniej chce nam się dłużyć i krzątać, a jednocześnie chce nam się tak samo jak kiedyś mieć wszystko na stole i wokół niego, na błysk, obficie i smakowicie.

Czy powinno to nas gorszyć? Z pozoru tak. „Nie miał on wdzięku ani też blasku, aby na niego patrzeć, ani wyglądu, by się nam podobał”, mówił już Izajasz. Wszystko, czego się potem dowiadujemy od proroków i ewangelistów, potwierdza, że w całej tej historii nie chodziło o to, by wyszło na bogato. „Ktoś, przed kim się twarze zakrywa” (Iz 53,3) – oto instrukcja, jak odnaleźć i rozpoznać właściwego bohatera tych wieczorów. Prawdziwą szopkę mam w ko-morze śmietnikowej eleganckiej kamienicy, gdzie, od kiedy zrobiło się zimno, śpi człowiek, budzący wśród prawych obywateli zrozumiałe odruchy obrzydzenia. Dogodna dla spokoju także i mojego leniwego sumienia okoliczność jest taka, że częściej niż rzadziej bywa pijany. Dobry pretekst, by nie spytać, jak ma na imię i czy chciałby, aby mu pomóc w dotarciu do bezpiecznego

miejsca na nocleg. Szkoda, że Pan Cogito nie miał zmysłu ponowienia. Może jego jasne moralne wybory okazałyby się trochę bardziej skomplikowane.

Ale właśnie w rzeczywistości doświadczania życia w świecie żywej, cieplej, wilgotnej i niekiedy śmierdzącej materii trzeba szukać kontry na suchy i pusty moralizm, który próbuje w nas wzbudzić poczucie winy za nadmiar czy wręcz przepych, z którym celebруем biesiadny aspekt świąt. Podstawowa dla nich prawda o wcieleniu przenosi nas na poziom życia doświadczanego w ciele i przez ciało właśnie. Uświęca je, owszem – tu pominiemy detale potyczek słownych teologów, w jakim zakresie – ale przecież nie przesłania. O czym zaświadcza choćby cała tradycja malarska kręgu zachodniego, która do dziś jest dla nas abecadłem patrzenia w sposób inny niż optyka zwierzęcych obwodów wzrokowych: nieustanne zmaganie malarzy, jak naśladować to, co widzialne, nadając mu sens i porządek, nie byłoby możliwe, gdyby ci malarze (a także ich katolicki klienci i odbiorcy) nie wychodzili od zachwyty nad materią jako medium, przez które poznaje się sprawy ostateczne.

Zachwyt nad ciałem wymaga troski o to, by czerpało właściwą sobie energię. Żywe nadal w naszej epoce ciągoty newage'owe każą naśladować mądrości Wschodu i skupiać się na oddechu jako sposobie, w który najpewniej możemy odczuć czystą esencję życia. Owszem, nie powiem, to piękne i dobre, usłyszeć w sobie poprzez wdech i wydech nieustanną falę przypyły i odpływu istnienia. Dwadzieścia minut medytacji oddechowej oczyszcza pole świadomości. Sęk w tym, że pierwsze, co się u mnie w tym pustym polu pojawia, to apetyt. A nie spotkałem jeszcze kogoś, kto by się najadł samym powietrzem i oświeceniem.

Nie ma lepszego sposobu, by na własną, ludzką miarę, tu i teraz uczcić tajemnicę wcielenia, niż jedząc i pijąc. Dużo i dobrze, tyle ile pozwala nam nasze położenie życiowe. ©P

Mąka i woda – od tego zaczyna się każde ciasto pierogowe, którego warianty z poszczególnych krajów różnią się dodatkami i wypełniaczami. My jednak zatrzymamy się na moment przy tych dwóch składnikach (i cukrze), by zrobić skromne, acz zakorzenione w historii Neapolu ciastka jedzone na Boże Narodzenie – mostaccioli. W misce mieszamy 500 g mąki z 250 g cukru i płaską łyżeczką proszku do pieczenia, dodajemy 100 g drobno mielonych migdałów, 2-3 łyżki kakao i łyżkę mieszanki przypraw zwanej w Neapolu pisto (cynamon, goździki, gałka), ale może być też nasza mieszanka piernikowa, i skórkę z cytryny.

Dolewamy ok. 250 ml wody, zagarniając od razu drugą ręką, potem szybko staramy się wyrobić jednolite, zwarte ciasto.

Formujemy kulę, przykrywamy folią i odkładamy na godzinę do lodówki. Wałkujemy placek o grubości 5 mm, wycinamy spore romby, pieczemy je w 180 stopniach ok. 18-20 minut.

Po wystudzeniu pokrywamy polewą czekoladową lub lukrem z odrobiną konfitury.



NIEDŹWIEDŹ SŁABO ŚPI

Spotkanie go w Tatrach jest dla jednych marzeniem, u innych budzi lęk. Dla niego samego spotkanie z człowiekiem bywa źródłem wielkich problemów.

BARTEK DOBROCH

ZADNE INNE DZIKO ŻYJĄCE W POLSCE ZWIERZĘ NIE ZAPEŁNIA tylu serwisów informacyjnych i nie wywołuje takich emocji. Oscylują one od naiwnej czułości, wyrosłej pewnie jeszcze na gruncie misiów pluszowych i dobranock z Uszatkiem, Puchatkiem, Yogim czy Colargolem, po paniczny strach, podlany mitami i opowieściami o północnoamerykańskich niedźwiedziach grizzly. Skrajne reakcje są dla niedźwiedzia brunatnego największym zagrożeniem – infantyilizacja przynosi szkodę nie mniejszą jak demonizacja. Opowieść o niedźwiedziu w Tatrach jest historią jego spotkań i konfliktów z człowiekiem. Ich źródłem było ludzkie poczucie wyższości nad przyrodą albo lęk, a obecnie jest nim częściej ciekawość, źle pojęta empatia, niewiedza lub niedbałość.

Wiosną 2021 r. młody niedźwiadek po opuszczeniu gawry pod Małym Kościelcem zsunął się po śniegu na szlak, prawie pod nogi turystów. Z uwagi na spokój niedźwiedziej rodziny oraz bezpieczeństwo ludzi – z których niemal każdy, wyposażony w smartfon, zaczyna przy niedźwiedziu zachowywać się jak filmowiec z National Geographic – Tatrzański Park Narodowy podjął decyzję o zamknięciu szlaków w górnej części Doliny Gąsienicowej.

– Nie wszyscy tę decyzję zrozumieli. Bo to opowieść o naszych egoizmach. Robimy zdjęcie, znajomi lajkują, ale nas tam już nie ma. A problem zostaje. Dla niedźwiadka to być albo nie być – tłumaczy Filip Zięba, wicedyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego stojący na czele specjalnego zespołu ds. niedźwiedzi.

SMS od niedźwiedzicy

Niedźwiedzie interesowały go już przed studiami, zakończonymi pracą magisterską na ich temat. Miał szczęście trafić na Zbigniewa Jakubca, biologa, który niedźwiedziami zajmował się od 1982 r., potem inspirował go prof. Henryk Okarna, zajmujący się dużymi drapieżnikami. Blisko współpracował

z Nurią Selwą i Agnieszką Sergiel. W TPN zebrał się też mocny zespół badaczy.

Zięba zaczynał w latach 90., kiedy jeszcze istotne były własne nogi, buty i lornetka. Z tymi narzędziami badacz musiał spędzić mnóstwo czasu w terenie. Na podstawie tropienia zbierano dane statystyczne dotyczące frekwencji niedźwiedzi, miejsc ich przebywania, a poprzednicy Zięby wyznaczili dwa główne mateczniki niedźwiedzi w polskich Tatrach: rejon Kominiarskiego Wierchu na zachodzie i Wołoszyna na wschodzie. Wymogiem tej metody było występowanie stałej pokrywy śnieżnej. Wiosną, gdy niedźwiedzie budziły się ze snu i schodziły w doliny, trop często się urywał i odnajdywał kilometr dalej. Ale nie było już wiadomo, czy należał do tego samego osobnika.

Rozróżnienie dwóch niedźwiedzi brunatnych jest bowiem bardzo trudne. Niedźwiedzicę z oddali rozpoznać można po tym, że wyprowadza młode. Samce nie tylko się nimi nie zajmują, ale nawet dopuszczają się ich zabójstw i aktów kanibalizmu. Dymorfizm płciowy ujawnia się jedynie w rozmiarach ciała. Samce mogą osiągnąć nawet 350 kg wagi, samice 200.

– Trudniej było wówczas poznać w skali makro, jak niedźwiedzie funkcjonują. Trzeba było wykazać się dużym sprytem, wiedzieć, jak to zwierzę podejść. To dawało emocje i tworzyło też więź z gatunkiem. Tęsknię za tymi czasami – przyznaje Zięba, który z szopą długich, niesfornych włosów przypomina dawnych północnoamerykańskich traperów, znanych z filmu „Zjawa”.

Przełomem było wprowadzenie do badawczego instrumentarium telemetrii, najpierw nadajników radiowych, a następnie GPS. Umieszcza się je w obroży. Trzeba więc zwierzę namierzyć, złapać i zaaplikować mu środek usypiający. Wcześniej, na podstawie tropień zasięg tatrzańskich niedźwiedzi ograniczano nawet nie do przestrzeni całych Tatr, ale do ich fragmentów, masywów, dolin. To jest niedźwiedź z Chochołowskiej. A ten z Kościeliskiej.



→ Gdy pierwszemu niedźwiedziowi odłowionemu w 2001 r. w rejonie Doliny Kościeliskiej założono obrozę telemetryczną, parkowcy – przeważnie, jak Zięba, górale – przyjmowali zakłady, dokąd pójdzie. „On jest z tela. To on dalej jak na Kominy nie pójdzie” – mówił ktoś, wskazując na pobliski Kominiarski Wierch. Po czterech dniach okazało się, że niedźwiedź dotarł na północno-zachodni kraniec Tatr, pod słowacką Osobitą. Po czym poszedł jeszcze dalej, poszerzając horyzonty naukowców. Ci przypominali wówczas dawnych monterów telewizyjnych, bo chodzili po Tatrach i ich obrzeżach z antenami służącymi do namierzania sygnału radiowego z obroży. Czasem niedźwiedź znikał jednak z radaru. Wszedł do dziury albo gdzieś, gdzie sygnał zaniknął – tak to interpretowano.

– Okazało się jednak, że nasze niedźwiedzie funkcjonują daleko poza Tatrami, które im nie wystarczają. Że muszą wyjść dalej, w sąsiednie masywy – mówi Zięba. – Nurtowały pytania, po co niedźwiedź tam poszedł, na czym żeruje. U niedźwiedzi jest tyle niewiadomych, że ten temat niesamowicie wciąga.

Postęp techniczny wpłynął nie tylko na zasób wiedzy, ale także na tryb życia i behavior badacza. Nie musi już podążać kilometrami za urywającym się śladem ani ślepczyć po nocach godzinami w kosodrzewinie z anteną i noktowizorem. Dziś niedźwiedź co dwie godziny wysyła Ziębom SMS ze swoim położeniem.

Doświadczenie Magdy

Telemetria w Tatrzańskim Parku Narodowym nie pojawiła się jednak z motywacji naukowej, ale raczej z potrzeby chwili. Jako ratunek dla niedźwiedzi, które popadły w konflikt zarówno z prawem natury, jak i z tym ustanawianym przez człowieka. Wówczas mówiono o ich synantropizacji, czyli utracie cech zwierzęcia dzikiego, uzależnieniu od człowieka, jego pokarmu, życiu razem z nim. Ale niedźwiedzie nie stają się podręcznikowymi synantropami, jak wróble, kuny domowe czy niektóre lisy. Dlatego określenie to zastąpiło inne, będące kalką ze stosowanego w północnoamerykańskich parkach narodowych określenia *problem bear* – niedźwiedź problemowy.

Dzięki znakowaniu można było takie niedźwiedzie w Tatrach rozpoznać, odstraszać od ludzkich siedzib, śmietników, nawracać na ścieżkę dzikości. – Mieliliśmy doświadczenie Magdy – przyznaje Zięba. – To nie Magda lubiła wędrować koło ludzi, ale to z winy ludzi polubiła przebywanie wokół schronisk i szlaków.

Jej historia zaczęła się w 1987 r. od podchodzenia pod schronisko w Roztoce, żerowania na śmietnikach, zachodzenia z młodymi na przejście graniczne w Łysej Polanie, a skończyła cztery lata później coraz groźniejszymi próbami włamań do pomieszczeń mieszkalnych w Zakopanem. W końcu decyzją o odłowieniu, osadzeniem w zoo we Wrocławiu i śmiercią w nim po niecałym miesiącu.

Proces nawrócenia niedźwiedzia

z drogi korzystania z ludzkich pokarmów na bytowanie w dziczy jest bardzo trudny, a często wręcz niemożliwy. Ale zdarzają się takie przypadki jak Iwo.

Kaśka była prawdopodobnie pierwszym potomstwem wyprowadzonym przez Magdę, choć twardych dowodów brak, nie pobrano bowiem próbek do badań genetycznych. – Gdy musieliśmy odstraszyć niedźwiedzia, strzelając doń gumowym pociskiem, albo gdy kopnął go elektryczny pastuch, ludzie odbierali to tak, że parkowcy znęcają się nad biedną Kaśką – wspomina Zięba. Choć to znane z Yellowstone i innych parków narodowych Stanów Zjednoczonych metody odstraszania grizzlych, różniących się od naszych niedźwiedzi jedynie rybną dietą i wielkością. Pastuchy elektryczne zabezpieczyły wówczas wszystkie obiekty wzdłuż drogi do Morskiego Oka.

Nadawanie niedźwiedziom ludzkich imion skutkowało w wyobraźni wielu ich antropomorfizacją. Dlatego imiona zastąpiły numery. Kaśka stała się „Pięćsetką”, a jej potomstwo kolejno „501”, „502”, „503”. Kiedyś Zięba z towarzyszem próbowali odstraszyć ją spod klasztoru albertynów na Kala-tówkach. Poinformowali o tym jednego z braci, który zawrócił do budynku. Po kilku minutach ku ich zdziwieniu tymi samymi drzwiami wyszła Kaśka po spenetroowaniu zapasów w magazynie. Innym razem ukradła ze schroniska w Pięciu Stawach kilka beczek coca-coli, które otwierała w kosodrzewinie zębami, pijąc z młodymi tryskający napój. Niedźwiadki przejęły wzorce zachowania po matce, odłączywszy się od niej wędrowały nadal szlakiem tatrzańskich śmietników, które nie zniknęły z Parku, choć mijają już dekada, odkąd doprowadziły do zniknięcia Magdy. Dwa pierwsze odłowiono, aby założyć im wówczas jeszcze nie obrozę telemetryczną, ale kolczyki z klipssem i numerem, podobne do tych, jakimi hodowcy oznaczali owce czy kozy.

– Nie mieliśmy jeszcze wtedy świadomości, że z niedźwiedziami jest jak z ludźmi. Nie ma jednego klucza, metody, która jak działa na jednego, to działa na wszystkie – wspomina Zięba. Okazało się, że każdy jest indywidualnością, daje się odstraszać w inny sposób i podąża własnymi ścieżkami. „Pięćsetdwójka” przechodziła na Słowację przez Rysy, być może szlakiem pokazanym przez matkę. Inne niedźwiedzie widywano w Tatrach nawet w ścianach, na które ludzie wspinają się z liną.

Rajdy młodej niedźwiedzicy skończyły się jednak zsyłką do ogrodu zoologicznego w Holandii, którą zniosła lepiej niż Magda. Gorszy los spotkał Kubę Kondrackiego, młodego samca, który włóczył się za ludźmi i gonił za narciarzami, bowiem mając w bród ludzkiego jedzenia zrezygnował nawet z gawrowania. W lutym 1980 r. padł w lesie po tym, jak został postrzelony przez przestraszonego strażnika Parku.

Tam, gdzie była ciągłość występowania niedźwiedzia, jego pojawienie się z reguły nie budzi takich emocji. Kaśka weszła kiedyś do auta, pozostawionego przed wejściem na szlak przez ówczesnego gospodarza schroniska w Pięciu Stawach Andrzeja Krzeptowskiego. Parkowcy powiadomili go przez radio. „Słuchajcie, może się wrócić, bo niedźwiedź wam włożył do skody”. Po chwili ciszy usłyszeli: „No i co, odjechał?”.



FILIP ZIĘBA / TATRZAŃSKI PARK NARODOWY

Człowiek zaatakował niedźwiedzia

– Wystarczy jednak, że niedźwiedź zajdzie kawałek dalej, choćby już za granicę Bukowiny Tatrzańskiej, by stał się krwiożerczą bestią. Wtedy jest sztab kryzysowy, sołtys, ksiądz, policja, media i mnóstwo telefonów, bo niedźwiedź przyszedł nas zjeść – opowiada Zięba. – Pamiętam historię z niedźwiedziem w Myślenicach, który tylko chciał przejść przez zakopiankę i zabłądził na Zarabiu. W policyjnej obstawie jeździliśmy z bronią po mieście. Jak w westernie. A nic się tam nie działo. Niedźwiedź był, widzieli go i zniknął.

Zięba twierdzi, że w takiej sytuacji łatwo się nakręcić, podjąć decyzję co do wyroku. Taką czasem podejmują Słowacy, u których dziesięć razy liczniejszy i terytorialnie wszechobecny zwierz nie jest tak uświęconym gatunkiem jak w Polsce. W maju „problemową” niedźwiedzicę z młodym odstrzelono pod hotelem Śląski Dom u stóp Gerlacha. Podobny los spotkał cztery lata temu Ingrid. „Człowiek zawiñił, a niedźwiedzia zastrzelili” – komentował wówczas Zięba. Obie decyzje uzasadniano zagrożeniem dla mieszkańców.

– Ale co to znaczy zwierzę niebezpieczne? – zastanawia się Zięba. – Dla niektórych sama obecność niedźwiedzia jest zagrożeniem życia i zdrowia ludzkiego. W polskich Tatrach mamy 270 km szlaków i sporo niedźwiedzi, które dużo częściej widzą nas, niż my je. Mają doskonały węch i słuch, gawry zakładają nawet 50 metrów od szlaku. Gdyby cokolwiek nam chciały zrobić, to regularnie dochodziłoby do takich incydentów.

Tymczasem do ostatniego tragicznego dla człowieka spotkania z niedźwiedziem na terenie polskiego Podtatrza doszło w 1927 r. Prowadząca dwójkę młodych niedźwiedzica zaatakowała zbierającą grzyby w lesie nad Białką trzynastoletnią Stefanią Remias; dziewczynka zginęła. Kilka tygodni później tuż za polską granicą zaatakowała dwóch chłopców

próbujących odpędzić niedźwiadki od owiec. Jednemu rozbiła czaszkę, co spowodowało na nią obławę i wyrok. Agresja niedźwiedzicy wynikać mogła z tego, że w przeszłości została kilkakrotnie postrzelona przez kłusowników.

Do zwierząt strzelali także tyrolscy jęgrzy z Jaworzyny Spiskiej, strzegący prywatnego rezerwatu myśliwskiego, który należał do księcia Christiana Hohenlohe, największego pogromcy tatrzańskich niedźwiedzi. Po polskiej stronie przed 1912 r. całkiem legalnie polowali na nie właściciele zakopiańskich hut i lasów, Homolacowscy oraz architekt i pionier polskiego narciarstwa Stanisław Barabasz. Ale kulę nosił w ciele także uśpiony zaledwie sześć lat temu 27-letni Eryk, najstarszy z odłowionych i zbadanych w Tatrach niedźwiedzi, który doznał paraliżu tylnych łap, choć nie w wyniku postrzału.

Ataki niedźwiedzi, do jakich doszło w czerwcu i wrześniu na Słowacji, miały miejsce nie w Tatrach, jak czasem informowano, ale w pierwszym przypadku, gdy znaleziono zabitego mężczyznę, w oddalonych o kilkadziesiąt kilometrów Niżnych Tatrach, a w drugim, w którym ranna została zbierająca jeżyny kobieta, na południu kraju. W przypadku październikowego incydentu w rejonie Doliny Chochołowskiej TPN musiał dementować informacje, jakoby do ataku doszło na szlaku, na którym poturbowany chciał zrobić sobie z niedźwiedziem selfie.

– Ten człowiek przebywał bardzo daleko od szlaku, w miejscu, w którym niedźwiedź się go nie spodziewał. Wiał silny wiatr, człowiek wszedł w zaroślach kosodrzewiny na niedźwiedzia na wyciągnięcie jego łapy. Niedźwiedź go ranił i uciekł. Z perspektywy niedźwiedzia to była obrona. Nagłówek artykułu powinien brzmieć raczej: „Człowiek zaatakował niedźwiedzia” – precyzuje Zięba. W 90 proc. przypadków spotkanie z niedźwiedziem kończy się jego ucieczką albo brakiem zainteresowania.



Karpacka odyseja Iwo

→ Z biegiem lat powrócono do nadawania niedźwiedziom ludzkich imion. Zięba tłumaczy: – Jeśli niedźwiedź złapie się w dzień imienin Stanisława, dostanie imię Stachu, jak się to stanie za granicą, to otrzyma imię słowackie. Porządkuje nam to bazę danych, w której mamy obecnie około osiemdziesięciu niedźwiedzi.

W mijającym roku najwięcej problemów sprawiały Danka, Tekla i Roma, której parkowcy już trzeci raz wymieniali obrozę. Rok temu, gdy wiele działań w wyniku pandemii zostało wstrzymanych, na skutek utraty łączności Roma urwała się z łańcucha kontroli i jeszcze bardziej zmniejszyła dystans do człowieka. – Jesienią zobaczyliśmy zupełnie innego niedźwiedzia. Niepokoję się, co będzie z nią w przyszłym roku – mówi Zięba.

Przez zaobrożowane niedźwiedzie Park oddziałuje też na mieszkańców. Bo od czasu zniknięcia kontenerów z Parku i jego obrzeży zwierzęta przyciąga obfitość łatwo dostępnych śmietników zakopiańskich. Zwłaszcza jesienią, czyli w okresie intensywnego natłuszczenia się niedźwiedzi przed snem zimowym, do którego powinny wystarczyć borówki, maliny, jarzębina, urozmaicone czasem posiłkiem mięsnym. To, że niedźwiedź trzecią noc podchodzi pod jeden dom, daje sygnał, by porozmawiać z właścicielem. Zachęcić go do posprzątania w obejściu, zabezpieczenia śmieci.

Chodzi o to, żeby nie dopuścić do sytuacji, do jakiej doszło na Słowacji z Ingrid, której polscy parkowcy na prośbę sąsiadów zakładali obrozę. Zięba widział coś takiego po raz pierwszy. Smokowiec, pełne ludzi turystyczne miasteczko, a w samym centrum niedźwiedzica siedzi na modrzewiu i karmi młode. Tak jak kiedyś pola owsa na Podhalu, tak obecnie na Słowację przyciągają niedźwiedzie rozległe pola kukurydzy, które odmieniły rolniczy krajobraz Kotliny Podtatrzańskiej.

Proces nawrócenia niedźwiedzia z łatwej drogi korzystania z ludzkich pokarmów na bytowanie w dziczy jest bardzo trudny, a często wręcz niemożliwy. Zepsucie jest nieodwracalne. Ale zdarzają się też takie przypadki jak Iwo. Zaobrożowany na Łysej Polanie niedźwiedź, który udał się w rejon Smokowca, gdzie co noc przeczesywał śmieci na wysypisku.

Nie rokował. Słowacy zastanawiali się nad odstrzałem. Ale Iwo przeszedł przez autostradę D1 i zawędrował w Niżne Tatry. Następnie wrócił w Tatry, po czym powtórzył trasę wędrówki, trafiając precyzyjnie w jedyne przejście dla zwierząt nad autostradą. I szedł dalej, zachodząc na Węgry, gdzie wzbudził sensację podlaną tatrzańskim sentymentem (do 1918 r. Słowacja była przecież częścią Królestwa Węgier). W drodze powrotnej przeciął zurbanizowane tereny i kolejną autostradę, ale zamiast w Tatry, skierował się w Bieszczady, skąd wybrał drogę w leśny bezkres ukraińskich Karpat. Mógł dojść aż do Rumunii. Otwierając się automatycznie po dwóch latach obrozę zgubił w Gorganach, przy ogromnym świerku, pod którym w jamie gawrował. Wcześniej naukowcy powątpiewali w łączność między niedźwiedziami na łuku Karpat. Iwo zaniósł geny zachodniej populacji karpaczkich niedźwiedzi na wschód.

– Spośród wszystkich naszych tatrzańskich niedźwiedzi Iwo okazał się najbardziej wartościowym – ocenia Zięba.

Dobranoc

Większość tatrzańskich niedźwiedzi pokładła się już koło połowy listopada do zimowego snu. Dawniej parkowi naukowcy tropiący te zwierzęta mieli mgliste pojęcie o niedźwiedzich gawrach, dziś dzięki zaobrożowanym osobnikom lokalizują je bezbłędnie, odwiedzają i badają na wiosnę po ich opuszczeniu. Na początku grudnia TPN czasowo zamknął łącznik szlaków w Dolinie Pańszczy, gdy okazało się, że niedźwiedzica położyła się do snu w mieszczącej się tuż obok gawrze.

W przeciwieństwie do śpiących jak zabite świstaków i wbrew dziecięcej piosence, sen niedźwiedzica jest płytki. Śpiący osobnik słyszy, co dzieje się wokół gawry i zaniepokojony może ją natychmiast opuścić. Może obudzić go przechodzący turysta, przejeżdżający narciarz albo disco polo z sylwestrowej sceny w Zakopanem i huk strzelających petard. Co już przynajmniej raz się w Tatrach zdarzyło. „A jeśli to niedźwiedzica, która zimą w gawrze rodzi młode, to wybudzona może porzucić niezdolnego do samodzielnego życia niedźwiadka lub niedźwiadki” – dodaje komunikat Parku.

© P BARTEK DOBROCH

Słuchaj Podkastu Powszechnego

Artyści renesansu nie byli cnotliwi, a swoje bezpruderyjne dzieła tworzyli techniką umożliwiającą masowe kopiowanie. Niektóre z nich przetrwały do dziś. Co się na nich znajduje? Słuchaj cyklu „Sztuka powszechnie nieznaną” – na plotki o tajemnicach malarstwa zaprasza historyczka sztuki i mediewistka Magdalena Łanuszka.

A jeśli Ci się spodoba, wesprzyj Podkast Powszechny na [Patronite.pl/TygodnikPowszechny](https://patronite.pl/TygodnikPowszechny)



Sztuka
powszechnie
nieznana

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FRAGMENT GRAFIK Z CYKLU „J. MODI”.
1. TERCJA XVI W. BYĆ MOŻE KOPIA WG MARCANTONIA RAIMONDIEGO /
© THE TRUSTEES OF THE BRITISH MUSEUM / CC BY-NC-SA 4.0



College of Europe
Collège d'Europe



Prestiżowe, pomagisterskie Europejskie Studia Interdyscyplinarne

Aplikuj teraz!

Kolegium Europejskie to najstarsza i jedna z najbardziej prestiżowych uczelni oferujących pomagisterskie studia europejskie. Podczas rocznych studiów w języku angielskim i francuskim na kierunku Advanced Master of Arts in European Interdisciplinary Studies w Kolegium Europejskim w Natolinie studenci zyskują szerokie spojrzenie na problematykę europejską oraz kompetencje przygotowujące ich do dalszego rozwoju zawodowego w wielu różnych sektorach.

Kandydaci z Polski mogą ubiegać się o pełne finansowanie studiów w ramach stypendiów Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP. Rekrutacja na rok akademicki 2022/2023 jest otwarta do 19 stycznia 2022 r.

Więcej informacji: coleuropenatolin.eu/pl

Ogłoszenie skierowane jest do studentów ostatniego roku lub absolwentów studiów magisterskich.



With the support of the
Erasmus+ Programme
of the European Union

STANISŁAW

Mancewicz:

Kręcioł



CHCEMY DZIŚ ZACZAĆ OD NAJŚWIĘTSZEGO w Polsce porzekadła, że „historia kołem się toczy”. To nasz ulubiony wytrych do teraźniejszości, nigdy jej nie otwierający. Koło owo – popatrzmy – jest w ciągłym

użyciu, czy to piątek czy świątek, czy lato czy zima, czy grudzień czy czerwiec. Nawiasem – to wtręt okolicznościowy i literacki – wypada uroczyste rzeszom czytelniczym przytoczyć piękne i aktualne przysłowie: „Grudzień z grzmotami, rok z wiatrami”.

Oto wyjaśnijmy wszystkim, którym z trudem przychodzi rozumienie przerośnię, iż gdy ktoś nam mówi, że „historia kołem się toczy”, spostrzega tym samym, że wydarzenia z przeszłości zdarzają się dziś. Jest to kompletna nieprawda, ale każdy ma prawo prowadzić intelektualne życie, opierając się na porzekadłach polskich. Każdy z nas – jak tu ponuro siedzimy – wie, że Polska jest krainą jedyną w swoim rodzaju, ale też – co niewielu ma uświadomione – Polska ma największą na świecie liczbę operatorów kół historii. Nigdzie nie ma tyłu dziennikarzy, pseudodziennikarzy, polityków, pseudopolityków, urzędników i pseudourzędników, lekarzy i znachorów, historyków i historyków IPN, których w zasadzie jedynym zajęciem jest obracanie kołem historii. W lewo bądź to w prawo, prędko lub wolno, tak lub śmak. Kręcenie kołem historii jest ulubionym zajęciem każdego Polaka, od takiego, który ledwie umie się podpisać, po profesora z wyższym wykształceniem. Co oczywiście, bardzo często kręcenie kołem historii wiąże się z pensją, na ogół niemałą.

Moglibyśmy przytoczyć milion przykładów z ostatniego miesiąca na używanie koła historii w celach absolutnie dowolnych. Ale – zważmy – najważniejszym celem kręce-

nia jest rozmazywanie bliźnich na marmoladkę. Zapamiętajmy: operowanie kołem historii jest w Polsce wyłącznie narzędziem marmoladyzowania przeciwnika. Dlatego jest to zajęcie popularne, łatwe i uważane za przyjemne. Przykłady: koło owo najmniejszy opór stawia, gdy powiadamy o kimś żyjącym i dziś działającym np. w polityce, że jest identyczny jak Stalin. Albo ów – to banał, na który każdy z nas czeka – że jest w swych decyzjach jak Hitler. Albo że tamten – to już kręcioł dla nieco bardziej zaawansowanych w sylabizowaniu podręczników – jest jak Gomułka, i że stosuje metody jak Goebbels. To są porównania, ktoś powie. Owszem, ale towarzyszy im zawsze obrót kołem historii. Taką jest prawda.

O wszystkim tym piszemy tu z oczywistą pasją też dlatego, że zauważyliśmy, iż poza zwykłym kręceniem kołem historii zdarzają się udoskonalenia tej czynności. Rzec by można, że stara technologia kręcenia już nie wystarczy, że okoliczności wskazują, iż trzeba teraz tak kręcić, by przeszłość wkręciła się w przyszłość. Brzmi to nieco fantastycznie, ale przykład już mamy, a jest to ostatnia opinia Geniusza z Mazowsza, że Niemcy budują właśnie IV Rzeszę.

Jest w tym określeniu zawarta i oczywista straszna przeszłość, magmowata teraźniejszość i przerażająca przyszłość. Niemiec. Każdy wie, czym była III Rzesza, nikt nie wie, czym Niemcy są dziś, i każdy się domyśla, czym może być dla nas Rzesza Czwarta. *Nomen omen* rzesze wielbicieli Geniusza z Mazowsza już na samo to określenie umierają z przerażenia.

Oto widzimy tu wyraźnie obrót kołem historii i jakby wystrzał w kosmos. Ktoś powie, że szukamy dziury w całym, ktoś inny, że wszędzie doszukujemy się dziur czarnych, ktoś znowuż zarzuci nam, że insynuujemy Geniuszowi z Mazowsza przekraczanie granic zdrowego fantazjowania, a tym samym sugerujemy, by je korygował medycyną konwencjonalną. Nie. Nic z tego. Naszym celem jest nieustająca rejestracja zakręceń, kręceń i pokręceń kołem historii. Ktoś zapyta: po co? I czy nie powinniśmy raczej zająć się czymś pożytecznym, np. ubieraniem choinki? Tu musimy być twardzi, musimy się kręceniem zajmować, koło historii bowiem w Polsce jest jedynym kołem na planecie Ziemia kręcącym się bez żadnego tarcia.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ





FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ

REKLAMA

116 111

– telefon zaufania dla dzieci
i młodzieży każdego dnia pomaga
dzieciom w kryzysie.

W czasie świąt, również, telefon będzie
działał **nieprzerwanie 24h/dobę**.

Dowiedz się więcej o działaniu telefonu
i **wspierajtelefon.pl**



Polska
Rada
Biznesu

Partnerem materiału jest Polska Rada Biznesu.

Polska Rada Biznesu to organizacja zrzeszająca prezesów i właścicieli największych firm prywatnych działających w Polsce. W 2022 roku organizacja będzie obchodzić 30-lecie swojego powstania.

Więcej: <https://prb.pl/>.

Teatr im. S. Żeromskiego w Kielcach łączy siły z Teatrem Narodowym Islandii



fol. Piotr Polak

Z dumą ogłaszamy partnerstwo, które Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach podpisał z Teatrem Narodowym Islandii z Reykjavíku. Kilkuletnia kooperacja z największym i najważniejszym teatrem w Islandii ma zaktywizować tamtejszą – młodą i coraz liczniejszą – polską diasporę. Zaczyna też nowy rozdział w historii Teatru im. S. Żeromskiego jako miejsca otwartego na różnorodność artystyczną i kulturową.

Wierzimy, że wspólnotę buduje się przede wszystkim razem pracując, dlatego w ramach partnerstwa kielecki zespół odwiedzi Reykjavík, będzie uczestniczyć w warsztatach z miejscowymi artystami oraz zaprezentuje spektakl ze swojego repertuaru na deskach Teatru Narodowego Islandii. Efektem współpracy będzie też sztuka dramatyczna badająca życie polskich emigrantek i emigrantów na Islandii – i ich strategie stawania się częścią nowej wspólnoty. Jej prapremiera planowana jest na 145-lecie Teatru im. S. Żeromskiego, w lutym 2024 r. na nowej Scenie Kameralnej.

Współpraca zostanie zwieńczona polską premierą współczesnej sztuki islandzkiego autora/ki oraz wizytą zespołu Teatru Narodowego Islandii w Kielcach i prezentacją jego spektaklu na remontowanej historycznej scenie przy ulicy Sienkiewicza.

Czy dwa krańce zamkniętej przez pandemię i spolaryzowanej wojnami kulturowymi Europy mogą się spotkać i znaleźć wspólny język? W Teatrze im. S. Żeromskiego w Kielcach wierzymy, że tak, i że szansą dla naszego kontynentu jest współpraca mniejszych, lokalnych ośrodków ponad sporami „dużej” polityki.

Partnerstwo jest realizowane w ramach projektu „Przebudowa zabytkowego Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach na potrzeby zachowania dziedzictwa kulturowego i poszerzenia działalności kulturalno-edukacyjnej” finansowanego przez Fundusze Norweskie EOG 2014-2021.